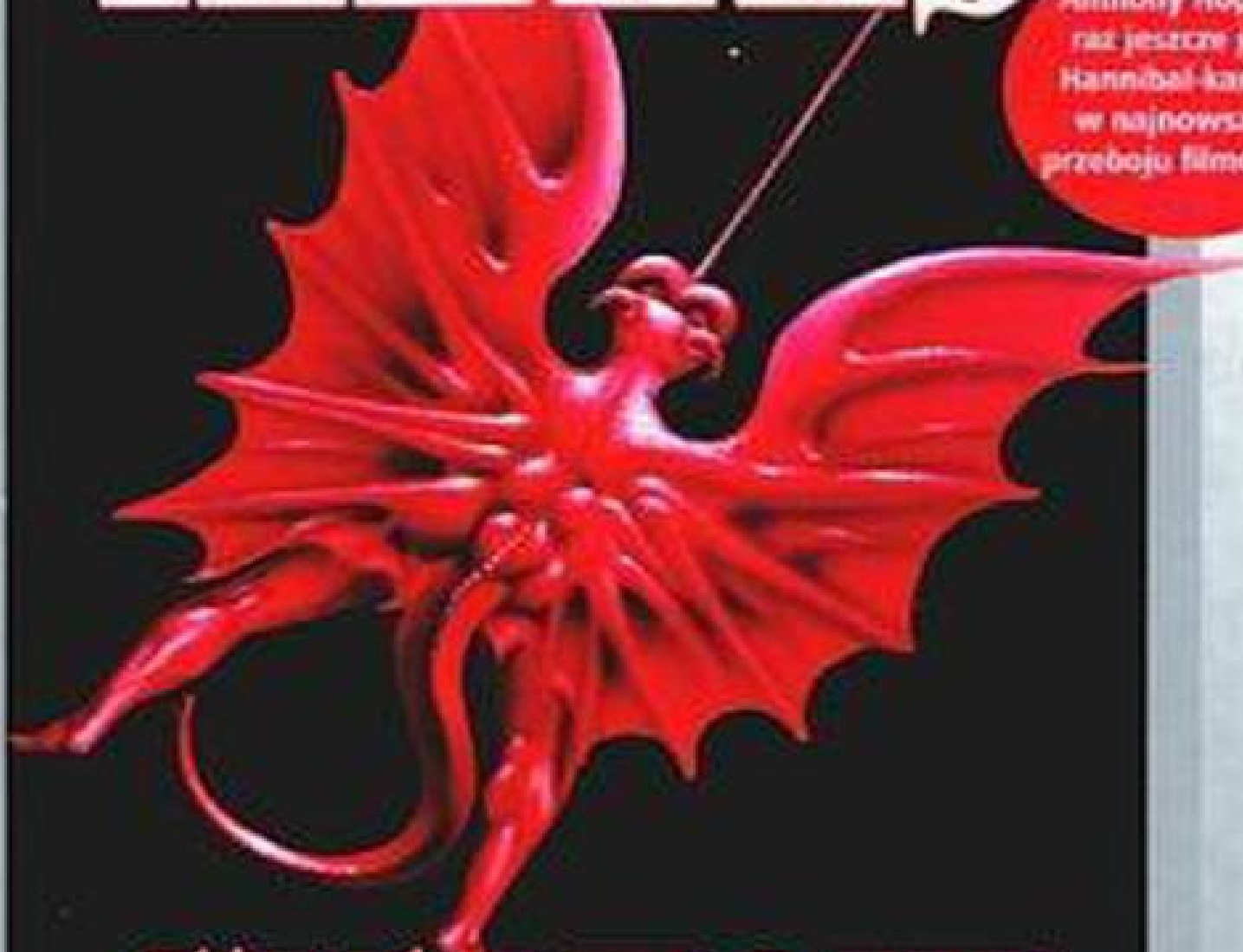


AMICA
SPOWNA
SERIA

THOMAS HARRIS

Anthony Hopkins
raz jeszcze jako
Hannibal-kanibal
w najnowszym
przeboju filmowym



CZERWONY SMOK

AMICA
SPOWNA
SERIA

Thomas Harris

CZERWONY SMOK

Przełożył: Andrzej Marecki

Tytuł oryginału: RED DRAGON

Bo Dobroć serce ma człowieka,

A Litość twarz ma z niego,

Miłość – człowieka postać boską,

A Pokój – suknię jego.

William Blake – Pieśni niewinności („Podobieństwo Boże”)

Człowiecze serce – okrucieństwo,

A Zazdrość ma człowiecze lica;

Groza człowieka postać boską,

Człowiecze suknie – tajemnica.

Człowiecze suknie są z żelaza,

Człowieczy kształt – ognista kuźnia,

Człowiecze lica – piec hutniczy.

Człowiecze serce, głodna próżnia.

William Blake – Pieśni doświadczenia („Podobieństwo Boże”)

Przekład Adama Pomorskiego

1

Will Graham usadził Crawforda przy stole piknikowym pomiędzy domem a oceanem i poczęstował go herbatą z lodem.

Jack Crawford spojrział na sympatyczny stary dom. W ostrym świetle białe wypłukane sołaje belki.

– Powinienem cię złapać w Marathon, jak wychodziłeś z pracy – zaczął. – Tutaj pewnie nie chcesz o tym mówić.

– Ja nigdzie nie chcę o tym mówić, Jack. Ale skoro musisz, to zaczynaj. Tylko nie wyciągaj żadnych zdjęć. Jeżeli przyniosłeś zdjęcia, to zostaw je w teczce... Molly i Willy wkrótce wrócą.

– Ile wiesz?

– Tyle, ile było w „Miami Herald” i „Timesie” – odparł Graham. – Dwie rodziny zabite w swoich domach w odstępie miesiąca. W Birmingham i Atlancie. Okoliczności podobne.

– Nie podobne, tylko takie same.

– Ilu już się przyznało?

– Kiedy dzwoniłem po południu, to było osiemdziesięciu sześciu – wyjaśnił Crawford. – Szurnięci. Żaden nie znał szczegółów. Morderca tłucze lustra i posługuje się ich kawałkami. Żaden tego nie wiedział.

– Czego jeszcze nie podałeś do prasy?

– Jest blondynem, praworęczny i naprawdę silny, nosi buty rozmiar jedenaście. Zna się na węzłach. Działa zawsze w gładkich rękawiczkach.

– To mówiłeś w wywiadach.

– Niezbyt dobrze sobie radzi z zamkami – ciągnął Crawford. – Ostatnim razem używał diamentu i przyssawki, żeby się dostać do domu. Aha, grupa krwi AB dodatnia.

– Ktoś go skaleczył?

– Tego nie wiemy. Określiliśmy go przez nasienie i ślinę. Zostawia je na miejscu zbrodni. – Crawford spojrział na gładkie morze. – Will, chcę cię o coś zapytać. Widziałeś to w gazetach. O drugim przypadku trąbiła telewizja. Nie przyszło ci na myśl, żeby do mnie zadzwonić?

– Nie.

– Dlaczego?

- O tym w Birmingham nie było zbyt dużo szczegółów. Wszystko wchodziło w grę... zemsta, krewni.
- Ale po drugim wiedziałeś, kto to.
- Tak, psychopata. Nie zadzwoniłem, bo nie chciałem. Wiem, kogo już w to wciągnąłeś. Masz najlepsze laboratorium. Masz Heimlicha w Harvardzie, Blooma z Uniwersytetu Chicago...
- I ciebie. Siedzisz sobie tutaj i naprawiasz jakieś pieprzone motory do łodzi.
- Nie wydaje mi się, żebym znowu tak bardzo ci się przydał. Nawet już o tym nie myślę.
- Naprawdę? Złapałeś dwóch. Dwóch ostatnich ty złapałeś.
- Jak? Robiąc dokładnie to samo, co reszta.
- Nie dokładnie to samo, Will. Rozumujesz w trochę inny sposób.
- Myślę, że z tym moim rozumowaniem to zdrowa zadyma.
- Wykonałeś kilka posunięć, których nigdy nie wyjaśniłeś.
- Dowody były oczywiste.
- Tak, tak, z pewnością. Nawet bardzo, tylko potem. Dopóki ich nie mieliśmy w garści, wiedzieliśmy tyle, co kot napłakał.
- Masz ludzi, których ci potrzeba, Jack. Ja wiele nie pomogę. Przyjechałem tutaj, żeby od tego wszystkiego uciec.
- Wiem. Ostatnim razem porządnie dostałeś. Ale teraz wyglądasz dobrze.
- I czuję się dobrze. Nie chodzi o tę ranę. Tobie też się dostało.
- Owszem, ale nie aż tak.
- Nie o to chodzi. Postanowiłem z tym skończyć. Nie potrafię ci tego wytłumaczyć.
- Rozumiem, nie mogłeś już na to patrzeć...
- Nie. Nie chodzi o... samo patzenie. To zawsze jest paskudne, ale po jakimś czasie można się przyzwyczaić, jeżeli tylko ofiary nie żyją. Gorsze są szpitale i wywiady. Trzeba wszystko z siebie wyrzucić, żeby główkować dalej. Wydaje mi się, że już bym tak nie mógł. Może jeszcze umiałbym patrzeć, ale już nie myśleć.
- Ci nie żyją, Will – podsunął Crawford delikatnie.

W głosie Grahama Jack Crawford słyszał własny rytm mowy i składnię. Widywał już, jak Will

demonstrował to z innymi ludźmi, kiedy w napięciu często wpadał w styl rozmowy. Początkowo Crawford myślał, że to celowy zabieg, żeby rozmowa szła płynniej.

Później zorientował się, że Graham robi to nieświadomie, że czasami chce przerwać, ale nie potrafi.

Crawford sięgnął do kieszeni marynarki i wyłożył na stół dwa zdjęcia.

– Wszyscy nie żyją – stwierdził.

Graham wpatrywał się w niego przez chwilę, zanim wziął zdjęcia.

Zwykle fotografie rodzinne: kobieta idzie brzegiem jeziora, za nią trójka dzieci i kaczka, niosą rzeczy na piknik. Rodzina stoi za tortem.

Po niecałej minucie odłożył zdjęcia, zsunął je razem jednym palcem i spojrzał na plażę daleko w dole, gdzie chłopczyk nachylał się nad czymś w piasku. Kobieta przyglądała mu się z ręką opartą na biodrze, a rozbite fale obmywały jej stopy. Odchyliła się trochę, by odrzucić z ramion mokre włosy.

Graham, ignorując gościa, obserwował Molly i chłopca tak długo, jak długo patrzył na zdjęcia.

Crawford był zadowolony. Z taką samą starannością, z jaką wybrał miejsce rozmowy, próbował teraz nie okazywać satysfakcji. Przynęta zarzucona. Niech się ryba złapie.

Trzy nadzwyczaj szpetne psy podeszły do stołu i rozłożyły się wokół.

– Rany boskie! – zdziwił się Crawford.

– To najprawdopodobniej psy – wyjaśnił Graham. – Ludzie ciągle podrzucają nam szczeniaki. Co ładniejszym właścicieli. A reszta trzyma się nas, aż podrośnie.

– Nieźle odpasione.

– Molly ma słabość do przybłąd.

– Prowadzisz tu wygodne życie. Molly i chłopak. Ile on ma lat?

– Jedenaście.

– Ładne dziecko. Przerośnie cię. Graham przytaknął.

– Jego ojciec też przerósł swojego. Dobrze mi tu. Doceniam to.

– Chciałem sprowadzić tu Phyllis. Na Florydę. Przejść na emeryturę, kupić tu dom i wreszcie zacząć żyć jak człowiek. A ona mi na to, że wszystkich przyjaciół ma w Arlington.

– Miałem jej podziękować za książki, które mi przyniosła do szpitala, ale jakoś się nie złożyło. Zrób to za mnie.

– Dobrze.

Dwa małe jaskrawe ptaszki przysiadły na stole w poszukiwaniu pokarmu. Crawford obserwował, jak skaczą wkoło, dopóki nie odleciały.

– Will, ten zwyrodnialec najwyraźniej reaguje na fazy księżyca. Rodzinę Jacobich z Birmingham zabił w sobotnią noc, dwudziestego ósmego czerwca, przy pełni księżyca. Leedsów zabił w noc przed ostatnią pełnią, dwudziestego szóstego lipca. Czyli na dzień przed miesiącem księżycowym. Przy odrobinie szczęścia mamy ponad trzy tygodnie, zanim znowu uderzy. Chyba nie chcesz siedzieć tu w Keys i dowiedzieć się o następnym przypadku z tego waszego „Miami Herald”. Do diabła, nie jestem papieżem, żeby ci mówić, co robić, ale chcę cię tylko spytać, Will, czy polegasz na moich opiniach?

– Tak.

– Gdybyś nam pomógł, złapalibyśmy go szybciej. Dalej, Will, zaprzęgaj i ruszamy. Przeprowadź wizję lokalną w Atlancie i Birmingham, a potem przyjeźdź do Waszyngtonu. Tylko do tej sprawy.

Graham nie odpowiedział.

Crawford odczekał, aż pięć fal obmyje plażę. Podniósł się wtedy i przerzucił sobie marynarkę przez ramię.

– Porozmawiajmy po kolacji.

– Zostań u nas. Crawford potrząsnął głową.

– Wpadnę później. W „Holiday Inn” czekają na mnie wiadomości i muszę tu i ówdzie zadzwonić. Ale podziękuj Molly.

Wynajęty przez Crawforda samochód zostawił za sobą rzadki obłok kurzu, który osiadł na przydrożnych krzakach.

Graham wrócił do stolika. Bał się, że tak właśnie będzie wspominał koniec Sugarloaf Key – stopniały lód w dwóch szklankach herbaty, fruujące na wietrze papierowe serwetki dookoła stołu z sekwoi oraz Molly i Willy daleko na plaży.

Zachód słońca nad Sugarloaf, nieruchome czaple i obrzmiałe czerwone słońce.

Will Graham i Molly Foster Graham siedzieli na wyrzuconym przez morze, zbiełym pniaku; ich twarze wydawały się pomarańczowe w zachodzącym słońcu, a plecy tonęły w fioletowym cieniu. Ujęła go za rękę.

– Crawford wpadł do mnie wcześniej do sklepu – zagadnęła. – Pytał, jak dojechać do domu.

Dzwoniłam do ciebie. Naprawdę, czasami powinieneś podnosić słuchawkę. Wracając zobaczyliśmy samochód, więc poszliśmy na plażę.

– O co jeszcze pytał?

– Jak się miewasz.

– I co ty na to?

– Powiedziałam, że dobrze i lepiej, żeby cię zostawił w spokoju. Czego od ciebie chce?

– Żebym zbadał dowody. Jestem specjalistą z zakresu kryminalistyki, Molly. Widziałaś mój dyplom.

– Widziałam, jak zalepiłeś nim dziurę w tapecie na suficie.

Usiadła na pniaku okrakiem, żeby spojrzeć mu w twarz.

– Gdyby ci brakowało poprzedniego życia, tego, czym się zajmowałeś, chyba byś o tym mówił. A tego nie robisz. Jesteś otwarty, spokojny, na luzie... lubię to.

– Dobrze nam że sobą.

Jej szybkie mrugnięcie powiek sygnalizowało, że powinien był się lepiej wyrazić. Zanim udało mu się to naprawić, mówiła dalej:

– Praca dla Crawforda tylko ci szkodziła. Ma wielu innych ludzi – pewnie cały ten cholerny rząd – więc czemu nas nie zostawi w spokoju?

– Nie wyjaśnił ci tego? Był moim zwierzchnikiem, kiedy dwa razy opuściłem Akademię FBI, żeby wrócić do pracy w terenie. W całej swojej karierze nie spotkał się z takimi przypadkami, jak tamte dwa, a siedzi w tej robocie od lat. Teraz trafił mu się następny. Taki rodzaj psychopaty jest bardzo rzadki. Jack wie, że mam... doświadczenie.

– Rzeczywiście – skwitowała Molly.

Pod rozpiętą koszulą widziała zakrzywioną bliznę przecinającą jego brzuch. Była gruba na palec, wypukła i nigdy nie brązowiła. Biegła w dół od lewej kości biodrowej, a potem podnosiła się, zahaczając o klatkę piersiową po drugiej stronie.

Doktor Hannibal Lecter zrobił to nożem do cięcia linoleum. Molly poznała Grahama rok później. Wypadek ten o mało co nie skrócił mu życia. Doktor Lecter, znany w kartotekach jako „Hannibal-kanibal”, był tym drugim psychopatą, którego złapał Will.

Kiedy Graham wyszedł wreszcie ze szpitala, zrezygnował z pracy w FBI, opuścił Waszyngton i znalazł pracę jako mechanik przy silnikach diesla w małej stoczni remontowej w Marathon na Florydzie. Nauczył się tego zawodu w młodości.

Spał w przyczepie campingowej na terenie warsztatów, aż poznał Molly i zamieszkał w jej sympatycznym, posklecanym z niczego domu na Sugarloaf Keys.

Teraz i on usiadł okrakiem i ujął ją za ręce. Jej stopy czuł pod swoimi w piasku.

– Posłuchaj, Molly, Crawford sądzi, że mam wyjątkowego nosa do tych potworów. Jest wręcz przesądny na tym punkcie.

– I ty w to wierzysz?

Graham obserwował, jak trzy pelikany lecą jeden za drugim nad linią przyływu.

– Molly, inteligentny psychopata – a zwłaszcza sadysta – jest nieuchwytny z kilku powodów. Po pierwsze, z braku motywów nie ma się czego trzymać. Informatorzy też nie pomogą. Widzisz, przeważnie za aresztowaniem kryje się wygrzewanie stołków w barach, a nie tropienie śladów, ale w tego rodzaju sprawach informatorów po prostu nie ma. Sprawca może nawet nie wiedzieć, że to robi. Trzeba więc zebrać wszelkie dostępne dowody i wejść w jego skórę. Spróbować odtworzyć jego sposób myślenia. Wreszcie znaleźć schemat postępowania.

– A potem wytropić go i złapać – dokończyła Molly. – Boję się, że jak zaczniesz poszukiwania tego maniaka, czy kim on tam jest, to urządzi cię tak, jak ten poprzedni. To tyle. Tego właśnie się boję.

– On mnie nigdy nie zobaczy ani nie pozna mojego nazwiska, Molly. To policja, to oni muszą go przymknąć, jeśli go odnajdą, a nie ja. Crawford tylko chce zasięgnąć dodatkowej opinii.

Patrzyła na czerwone słońce rozpościerające się nad morzem. Pierzasta chmura powyżej odbijała jego blask.

Graham uwielbiał sposób, w jaki odwracała głowę i zupełnie nieświadomie ukazywała swój mniej doskonały profil. Dostrzegł pulsującą żyłkę na jej szyi i z nagłą wyrazistością przypomniał sobie smak soli na jej skórze. Przełknął ślinę i odezwał się:

– No i co ja mam zrobić, u licha?

– To, co już postanowiłeś. Jeśli zostaniesz, a morderstwa się powtórzą, może nie będziesz się już tu dobrze czuł. „W samo południe”, i tak dalej. Jeśli jest tak, jak mówię, to pytasz chyba retorycznie.

– A gdybym pytał naprawdę, to co byś odpowiedziała?

– Zostań ze mną. ze mną. ze mną. ze mną. I z Willym, przyprowadzę go, jeśli to coś zmieni. Powinnam osuszyć oczy i pomachać ci chusteczką. Jeżeli coś się nie uda, zostanie mi na pociechę świadomość, że postąpiłeś słusznie.

Potrwa to mniej więcej tak długo, jak odegranie capstrzyka. Potem wrócę do domu i włączę tylko jedną stronę elektrycznego koca.

– Ja będę na tyłach sfory.

– Akurat! Jestem samolubna, co?

– Mnie to nie przeszkadza.

– Mnie też nie. Tu jest spokojnie i przyjemnie. Tyle przeżyłeś, że sam potrafisz to ocenić. I docenić.

Przytaknął.

– Nie chcę w każdym razie tego stracić – dorzuciła.

– Niczego nie stracimy.

Zmierzch zapadł szybko i nisko na południowym zachodzie pojawił się Jowisz.

Wracali do domu przy świetle wschodzącego garbatego księżyca. W oddali, za plażą, drobne rybki wyskakiwały w popłochu z wody.

Crawford wrócił po kolacji. Zostawił marynarkę i krawat i podwinął rękawy, żeby wyglądać swobodniej. Jego masywne blade ręce wydały się Molly odrażające. Według niej wyglądał jak cholernie mądra małpa. Podała mu kawę pod wentylatorem na werandzie i usiadła z nim, a Graham z Willym wyszli nakarmić psy. Nie odzywała się. Ćmy uderzały łagodnie o siatki.

– Will dobrze wygląda, Molly – zagaił Crawford. – Oboje dobrze wyglądacie... tacy szczupli i opaleni,

– Cokolwiek powiem i tak go zabierzesz.

– No, muszę. Po prostu muszę. Ale na Boga, przysięgam, Molly, że będę go oszczędzał. Zmienił się. Dobrze, że się pobraliście.

– Czuje się coraz lepiej. Już tak często nie śni. Przez jakiś czas miał obsesję na punkcie psów. Teraz już się tylko nimi opiekuje i nie mówi o nich bez przerwy. Jesteś jego przyjacielem, Jack. Czemu go nie zostawisz w spokoju?

– Bo ma to szczęście, że jest najlepszy. Bo rozumuje inaczej niż reszta. Nie wpadł dotąd w rutynę.

– On myśli, że prosisz go o ocenę dowodów.

– To prawda, chcę, żeby zobaczył dowody. Nie znam nikogo lepszego od badania dowodów. Ale u niego liczy się jeszcze jedna rzecz. Wyobraźnia, projekcja, czy jak tam to nazwiesz. On tego właśnie nie lubi.

– Na jego miejscu też byś tego nie lubił. Obiecuj mi coś, Jack. Obiecuj mi, że dopilnujesz, żeby

on nie był w akcji. Chybaby go to dobiło, gdyby musiał walczyć.

– Na pewno nie będzie walczył. Obiecuję.

Kiedy Graham uporał się z psami, Molly pomogła mu się spakować.

Will Graham przejechał wolno koło domu, w którym mieszkała i w którym zginęła rodzina Leedsów. Okna były ciemne, świeciła się tylko jedna lampa na podwórzu. Zaparkował dwie przecznice dalej i wrócił pieszo w tę ciepłą noc, niosąc pod pachą tekturową teczkę z raportem detektywów policji w Atlancie.

Uparł się, żeby iść samemu. Obecność drugiej osoby przeszkadzałaby mu – tak powiedział Crawfordowi – ale miał jeszcze jeden, osobisty powód: nie był pewien swoich reakcji. Nie chciał, żeby ktoś się cały czas na niego patrzył.

W kostnicy jakoś wytrzymał.

Piętrowy dom z cegły stał w głębi zadrzewionej parceli, z dala od ulicy. Graham długo obserwował go spod drzew. Próbował zachować wewnętrzny spokój. W jego umyśle kołysało się wahadło. Odczekał, aż się uspokoi.

Przejechało kilku sąsiadów; ukradkiem spoglądali na dom i szybko odwracali głowy. Dom, w którym popełniono morderstwo, jest dla sąsiadów przykry, jak twarz zdrajcy. Gapią się tylko obcy i dzieci.

Żaluzje były podciągnięte. Graham ucieszył się. Zatem krewni nie wchodzili do domu. Oni zawsze spuszczaają żaluzje.

Przeszedł ostrożnie bokiem domu, nie zapalając latarki. Zatrzymał się dwa razy, nasłuchując. Policja z Atlanty wiedziała o nim, ale nie sąsiedzi. Mogą się przestraszyć, nawet strzelać.

Zaglądając w tylne okno widział wszystko na przestrzał – światła od frontu i zarysy mebli w środku. Ciężki zapach jaśminu wisiał w powietrzu. Wykończona drewnianą kratą weranda biegła niemal przez cały tył domu. Na jej drzwiach umieszczono pieczęć policji stanowej w Atlancie. Graham usunął ją i wszedł.

Drzwi z werandy do kuchni zabito deskami w miejscu, gdzie policjanci wyjęli szybę. W świetle latarki otworzył drzwi kluczem, który dała mu policja. Chciał zapalić światło. Chciał przypiąć sobie błyszczącą odznakę policyjną i narobić trochę urzędowego hałasu, żeby usprawiedliwić wtargnięcie do cichego domu, w którym zamordowano pięcioro ludzi. Nie zrobił tego. Wszedł do ciemnej kuchni i usiadł przy stole śniadaniowym.

W ciemności jaśniały dwa niebieskie światełka na froncie kuchenki. Czuł zapach jabłek i pasty do mebli.

Termostat zabrzączał i włączyła się klimatyzacja. Graham wzdrygnął się, poczuł przyływ strachu. Potrafił sobie z nim radzić. Ten też opanuje. Zwykle bał się, ale działał dalej.

Pod wpływem strachu lepiej widział i słyszał; nie wyrażał się jednak zwięźle i czasami stawał się ordynarny. Tutaj Jednakże nie został już nikt i nie było kogo obrażać.

Szaleństwo weszło do tego domu przez te drzwi do tej kuchni, w butach numer jedenaste. Siedząc tak w ciemności, wietrzył szaleństwo, jak pies gończy obwąchuje koszulę.

Większość dnia spędził na studiowaniu raportu detektywów z wydziału zabójstw w Atlancie. Pamiętał, że kiedy zjawiała się policja, paliło się światło nad okapem kuchennym. Włączył je zatem.

Dwie oprawione w ramy makatki z wyhaftowanymi przysłowiami wisiały na ścianie obok kuchenki. Jedno mówiło: „Przez żołądek do serca”, a drugie: „Do tej kuchni lubią przyjaciele zachodzić, wsłuchać się w rytm domu i podniebienie osłodzić”.

Graham zerknął na zegarek. 23,30. Według patologów zgon nastąpił między jedenastą a pierwszą w nocy.

Najpierw trzeba było wejść. Pomyślał, jak to było... Szaleniec odpiął haczyk na zewnętrznych drzwiach z siatki. Stojąc w ciemności na werandzie, wyciągnął coś z kieszeni. Przyssawkę, taką, jakiej używa się do temperówki, którą mocuje się do stołu.

Przycupnął pod dolną, drewnianą częścią drzwi kuchennych i wysunął głowę, żeby zajrzeć do środka. Wyciągnął język i poślinił przyssawkę, przycisnął ją do szyby i zakręcił, żeby trzymała. Do przyssawki był przymocowany sznurkiem mały diament do wycięcia równego kółka w szkle.

Potem tylko cichy zgrzyt diamentu i jedno zdecydowane uderzenie, żeby rozbić szkło. Jedną ręką uderza, drugą trzyma przyssawkę. Szkło nie może upaść. Wykrojone szkło ma kształt owalny, gdyż sznurek owinał się o uchwyt przyssawki podczas krojenia. Kiedy wyciąga szkło na zewnątrz, rozlega się lekki zgrzyt. Nie przejmuje się tym, że na szkle zostaje ślina zdradzająca grupę krwi AB.

Ręka w obcisłej rękawiczce wślizguje się przez dziurę, znajduje zamek. Drzwi otwierają się cicho. Jest już w środku. W świetle żarówki znad okapu widzi swoją postać w tej obcej kuchni. W domu panuje miły chłód.

Will Graham połknął dwie tabletki na uspokojenie. Zirytował go szelest wpychanego z powrotem do kieszeni celofanu. Przeszedł przez bawialnię, z przyzwyczajenia trzymając latarkę daleko od siebie. Chociaż przestudiował rozkład mieszkania, pomylił się i raz źle skręcił, zanim znalazł schody. Nie skrzypiały.

Stał teraz w drzwiach dużej sypialni. Dostrzegał zarysy pokoju bez światła latarki. Elektroniczny zegar z nocnego stolika rzucał odblask na sufit, a pomarańczowe światełko paliło się nad listwą podłogową u wejścia do łazienki. Czuć było silny miedziany zapach krwi.

Przyzwyczajone do ciemności oczy widziały dużo. Szaleniec z pewnością odróżnił pana Leedsa od żony. Wystarczyło światła na to, by przejść przez pokój, złapać Leedsa za włosy i podciąć mu gardło. Co dalej? Z powrotem do kontaktu, powitanie pani Leeds i potem strzał, który ją obezwładnia.

Graham zapalił światło i że ścian, z materaca i z podłogi uderzyły go w oczy plamy krwi. W powietrzu wisiał jeszcze zamarły krzyk. Aż się cofnął od tego hałasu w cichym pokoju pełnym

ciemnych, wysychających plam.

Siadł na podłodze, czekając aż ustanie mu szum w głowie. Spokojnie, spokojnie, tylko spokojnie. Ilość i różnorodność plam krwi wprawiła w zdumienie detektywów z Atlanty próbujących odtworzyć przebieg wypadków. Wszystkie ofiary znaleziono zamordowane w swoich łóżkach. Nie zgadzało się to z rozmieszczeniem plam.

Początkowo sugerowano, że Charles Leeds został zaatakowany w pokoju córki i potem jego ciało przeciągnięto do sypialni. Bliższe badanie rozbryzgów krwi spowodowało zmianę koncepcji.

Dokładnych ruchów zabójcy w całym domu jeszcze nie określono.

Teraz, posiłkując się wynikami sekcji zwłok oraz laboratoryjnymi, Will Graham powoli domyślał się, jak to się stało.

Intruz podciął gardło Charlesa Leedsa, kiedy ten spał w łóżku koło żony, wrócił do kontaktu i zapalił światło – gładka rękawiczka zostawiła włosy i tłuszcz z głowy pana Leedsa na kontakcie. Zastrzelił panią Leeds, jak wstawiała, i poszedł do pokoju dzieciennego.

Leeds podniósł się z podciętym gardłem i próbował bronić dzieci – świadczyły o tym wielkie skrzepy krwi i wyciek z tętnicy podczas próby walki. Został odepchnięty, upadł i zmarł razem z córką w jej pokoju.

Jednego z chłopców zastrzelono w łóżku. Drugiego także znaleziono w łóżku, ale miał kłębki kurzu we włosach. Policja sądzi, że wyciągnięto go spod łóżka, a potem zastrzelono.

Kiedy wszyscy nie żyli, może z wyjątkiem pani Leeds, zaczęło się rozbijanie luster, wybieranie odłamków i dalsze zabiegi z ciałem pani Leeds.

Graham trzymał w teczce wszystkie kopie protokołów sekcji zwłok. Wyciągnął ten dotyczący pani Leeds. Kula weszła na prawo od pępka i utknęła w kości lędźwiowej, ale śmierć nastąpiła przez uduszenie.

Wzrost serotoniny i nieregularny poziom histaminy w ranie od kuli wskazywał, że żyła jeszcze co najmniej pięć minut po strzale, ale nie dłużej niż piętnaście, czego dowodził wyższy poziom histaminy niż serotoniny. Większość jej obrażeń była więc zadana prawdopodobnie, ale nie wyłącznie post mortem. Jeżeli pozostałe obrażenia zadano post mortem, zastanawiał się Graham, to co robił zabójca w przerwie, kiedy pani Leeds czekała na śmierć? Walczył z Leedssem i zabijał resztę, tak, ale to mu zabrało niecałą minutę. Tłukł lustra? Ale co jeszcze?

Detektywi z Atlanty pracowali rzetelnie. Wszystko zmierzili i sfotografowali jak trzeba, odkurzyli i rozkręcili odpływy i kolanka w syfonach. Ale Graham sam rozpoczął poszukiwania.

Z policyjnych zdjęć i narysowanych kształtów zorientował się, gdzie znaleziono ciała. Dowody – ślady azotanów na pościeli w przypadku strzałów – wskazywały, że ofiary znaleziono w pozycjach podobnych do tych, w jakich zmarły.

Jednak obfitość plam krwi i ślady przeciągnięcia na chodniku w przedpokoju pozostały nie wyjaśnione. Pewien detektyw teoretyzował, że może któreś z nich próbowało odczołgać się od zabójcy. Graham w to nie wierzył – najwyraźniej morderca przeciągnął gdzieś zwłoki, a później z powrotem ułożył je w miejscach, w których dokonał zabójstwa.

Wiadomo, co zrobił z panią Leeds. Ale co z innymi? Nie uszkodził ich bardziej niż jej. Każde dziecko zabito jednym strzałem w głowę. Charles Leeds wykrwawił się na śmierć, a także zachłysnął się swoją własną krwią. Jedyne dodatkowe ślad na nim stanowiło powierzchowne podwiązanie klatki piersiowej, które oceniono także jako post mortem. Co zabójca z nimi robił, kiedy już nie żyli?

Graham wyciągnął z teczki policyjne zdjęcia, sprawozdania laboratoryjne o poszczególnych krwistych i organicznych plamach oraz standardowe tablice porównawcze linii spadających kropeł krwi.

Przeszedł wolno przez pokoje na piętrze, próbując starannie dopasować rany do plam i odtwarzając wypadki „od tyłu”. Nanosił każdy rozbryzg na plan sytuacyjny sypialni, używając tablic porównawczych do określenia kierunku i obfitości upływu krwi. W ten sposób liczył na dokładne ustalenie pozycji ciał w różnych odstępach czasu.

W tym miejscu rząd trzech plam krwi skręcał do góry i zachodził za róg ściany w sypialni. Na chodniku widniały trzy mniejsze plamy. Ściana nad szczytem łóżka Charlesa Leedsa była skrwawiona, a na listwach podłogowych pozostały rozmazy. Szkic sytuacyjny Grahama wyglądał jak zabawa w łączenie kropek bez numerków. Wpatrywał się raz w szkic, raz w pokój, aż rozbolała go głowa.

Wszedł do łazienki i zażył dwie ostatnie tabletki, nabierając ręką wodę prosto spod kranu. Przemył twarz i wytarł się w róg koszuli. Woda zalała podłogę – zapomniał, że usunięto kolanko z syfonu. Poza tym niczego w łazience nie uszkodzono, oprócz stłuczonego lustra i śladów czerwonego proszku do wykrywania odcisków palców, zwanego „krwią smoka”. Szczoteczki do zębów, krem do twarzy, maszynka do golenia stały nietknięte.

Łazienka wyglądała na wciąż używaną. Rajstopy pani Leeds suszyły się na poręczach na ręczniki, tak jak je zostawiła. Zauważył, że obcinała w rajstopach tę nogę, która miała oczko i nosiła je razem z podobnie obciętą parą, żeby zaoszczędzić parę groszy. Mała domowa ekonomia pani Leeds wzruszyła go; Molly postępowała podobnie.

Wyszedł przez okno na dach werandy i usiadł na szorstkich gontach. Objął rękami kolana, czując zimną przepoconą koszulę przylepioną do pleców, i oddychał głęboko, żeby pozbyć się zapachu krwi z nosa.

Światła Atlanty odbijały się na niebie, przyćmiewając gwiazdy. W Keys na pewno jest jasna noc. Patrzyliby sobie na spadające gwiazdy z Molly i z Willym, i nasłuchiwali szumu, który według nich wydawała spadająca gwiazda. Akurat rozpryskiwały się meteory delty aquarid i Willy obserwował je do późna.

Otrząsnął się i znowu kichnął. Nie chciał teraz myśleć Molly. Było to w złym guście, a zresztą

rozpraszało uwagę.

Graham miał kłopoty z dobrym gustem. Jego myśli często były niesmaczne. W jego umyśle nie powstały stosowne podziały. Wszystko, co widział i czego się dowiadywał, wpływało na resztę. Tak utworzone kombinacje utrudniały życie. Nie potrafił ich jednak przewidzieć, by je zablokować i stłumić. Wpojona uczciwość i przyzwoitość trzymały się jeszcze, wystawiane na szok jego skojarzeń, zastraszone przez sny; ubolewały, że w zakamarkach jego mózgu nie ma schronienia dla rzeczy ukochanych. Kojarzył z prędkością światła. Ocena sytuacji przychodziła mu automatycznie, jak odpowiedzi na litanię w kościele, ale nie nadążała i nie sterowała jego myślami.

Własna umysłowość jawiła mu się jako groteskowa, ale użyteczna, niczym krzesło z rogów jeleni. Nic nie mógł na to poradzić.

Zgasił światła w domu Leedsów i wyszedł przez kuchnię. W odległym końcu werandy latarka natrafiła na rower i wiklinowy kosz dla psa. Na podwórku stała psia buda, a przy schodach miseczka.

Dowody wskazywały, że zaskoczono Leedsów w czasie snu.

Przytrzymał latarkę podbródkiem i zanotował: „Jack, gdzie był pies?”

Pojechał z powrotem do hotelu. Prowadził samochód ostrożnie, chociaż była czwarta trzydzieści rano i droga prawie pusta. Rozglądał się za dyżurującą apteką, bo ból głowy nie ustępował.

Znalazł ją w Peachtree. Niechlujny gliniarz drzemał koło drzwi. Farmaceuta w przybrudzonym fartuchu, z ramionami obsypanymi łupieżem, sprzedawał Grahamowi tabletki. Graham nie lubił młodych farmaceutów. Zawsze tak niechlujnie wyglądają. Tacy pewni siebie, a w domu na pewno nieprzyjemni.

– Co jeszcze? – spytał farmaceuta i zastygł z rękami nad klawiszami kasy. – Co jeszcze?

Biuro FBI z Atlanty zarezerwowało mu pokój w dziwacznym nowoczesnym hotelu niedaleko nowego centrum handlowego Peachtree. Szklane windy w kształcie kokonów miały wywoływać wielkomięskie wrażenie.

Jechał do pokoju z dwoma uczestnikami kongresu, którzy na plakietkach identyfikacyjnych wydrukowali sobie „Cześć!”. Trzymali się poręczy i spoglądali w dół na hali.

– Patrz no tam, przy recepcji, to Wilma i reszta, właśnie wchodzą – zauważył większy. – Cholera, zerwałbym kawałek takiego mięsa.

– Ja bym pieprzył taką, aż by jej krew poszła z nosa – dodał drugi.

Strach i chuć, i złość na strach.

– Ty, wiesz, czemu baba ma nogi?

– No?

– Żeby nie zostawiała śladu jak ślimak.

Drzwi windy otworzyły się.

– Czy to tu? Tak, tu – stwierdził wyższy. Wychodząc zatoczył się na ścianę.

– Wiódł ślepy kulawego – zażartował drugi. Graham położył tekturową teczkę na toalecie w swoim pokoju. Potem wsunął ją do szuflady, żeby jej nie widzieć. Miał dość patrzenia śmierci w oczy. Chciał zadzwonić do Molly, ale było za wcześnie.

Na ósmą rano wyznaczono spotkanie w komendzie głównej policji. Nie miał im zbyt wiele do powiedzenia.

Próbował zasnąć. Jego umysł zachowywał się jak dom pełen lokatorów kłócących się ciągle gdzieś na dole w hallu. Odczuwał całkowitą pustkę. Zanim się położył, wypił setkę whisky ze szklanki do mycia zębów. Ciemność przytłaczała go. Zapalił światło w łazience i wrócił do łóżka. Wyobrażał sobie, że Molly jest w łazience i czesze włosy. Zdania z protokołów sekcji zwłok przypominały mu się jak jego własne, choć nigdy nie czytał ich na głos... „Kał uformował się... ślad talku na prawej łydce. Uszkodzenie środkowej ścianki gałki ocznej spowodowane wetknięciem odłamka lustra...”

Próbował myśleć o plaży w Sugarloaf Key, chciał usłyszeć plusk fal. Wyobrażał sobie swój warsztat i ujście do zegara wodnego, który budowali razem z Willym. Zanucił cicho Whiskey River i spróbował bezgłośnie odśpiewać Black Mountain Rag. Piosenki Molly. Partia gitarowa Doc Watsona poszła mu dobrze, ale jak zwykle pogubił się przy skrzypcach. Molly próbowała go nauczyć tańca w chodakach na podwórku i właśnie podskakiwała... kiedy wreszcie się zdrzemnął.

Obudził się po godzinie, cały sztywny i spocony, druga poduszka na tle światła z łazienki zmieniła się w panią Leeds, która leży cała pogryziona i poszarpana, o szklanych oczach i zakrzepniętej krwi w kształcie rączek do okularów na skroniach i za uszami. Bał się spojrzeć jej w twarz. W mózgu dzwonił mu alarm przeciwpożarowy; w końcu wyciągnął rękę i namacał suchą pościel.

Od razu trochę się uspokoił. Podniósł się z bijącym sercem i włożył suchy podkoszulek. Mokry wrzucił do wanny. Nie miał odwagi położyć się na suchej stronie łóżka. Ułożył więc ręcznik na przepoconej pościeli i z solidnym drinkiem w ręce usiadł opierając się o szczyt łóżka. Wypił od razu jedną trzecią.

Próbował skupić myśli, nad czymkolwiek. Choćby wizyta w drogerii; chyba dlatego, że było to jedyne wydarzenie dnia nie związane ze śmiercią.

Pamiętał stare drogerie z syfonami wody firmowej. W dzieciństwie zawsze wyczuwał w nich atmosferę ukradkowości. Wchodząc tam od razu myślało się o kupnie prezerwatyw, obojętnie, czy były potrzebne, czy nie. Na półkach stały rzeczy, którym nie należało się zbyt długo przyglądać.

W drogerii, w której kupił tabletki, środki antykoncepcyjne w kolorowych opakowaniach wisiały na ścianie w gablocie z pleksi, oprawione jak dzieła sztuki.

Wolał drogerie i różne drobiazgi swojego dzieciństwa. Czterdziestka siedziała mu na karku i właśnie zaczynał odczuwać nostalgię za czasem minionym; jak kotwica wlokąca się za statkiem w sztormową pogodę.

Przypomniał mu się Smoot. Kiedy Graham był dzieckiem, stary Smoot zarządzał drogerią dla lokalnego właściciela i wiecznie przesiadywał koło syfonu. Smoot, który popijał w pracy, zapomniał raz rozwinąć markizę i słońce rozpuściło tenisówki w oknie wystawowym. Zapomniał wyłączyć maszynkę do kawy i trzeba było wezwać strażaków. Smoot sprzedawał dzieciom wafle do lodów na kredyt.

Największą zbrodnię popełnił zamawiając pięćdziesiąt laleczek „Cupie” od komiwojażera, kiedy właściciel wyjechał na wakacje. Po powrocie właściciel wylał go na tydzień. Potem zrobiono wyprzedaż. Pięćdziesiąt laleczek „Cupie” posadzono na wystawie w półkolu, tak że spoglądały na przechodniów.

Oczy miały duże i błękitne jak bławatki. Zaiste przedziwna wystawa, której Graham długo się przyglądał. Wiedział, że to tylko laleczki „Cupie”, ale czuł na sobie ich zbiorowe spojrzenie. Tyle ich patrzyło. Wielu ludzi zatrzymywało się, by na nie popatrzeć. Niby plastikowe laleczki, każda z takim samym głupim spiralnym loczkiem, a jednak ich ześrodkowane spojrzenie powodowało wypieki na jego twarzy.

Graham trochę się odprężył. Patrzyły na niego laleczki „Cupie”. Zaczął popijać drinka, zakrztusił się i wypluł wszystko na pierś. Po omacku zapalił nocną lampkę i wyciągnął teczkę z szuflady. Wyjął protokoły sekcji zwłok trojga dzieci Leedsów i swoje szkice sytuacyjne głównej sypialni, i rozłożył je na łóżku.

Oto trzy plamy krwi w rogu, a oto pasujące do nich plamy na dywanie. Oto rozmiary trójki dzieci. Brat, siostra, starszy brat. Pasuje, pasuje, pasuje.

Ułożono je w rzędzie, siedziały wzdłuż ściany twarzą do łóżka. Widownia. Martwa widownia. I Leeds. Przywiązany wokół piersi do szczytu łóżka. Siedzi sobie jakby nigdy nic. Stąd plamy podwiązania, stąd plamy na ścianie nad łóżkiem.

Na co spoglądali? Na nic, nie żyli. Ale oczy mieli otwarte. Obserwowali widowisko z udziałem szaleńca i ciała pani Leeds ułożonego koło zwłok jej męża. Widownia. Wariat patrzył na ich twarze.

Graham zastanawiał się, czy tamten zapalił świeczkę.

Drgające światło wywołuje efekt, jak gdyby twarze zmieniały wyraz. Nie znaleziono świeczki. Może pomyśli o tym następnym razem...

Pierwszy odruch sympatii z zabójcą zapiekł i ukłuł jak pijawka. Graham w zamyśleniu przygryzł pościel.

Po co ich znowu przesuwałaś? Czemu ich tak nie zostawiłaś? Jest coś, czego nie chcesz mi wyjawiać. Dlaczego? Wstydzisz się? Czy po prostu nie możesz mi tego zdradzić?

Otwierałaś im oczy?

Pani Leeds ci się podobała, nie? Zapaliłaś światło, żeby zobaczyła, jak jej mąż pada z podciętym gardłem, czy tak? Pewnie byłaś wściekła, że musisz nosić rękawiczki, kiedy jej dotykasz, co?

Na jej nodze był talk.

W łazience talku nie było.

Ktoś inny bezbarwnym głosem kojarzył te dwa fakty.

Zdjąłeś rękawiczki, prawda? Talk wysypał się z rękawiczki, kiedy ją zdejmowałeś, żeby jej dotknąć, nie? TY SKURWYSYNU! Dotykałeś jej gołymi rękami, a potem włożyłeś z powrotem rękawiczki i starłeś ślady. CZY OTWIERAŁEŚ IM OCZY GOŁYMI RĘKAMI?

Jack Crawford podniósł słuchawkę po piątym sygnale. Często odpowiadał na nocne telefony, więc był całkiem przytomny.

– Jack? Tu Will.

– Tak, słucham.

– Czy Price pracuje jeszcze w „odciskach”?

– Nie. Siedzi już tylko w laboratorium. Opracowuje katalog pojedynczych odcisków.

– Chyba powinien przyjechać do Atlanty.

– Czemu? Sam mówiłaś, że tutejszy facet jest dobry.

– Jest dobry, ale Price jest lepszy.

– Jaką masz dla niego robotę? Gdzie ma szukać?

– Paznokcie rąk i nóg pani Leeds. Są pomalowane, mają gładką powierzchnię. I rogowka we wszystkich oczach. Jack, on chyba zdjął rękawiczki!

– Jezu! Price będzie się musiał uwinąć – powiedział Crawford. – Pogrzeb jest dzisiaj po południu.

– Musiał jej chyba dotknąć – rzekł Graham na powitanie. Crawford podał mu coca-colę z automatu w głównej kwaterze policji w Atlancie. Była za dziesięć ósma rano.

– Tak, poprzesuwał ją trochę – zgodził się Crawford. – Na przegubach i pod kolanami odcisnęły się ślady. Ale wszystkie odciski są od śliskich rękawiczek. Nie martw się, Price przyjechał. Stary zrzęda. Jest już w drodze do domu pogrzebowego. Kostnica wydała zwłoki zeszłej nocy, ale w domu pogrzebowym nic jeszcze nie robili. Coś mi się widzi, że jesteś trochę wykończony. Podłapałeś trochę snu?

– Z jakąś godzinkę. Chyba musiał jej dotknąć gołymi rękami.

– Obyś miał rację, ale laboratorium w Atlancie zarzeka się, że cały czas nosił rękawiczki – powątpiewał Crawford. – Zostawił te gładkie odciski na kawałkach luster. Palec wskazujący z tyłu kawałka wetkniętego w wargę, kciuk z przodu.

– Oczyszczył go i włożył tak, żeby się w nim przeglądać – zgadywał Graham.

– Odłamek w jej ustach był zalany krwią. Tak samo te w oczach. Nie zdjął rękawiczek.

– Pani Leeds była przystojną kobietą – zauważył Graham. – Widziałeś przecież zdjęcia rodzinne. Ja bym chciał dotknąć jej skóry w trakcie intymnego zbliżenia, ty nie?

– Intymnego? – Crawford nie potrafił ukryć odrazy w głosie. Nagle zaczął szukać drobnych w kieszeniach.

– Intymnego, byli przecież sami. Inni nie żyli. Mógł im zamykać i otwierać oczy, jak chciał.

– Jak chciał – przytaknął Crawford. – Zdjęli odciski z jej skóry, i nic. Uzyskali tylko odcisk dłoni na szyi.

– Protokół nic nie mówi o badaniu paznokci.

– Paznokcie były chyba pomazane, kiedy brali próbki. Pobrano je w miejscach, w których paznokcie wbiły się w poduszcзки dłoni. Na pewno go nie podrapała.

– Miała ładne stopy – ciągnął Graham.

– No tak. Chodźmy lepiej na górę – uciał Crawford.

Oddziały zgłosiły się na przegląd.

Jimmy Price przywiózł mnóstwo sprzętu: dwie ciężkie skrzynie, aparat fotograficzny i statyw. Narobił trochę szumu wchodząc do Domu Pogrzebowego Lombarda w Atlancie. Był to kruchy staruszek, któremu długa jazda taksówką z lotniska w porannym tłoku nie poprawiła humoru.

Oficjalny młodzieniec o wymodelowanych włosach skierował go pospiesznie do biura pomalowanego na pomarańczowokremowy kolor. Na biurku stała tylko rzeźba zatytułowana „Modlące się ręce”.

Price oglądał właśnie czubki palców „Modlących się rąk”, kiedy wszedł sam pan Lombard. Bardzo dokładnie sprawdził upoważnienia Price’a.

– Panie Price, oczywiście pana biuro, agencja czy jak to się zowie, uprzedziło mnie telefonicznie. Zeszłej nocy jednak musieliśmy wzywać policję, żeby usunąć natarczywego faceta, który chciał fotografować zwłoki dla „National Tattler”, a zatem muszę uważać. Mam nadzieję, że pan to rozumie. Panie Price, zwłoki wydano nam o pierwszej w nocy, a pogrzeb jest o piątej po południu. Nie wolno nam się spóźnić.

– To nie potrwa długo – zapewnił Price. – Potrzeba mi jednego, w miarę inteligentnego pomocnika, jeśli ma pan kogoś takiego. Czy dotykał pan zwłok?

– Nie.

– Proszę się dowiedzieć, kto ich dotykał. Muszę wziąć od wszystkich odciski palców.

Poranna odprawa detektywów przydzielonych do sprawy Leedsów dotyczyła głównie zębów.

Szef wydziału śledczego policji w Atlancie, R.J. (Buddy) Springfield, krzepki mężczyzna bez marynarki, stał przy drzwiach z doktorem Dominikiem Princim, kiedy meldowało się dwudziestu trzech jego podwładnych.

– Dobra, chłopcy, proszę o szeroki uśmiech na dzień dobry – dowcipkował Springfield. – Pokażcie doktorowi Princi ząbki. O tak, pokazujemy wszyscy. Chryste, Sparks, to twój język, a może połknąłeś wiewiórkę? No, dalej.

Wielka plansza z uzębieniem górnym i dolnym wisiała na tablicy ogłoszeń. Graham przypomniał sobie celuloidowe nalepki z wyszczerzonymi zębami, sprzedawane w sklepikach z tandetą. Usiadł z Crawfordem z tyłu pokoju, a detektywi zajęli miejsca w szkolnych ławkach.

Gilbert Lewis – komisarz bezpieczeństwa publicznego Atlanty – i jego rzecznik prasowy usiedli z boku na rozkładanych krzesłach. Lewis miał za godzinę konferencję prasową.

Springfield rozpoczął naradę.

– A więc, musimy podpisać rozejm z górnem. Jeżeli czytaliście poranne raporty, to wiecie, że nie posunęliśmy się ani o cal.

Będziemy kontynuować wywiady z okolicznymi mieszkańcami w promieniu szerszym o cztery przecznice. Brygada do spraw gwałtów pożyczyła nam czterech ludzi do porównania rezerwacji lotniczych i wynajętych samochodów w Birmingham i Atlancie.



Jeszcze raz zrobicie rundę po lotniskach i hotelach. Tak, jeszcze raz. Trzeba dotrzeć do każdej pokojówki, każdego recepcjonisty i reszty obsługi. Musiał się gdzieś umyć i może zostawił bałagan. Jeżeli znajdziecie kogoś, kto sprzątał jakiś bajzel, to wyrzucić wszystkich z pokoju, zaplombować go i na sygnale do pralni. Tym razem będziecie mieli co pokazywać. Doktorze Princi?

Doktor Dominik Princi, główny specjalista medyczny okręgu Fulton, podszedł do planszy z zębami. Pokazał zebranym odlew szczęki.

– Panowie, tak wyglądają zęby podejrzanego. Instytut Smithsonian w Waszyngtonie odtworzył je ze śladów na pani Leeds i z wyraźnego ugryzienia na kawałku sera w lodówce Leedsów – poinformował. – Jak widać, ma koronki na bocznych siekaczach: ten ząb i ten. – Princi wskazał na model, który trzymał w ręce, i na rysunek. – Zęby są nierówne, a ten przedni siekacz ma odłamany róg. Drugi siekacz jest wyżłobiony, o tu. Wygląda jak „krawiecka szczyrba”, rowek, który powstaje od ciągłego przegryzania nici.

– Szczyrbaty skurwysyn – mruknął ktoś.

– A skąd wiadomo, że to przestępca ugryzł ser, doktoru? – spytał wysoki detektyw z pierwszego rzędu.

Princi nie lubił, jak go nazywano doktorciem, ale jakoś to przełknął.

– Próbki śliny z sera i z ugryzień wykazały tę samą grupę krwi – odparł. – Zęby i grupa krwi ofiar nie pasowały.

– Świetnie, doktorze – powiedział Springfield. – Rozdamy zdjęcia zębów chłopakom, niech je pokazują, komu się da.

– Może byśmy tak dali je do gazet? – podsunął rzecznik prasowy, Simpkins. – Coś w rodzaju: czy widzieliście już takie zęby?

– Nie zgłaszam sprzeciwu. Co pan na to, komisarzu? Lewis przytaknął.

Simpkins jeszcze nie skończył.

– Doktorze Princi, prasa spyta, dlaczego aż cztery dni robiono ten model zębów? I dlaczego to wszystko wysyłano do Waszyngtonu.

Agent specjalny Crawford wpatrywał się w czubek swojego długopisu.

Princi poczerwieniał, ale zachował spokój.

– Znaki po ugryzieniach na ciele zniekształcają się, kiedy przesuwa się zwłoki, panie Simpson...

– Simpkins.

– A więc, panie Simpkins, nie mogliśmy wykorzystać tylko śladów ugryzień na ofiarach. Na tym polega znaczenie sera w tej sprawie. Ser jest stosunkowo twardy, ale trudny w odlewaniu. Najpierw trzeba go nasmarować, żeby wilgoć nie dostała się do odlewu. Zwykle wystarczy jedno podejście. Smithsonian robił to już dla laboratorium kryminologicznego FBI. Są lepiej wyposażeni w odpowiednią aparaturę, no i mają konsultanta z zakresu stomatologii sądowej. A my nie. Coś jeszcze?

– Czy można by ogłosić, że opóźnienie spowodowało laboratorium FBI, a nie my?

Princi zmył mu głowę.

– Panie Simpkins, jedyne co można by ogłosić, to to, że agent specjalny Crawford z FBI znalazł ser w lodówce dwa dni temu, po przeszukaniu domu przez pańskich ludzi. Wyekspediował go do laboratorium na moją prośbę. Możemy więc ogłosić, że odetchnąłem z ulgą, że to nie któryś z was nadgryzł ten ser.

Niski głos komisarza zadudnił w pokoju:

– Doktorze Princi, nikt nie podważa pańskich decyzji. Do cholery, Simpkins, nie chcemy żadnego współzawodnictwa z FBI. Kończmy już.

– Chodzi nam wszystkim o to samo – potwierdził Springfield. – Jack, czy chcecie coś dodać?

Crawford wyszedł przed zebranych. Spoglądali na niego niezbyt przyjaźnie. Chciał jakoś rozładować atmosferę.

– Chciałbym, żeby nie było niedomówień. Dawniej wszyscy bili się o nakrycie podejrzanego. Każda strona: federalna i lokalna ciągnęła na swoje. Tworzyła się szczelina, przez którą przestępcy się nam wymykali. Biuro zmieniło już nastawienie, i ja też. Nie obchodzi mnie, kto dokona aresztowania. Nie obchodzi to też wywiadowcy Grahama. To on siedzi tam z tyłu, gdyby któryś z was nie wiedział. Jeżeli faceta, który to zrobił, przejedzie śmieciarka, to nie zgłaszam sprzeciwu, ważne, żeby zniknął z ulicy. Zgadzą się?

Crawford spojrział na detektywów z nadzieją, że się udobruchali. Chciał, żeby nie oszczędzali kul. Komisarz Lewis odezwał się:

– Wywiadowca Graham ma w takich sprawach doświadczenie.

– Oczywiście.

– Może pan coś dodać, panie Graham, coś zasugerować?

Crawford spojrział na Grahama i uniósł brwi.

– Czy zechce pan podejść bliżej? – poprosił Springfield.

Graham wolałby porozmawiać ze Springfieldem na osobności. Nie chciał przemawiać. Ustąpił jednak.

Rozczochrany i opalony, nie wyglądał na agenta federalnego. Springfield pomyślał, że przypomina raczej malarza pokojowego, który włożył garnitur, żeby wystąpić w sądzie.

Detektywi wiercili się na krzesłach.

Kiedy Graham odwrócił się do zebranych, zaskoczyły ich jego lodowate oczy osadzone w opalonej twarzy.

– Tylko kilka spraw – zaczął. – Nie powinniśmy zakładać, że był już leczony psychicznie albo notowany za przestępstwa na tle seksualnym. Jest duże prawdopodobieństwo, że nie był karany. Co najwyżej za jakiś drobny rozbój, ale nie za wykroczenie seksualne.

Może był karany za pogryzienie przy jakichś drobniejszych sprawkach, jak bójki w barze czy znęcanie się nad dziećmi. Bardzo pomocni mogą okazać się ludzie z pogotowia ratunkowego albo z opieki społecznej nad nieletnimi.

Warto sprawdzić wszystkie poważniejsze przypadki pogryzienia, jakie pamiętają, obojętnie kogo pogryziono i w jakich okolicznościach. To na razie tyle.

Wysoki detektyw uniósł rękę i odezwał się jednocześnie.

– Jak dotąd gryzł tylko kobiety.

– O ile wiemy, tak. Ale gryzie dużo. Sześć poważnych ugryzień na pani Leeds, osiem na pani Jacobi. To więcej niż przeciętna.

– A jaka jest przeciętna?

– W morderstwie na tle seksualnym, trzy. On lubi gryźć.

– Kobiety.

– W większości napadów na tle seksualnym ślad ugryzienia ma w środku zsinienie, jak po ssaniu. Te nie mają. Doktor Princi wspominał o tym w protokole sekcji zwłok i widziałem to w kostnicy. Nie ma śladów ssania. Dla niego gryzienie może być równie dobrze metodą walki, jak i nawykiem seksualnym.

– Trochę to naciągane – stwierdził detektyw.

– Ale warto sprawdzić – nie ustępował Graham. – Warto sprawdzić każde ugryzienie. Ludzie

rzadko wyjawiają swoje tajemnice. Rodzice pogryzionego dziecka zazwyczaj kłamią, że napadło go zwierzę, i każą dziecku pakować surowicę, żeby tylko nie wydać gryzonia w rodzinie... wszyscy się z tym spotkaliście. Warto pytać w szpitalach, komu wstrzykiwano surowicę. To wszystko, co mam do powiedzenia. – Kiedy siadał, mięśnie ud zdrząły mu że zmęczenia.

– Warto pytać i będziemy pytać – powiedział Springfield. – Co dalej? Dwie brygady przeczeszą sąsiedztwo. Rozpracujecie sprawę psa. Sprawozdanie i zdjęcia znajdziecie w aktach. Pytajcie, czy nie widziano kogoś obcego z tym psem. Obyczajówka i chłopcy z narkotyków zajmą się po codziennym obchodzie knajpami dla sado-masochistów i innych zбочeńców. Marcus i Whitman – nastawcie uszy na pogrzebie. Macie obgadanych jakichś krewnych, czy przyjaciół rodziny, którzy będą współpracować? To dobrze. Fotograf załatwiony? W porządku. Księgę pamiątkową z pogrzebu oddajcie tym od gwałtów. Mają już tę z Birmingham. Resztę zadań znajdziecie na tablicy. Do roboty.

– Jeszcze jedno – wtrącił komisarz Lewis. Detektywi opadli z powrotem na krzesła. – Słyszałem, że niektórzy policjanci przezwali zabójcę „Szczerbatą lalą”. Mniejsza o to, jak o nim mówicie między sobą, rozumiem, że jakoś musicie go nazywać. Ale żeby mi żaden funkcjonariusz policji nie nazwał go tak publicznie. To niepoważne. Nie chcę też widzieć tego przyzwiska w sprawozdaniach wewnętrznych. To wszystko.

Crawford i Graham poszli za Springfieldem do jego biura.

Szef wydziału śledczego poczęstował ich kawą, a Crawford sprawdził, czy są dla niego wiadomości i zanotował coś na kartce.

– Od waszego przyjazdu nie miałem chwili czasu, żeby z tobą porozmawiać – Springfield zwrócił się do Grahama. – To biuro zmieniło się w pieprzony dom wariatów. Masz na imię Will, prawda? Czy chłopcy dostarczyli ci wszystkiego, czego potrzebujesz?

– Tak, fajne chłopaki.

– My tu byle gówna nie zatrudniamy, wiadomo – podsumował Springfield. – Aha, odtworzyliśmy wzór jego chodu ze śladów na grządkach. Kręcił się trochę koło krzaków i niewiele można o nim powiedzieć, chyba tylko jaki ma rozmiar butów i wzrost. Lewa stopa odcisnęła się głębiej, więc może coś niósł. Dużo z tym roboty. Chociaż, dwa lata temu udało nam się złapać włamywacza na podstawie wzoru chodu. Chorował na parkinsona. Princi to wyłowił. Tym razem się nie poszczęściło.

– Masz dobry zespół – pochwalił Graham.

– To prawda. Ale taka sprawa, na szczęście, jest trochę nie po naszej linii. Chciałbym zapytać wprost, czy wy zawsze ze sobą pracujecie – ty, Jack i doktor Bloom – czy tylko skrzykujecie się do takich spraw?

– Tylko tak okazjonalnie.

– Doborowe towarzystwo. Komisarz mówił, że to ty przygwoździłeś Lectera trzy lata temu.

– Współpracowaliśmy wszyscy z policją Marylandu – odparł Graham. – Zaaresztowały go oddziały policji stanowej.

Springfield był prostoduszny, ale niegłupi. Zauważył, że Graham nie czuje się swobodnie. Obrócił się na krześle i wziął jakieś notatki.

– Pytałeś o psa. Tu są dane. Zeszłej nocy weterynarz zadzwonił do brata Leedsa. Miał tego psa. Leeds ze starszym synkiem przynieśli mu go po południu w dniu morderstwa. Miał ranę kłutą w brzuchu. Weterynarz zoperował go i pies żyje. Najpierw myślał, że to postrzał, ale nie znalazł kuli. Psa zraniono czymś w rodzaju haka albo szydła. Pytamy sąsiadów, czy nie widzieli kogoś wabiącego psa, dzwoniemy też do okolicznych weterynarzy i pytamy o inne przypadki okaleczania zwierząt.

– Czy pies miał obrożę z nazwiskiem Leedsów?

– Nie.

– Czy rodzina Jacobich w Birmingham miała psa? – spytał Graham.

– Właśnie to sprawdzamy. Poczekaj chwilkę. – Springfield wykręcił numer wewnętrzny. – Porucznik Flatt jest naszym łącznikiem z Birmingham. Halo, Flatt? Co z tym psem? Aha, aha. Zaraz, zaraz... – zakrył ręką słuchawkę. – Nie mieli psa. W łazience na parterze znaleźli pudełko z kocimi nieczystościami. Kota jednak nie było. Sąsiedzi go wypatrują.

– Poproś Birmingham, żeby sprawdzili na podwórzu i za budynkami gospodarczymi, dobrze? – rzekł Graham. – Jeżeli kota zraniono, a dzieci go w porę nie znalazły, to może zdechł i mogły go potem zakopać. Wiecie, jakie są koty. Chowają się, żeby zdechnąć. Psy przychodzą do domu. Zapytaj też, czy ma obrózkę.

– Powiedz też, że jeżeli nie mają sondy metanowej, to im przyślemy – dorzucił Crawford. – Będą mieli mniej kopania.

Springfield przekazał prośbę. Zaledwie odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił ponownie. Tym razem do Jacka Crawforda. Zgłaszał się Jimmy Price z Domu Pogrzebowego Lombarda. Crawford odebrał rozmowę z drugiego aparatu.

– Jack, mam częściowy odcisk, chyba z kciuka, i fragment dłoni.

– Jimmy, kocham cię nad życie!

– Wiem o tym. Częściowy jest trochę rozmazany. Po powrocie zobaczę, co się da z niego zrobić. Zdjąłem go z lewego oka najstarszego dziecka. Jeszcze nigdy tego nie robiłem. Nigdy bym go nie zobaczył, ale odbił się wyraźnie na tle wylewu z rany po strzale ośmiomilimetrówką.

– Zidentyfikujesz go na tej podstawie?

– Trudno powiedzieć. Jeżeli jest w wykazie pojedynczych odcisków, to może, ale to szansa jak na irlandzkiej loterii, sam wiesz. Odcisk dłoni zdjąłem z paznokcia lewego dużego palca u nogi pani

Leeds. Nadaje się tylko do porównań. Będziemy mieli szczęście, jeżeli uzyskamy z niego sześć punktów. Świadczyli: przedstawiciel biura szeryfa i pan Lombard. On protokołował. Zrobiłem zdjęcia in situ. Czy to wystarczy?

– A wzięłeś odciski od pracowników domu pogrzebowego? – pomazałem tuszem Lombarda i całą jego zgraję, bez względu na to, czy mówili, że dotykali głównej ofiary, czy nie. Szorują teraz ręce i klną. Mogę już jechać do domu, Jack? Chciałbym popracować nad tym w swojej ciemni. Nie wiadomo, co tu siedzi w wodzie... może żółwie?... kto wie? Złapię samolot do Waszyngtonu za godzinę i wczesnym popołudniem pošlę ci odbitki telefaksem.

Crawford zastanowił się chwilę.

– Zgoda, Jimmy, ale pospiesz się. Kopie dla policji w Atlancie, Birmingham i do biur FBI.

– Masz to jak w banku. Ale jest jeszcze coś, co ty musisz wyjaśnić.

Crawford wywrócił oczami w kierunku sufitu.

– Zaśpiewasz mi do uszka dzienną stawkę, co?

– Zgadłeś.

– Dzisiaj, Jimmy, mój chłopcze, żadna suma nie jest dla ciebie wygórowana.

Graham patrzył przez okno, kiedy Crawford mówił im o odciskach.

– Na Boga, to niezwykle – skomentował Springfield. Pomyślał, że twarz Grahama jest pozbawiona wyrazu, zamknięta jak twarz człowieka skazanego na dożywocie. Odprowadził Grahama wzrokiem aż do drzwi.

W korytarzu konferencja prasowa komisarza bezpieczeństwa publicznego miała się ku końcowi, gdy Crawford z Grahamem opuszczali biuro Springfieldda. Dziennikarze prasowi kierowali się do telefonów. Dziennikarze telewizyjni robili wstawki, czyli stali przed kamerami i zadawali najlepsze pytania, jakie usłyszeli na konferencji, i wyciągali mikrofony, niby po odpowiedzi, które wmontują później.

Crawford i Graham schodzili już z frontowych schodów, gdy nagle mały człowieczek wyprzedził ich pospiesznie, odwrócił się i zrobił im zdjęcie. Zza aparatu ukazała się twarz.

– Will Graham! – powiedział. – Pamiętasz mnie? Jestem Freddy Lounds. Zajmowałem się sprawą Lectera dla „Tattlera”. Napisałem książkę.

– Pamiętam – odpowiedział Graham. Szedł nadal z Crawfordem po schodach. Lounds trzymał się z boku, nieco ich wyprzedzając.

– Kiedy cię wezwali, Will? Co wykryłeś?

– Nie będę z tobą rozmawiał, Lounds.

– Czy ten facet jest podobny do Lectera? Czy on...

– Lounds – Graham podniósł głos i Crawford zastąpił mu drogę. – Lounds, wypisujesz śmierdzące kłamstwa, a tym twoim „Tattlerem” można sobie dupę podetrzeć. Trzymaj się ode mnie z daleka.

Crawford chwycił Grahama za rękę.

– Zjeżdżaj stąd, Lounds. No już! Will, zjedźmy śniadanie. No chodź, Will.

Maszerując spiesznie, skręcili za róg.

– Przepraszam, Jack. Nie znoszę tego drania. Kiedy leżałem w szpitalu, przyszedł do mnie i...

– Wiem, sam go wyrzucałem, choć na niewiele się to zdało.

Crawford przypomniał sobie zdjęcia w „National Tattler” pod koniec sprawy Lectera. Lounds wszedł do pokoju szpitalnego, kiedy Graham spał. Odkrył prześcieradło i zrobił zdjęcie tymczasowego sztucznego odbytu Grahama. Potem w gazecie zamieścili to zdjęcie z zaretuszowanym kwadratem w miejscu pachwiny. Podpis brzmiał: „Gliniarz, który złapał wypruwacza flaków”.

W jadłodajni było jasno i czysto. Grahamowi trzęsły się ręce i rozlał kawę na spodeczek.

Zauważył, że dym z papierosa Crawforda przeszkadza parze w sąsiedniej wnęce. Jedli w grobowej ciszy, a ich oburzenie wisiało w kłębach dymu.

Dwie kobiety, najwyraźniej matka z córką, kłóciły się przy stole obok drzwi. Wymieniały uwagi cicho, ale ich twarze ziały wściekłością. Graham czuł ich złość na swojej twarzy i karku.

Crawford narzekał, że następnego dnia rano musi zeznawać na rozprawie w Waszyngtonie. Martwił się, że proces może go zatrzymać na kilka dni. Zapalił następnego papierosa, zerkając przez dym na rękę Grahama i barwę jego twarzy.

– Atlanta i Birmingham sprawdzą odcisk w ich kartotece zbrojeńców seksualnych – powiedział.
– My też to zrobimy. Price już raz wyszukał pojedynczy odcisk. Wciągnie go w komputer, taki specjalny „wyszukiwacz” – nawet nie wiesz, jaki postęp zrobiliśmy w tej dziedzinie, odkąd odszedłeś. „Wyszukiwacz”, automatyczny czytnik i procesor danych w FBI, może wyłowić taki sam odcisk na karcie z jakiegoś nie związanego ze sprawą przypadku. Kiedy go dorwiemy, to ten odcisk i jego zęby wystarczą, zęby go posadzić – stwierdził Crawford. – Musimy tylko wpaść na to, kim on jest. Musimy zarzucić szeroką sieć. Popuśćmy wodze fantazji. Założmy, że złapaliśmy podejrzanego. Wchodzisz do pokoju i patrzysz na niego. Czy będzie w nim coś takiego, co cię nie zaskoczy?

– Bóg raczy wiedzieć, Jack, dla mnie on nie ma twarzy. Ludzi, których sobie wymyślimy, możemy szukać w nieskończoność. Rozmawiałeś z Bloomem?

– Wczoraj w nocy, przez telefon. Bloom wątpi w jego samobójcze skłonności, podobnie jak Heimlich. Bloom był tu tylko przez dwie godziny pierwszego dnia, ale i on, i Heimlich mają całą dokumentację. Bloom ma w tym tygodniu egzaminy doktorskie. Prosił, żeby cię pozdrowić. Znasz jego numer w Chicago?

– Tak.

Graham lubił doktora Alana Blooma, małego okrągłego człowieka o smutnych oczach, znakomitego psychiatrę sądowego – kto wie, czy nie najlepszego. Najbardziej doceniał to, że doktor Bloom nigdy nie wykazywał nim profesjonalnego zainteresowania. U psychiatrów to rzadkość.

– Bloom nie zdziwiłby się, gdybyśmy dostali wiadomość od Szczerbatej Lali. Może do nas napisze – powiedział Crawford.

– Na ścianie sypialni.

– Bloom sądzi, że on albo jest ułomny, albo się ma za takiego. Ale zastrzegł, żeby za bardzo na tym nie polegać.

„Nie wystawię wam stracha na wróble” – powiedział. „Rozproszyłoby to uwagę i osłabiło wysiłki”. Mówi, że nauczyli go tego w szkole.

– Ma rację – przyznał Graham.

– Musiałeś się czegoś o nim domyślić, żeby znaleźć ten odcisk palca – zauważył Crawford.

– Wszystko powiedziały mi ślady na ścianach, Jack. Nie przeceniaj mnie. I radzę, nie spodziewaj się po mnie za wiele.

– Ale złapiemy go. Wiesz przecież, że go złapiemy.

– Tak, wiem. W ten czy inny sposób.

– Jaki jest ten pierwszy?

– Znajdziemy dowód, który przeoczyliśmy.

– A ten drugi?

– Będzie mordował i mordował, aż pewnej nocy narobi przy włamaniu za dużo hałasu i mąż szybciej złapie za broń.

– Nie ma innego sposobu?

– Może myślisz, że rozpoznam go w tłumie? Takie sztuczki robi Ezio Pinza. Szczerbata Lala będzie sobie grasował do woli, aż go przechytrzymy albo będziemy mieli fart. On nie przestanie.

– Dlaczego?

– Ponieważ jemu się to naprawdę podoba.

– No widzisz, już coś o nim wiesz.

Graham nie odezwał się do chwili, kiedy weszli na chodnik.

– Poczekaj do następnej pełni – zwrócił się do Crawforda. – Wtedy mi powiesz, co o nim wiem.

Graham wrócił do hotelu i przespał dwie i pół godziny. Obudził się w południe, wziął prysznic i zamówił kawę i kanapkę. Należało wreszcie przestudiować akta Jacobich z Birmingham. Hotelowym mydłem wymył dokładnie swoje okulary do czytania i usadowił się z aktami pod oknem. Przez kilka minut przeszkadzał mu najmniejszy hałas: kroki na korytarzu, daleki trzask drzwi od windy. Potem zatopił się bez reszty w lekturze.

Kelner z tacą zapukał i czekał. Znów zapukał. W końcu postawił tacę pod drzwiami i sam podpisał rachunek.

Hoyt Lewis, pracownik elektrowni, zaparkował furgonetkę pod dużym drzewem w bocznej alejce i zabrał się do rozwijania kanapek. Nie rozwijał już drugiego śniadania tak chętnie, odkąd pakował je sobie sam. Koniec z dowcipnymi karteczkami powtykanymi na chybił trafił i z niespodziankami.

Właśnie wgryzał się w kanapkę, kiedy przeraził go donośny głos tuż nad uchem.

– W tym miesiącu na pewno wyświeciłem prądu za tysiąc dolarów, co?

Lewis odwrócił się i ujrzał przy oknie furgonetki czerwoną twarz. H. G. Parsons miał na sobie bermudy, a w ręku miotłę do zamywania podwórka.

– Nie rozumiem, co pan powiedział?

– Na pewno pan powie, że w tym miesiącu wyświeciłem prądu za tysiąc dolarów. Tym razem pan mnie usłyszał?

– Nie wiem, panie Parsons, ile pan zużył, bo jeszcze nie odczytałem pana licznika. Kiedy odczytam stan licznika, zapiszę wynik na tej oto kartce, o tutaj.

Parsons narzekał na wysokość rachunku. Złożył zażalenie w elektrowni, że zawyża mu się rachunki.

– Dokładnie wiem, ile zużywam – powiedział. – Zwrócę się z tym do komisji Służby Publicznej.

– Może pan chce odczytać licznik razem ze mną? Chodźmy, to...

– Dobrze wiem, jak się odczytuje licznik. Pan na pewno też by potrafił, gdyby się pan trochę wysilił.

– Parsons, niech pan się uspokoi. – Lewis wyskoczył z furgonetki. – No, niechże się pan uspokoi. W zeszłym roku położył pan magnes na liczniku. Żona powiedziała, że byłeś pan w szpitalu, więc nie mówiąc nic nikomu, po prostu go zdjąłem. Kiedy zeszłej zimy wlał pan do środka melasę, doniosłem o tym. Widzę, że pan zapłacił za szkodę.

Rachunek wzrósł, bo sam pan zmienił przewody. Powtarzam z uporem maniaka, że coś w tym domu ciągnie prąd. A pan co, nawet nie wezwie pan elektryka. Łapie pan za telefon i dawaj skarżyć do biura. Mam już pana dość! – Lewis aż zbladł ze złości.

– Jeszcze dojdę prawdy – zagroził Parsons wycofując się alejką na podwórko. – Mają pana na oku, panie Lewis. Ktoś już odczytywał liczniki przed panem – dodał zza płotu. – Wkrótce będzie się pan musiał zabrać do roboty, jak wszyscy.

Lewis zapuścił motor i wjechał dalej w alejkę. Musi sobie poszukać innego miejsca. Było mu

zał tego cienistego zakątka pod dużym drzewem, gdzie od lat jadał drugie śniadanie.

A miejsce to znajdowało się na tyłach domu Charlesa Leedsa.

O wpół do szóstej po południu Hoyt Lewis zajechał swoim samochodem do baru „Pod dziewiątą chmurką”, gdzie popił troszkę dla poprawienia humoru.

Zadzwoił do swojej byłej żony.

– Tak bym chciał, żebyś nadal robiła mi śniadania. – Nic sensowniejszego nie przyszło mu na myśl.

– Mogłeś o tym pomyśleć wcześniej, mądralo – powiedziała i odwiesiła słuchawkę.

Rozegrał posępną partię domina z kilkoma monterami i ekspedytorem z elektrowni i rozejrzał się po sali. Ci przekłęci urzędnicy z lotniska zaczęli przychodzić „Pod dziewiątą chmurką”. Wszyscy nosili wąsiki i sygnety. Na pewno wkrótce zamontują „Pod dziewiątą chmurką” tę cholerną angielską tablicę do rzutek. Wszystko schodzi na psy.

– Ty, Hoyt. Kto szybciej wypije butelkę piwa? – wołał do niego Billy Meeks, jego zwierzchnik.

– Wiesz ty co, Billy, muszę z tobą pogadać.

– O co chodzi?

– Pamiętasz tego starego skurwysyna, Parsonsa, co ciągle do nas wydzwaniał?

– Jasne, dzwonił do mnie w zeszłym tygodniu. Co tam z nim?

– Powiedział mi, że ktoś przede mną czytał już liczniki, tak jakby ktoś podejrzewał, że się objam. Chyba nie myślisz że odczytuję liczniki siedząc w domu?

– Na pewno nie.

– Fajno, że mnie nie podejrzewasz, bo wiesz, jak ktoś coś do mnie ma, to wolę, żeby mi to powiedział prosto z mostu, nie?

– Gdybym coś do ciebie miał, to co, myślisz, że bałbym ci się powiedzieć prosto w oczy?

– No, nie.

– To w porządku. Gdyby ktoś cię sprawdzał, tobym wiedział. Twoja zwierzchność wiedziałaby o tym na pewno. Nikt cię nie sprawdza, Hoyt. Nie przejmuj się tym Parsonsem, to stary dziwak. Dzwoni do mnie w zeszłym tygodniu i mówi „Gratuluje, że wreszcie zabraliście się za tego Hoyta Lewisa”. Nawet na to nie zwróciłem uwagi.

– Żałuję, że nie podaliśmy go do sądu o ten licznik – powiedział Lewis. – Właśnie się

rozsiałem w tej alejce pod drzewem, żeby zjeść śniadanie, a ten jak nie zacznie! Chętnie bym mu kości przetrzepał.

– Jak byłem jeszcze na licznikach, to też się tam rozkładałem – zauważył Meeks. – Chłopie, mówię ci, raz widziałem panią Leeds... no, teraz to niezbyt wypada mówić, jak ona nie żyje, ale parę razy opalała się na podwórku w kostiumie kąpielowym. Ho, ho! Brzuszek to ona miała niczego! To okropne, co się z nimi stało. Taka miła kobieta!

– Złapali już kogoś?

– Nie.

– Szkoda, że załatwił Leedsów, a ten staruch Parsons spał sobie smacznie obok – zauważył Lewis.

– Coś ci powiem, ja mojej starej nie pozwalałam wylegiwać się na dworze w żadnych kostiumach. Ona mi na to: „Głuptasie, a kto mnie zobaczy?”. To jej mówię, że licho nie śpi i wiesz to, kiedy jakiś zidiociały skurczybyk przeskoczy przez żywopłot z kutasem na wierzchu? Gliny z tobą rozmawiały? Pytały, czy kogoś nie widziałeś?

– Pewnie, chyba wypytywali wszystkich, co tam regularnie jeżdżą. Listonoszy, no... wszystkich. Ale ja przez cały tydzień jeździłem akurat w Laurelwood, po drugiej stronie Betty Jane Drive, aż do dzisiaj. – Lewis skubał naklejkę na piwie. – Mówisz, że Parsons dzwonił do ciebie w zeszłym tygodniu?

– Tak.

– No to chyba widział, jak ktoś odczytuje jego licznik. Przecież by nie dzwonił, gdyby to wymyślił dzisiaj, żeby mnie wpieprzyć. Mówisz, że nikogo nie wysyłałeś, a mnie też nie mógł widzieć.

– Może to ci od telefonów coś sprawdzali?

– Może.

– Chociaż tam nie mamy wspólnych słupów.

– Myślisz, że warto zadzwonić do glin?

– Nigdy nie zawadzi.

– Ty, może to uciszy Parsonsa, jak będzie musiał gadać z prawem. Chyba narobi w portki, gdy do niego przyjdą.

Graham wrócił do domu Leedsów późnym popołudniem. Wszedł przez drzwi frontowe i starał się nie patrzeć na pobożowisko, które zostawił zabójca. Zaznajomił się już ze sprawozdaniami, sceną zbrodni i zwłokami – tym, co pozostało. Wiedział też stosunkowo dużo o tym, jak umarli. Dzisiaj myślał tylko o tym, jak żyli.

A więc inspekcja. W garażu stała solidna motorówka do nart wodnych, widać, że często używana, ale i dobrze zakonserwowana, a obok furgonetka. Zauważył kije do golfa i przełajowy rower. Narzędzia elektryczne leżały prawie nie używane. Zabawki dla dorosłych.

Graham chciał wyjąć zatyczkę z torby golfowej – musiał nacisnąć długą tuleję, żeby ją wyszarpnąć. Kiedy odstawiał torbę pod ścianę, wydobył się z niej zapach skóry. Rzeczy Charlesa Leedsa.

Graham chodził śladami Charlesa Leedsa po całym domu. W suterenie wisiały myśliwskie ryciny. Kolekcja „ważnych książek” stała w równym rzędzie. Roczniki „Sewanee”. Na półkach H. Allen Smith, Perelman i Max Shulman. Von-Pegut i Evelyn Waugh. Na stole otwarta Beat to Quarters C. S Forestera.

W szafie porządna strzelba do rzutek, aparat fotograficzny marki Nikon, kamera firmy Bolex, typ Super Eight, i projektor.

Graham, który prawie nic nie posiadał oprócz podstawowego sprzętu wędkarskiego, volkswagena z trzeciej ręki i dwóch skrzynek monracheta, odczuwał lekką odrazę do tych zabawek dla dorosłych. Zastanawiał się, dlaczego.

Kim był Leeds? Specjalistą od prawa podatkowego, piłkarzem klubu Sewanee, długonogim, skorym do śmiechu człowiekiem, który z podciętych gardłem stawiał czoło zabójcy?

Graham szukał jego śladów w domu raczej z poczucia obowiązku. Tak, jakby przez poznanie najpierw jego osoby uzyskał pozwolenie na przyjrzenie się jego żonie.

Przeczuwał wyraźnie, iż to żona zwabiła potwora, podobnie jak śpiew świerszcza przyciąga czerwonoooką muchę.

Zatem pani Leeds.

Na piętrze znalazł małą ubieralnię. Udało mu się do niej dotrzeć bez rozglądania się po sypialni. Gdyby nie zbite lustro nad toaletką, mały pokój o żółtych ścianach wyglądałby na nietknięty. Przed ścianą stała para mokasynów marki L L. Bean, zupełnie jakby przed chwilą je zdjęto. Podomka wisiała niedbale na kołku, a w szafie panował lekki bałagan zostawiony przez kobietę, która nie musi wszystkiego układać w jednej szafie.

Na toalecie, w pudełku wyściełanym bordowym aksamitem, leżał dziennik pani Leeds. Do wieczka przytwierdzono plastrem kluczyk i kwitek z policyjnego magazynu.

Graham usiadł na wąskim białym krześle i otworzył dziennik na chybił trafił: 23 grudnia, wtorek, w domu mamy. Dzieci jeszcze śpią. Kiedy mama oszkląda taras, to byłam na nią zła, bo zmienił się wygląd domu, ale teraz z przyjemnością siedzę w ciepłe i spoglądam na śnieg. Ile jeszcze świąt Bożego Narodzenia spędzimy w tym domu pełnym wnuków? Mam nadzieję, że wiele.

Wczoraj mieliśmy trudną podróż z Atlanty, od Raleigh padał śnieg. Wlekliśmy się noga za nogą. Ja i tak byłam wykończona pakowaniem. Za Chapel Hill Charlie zatrzymał samochód i wysiadł. Odłamał kilka sopli z gałązki, żeby przyrządzić mi martini. Szedł z powrotem do samochodu, wyciągając długie nogi ze śniegu, a we włosach i na brwiach miał śnieg, i wtedy poczułam, że bardzo go kocham. Zupełnie jakby coś bolesnego rozbijało się we mnie, a potem rozlewało się ciepłem.

Mam nadzieję, że kurtka będzie na niego dobra. Jak on mi kupił ten wstrętny wielki pierścień, to chyba umrę. Oh, jakże chętnie kopnęłabym Madelyn w ten jej wielki tyłek, kiedy obnosiła się ze swoim pierścieniem i trajkotała jak najęta. Cztery przesadnie wielkie diamenty koloru zabrudzonego lodu. A lód w soplach jest taki czysty. Słońce zajrzało przez szybę samochodu i w miejscu, w którym sopel został odłamany i wystawał ze szklanki, mienił się wszystkimi barwami tęczy. Czerwona i zielona plamka zastygła na mojej dłoni ze szklanką. Niemal czułam kolor na dłoni. Spytał, co bym chciała pod choinkę, a ja przez zwinięte dłonie wyszeptalam mu do ucha: „Twojego wielkiego członka, głuptasie, głęboko, głęboko we mnie”.

Łysina z tyłu jego głowy cała poczerwieniała. Zawsze się boi, że dzieci usłyszą. Mężczyźni nie ufają szeptom.

Na kartce widniały plamy popiołu z cygara detektywa.

Graham czytał aż do zmroku i dowiedział się o wycięciu migdałków córce i o strachu, kiedy w czerwcu pani Leeds namacała sobie małego guza w piersi. (Boże Świąty, dzieci są jeszcze takie małe.)

Trzy strony dalej przeczytał, że guzek został z łatwością usunięty i okazał się tylko zwykłą cystą.

Doktor Janovich wypuścił mnie dzisiaj po południu. Wyjechaliśmy ze szpitala i skręciliśmy nad staw. Dawno tam nie byliśmy. Nigdy nie starcza czasu. Charlie zabrał dwie butelki zmrożonego szampana i wypiliśmy je karmiąc kaczki w zachodzącym słońcu. Przez chwilę stał nad brzegiem wody odwrócony do mnie plecami i wydawało mi się, że trochę płakał.

Susan powiedziała nam, że bała się cały czas, bo myślała, że wracamy ze szpitala z następnym braciszkiem. Dom!

Zadzwonił telefon w sypialni. Sygnał i szum automatycznej sekretarki: „Halo, tu Valerie Leeds. Przykro mi, ale nie mogę teraz podejść do telefonu, proszę tylko zostawić nazwisko i swój numer, a wkrótce oddzwonimy, Dziękuję”.

Graham był niemal pewien, że usłyszy głos Crawforda, ale rozległ się tylko sygnał. Rozmówca się wyłączył.

Usłyszał zatem jej głos, chciał ją teraz zobaczyć. Poszedł do sutereny.

W kieszeni trzymał taśmę filmową typu Super Eight, należącą do Charlesa Leedsa. Trzy tygodnie przed śmiercią Leeds oddał film do wywołania w drogerii, skąd przesłano go do laboratorium. Nie zdążył go odebrać. Policja znalazła kwitek w jego portfelu i wzięła film z drogerii. Detektywi wyświetlili go porównując ze zdjęciami zrobionymi mniej więcej w tym samym czasie, ale nic ciekawego nie zauważyli.

Graham chciał zobaczyć Leedsów żywych. Na posterunku detektywi chcieli udostępnić mu projektor. On jednak pragnął obejrzeć film w ich domu. Niechętnie wypożyczyli mu go z magazynu.

Odszukał ekran i projektor w szafie w suterenie, ustawił aparaturę i usadowił się w skórzanym fotelu Charlesa Leedsa. Na oparciu fotela poczuł pod dłonią coś nieprzyjemnego – to lepkie palce dziecka zostawiły ślady, do których przylepiły się kłaczki. Dłoń Grahama pachniała cukierkami.

Całkiem dobry amatorski niemy film, lepszy od wielu innych. Zaczynał się ujęciem psa, szarego teriera, śpiącego na dywaniku w suterenie. Psa niepokoi szum kamery i na chwilę podnosi głowę, by spojrzeć w obiektyw. Potem znowu zasypia. Następne cięcie – znów śpiący pies. Nagle terier nastawia uszu. Podnosi się i szczeka, a kamera śledzi go aż do kuchni, jak podbiega do drzwi i wyczekuje w napięciu, merdając krótkim ogonkiem.

Graham przygryzł dolną wargę i również czekał. Na ekranie otworzyły się drzwi i weszła pani Leeds z zakupami. Zmrużyła oczy, roześmiała się zaskoczona i poprawiła wolną ręką zmierzwione włosy. Poruszyła wargami, wychodząc poza kadr, a za nią weszły dzieci niosąc mniejsze sprawunki. Dziewczynka miała sześć lat, chłopcy osiem i dziesięć.

Młodszy chłopak, wyraźnie zaznajomiony z kręceniem filmów, wskazał na swoje uszy i poruszył nimi. Film kręcony był ze stosunkowo wysokiej pozycji. Według sprawozdania koronera Leeds miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

Graham sądził, że ta część filmu została nakręcona wczesną wiosną. Dzieci miały na sobie ocieplane kurtki, a pani Leeds wyglądała blado. W kostnicy na jej ciele widniała porządna opalenizna i ślady po kostiumie kąpielowym.

Po tym następowały krótkie ujęcia; chłopcy grają w ping-ponga w suterenie i dziewczynka, Susan – język podwinięty z emocji aż nad górną wargę, niesforny kosmyk opada na czoło – pakuje prezent w swoim pokoju. Podobnie jak matka w kuchni, odgarnia włosy tłuszcikiem rączką.

W następnej scenie Susan przykucnięta jak żabka w kąpielu z pianą. Na głowie ma duży czepek kąpielowy. Tym razem kąt kamery jest niższy i ostrość nieczysta, co sugeruje robotę braciszka. Scena kończy się bezgłośnymi krzykami w stronę kamery i zakrywaniem sześciioletnich piersi. Tymczasem czepek opada dziewczynce na oczy.

Aby nie być gorszym, Leeds zaskakuje żonę pod prysznicem. Zasłona wybrzusza się, zupełnie jak kurtyna przed szkolnym przedstawieniem. Ręka pani Leeds pojawia się z boku zasłony, trzymając dużą gąbkę. Po czym piana zasłania ekran.

Film kończy się urywkiem przemówienia telewizyjnego Normana Vincenta Peale'a i dowcipnym ujęciem Leedsa chrapiącego w tym samym krześle, w którym teraz siedział Graham.

Graham wpatrywał się w plamę świetlną na ekranie. Czuł sympatię do Leedsów. Żałował, że widział ich w kostnicy. Pomyślał sobie, że może szaleniec, który ich odwiedził, też ich lubił. Ale szaleńcowi podobali się bardziej w swym obecnym stanie.

Graham odczuwał pustkę w głowie. Pływał w hotelowym basenie, aż nogi miał jak z gumy, i wychodząc z wody myślał o dwóch rzeczach jednocześnie – tanqueray martini i smaku ust Molly.

Przyrządził sobie martini w plastikowej szklance i zadzwonił do Molly.

– Cześć, seksbombo!

– Cześć, kochanie. Gdzie jesteś?

– W tym przeklętym hotelu w Atlancie.

– I co porabiasz?

– Nic szczególnego. Tęskno mi.

– Mnie też.

– Pokochałbym się.

– Ja także.

– Powiedz mi, co u ciebie?

– Wiesz, pokłóciłam się dzisiaj z panią Holper. Wyobraź sobie, że chciała zwrócić suknię z olbrzymią plamą po whisky na siedzeniu. Na pewno włożyła ją na to przyjęcie w Jaycee.

– I co ty jej na to?

– Powiedziałam, że sprzedałam jej czystą.

– A ona?

– Powiedziała, że dotąd zawsze zwracała suknie bez kłopotów i dlatego zawsze kupowała u mnie, a nie gdzie indziej.

– No i co ty na to?

– Powiedziałam, że się martwię, bo Will plecie bzdury przez telefon.

– Aha.

- Willy w porządku. Właśnie zakopuje żółwie jaja, które wygrzebały psy. Opowiedz mi, co robisz.
- Czytam sprawozdania i źle się odżywiam.
- Spodziewam się, że dużo główkujesz.
- No.
- Może ci pomóc?
- Nic mi do niczego nie pasuje, Molly. Za mało informacji. To znaczy informacji jest w bród, ale nie wiem ich wykorzystać.
- Długo jeszcze będziesz w Atlancie? Nie przynaglam cię do powrotu, ale tak po prostu pytam.
- Nie wiem. Chyba jeszcze co najmniej kilka dni. Brakuje mi ciebie.
- Chcesz, porozmawiamy o łóżku.
- Chyba bym tego nie wytrzymał. Może lepiej nie.
- Co nie?
- Nie mówmy o łóżku.
- Dobra. Ale nie przeszkadza ci, że sobie pomyślę?
- Oczywiście, że nie.
- Mamy nowego psa.
- O Jezu!
- Wygląda na krzyżówkę bassetta z pekińczykiem.
- Cudownie.
- Ma wielkie jaja.
- Nie mam nic przeciwko temu.
- Prawie włóczy je po ziemi. Musi je w biegu podkurczać.
- To niemożliwe.
- Tak, możliwe. Co ty o tym wiesz!

– Bardzo dużo!

– A ty umiesz swoje podkurczyć?

– Spodziewałem się, że zejdzie na te tematy.

– No?

– Jeżeli już musisz wiedzieć, to raz podkurczyłem.

– Kiedy to?

– W młodości. Musiałem szybciotko przeskoczyć przez płot z drutem kolczastym.

– Dlaczego?

– Bo niosłem arbuza, którego sam nie wyhodowałem.

– Uciekałeś? Ktoś cię gonił?

– To ten pastuch, mój sąsiad. Psy go zbudziły i wypadł z domu w kalesonach i z flintą na ramieniu. Na szczęście potknął się o tyczki fasoli, co mi dało trochę czasu.

– Strzelił do ciebie?

– Wtedy tak myślałem. Ale strzały, które słyszałem, chyba wydobywały się z moich czterech liter. Do dzisiaj nie jestem tego pewien.

– A przeskoczyłeś przez płot?

– Z łatwością.

– Umysł kryminalisty, nawet w takim wieku.

– Nie mam umysłu kryminalisty.

– Oczywiście, że nie. Chciałabym pomalować kuchnię. Jaki kolor ci się podoba? Will! Słyszysz mnie?

– Tak, tak, no... żółty. Zróbmy ją na żółto.

– Żółty jest nie dla mnie. Przy śniadaniu będę cała zielona.

– Zatem niebieski.

– Niebieski jest zimny.

– Do diabła, pomaluj ją na sraczkowato i się mnie nie pytaj... Poczekaj no, już niedługo będę w

domu, pójdziemy sobie do sklepu z farbami, kupimy szpachle i co tam jeszcze trzeba, dobrze? Może jakieś nowe pędzle?

– W porządku, kupimy nowe pędzle. Zupełnie nie wiem, dlaczego o tym wszystkim mówię. Słuchaj, kocham cię i bardzo mi ciebie brak, poza tym postępujesz słusznie. Wiem, że dużo cię to kosztuje. Jestem tutaj i będę tutaj, jak wrócisz do domu, albo przyjadę do ciebie, gdzie będziesz chciał. Tak to jest.

– Molly, kochana, kładź się już spać.

– Idę.

– Dobranoc.

Graham leżał z rękami założonymi pod głowę i przypominał sobie obiady z Molly. Krab popijany saucerre z domieszką słonej morskiej bryzy.

Jego przekleństwem stawało się rozpamiętywanie rozmów i właśnie zaczął to czynić. Tak ją uciął po jej niewinnej uwadze o jego „kryminalnym umyśle”. Głupiec.

Zainteresowanie Molly jego osobą wydawało się Grahamowi niezrozumiałe.

Zadzwoił na komisariat i zostawił wiadomość dla Springfieldda, że rano pomoże im przepytować sąsiadów. Nie miał nic lepszego do roboty.

Dzin pomógł mu zasnąć.

Kopie notatek dotyczących wszystkich telefonów na temat sprawy Leedsów zalegały biurko Buddy Springfieldda. We wtorek o siódmej rano, kiedy zjawił się w biurze, leżało ich sześćdziesiąt trzy. Górną zaznaczono na czerwono.

Informowała o tym, że policja w Birmingham znalazła kota pochowanego w pudełku po bitach za garażem Jacobich. Kotu włożono między łapki kwiatek i owinięto go ściereczką do naczyń. Jego imię wypisano dziecięcym pismem na wieczku. Nie miał obróżki. Wieczko przytrzymał sznurek zawiązany na kokardkę.

Lekarz z Birmingham stwierdził, iż kota uduszono. Ogolił go, ale nie znalazł żadnych ran kłutych.

Springfield zastukał rączką okularów o zęby.

Odnaleziono miękką ziemię i wykopano pudełko łopata. Nie potrzebowali żadnej cholernej sondy metanowej. A jednak, Graham miał rację.

Szef wydziału śledczego poślinił kciuk i zaczął przeglądać resztę notatek. Większość mówiła o podejrzanych pojazdach w okolicy w ciągu zeszłego tygodnia, opisy przeważnie były nieścisle, podawały tylko typ pojazdu albo kolor. Mieszkańcy Atlanty otrzymali cztery anonimowe telefony: „Urządzę was tak jak Leedsów”.

Doniesienie Hoyta Lewisa znajdowało się w środku.

Springfield zadzwonił do dowódcy nocnej zmiany.

– Co z doniesieniem pracownika elektrowni o tym Parsonsie? Numer czterdzieści osiem.

– Już dzwoniłiśmy do usług, szefie, czy mieli kogoś w tym rejonie. Mają się odezwać z samego rana.

– To wy szybko do nich zadzwońcie – polecił Springfield. – Sprawdźcie wywóz śmieci, skontrolujcie zezwolenia na budowę w całej alejce i łapcie mnie w samochodzie.

Wykręcił numer Willa Grahama.

– Will? Bądź za dziesięć minut przed hotelem, pojedziemy na małą przejażdżkę.

O siódmej czterdzieści pięć rano Springfield zaparkował przy końcu alejki. Przeszli z Grahamem noga w nogę koleinami wyżłobionymi przez furgonetkę. Tak wcześnie, a słońce już prażyło.

– Musisz sobie sprawić kapelusz – zauważył Springfield. Jego panama przesłaniała mu oczy.

Siatkę na tyłach posiadłości Leedsów oplatało wino. Zatrzymali się przy słupie z licznikiem.

– Jeżeli podszedł z tej strony, to widział cały tył domu – zauważył Springfield.

Minęło zaledwie pięć dni, a już posiadłość Leedsów była zaniedbana. Trawnik rósł nierówno i przez źdźbła przebił się dziki czosnek. Na podwórze opadły małe gałązki. Graham miał ochotę je podnieść. Dom wydawał się uśpiony, drewniana ściana werandy odbijała długie pasiaste i cętkowane poranne cienie drzew. Stojąc tak ze Springfieldem w alejce wyobrażał sobie, jak morderca zagląda w tylne okno i otwiera drzwi na werandę. Teraz, w słońcu, cała rekonstrukcja tego, którą zabójca wszedł do domu, wydała mu się dziwnie nierealna. Patrzył na dziecięcą huśtawkę poruszaną lekką bryzą.

– Ten wygląda mi na Parsonsa – odezwał się Springfield.

H. G. Parsons zaczął dzień wcześniej, kopiąc grządki w ogródku na tyłach domu. Dzieliły ich tylko dwa podwórka. Springfield i Graham podeszli do tylnej furtki Parsonsa i zatrzymali się koło kubłów na śmieci. Przykrywki przymocowano do płotu łańcuchami.

Springfield zmierzył wysokość licznika taśmą.

Znał notatki o wszystkich sąsiadach Leedsów. O Parsonsie dowiedział się, że odszedł z poczty na wcześniejszą emeryturę na wyraźne życzenie swojego zwierzchnika. Określił on Parsonsa jako „niezwykle roztrzepanego”.

W notatkach Springfieldda znalazło się miejsce i dla plotek. Sąsiedzi donosili, iż żona Parsonsa przedłużała swoje pobyty u siostry w Macon, jak tylko mogła, a jego syn już do niego nawet nie dzwonił.

– Panie Parsons, panie Parsons! – zawołał Springfield.

Parsons oparł motykę o dom i podszedł do płotu. Miał na nogach sandały i białe skarpety. Czubki skarpet ubrudziły się ziemią i trawą. Twarz miał różową i błyszczącą.

Sklerotyk, pomyślał Graham. Zażył już tabletkę.

– Słucham.

– Panie Parsons, czy możemy z panem chwilę porozmawiać? Mamy nadzieję, że nam pan pomoże – powiedział Springfield.

– Panowie z elektrowni?

– Nie, nazywam się Buddy Springfield i jestem z policji.

– A, więc chodzi o morderstwo. Byłem z żoną, w Macon, tak jak powiedziałem oficerowi...

– Wiem, panie Parsons. Chcieliśmy zapytać o pana licznik. Czy...

– Jeżeli ten... pracownik nakłamał na mnie, to...

– Nie, nie. Panie Parsons, czy ktoś obcy w zeszłym tygodniu odczytywał pana licznik?

– Nie.

– Jest pan pewien? Ale powiedział pan Hoytowi Lewisowi, że ktoś już tu wcześniej był.

– Tak jest. I najwyższy czas. Śledzę tę historię i komisarz do spraw publicznych dostanie ode mnie wyczerpujący raport.

– Tak, oni z pewnością się tym zajmą. Kto odczytywał licznik?

– Żaden nieznajomy, to ktoś z elektrowni.

– A skąd pan wie?

– No bo wyglądał na takiego.

– Co miał na sobie?

– To, co oni wszyscy chyba noszą. A co? No, brązowe ubranie i czapkę.

– Widział pan jego twarz?

– Nie przypominam sobie. Wyglądałem właśnie przez okno w kuchni, gdy go zobaczyłem. Chciałem z nim porozmawiać, ale musiałem narzucić szlafrok i kiedy wyszedłem z domu, już go nie było.

– Przyjechał furgonetką?

– Nie przypominam sobie. Ale o co chodzi? Czemu o to pytacie?

– Sprawdzamy każdego, kto pojawił się w sąsiedztwie w zeszłym tygodniu. To bardzo ważne, panie Parsons. Proszę spróbować sobie przypomnieć.

– A więc jednak chodzi o morderstwo. Jeszcze nikogo nie przymknęliście, co?

– Nie.

– Wczoraj wieczorem obserwowałem ulicę i dopiero po piętnastu minutach pojawił się samochód policyjny. To straszne, co stało się u Leedsów. Moja żona omal nie dostała ataku. Ciekawe, czy ktoś kupi ich dom. Widziałem, że go już Murzyni oglądają. Parę razy musiałem poważnie pomówić z Leedsem na temat jego dzieci, ale poza tym byli w porządku. No i oczywiście nie chciał słuchać co do tego trawnika. Wydział rolnictwa wydał takie znakomite broszury o tępieniu zbędnych traw. W końcu wrzucałem mu je do skrzynki. Proszę mi wierzyć, jak on kosił, to można się było udusić od tego dzikiego czosnku.

– Panie Parsons, kiedy dokładnie widział pan tego faceta w alejce? – zapytał Springfield.

– Nie jestem pewny, muszę pomyśleć.

– O jakiej porze dnia? Rano? W południe? Wieczorem?

– Znam pory dnia, nie musi mi pan ich wymieniać. Może po południu. Nie pamiętam.

Springfield pomasaował kark.

– Bardzo mi przykro, panie Parsons, ale musi pan sobie przypomnieć. Wejźmy do pana do kuchni i pan nam dokładnie pokaże, skąd pan go widział.

– Czy mogę zobaczyć dokumenty? Obu panów.

W domu cisza, wypolerowane meble i zatęchłe powietrze. Schludnie i porządnie. Desperackie wysiłki starzejącej się pary, której życie wymyka się z rąk.

Graham żałował, że wszedł do środka. Był pewien, że w szufladach leżą wypolerowane srebra z resztkami żółtka między zębami widelców.

Dość tego, przemaglujmy tego pierdołę.

Okno nad zlewem wychodziło prosto na ogród.

– Tutaj. Zadowoleni? – rzekł Parsons. – Wszystko widać, możecie się przekonać. Nie rozmawiałem z nim i nie pamiętam, jak wyglądał. Jeśli to już wszystko, to przepraszam, bo mam jeszcze dużo roboty.

Graham odezwał się po raz pierwszy.

– Powiedział pan, że musiał pan narzucić szlafrok i po pana powrocie już go nie było. Był pan rozebrany?

– Tak.

– W samo południe? Źle się pan czuł?

– To moja prywatna sprawa, co ja tu robię. Jeżeli mi się podoba, to mogę chodzić w stroju kangura. Lepiej szukajcie zabójcy. Może przyszliście się tu ochłodzić?

– Rozumiem, że jest pan już na emeryturze, panie Parsons, i niecodziennie się pan ubiera. Przyzna pan, że czasami nie wkłada pan ubrania.

Parsonswi aż żyły nabrzmiały w skroniach.

– To, że jestem na emeryturze, nie znaczy, że nie ubieram się codziennie i się nie krzątam.

Spocilem się tylko i wszedłem do środka, żeby wziąć prysznic. Pracowałem. Mierzwiłem, i do popołudnia zrobiłem dzienną normę, wy byście tyle za dzień nie zrobili.

– Co pan robił?

– Mierzwiłem.

– W jaki dzień tygodnia pan mierzwił?

– W czwartek. To było w zeszły czwartek. Dostarczono mi mierzwę rankiem, całą kopę, i już... i już po południu wszystko rozrzuciłem. Spytajcie się u ogrodnika, ile tego było.

– I zgrzał się pan, wszedł do środka i wziął prysznic. Co pan robił w kuchni?

– Przyrządzałem sobie herbatę z lodem.

– Więc wyciągał pan lód? Ale lodówka stoi tam, daleko od okna.

Parsons, zbity z tropu, patrzył to na okno, to na lodówkę. Oczy mu zmętniały, jak u ryb na targu pod koniec dnia. Nagle rozbłysły z radości. Poszedł do szafki pod zlewem.

– Stałem tutaj i wyciągałem sacharynę, kiedy go zobaczyłem. Właśnie tak, to wszystko. A teraz, jeżeli już panowie skończyli wtykać nos w...

– Wydaje mi się, że on widział Hoyta Lewisa – wpadł mu w słowo Graham. – Na pewno – przytaknął Springfield.

– To nie był Hoyt Lewis. To nie był on. – Oczy Parsonsa zaczęły łzawić.

– Skąd pan wie? – jątrzył Springfield. – To chyba był Hoyt Lewis, a pan myślał...

– Lewis jest aż brązowy od słońca. Ma rozczochrane tłuste włosy i baczki jak dzieciół. – Parsons mówił podniesionym głosem i w takim tempie, że trudno go było zrozumieć. – Stąd wiem. Oczywiście, że to nie był Lewis. Ten facet był blady i miał jasne włosy. Odwrócił się, żeby zapisać coś w zeszycie, i zobaczyłem z tyłu pod czapką. Blondyn. Włosy równo przycięte na karku w kancik.

Springfield stał nieporuszony. Gdy się odezwał, w jego głosie wciąż brzmiało niedowierzenie.

– A jego twarz?

– Nie wiem. Chyba miał wąsy.

– Jak Lewis?

– Lewis nie nosi wąsów.

– Aha – mruknął Springfield. – Czy sięgał wzrostem licznika? A może zadzierał głowę?

– Dosięgał... chyba.

– Czy rozpoznałby go pan, gdyby go pan jeszcze raz zobaczył?

– Nie.

– W jakim był wieku?

– Stary nie był. Nie wiem.

– Widział pan z nim psa Leedsów?

– Nie.

– Znakomicie, panie Parsons, widzę teraz, że się pomyliłem – powiedział Springfield. – Bardzo nam pan pomógł. Jeżeli pan pozwoli, to przyślę tutaj naszego rysownika, który siądzie tu sobie przy stole i pan mu pomoże sporządzić portret tego faceta. To na pewno nie był Lewis.

– Nie chcę, żeby moje nazwisko trafiło do gazet.

– Nie trafi.

Parsons wyszedł za nimi na zewnątrz.

– Wspaniale pan utrzymuje ten ogródek, panie Parsons – pochwalił Springfield. – Powinien wygrać jakąś nagrodę.

Parsons nie odpowiedział. Twarz mu poczerwieniała, oczy zaszyły łzami. Stał tak w luźnych spodenkach i sandałach, patrząc na nich, ale chyba dobrze nie widząc. Kiedy wyszli, chwycił za widły i zaczął grzebać w ziemi, na oślep rzucając mierzwę na kwiaty i trawę.

Springfield sprawdził ostatnie wiadomości przez radio w samochodzie. Żadna ze służb komunalnych nie wysyłała pracowników w ten rejon na dzień przed morderstwem. Springfield przekazał opis od Parsonsa i wydał rozporządzenie dla rysownika.

– Powiedzcie mu, żeby narysował najpierw słup z licznikiem, a dopiero potem przeszedł do rzeczy. Będzie musiał trochę świadka rozluźnić.

– Nasz artysta nie przepada za wizytami domowymi – poinformował Springfield Grahama, manewrując służbowym fordem w ruchu ulicznym. – Lubi, kiedy jego pracy przyglądają się sekretarki, świadek stoi na jednej nodze, a reszta zagląda mu przez ramię. Komisariat nie jest najlepszym miejscem na przesłuchiwanie osoby, której raczej nie należy wystraszyć. Jak będziemy już mieli rysunek, to obejdziemy z nim całe sąsiedztwo.

Chyba zwietrzyliśmy trop, Will. Na razie bardzo słaby, ale zawsze to już coś, nie? Ale przycisnęliśmy tego starucha. Mamy materiał, teraz musimy coś z nim zrobić.

– Jeżeli ten facet z alejki jest tym, którego szukamy, to są to, jak dotąd, nasze najlepsze informacje. – Graham odczuwał niesmak.

– Racja. A to oznacza, że facet nie wysiada ot tak sobie z autobusu i nie idzie w kierunku, który wskaże mu jego kutas. Działa planowo. Zatrzymuje się w mieście na noc. Wie, dokąd idzie, dzień lub dwa naprzód. Ma jakiś pomysł.

Ogląda miejsce, zabija domowych ulubieńców, a potem rodzinę. A to dopiero pasztet. – Springfield przerwał. – Ale to już twoja działka, nie?

– Tak, z pewnością. Jeżeli już ma być czyjaś, to z pewnością moja.

– Wiem, że widziałeś już niejedną taką sprawę. Pytałem cię wcześniej o tego Lectera i zauważyłem, że niezbyt chcesz mówić, ale muszę z tobą o tym pogadać.

– W porządku.

– W sumie zabił dziewięciu ludzi, prawda?

– O tylu wiemy. Dwóch nie umarło.

– Co się z nimi stało?

– Jeden jest podłączony do respiratora w szpitalu w Baltimore. Drugi przebywa w prywatnym szpitalu psychiatrycznym w Denver.

– Czemu to robił, na czym polegało jego szaleństwo?

Graham spojrział przez okno na ludzi na chodniku. Jego głos brzmiał obco, jakby dyktował list.

– Robił to, bo lubił. Nadal lubi. Nie jest szalony w taki sposób, w jaki zwykle wyobrażamy sobie szaleństwo. Popełniał okrutne czyny, bo znajdował w tym przyjemność. Ale jak chce, to funkcjonuje normalnie.

– Jak to nazwali psycholodzy? Co z nim było nie tak?

– Nazwali go socjopatą, bo nic innego nie mogli wymyślić. Ma on niektóre cechy charakterystyczne dla socjopaty. Na przykład nie odczuwa żalu ani winy. Od początku objawiał najgorsze instynkty... jako dziecko męczył zwierzęta.

Springfield przytaknął.

– Ale na tym kończą się wspólne cechy – ciągnął Graham. – Nie był wykojeńcem i nie zadarł z prawem. Nie dbał o rzeczy błahe, jak większość socjopatów. Nie jest niewrażliwy. Nie wiedzą, jak go nazwać. Jego encefalogramy wykazują pewne odchylenia, ale niewiele można z nich wyczytać.

– A ty jakbyś go nazwał?

Graham zawahał się.

– Tak sam dla siebie, jak go nazywasz?

– To potwór. Gdy myślę o nim, to mam przed oczami te godne współczucia stworzenia, które czasami rodzą się w szpitalach. Karmią takie coś, trzymają w cieple, ale nie podłączają do aparatury i to coś umiera. Z głową Lectera jest podobnie, ale on sam na zewnątrz wygląda normalnie i niczym się nie zdradza.

– Mam kilku kolegów po fachu w Baltimore. Pytałem ich, jak wykryłeś Lectera. Odpowiedzieli, że nie wiedzą. Jak to zrobiłeś? Jaka była pierwsza wskazówka, pierwsze odczucie?

– Zwykły zbieg okoliczności. Szósty człowiek został zabity w swojej pracowni. Trzymał tam wszystkie narzędzia stolarskie i wyposażenie myśliwskie. Został uwiązany do półki, na której wisiały narzędzia, i dosłownie rozdarty, pocięty, pokłuty i naszpikowany strzałami. Rany mi coś przypominały. Nie mogłem odgadnąć, co.

– I musiałeś czekać na następne zabójstwa?

– Tak, Lecter był rzeczywiście napalony. Trzech następnych załatwił w ciągu dziewięciu dni. Ale ten szósty miał na udzie dwie stare blizny. Patolog sprawdził w lokalnym szpitalu i dowiedział się, że pięć lat wcześniej spadł on z ambony na drzewie podczas polowania z łukiem i strzała wbiła mu się w nogę.

W karcie wpisany był miejscowy chirurg, ale to Lecter udzielał mu pierwszej pomocy... miał dyżur w pogotowiu. Jego nazwisko widniało na wpisie. Minęło sporo czasu od wypadku, ale pomyślałem sobie, że Lecter może pamiętać, czy nic go w tej sprawie nie uderzyło, więc poszedłem do jego gabinetu. Błądziliśmy wtedy po omacku.

Udzielał prywatnych porad psychiatrycznych. Miał przyjemnie urządzone biuro. Antyki. Mówił, że niewiele pamięta, że rannego przyniósł któryś z jego kolegów myśliwych i tyle.

Coś mi jednak nie dawało spokoju. Myślałem, że chodzi o coś, co Lecter powiedział, albo coś w jego biurze. Rozważaliśmy z Crawfordem każdy drobiazg. Chciałem pobuszować trochę po jego gabinecie, lecz nie mieliśmy podstaw do wydania nakazu rewizji. Nie mogliśmy z niczym wystąpić. Poszedłem więc do niego ponownie.

Była niedziela, przyjmował pacjentów. Budynek zionął pustką, z wyjątkiem kilku ludzi w jego poczekalni. Od razu mnie zauważył. Rozmawialiśmy i on uprzejmie próbował mi pomóc, aż nagle spojrzałem na półkę nad jego głową na bardzo stare medyczne książki. I wiedziałem, że to on.

Kiedy spojrzałem znowu na niego, może zmienił mi się wyraz twarzy, nie mam pojęcia. Wiedziałem, że odgadł, że ja wiem. Nie domyślałem się jednak przyczyny. Nie ufałem instynktowi. Potrzebowałem skupienia. Wymamrotałem coś i wyszedłem do hallu. Wisiał tam aparat telefoniczny. Nie chciałem go spłoszyć, dopóki nie nabiorę pewności. Łączyłem się właśnie z telefonistką w komisariacie, kiedy zaszedł mnie od tyłu w skarpetkach. Wyszedł przez drzwi dla personelu. Nie

słyszałem kroków. Poczulem dopiero jego oddech, a potem... nastąpiła reszta.

– Ale skąd wiedziałeś?

– Chyba dopiero tydzień później, w szpitalu, w końcu się domyśliłem. Był to Ranny człowiek, ilustracja, której używano w dawniejszych książkach medycznych, takich jakie miał Lecter. Ukazuje ona różne rodzaje ran bitewnych umieszczonych na jednej rycinie. Widziałem ją kiedyś na kursie prowadzonym przez patologa na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona. Pozycja szóstej ofiary pasowała niemal jak ulał do Rannego człowieka.

– Ranny człowiek, mówisz? To wszystko, co miałeś?

– No, tak. Czysty przypadek, że to zobaczyłem. Po prostu szczęście.

– Rzeczywiście.

– Jak mi nie wierzysz, to po kiego chuja mnie pytasz?

– Nic nie słyszałem.

– No i dobrze. Nie chciałem tego powiedzieć. Ale tak to naprawdę było.

– W porządku, dziękuję, że mi powiedziałeś. Warto wiedzieć takie rzeczy.

Opis człowieka z alejki dostarczony przez Parsonsa i wiadomość o kocie i psie wskazywały na prawdopodobną metodę postępowania zabójcy: obserwował teren w przebraniu pracownika elektrowni i odczuwał potrzebę skrzywdzenia najpierw zwierzątek, zanim zabije rodzinę.

Policja stanęła przed zasadniczym problemem, czy publikować tę teorię, czy nie.

Jeżeli uświadomi się społeczeństwo o niebezpieczeństwie, to może napłynie ostrzeżenie przed następnym atakiem zabójcy – ale z pewnością on także śledzi wiadomości.

Może zmienić zwyczaje.

W komisariacie panowało zdecydowane przekonanie, że te skąpe wskazówki należy zachować w tajemnicy, jedynie weterynarze i schroniska dla zwierząt na południowym wschodzie powinny dostać specjalny biuletyn z prośbą o zgłaszania wszelkich przypadków znęcania się nad zwierzętami.

Oznaczało by to, że społeczeństwo nie zostanie należycie poinformowane. Ta kwestia natury moralnej stawiała policję w kłopotliwej sytuacji.

Zasięgnięto rady doktora Alana Blooma z Chicago. Doktor Bloom stwierdził, iż zabójca przeczyta ostrzeżenie w gazecie. Wątpił jednak, żeby przestał atakować zwierzęta, nawet w obliczu dużego ryzyka. Powiedział policji, że nie wolno zakładać, iż mają co najmniej 25 dni, to jest do następnej pełni księżyca, dwudziestego piątego sierpnia.

Rankiem trzydziestego pierwszego lipca, trzy godziny po wizycie u Parsonsa, po telefonicznych konsultacjach Birmingham z Atlantą i z Crawfordem w Waszyngtonie, podjęto decyzję, żeby wysłać wewnętrzny biuletyn do weterynarzy, przez trzy dni obchodzić sąsiedztwo z portretem pamięciowym, a następnie podać informację do środków masowego przekazu.

Przez owe trzy dni Graham i policjanci z Atlanty dreptali po okolicy, pokazując portret domownikom w dzielnicy Leedsów. Szkic przedstawiał tylko zarys twarzy, ale żywili nadzieję, że znajdzie się ktoś, kto pamięta więcej.

Kopia Grahama pozaginała się na bokach od spoconych palców. Nierzadko mieszkańcy nie chcieli otwierać drzwi. W nocy leżał w pokoju, posypując pudrem wysypkę od upału i krążył myślami wokół zabójstwa, jakby to był hologram. Czekał na moment olśnienia, który nie nadchodził.

Tymczasem w Atlancie zgłoszono cztery przypadkowe zranienia i jeden zgon powstały w wyniku postrzelenia późno wracających do domu krewnych. Telefoniczne doniesienia o tajemniczych nieznajomych napływały bez przerwy i bezużyteczne informacje zalegały stosami na biurkach komisariatów.

Rozpacz szerzyła się jak choroba.

Crawford powrócił z Waszyngtonu pod koniec trzeciego dnia i wpadł do Grahama w momencie, kiedy ten odlepił od skóry przepocone skarpetki.

– Gorąca robota?

– Weź sobie rano portret i sam się przekonaj.

– Już nie, wieczorem wszystko będzie w telewizji. Chodziłeś pieszo cały dzień?

– Przecież nie przejadę im przez podwórka.

– Nie wiązałem większych nadziei z tym rozpytywaniem – zauważył Crawford.

– A cóż, u diabła, miałem robić?

– To, co umiesz najlepiej. – Crawford ruszył do drzwi. – Intensywna praca jest dla mnie czasem narkotykiem, zwłaszcza odkąd rzuciłem picie. Dla ciebie chyba też.

Graham był zły. Crawford miał oczywiście rację.

Graham dobrze wiedział, że jest z natury leniwy. Dawniej, w szkole, nadrabiał to tempem. Ale szkołę już dawno skończył.

Od dłuższego czasu czuł, że może zrobić jeszcze coś innego. Mógł poczekać, aż na kilka dni przed pełnią popchnie go do tego desperacja. Teraz jednak mogło to przynieść jakiś pożytek.

Musiał się poradzić. Chciał zasięgnąć dziwnej opinii – odzyskać skrzywienie psychiczne,

utracone po kilku wygodnych latach w Keys.

Powody tej decyzji nawarstwiały się w nim jak tryby kolejki w wesołym miasteczku, wspinającej się pod pierwszy zjazd, aż nagle, nieświadom, że złapał się za brzuch, wypowiedział głośno:

– Muszę zobaczyć się z Lecterem.

Doktor Frederick Chilton, dyrektor szpitala stanowego dla psychicznie chorych kryminalistów Chesapeake, wyszedł zza biurka, by przywitać się z Willem Grahamem.

– Doktor Bloom dzwonił do mnie wczoraj, panie Graham... a może powinienem mówić doktorze Graham?

– Nie jestem lekarzem.

– Bardzo mnie ucieszył telefon od doktora Blooma, znamy się od lat. Proszę spocząć.

– Jesteśmy wdzięczni za pomoc, doktorze Chilton.

– Proszę mi wierzyć, czasami wydaje mi się, że jestem sekretarką Lectera, a nie jego nadzorczą. Sama poczta do niego to prawdziwy problem. W niektórych kręgach naukowych korespondowanie z nim należy chyba do dobrego tonu – widziałem listy od niego wiszące w ramkach na wydziałach psychologii – a przez pewien czas miałem wrażenie, że każdy doktorant piszący pracę z tej dziedziny chce z nim przeprowadzić wywiad. Ale z panem i z doktorem Bloomem zawsze jestem gotów współpracować.

– Powinienem rozmawiać z doktorem Lecterem w jak największym odosobnieniu. Być może po dzisiejszym spotkaniu jeszcze raz będę go musiał odwiedzić lub zadzwonić.

Chilton kiwnął głową.

– Wobec tego doktor Lecter pozostanie w swoim pokoju. To jest doprawdy jedyne miejsce, w którym nie wkłada się go w kaftan. Jedna ściana jego pokoju ma podwójne zabezpieczenie i wychodzi na korytarz. Ustawimy tam krzesło i przesłony, jeżeli to panu odpowiada. Zmuszony jestem prosić pana, aby nie podawał mu pan żadnych przedmiotów z wyjątkiem papieru bez spinaczy i zszywek. Żadnych skuwek, ołówków i piór. Ma własne pisaki.

– Może będę musiał mu coś pokazać, żeby go pobudzić – rzekł Graham.

– Może mu pan pokazywać, co pan chce, byle tylko było to na miękkim papierze. Dokumenty proszę kłaść na wsuwanej tacy na posiłki. Proszę nie wyciągać ręki za barierkę, ani nic od niego nie przyjmować w ten sam sposób. Może zwracać dokumenty na tacy. Domagam się tego. Doktor Bloom i pan Crawford zapewnili mnie, iż zastosuje się pan do poleceń.

– Oczywiście. – Graham zaczął wstawać z fotela.

– Wiem, że chciałby pan jak najszybciej zacząć, panie Graham, ale chcę jeszcze coś panu powiedzieć. Zainteresuje to pana.

Ostrzeżenie pana przed Lecterem może wydawać się zbyteczne. Ale on jest wprost rozbijający. Przez cały rok po umieszczeniu go tutaj zachowywał się nienagannie i odnosiliśmy wrażenie, że

współpracuje z nami i chce się poddać terapii. W wyniku tego – było to za czasów mojego poprzednika – rozluźniono nieco system pilnowania.

Ósmego lipca 1976 roku, po południu, skarżył się na ból w piersiach. Zdjęto mu kaftan w gabinecie, żeby zrobić elektrokardiogram. Jeden z pielęgniarzy wyszedł na papierosa, a drugi odwrócił się na sekundę. Gdyby nie refleks i siła siostry, straciłaby i drugie oko.

Może się to panu wydawać dziwne. – Chilton wyciągnął z szuflady pasek z zapisem EKG i rozwinął go na biurku. – Tutaj leży na stole – tłumaczył wodząc palcem po wykresie. – Puls siedemdziesiąt dwa. Tutaj chwyta siostrę za głowę i przyciąga ją do siebie. Tutaj obezwładnia go pielęgniarz. Ciekawe, że się nie opierał, chociaż pielęgniarz wykręcił mu ramię. Proszę zauważyć ciekawostkę. Jego puls nie przekroczył osiemdziesięciu pięciu. Nawet kiedy wyrywał jej język.

Chilton nie potrafił nic wyczytać z twarzy Grahama. Odchylił się w fotelu i podparł brodę koniuszkami palców. Ręce miał suche i błyszczące.

– Wie pan co, kiedy ujęto Lectera, wydawało się nam, że nadarza się wspaniała okazja do studiowania przypadku czystego socjopaty. Tak rzadko udaje się ująć ich żywcem. Lecter jest bardzo przytomny, taki spostrzegawczy, wykształcony i na dodatek psychiatra... i jest wielokrotnym mordercą. Wydawało się, że będzie współpracował, i mieliśmy nadzieję, że stworzy przełom w badaniach tego typu zaburzeń. Myśleliśmy, iż wejdziemy w położenie Beaumonta obserwującego trawienie przez otwór w brzuchu świętego Marcina. W rezultacie nie sędzę, żebyśmy go lepiej rozumieli teraz niż w dniu przyjęcia. Czy rozmawiał pan kiedyś z Lecterem przez dłuższy czas?

– Nie. Zobaczyłem go dopiero wtedy, gdy... Widziałem się z nim głównie w sądzie. Doktor Bloom udostępnił mi jego artykuły w periodykach.

– Natomiast on pana świetnie zna. Dużo o panu myślał.

– Odbywał pan z nim sesje?

– Tak. Dwanaście. Nie zgłębiłem go. Zbyt wyrafinowany na testy, żeby można było coś z niego wyciągnąć. Próbowali go złamać i Edwards, i Fabre, a nawet sam doktor Bloom. Mam ich notatki. Dla nich także stanowi wielką niewiadomą. Nie można dociec, co ukrywa i czy pojmuje więcej, niż mówi. Och, od uwięzienia napisał parę błyskotliwych artykułów do „American Journal of Psychiatry” i „General Archives”. Zawsze jednak pisze o problemach jego nie dotyczących. Chyba się boi, że jak go rozszyfrujemy, to nikt się nim nie zainteresuje i wpakują go do jakiegoś podrzędnego więzienia na resztę żywota.

Chilton przerwał. Miał wprawę w obserwowaniu pacjentów w czasie wywiadów kątem oka. Spodziewał się, że w ten sam sposób będzie mógł obserwować Grahama niepostrzeżenie.

– Zgadza się tutaj co do jednego, a mianowicie, że jedyną osobą, która do tej pory wykazała nieco praktycznego zrozumienia Hannibala Lectera, jest pan, panie Graham. Może mi pan coś o nim powiedzieć?

– Nie.

– Personel chciałby się dowiedzieć, czy pan, widząc morderstwa doktora Lectera, czyli jakby jego „styl”, był w stanie odtworzyć jego fantazje. I czy pomogło to panu zidentyfikować go?

Graham nie odpowiedział.

– Mamy załóżnie mało materiału na ten temat. W „Journal of Abnormal Psychology” jest taki jeden kawałek. Czy zechciałby pan porozmawiać z personelem... nie, nie teraz oczywiście, doktor Bloom wyraźnie to zastrzegł. Mamy pana zostawić w spokoju. Może następnym razem.

Doktor Chilton wielokrotnie widział wrogość. Miał okazję zobaczyć ją jeszcze raz.

Graham podniósł się.

– Dziękuję, doktorze. Chcę się teraz zobaczyć z Lecterem.

Stalowe drzwi oddzielające sektor pod specjalnym nadzorem zamknęły się za Grahamem. Usłyszał trzask zasuw.

Wiedział, że Lecter przesypia większość ranka. Spojrzał w głąb korytarza. Z tego miejsca nie widział celi Lectera, ale domyślał się, że przygasił światła.

Chciał zobaczyć Lectera podczas snu. Potrzebował czasu, żeby wziąć się w garść. Jeżeli poczuje w swojej głowie szaleństwo Lectera, musi je szybko stłumić, jak pożar.

Szedł za dyżurnym popychającym wózek z pościelą, by ukryć odgłos swych kroków. Niełatwo zaskoczyć doktora Lectera.

Zatrzymał się w połowie korytarza. Stalowe kraty przegradzały cały przód celi. Za kratami, dalej niż na wyciągnięcie ręki, od podłogi do sufitu i od ściany do ściany rozpięto mocną nylonową siatkę. Za zaporą Graham zobaczył stół i krzesło przyśrubowane do podłogi. Na stole piętrzyły się książki w miękkich okładkach i korespondencja. Podeszedł do krat, chwycił je i natychmiast puścił.

Doktor Hannibal Lecter spał na pryczy z głową na poduszce opartej o ścianę. Na jego piersiach leżała otwarta książka Dumasa Le Grand Dictionnaire de Cuisine.

Graham spoglądał przez kraty może niecałe pięć sekund, gdy Lecter otworzył oczy i odezwał się:

– Ciągle używasz tej wstrętnej wody po goleniu.

– Dostaję ją pod choinkę.

W brązowych oczach doktora Lectera światło rozpraszało się na drobne czerwone punkciki. Graham czuł, jak włosy jeżą mu się na karku. Położył na nich dłoń.

– Pod choinkę, mówisz. Dostałeś moją kartkę?

– Tak, dziękuję.

Kartkę świąteczną od Lectera przesłano mu z laboratorium kryminalnego FBI z Waszyngtonu. Wyniósł ją na podwórko, spalił i umył ręce, zanim dotknął Molly.

Lecter wstał i podszedł do stołu. Mały zwinny mężczyzna. Schludny.

– Czemu nie siądziesz. Will? Z tamtej strony w schowku chyba są składane krzesła. Zwykle stamtąd dochodzi stuk.

– Dyżurny już mi niesie.

Lecter stał, dopóki Graham nie usiadł na krześle w korytarzu.

– Jak się miewa posterunkowy Stewart?

– Świetnie. – Posterunkowy Stewart odszedł z policji po obejrzeniu piwnicy Lectera. Został kierownikiem motelu. Graham o tym nie wspomniał. Nie sądził, żeby Stewart pragnął otrzymywać od Lectera pocztę.

– Fatalnie, że uczucia wzięły nad nim górę. Taki dobrze zapowiadający się młodzieniec. A ty. Will, miewasz problemy?

– Nie.

– Oczywiście.

Graham czuł, jak Lecter zagląda mu pod czaszkę. Jego zainteresowanie łaskotało go w mózgu jak mrówka.

– Cieszę się, że przyszedłeś. Ile to już lat, trzy? Odwiedzają mnie tylko profesjonaliści. Podrzędni psychiatry z klinik i ambitni, mało znani doktorzy psychologii z tych ohydnych nowych uniwersytetów. Pismaki, starający się zapracować na profesurę publikacjami.

– Doktor Bloom pokazał mi twój artykuł na temat nałogu chirurgicznego w „Journal of Clinical Psychiatry”.

– I...?

– Bardzo ciekawy, nawet dla laika.

– Laik... laik, laik. Interesujące określenie – powiedział

Lecter. – Tylu uczonych wszędzie się kręci. Tylu ekspertów od stypendiów państwowych. A ty mówisz, że jesteś laikiem. Ale przecież to ty mnie złapałeś, Will. Czy wiesz dlaczego?

– Nie wątpię, że czytałeś akta sprawy. Tam jest wszystko napisane.

– Wcale nie. Czy wiesz dlaczego. Will?

– Wszystko jest w aktach. Jakże to ma teraz znaczenie?

– Dla mnie żadnego. Will.

– Chcę, żebyś mi pomógł, doktorze Lecter.

– Domyślam się.

– Chodzi o Atlantę i Birmingham.

– Tak.

– Jestem pewien, że czytałeś o tym.

– Czytałem w gazetach. Nie wolno mi niczego wycinać. Oczywiście nie dają mi nożyczek. Wiesz, czasem mnie straszą, że odbiorą mi książki. Nie chciałbym, żeby sądzili, iż snuję jakieś ponure rozmyślenia. – Pokazał w uśmiechu małe białe zęby. – Chciałbyś zapewne wiedzieć, jak wybiera ofiary.

– Sądziłem, że coś ci przyjdzie do głowy. I może mi to powiesz.

– A to czemu?

Graham spodziewał się tego pytania. Lecterowi z pewnością nie zależy na wyłapaniu masowych morderców.

Będziesz potrzebował materiałów – powiedział. – Sprawozdań, nawet filmów. Porozmawiam o tym z kierownictwem.

– Z Chiltonem? Poznałeś go z pewnością przy wejściu. Ale ponury facet. Przyznaj się, chciał trochę poszperać w twojej głowie. I to jak uczeń rozbierający panienkę, co? Obserwował cię spod oka. Zauważyłeś? Nie uwierzysz, ale próbował dać mi test na tematyczną apercepcję. Uśmiechał się szeroko jak głupi do sera, czekając aż pojawi się Mf 13. Ha! Wybacz mi, zapomniałem, że nie należysz do wtajemniczonych. Jest to obrazek z kobietą w łóżku i mężczyzną na pierwszym planie. Spodziewał się, że ominę seksualną interpretację. Ale mnie ubawił! Nadał się i oznajmił wszystkim, że unikałem więzienia cierpiąc na syndrom Gansera... ale zostawmy te nudy.

– Miałbyś dostęp do biblioteki filmowej Amerykańskiego Stowarzyszenia Lekarzy.

– Nigdy mi nie wydadzą tego, co chcę.

– Spróbuj.

- I tak mam dosyć czytania.
- Wyślemy ci pełne akta tej sprawy. Ale jest jeszcze jeden powód.
- No, mów.
- Pomyślałem sobie, że chętnie sprawdzisz, czy jesteś lepszy od poszukiwanego.
- Chcesz zatem powiedzieć, że ty jesteś lepszy ode mnie, bo mnie złapałeś.
- Nie. Wiem, że nie jestem lepszy od ciebie.
- A więc jak mnie złapałeś, Will?
- Pewne sprawy działały na twoją niekorzyść.
- Na przykład jakie?
- Pasja. No i to, że jesteś niepoczytalny...
- Jesteś opalony, Will.

Graham nie odpowiedział.

– Masz spracowane ręce. Nie wyglądają już na ręce gliny. Tę wodę kolońską na pewno wybrał dzieciak. Ma na butelce okręt, prawda? – Doktor Lecter prawie nie prostuje głowy. Kiedy zadaje pytanie, przechyla się lekko na bok, zupełnie jakby chciał wpoić w rozmówcę zainteresowanie. Ponowna chwila ciszy, aż wreszcie Lecter stwierdził: – nie wyobrażaj sobie, że mnie przekonasz, przemawiając do mojej intelektualnej próżności.

– Nie myślę cię przekonywać. Albo chcesz, albo nie. – Doktor Bloom i tak nad tym pracuje, a on jest najlepszym...

- Masz ze sobą akta?
- Tak.
- A zdjęcia?
- Też.
- Daj mi je, a się zastanowię.
- Nie.
- Często ci się coś śni. Will?
- Do widzenia, doktorze Lecter.

– Zapomniałeś mnie przestraszyć, że zabierzesz mi książki.

Graham oddalił się.

– No to daj te akta. Powiem ci, co o tym myślę. Graham z trudem wcisnął skrócone akta do ruchomej tacy.

Lecter przeciągnął ją na swoją stronę.

– Na górze leży streszczenie. Przeczytaj je teraz – powiedział Graham.

– Wolałbym przeczytać to na osobności. Daj mi godzinę.

Graham usiadł na wytartej kanapie w ponurej świetlicy. Sanitariusze wpadali na kawę. Nie odzywał się do nich. Wpatrywał się w małe przedmioty w pokoju i z ulgą stwierdzał, że nie umykają mu sprzed oczu. Dwa razy wychodził do toalety. Nic nie czuł.

Dozorca wpuścił go ponownie na oddział specjalny.

Lecter siedział przy stole, zatopiony w myślach. Graham przypuszczał, że większość czasu spędził nad zdjęciami.

– Jaki to wstydlivy chłoptaş, Will. Chciałbym go poznać... Czy przyszło ci na myśl, że chyba jest ułomny? Albo myśli, że jest ułomny?

– Te lustra.

– Tak. Zauważ, że tłucze wszystkie lustra w domu, nie tylko po to, żeby zdobyć potrzebne odłamki. Nie używa ich tylko do zadawania ran. Tak je ustawia, żeby się w nich przeglądać. W ich oczach... pani Jacobi i... jak się nazywała ta druga?

– Pani Leeds.

– Właśnie.

– To ciekawe – powiedział Graham.

– Wcale nie ciekawe. Już na to wpadłeś.

– Tak, rozważałem to.

– Przyszedłeś tutaj, żeby sobie na mnie popatrzeć. Zwęszyć stary trop, co? Czemu siebie nie obwąchasz?

– Chcę usłyszeć twoją opinię.

– Nic nie mogę powiedzieć tak od ręki.

– Jak coś będziesz miał, to chciałbym to usłyszeć.

– Mogę zatrzymać akta?

– Jeszcze nie wiem.

– Dlaczego brakuje opisów terenu? Mamy frontalne ujęcia domów, plany pięter, rysunki pokoi, w których miały miejsce wypadki, ale brak informacji o terenie. Jak wyglądały podwórka?

– Olbrzymie, ogrodzone, nieco żywopłotu. Czemu pytasz?

– Ponieważ, mój drogi Willu, jeżeli ten pielgrzym odczuwa taką jedność z księżycem, to na pewno lubi wychodzić na dwór i patrzeć na niego. Zanim jeszcze się oporządzi, rozumiesz? Widziałeś krew w świetle księżyca, Will? Wydaje się całkiem czarna. Oczywiście zachowuje charakterystyczny odblask. Gdybyś był, powiedzmy, nagi, do takich zabiegów przydałoby się trochę prywatności, prawda? Trzeba się przecież liczyć z sąsiadami.

– Myślisz, że ogród może wchodzić w grę przy wyborze ofiar?

– O tak. Będzie ich jeszcze trochę, oj będzie. Pozwól mi zatrzymać te akta, Will. Przystudiuję je. Jak będziesz miał więcej danych, to mi przyślij. Możesz do mnie dzwonić. Czasami, kiedy dzwoni mój adwokat, przynoszą mi telefon do celi. Dawniej podłączali go do głośnika, ale wszyscy słuchali. Może dałbyś mi swój numer domowy?

– Nie.

– Czy wiesz, dlaczego mnie złapałeś, Will?

– Do widzenia, doktorze Lecter. Możesz zostawić dla mnie wiadomość pod numerem, który znajdziesz w aktach.

– Czy wiesz, dlaczego mnie złapałeś?

Graham zniknął z pola widzenia Lectera i szedł spieszenie do dalekich stalowych drzwi.

– Złapałeś mnie dlatego, że JESTEŚMY DOKŁADNIE TACY SAMI! – usłyszał w chwili, gdy stalowe drzwi zamykały się za nim.

Był pozbawiony czucia i pragnął nadal pozostać w tym stanie. Szedł ze spuszczoną głową, nie odzywając się do nikogo i słysząc głuche tętno swojej krwi niczym łopot skrzydeł. Jakże blisko na dwór. To przecież tylko budynek; Lectera odgradzało od wolności zaledwie pięć par drzwi. Wychodził z dziwnym poczuciem, że Lecter podąża za nim. Na zewnątrz zatrzymał się przed bramą i rozejrzał, upewniając się, że jest sam.

Z samochodu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy wysunął się obiektyw aparatu i Freddy Lounds złapał znakomity profil Grahama na tle wejścia, nad którym wyryto w kamieniu napis: „Szpital Stanowy dla Psychiczenie Chorych Kryminalistów”.

Okazało się, iż „National Tattler” obciął zdjęcie, zostawiając tylko twarz Grahama i trzy ostatnie słowa.

Po wyjściu Grahama doktor Hannibal Lecter leżał na pryczy w przyciemnionej celi. Minęło kilka godzin.

Przez jakiś czas czuł tylko tkaniny; splot poszewki pod rękami założonymi pod głowę, gładki materiał otaczający policzek.

Potem czuł zapachy i pozwalał umysłowi snuć domysły na ich temat. Niektóre rzeczywiste, niektóre nie. Do rur wlewali chlor – sperma. W hallu roznosili paprykarz na obiad – przepocony mundur. Graham nie dał mu swojego domowego telefonu – gorzki zielony zapach ściętych rzepów i wodorostów.

Lecter usiadł. Graham mógłby zachować się nieco uprzejmiej. Jego myśli nasiąkały ciepłym mosiężnym zapachem elektrycznego zegara.

Zamrugnął oczami i uniośł brwi. Zapalił światła i napisał do Chiltona z prośbą o telefon, bo chce zadzwonić do adwokata.

Lecterowi przysługiwało prawo prywatnych rozmów z adwokatem i jak dotąd nie nadużył tego przywileju. Chilton nie pozwalał mu wychodzić do telefonu, więc aparat przynoszono mu do celi.

Dwaj strażnicy przynieśli telefon i przeciągnęli kabel z gniazdka w służbówce. Jeden trzymał klucze, drugi pojemnik z gazem obojętnym.

– Proszę stanąć z drugiej strony celi, doktorze Lecter. Twarzą do ściany. Jeżeli odwróci się pan albo podejdzie do bariery przed zgrzytnięciem zamka, dostanie pan gazem po oczach. Zrozumiano?

– Jak najbardziej – odpowiedział Lecter. – Jestem niezmiernie wdzięczny za przyniesienie telefonu.

Wybierał numer przez nylonową siatkę. Informacja w Chicago podała mu telefon Wydziału Psychiatrii Uniwersytetu Chicago i biura doktora Alana Blooma. Połączył się z centralą wydziałową.

– Chciałbym prosić z doktorem Alanem Bloomem.

– Nie jestem pewna, czy jest dzisiaj, ale połączę pana.

– Chwileczkę, powinienem pamiętać nazwisko jego sekretarki, ale jak na złość wyleciało mi z głowy.

– Linda King. Proszę poczekać.

– Dziękuję.

Telefon zadzwonił osiem razy, zanim podniesiono słuchawkę.

– Sekretariat, słucham.

– Cześć, to ty Linda?

– Linda nie pracuje w soboty. Doktor Lecter właśnie na to liczył.

– Może będzie mi pani mogła pomóc. Mówi Bob Greer z wydawnictwa Blaine and Edwards. Doktor Bloom prosił mnie, żebym wysłał książkę Overholsera *The Psychiatrist and the Law* do Willa Grahama i Linda miała mi przesłać adres i telefon, ale jakoś zapomniała.

– Ja jestem asystentką, Linda będzie w po...

– Muszę wysłać to ekspresem federalnym, który odchodzi za pięć minut, a nie chciałbym zawracać tym głowy doktorowi Bloomowi w domu, tym bardziej, że zlecił to Lindzie i mogłaby mieć nieprzyjemności. Zawsze trzyma adresy w takim obrotowym notesie na biurku. Zatańczę na pani weselu, jeśli mi go pani odczyta.

– Nie ma tu takiego notesu.

– A może jest taki płaski z ruchomą rączką na boku?

– Jest.

– Bądź aniołem i weź za tę rączkę, a już ci nie będę przeszkadzał.

– Jakie to było nazwisko?

– Graham. Will Graham.

– W porządku, jego numer domowy: 305 JL 5 7002.

– Ale ja mam mu to wysłać.

– Nie ma tu jego domowego adresu.

– A jaki jest?

– Do FBI, róg Dziesiątej i Pennsylvania, Waszyngton. Och, jest też skrytka pocztowa: 3080, Marathon, Floryda.

– To wystarczy, jesteś aniołem.

– Ależ proszę bardzo.

Lecter poczuł się o wiele lepiej. Jeszcze mu zrobi niespodziankę i zadzwoni albo, jak będzie podskakiwał, to zamówi dla niego szpitalny pojemnik na odchody po operacji brzucha, najlepiej z doręczeniem do domu, tak tylko, żeby przywołać w pamięci stare czasy.

Siedemset mil na południowy zachód, w bufecie Laboratorium Filmowego Gateway w St. Louis, Francis Dolarhyde czekał na hamburgera. Zakąski wystawione na gorącej ladzie wyglądały nieświeżo. Stał przy kasie i popijał kawę z papierowego kubka.

Młoda ruda kobieta w roboczym fartuchu weszła do bufetu i oglądała słodycze w automacie. Kilkakrotnie rzuciła okiem na stojącego tyłem Francisca Dolarhyde'a i przygryzła wargi. W końcu podeszła do niego.

– Panie D.?

Dolarhyde odwrócił się. Zawsze nosił czerwone gogle poza ciemnią. Kobieta patrzyła prosto w siodełko gogli.

– Usiądź ze mną na chwilę. Chcę ci coś powiedzieć.

– A cóż ty mi możesz powiedzieć, Eileen?

– że jest mi naprawdę przykro. Bob po prostu się upił i, no wiesz, tylko się wyglupiał. Nie miał złych zamiarów. Usiądź ze mną. Tylko na chwilę. Słyszysz?

– Uhm. – Dolarhyde nigdy nie mówił „słyszę”, bo miał kłopoty z wymawianiem głoski „s”.

Usiedli. Kobieta miętoszyła serwetkę.

– Wszyscy dobrze się bawili i ucieszyliśmy się, że przyszedłeś – powiedziała. – Cieszyliśmy się, chociaż wpadłeś niespodziewanie. Wiesz, jaki jest Bob, cały czas naśladuje różne dźwięki... powinien występować w radio. Mówił dwoma czy trzema dialektami, jak opowiadał kawały, a wiesz, umie nawet mówić tak jak Murzyn. Kiedy małpował tamten głos, to wcale nie chciał cię obrazić. Był zbyt pijany, żeby się zorientować, kto przyszedł.

– Wszyscy się ś... dobrze bawili, a potem nagle przestali. Dolarhyde nigdy nie mówił „śmiali” z powodu „ś”.

– Bo zorientowali się, że Bob palnął gafę.

– Ale on nie przestawał.

– Wiem – powiedziała, szybko przenosząc wzrok z serwetki na jego oczy. – Już mu zmyłam za to głowę. Tłumaczył się, że nie robił tego celowo, ale sądził, że lepiej będzie żart skończyć. Widziałeś, jaki się zrobił czerwony.

– Zaprosił mnie... żebym wystąpił z nim w duecie.

– Uściskał cię i chciał cię objąć. Chciał zbyć to wszystko śmiechem, panie D.

– Nie ma o czym mówić, Eileen.

– Jest mu bardzo przykro.

– Ależ ja nie chcę, żeby mu było przykro. Nic podobnego. Powiedz mu to. W każdym razie nasze układy w laboratorium na pewno nie ucierpią. Rany, gdybym miał talent Boba, to ś... dowcipkowałbym non stop. – Dolarhyde znowu ominął „ś”. – Niedługo znowu się zobaczymy, to się przekona, jak do tego podchodzę.

– To dobrze, panie D. Wiesz, on jest naprawdę, mimo tych dowcipów, bardzo wrażliwy.

– Nie wątpię. Czuły, co? – Jego głos przygłuszała dłoń.

Kiedy siedział, zawsze przykładał zgięty palec wskazujący do nosa.

– Słucham?

– Myślę, że jesteś dla niego dobra, Eileen.

– Też tak myślę, naprawdę. On nie pije dużo, już tylko w weekendy. Zawsze kiedy się rozluźnia, dzwoni do niego żona. Bob robi miny, jak z nią rozmawiam, ale widzę, że potem jest smutny. Kobieta to wie. – Poklepała go po ręce i pomimo okularów dostrzegła reakcję w jego oczach. – Nie przejmuj się, panie D. Cieszę się, że porozmawialiśmy.

– Ja też, Eileen.

Dolarhyde odprowadził ją wzrokiem. Pod kolanem zauważył malinkę. Domyślał się, nie bez racji, że Eileen nie doceniała go. W zasadzie nikt go nie doceniał.

Wielka ciemnia zionęła zimnem i chemikaliami. Pracując pod czerwonym światłem Francis Dolarhyde sprawdzał wywoływacz w zbiorniku A. Setki metrów taśmy amatorskich filmów z całego kraju przechodziło przez zbiornik w ciągu godziny. Najważniejsze było utrzymanie odpowiedniej temperatury i dbanie o to, by odczynniki były stale świeże. To, oraz wszystkie czynności, aż do przejścia filmu przez suszarkę, należały do jego obowiązków. Wiele razy w ciągu dnia wyciągał ze zbiornika próbki filmu i sprawdzał je klatka po klatce. W oświetlonym na czerwono pokoju panowała cisza. Dolarhyde zabronił rozmów swoim pracownikom i komunikował się z nimi głównie gestami.

Po wieczornej zmianie zostawał sam w ciemni, żeby wywoływać, suszyć i montować swoje własne filmy.

Dolarhyde dotarł do domu około dziesiątej w nocy. Mieszkał w olbrzymim domu odziedziczonym po dziadkach. Dom stał na końcu żwirowej alejki biegnącej przez sad jabłoni w północnej dzielnicy St. Charles w stanie Missouri, po drugiej stronie rzeki od St. Louis. Sad był zaniedbany. Wśród zielonych drzew stały też uschnięte i powyginane. Teraz, w pierwszych dniach sierpnia, nad sadem unosił się zapach gnijących jabłek. W ciągu dnia przylatywało tu wiele pszczół. Najbliższy sąsiad mieszkał pół mili dalej.

Dolarhyde zawsze po przyjściu do domu sprawdzał wszystkie pokoje; przed kilkoma laty ktoś próbował się włamać. Zapalał światła w każdym pomieszczeniu i rozglądał się. Przypadkowy gość nie odgadłby, że mieszka sam. Ubrania dziadków nadal wisiły w szafach, na toaletce leżały szczotki babki z resztkami włosów. Jej zęby spoczywały w szklance na nocnym stoliku. Woda dawno z niej wyparowała. Babka nie żyła już od dziesięciu lat.

(Organizator pogrzebu spytał: „Panie Dolarhyde, może przyniósłby pan zęby babci?”
Odpowiedział krótko: „Proszę zamknąć wieko”).

Zadowolony, że jest w domu sam, Dolarhyde poszedł na górę. Długo brał prysznic i mył włosy.

Włożył kimono z syntetyku udającego jedwab i położył się na wąskim łóżku w pokoju, który zajmował od dzieciństwa. Suszarka do włosów po babce miała plastikową końcówkę i rurę. Nasadził końcówkę na rurę i susząc się, przeglądał najnowszy magazyn mody. Nienawiść i bestialstwo bijące z niektórych zdjęć były wprost wspaniałe.

Zaczął się podniecać. Skierował metalowy klosz lampki nocnej na ścianę w nogach łóżka, na której wisiał rysunek. Był to obraz Williama Blake’a zatytułowany „Wielki czerwony smok i kobieta odziana w słońce”.

Oniemiał z wrażenia, kiedy zobaczył ten obraz po raz pierwszy. Nigdy dotąd nie widział nic, co tak dokładnie przedstawiałoby jego uczucia. Blake chyba zaglądał do jego ucha, żeby zobaczyć czerwonego smoka. Tygodniami Dolarhyde martwił się, że jego myśli prześwitują przez uszy i uwidoczniają się w ciemni, przez co mogą zepsuć film. Wsadzał sobie watę w uszy. Ale bojąc się, że jest łatwopalna, spróbował szklanej waty. Rozkrwawiła mu tylko uszy. W końcu wyciął małe kawałki tkaniny azbestowej z pokrycia deski do prasowania i wytoczył z nich tulejki, które pasowały do jego uszu.

Przez długi czas posiadał tylko czerwonego smoka. Ale teraz miał coś więcej. Poczuł, że dostaje erekcji.

Chciał przeżyć ten proces wolno, ale nie mógł już wytrzymać.

Zaciągnął ciężkie story na oknach w salonie na parterze. Ustawił ekran i projektor. Dziadek, mimo protestów babki, kupił do salonu fotel. (Ona położyła na podglówku makatkę). Dolarhyde był z tego teraz zadowolony. Jakże mu było wygodnie. Na poręczy ułożył ręcznik.

Wyłączył światła. Rozłożony wygodnie w ciemnym pokoju, mógłby znajdować się wszędzie. Pod sufitem zamontował kulę ze szkiełek, która kręcąc się rozpraszała kolorowe światełka na ścianach, podłodze, na jego skórze. A może siedzi na fotelu w kabine statku kosmicznego, w szklanej bańce wysoko wśród gwiazd? Zamykając oczy niemalże czuł muskające go plamki światła, a kiedy je otwierał, zdawały mu się światłami miast nad lub pod nim. Zatarła się różnica między górą a dołem. Kula świetlna w miarę rozgrzewania się wirowała coraz szybciej i światełka obsiadały go, przelewały się nad meblami nierównomiernym strumieniem i opadały deszczem meteorów po ścianach. Czuł się jak kometa nurkująca przez gwiazdozbiór Raka.

W jedno miejsce nie padało światło. Przyłożona tekstura w pobliżu kuli świetlnej rzucała cień dokładnie na ekran.

Może w przyszłości zapali sobie najpierw, żeby zwiększyć efekt, ale tym razem było to zbędne. Nacisnął kciukiem wiszący przełącznik i włączył projektor. Na ekranie pojawił się biały prostokąt, potem zszarzał, zmienił się w smugę i wtedy szary terier nastawił uszy i podbiegł do drzwi kuchennych, merdając w oczekiwaniu krótkim ogonkiem. Potem dodatkowe ujęcie teriera, jak biegnie wzdłuż krawężnika i próbuje ugryźć kogoś z boku, za kamerą. Pani Leeds wchodzi do kuchni z zakupami. Śmieje się i odgarnia włosy. Dzieci wchodzi za nią. Nagle, w bardzo słabym ujęciu, Dolarhyde w swojej sypialni na górze. Stoi nagi przed rysunkiem „Wielkiego czerwonego smoka i kobiety odzianej w słońce”. Ma na sobie „bojowe okulary”, plastiki ściśle przylegające do głowy i często używane przez hokeistów. Swoją erekcję poprawia dłonią.

Zbliża się do kamery wystylizowanymi ruchami. Obraz traci ostrość, ale ręka wysuwa się, by ją poprawić i ekran wypełnia już tylko twarz. Obraz rozmywa się, po czym następuje ostre zbliżenie ust. Pojawia się odchyłona zniekształcona górna warga, język wysunięty spomiędzy zębów i rozedrgane oko. Ekran wypełniają usta, wargi odsłaniają wyszczerbione zęby i ciemność ust pochłania obiektyw.

Jakość obrazu znacznie się pogarsza, najwyraźniej warunki kręcenia były trudne.

Niewyraźny kształt w ostrym świetle zmienia się powoli w łóżko i Charlesa Leedsa w agonii; pani Leeds siada, zasłania oczy przed światłem, odwraca się do męża i kładzie na nim ręce; odwraca się, próbuje wstać, ale prześcieradło oplątuje jej nogi. Kamera gwałtownie kieruje się na sufit, gzyms chwieje się miarowo na ekranie, ale wkrótce pojawia się ciało pani Leeds na łóżku, ciemna plama na jej koszuli nocnej poszerza się i Leeds z obłędem w oczach wstaje trzymając się ręką za szyję. Ekran na chwilę zaciemnia się, potem widać miejsce łączenia filmów.

Od tej pory kamera stoi nieruchomo na statywie. Wszyscy są martwi. Wszyscy odpowiednio porozmieszczani. Dwójka dzieci siedzi pod ścianą naprzeciw łóżka, trzecie po drugiej stronie, twarzą do kamery. Pan i pani Leeds w łóżku, przykryci pościelą. Pan Leeds przywiązany sznurem do górnego oparcia łóżka, przykryty tak, że wystaje tylko przekrzywiona na bok głowa.

Dolarhyde wchodzi w kadr z lewej strony, pływającym krokiem tancerki z wyspy Bali. Umazany krwią i odziany jedynie w swoje okulary i rękawice, płąsa między umarłymi. Podchodzi do łóżka od strony pani Leeds, podnosi rozek pościeli i odrzuca ją jednym szarpnięciem, zastygając w baletowej pozie.

Oglądając film w salonie dziadków, Dolarhyde oblewa się teraz potem. Język zwisa mu z ust, ślina pokrywa bliznę na górnej wardze, jęczy, pobudzając się ręką.

Nawet w krańcowym podnieceniu z przykrością zauważa, że w końcowej scenie filmu gubi elegancję ruchów i utyka jak świnia, z tyłkiem wypiętym wulgarnie w stronę kamery. Brakowało dramatycznych pauz, stopniowania i uniesienia, nad wszystkim dominował brutalny szal.

Mimo niedostatków, film był wspaniały. I takież oglądanie. Ale nie tak wspaniałe, jak same czyny.

Dwa zasadnicze braki to, jak sądził, brak momentu śmierci Leedsów i jego zła gra pod koniec. Zupełnie jakby tracił swoje zasady. Czerwony Smok tak by się nie zachował.

Nie szkodzi. Przed nim jeszcze wiele filmów i w miarę nabierania doświadczenia z pewnością zachowa większy estetyczny dystans, nawet w najintymniejszych momentach.

Należy podjąć ten wysiłek. To dzieło jego życia, wielka sprawa. Przejdzie do historii.

Czas nagli. Najwyższa pora wybrać świadków widowiska. Skopiował już kilka filmów z wycieczek rodzinnych z okazji święta narodowego czwartego lipca. Końcówka lata zawsze oznaczała wzmożony ruch w zakładzie, gdyż nadchodziły filmy z wakacji. Dzień Dziękczynienia przynosi następny szczyt.

Filmy od rodzin napływały do niego codziennie.

Samolot z Waszyngtonu do Birmingham był niemal pusty. Graham usadowił się w wolnym rzędzie pod oknem.

Nie wziął od stewardesy nie najświeższej kanapki, lecz rozłożył na stoliku akta sprawy Jacobich. Wypunktował na wstępie podobieństwa między przypadkiem Jacobich i Leedsów.

Obydwie pary zbliżały się do czterdziestki, obydwie miały dzieci – dwóch chłopców i dziewczynkę. Edward Jacobi miał jeszcze syna z pierwszego małżeństwa, który studiuje poza miastem i w czasie zabójstwa nie było go w domu.

W obu przypadkach rodzice skończyli studia i obie rodziny mieszkały w piętrowych, ładnie położonych domach.

Pani Jacobi i pani Leeds były atrakcyjnymi kobietami. Mieli wspólne niektóre karty kredytowe i prenumerowali kilka tych samych czasopism.

Na tym podobieństwa się kończyły. Charles Leeds specjalizował się w prawie podatkowym, a Edward Jacobi skończył inżynierię i metalurgię. Rodzina z Atlanty należała do prezbiterianów, a Jacobich do katolików. Leedsowie rezydowali w Atlancie od urodzenia, a Jacobich przeniesiono służbowo do Birmingham z Detroit, zaledwie przed trzema miesiącami.

Słowo „przypadkowy” kołatało się w głowie Grahama jak natrętna mucha. „Przypadkowy wybór ofiar”, „brak jasnego motywu” – pisano w gazetach i powtarzano ze złością i zniechęceniem na komisariatach.

„Przypadkowy” nie był jednak odpowiednim terminem. Graham doskonale wiedział, że wielokrotni i seryjni zabójcy nie wybierają ofiar przypadkowo.

Człowiek, który zabił Jacobich i Leedsów, zobaczył w nich coś pociągającego, coś, co skłoniło go do popełnienia takich czynów. Albo znał ich dobrze – Graham liczył na to – albo nie znał ich wcale. Graham był pewien, że zabójca widział ich już wcześniej, zanim ich zabił. Wybrał ich, bo coś w nich do niego przemawiało, a zwłaszcza kobiety. Co to było?

W obu zbrodniach istniały także różnice.

Edwarda Jacobi dosięgła kula, kiedy schodził na dół niosąc latarkę... chyba zbudzony hałasem.

Panią Jacobi i jej dzieci zabito strzałem w głowę, a panią Leeds w podbrzusze. Strzelano we wszystkich przypadkach z pistoletu kaliber 9. W ranach pozostały resztki szklanej waty z tłumika wykonanego chałupniczą metodą. Łuski po nabojach nie miały odcisków palców.

Noża użyto tylko w przypadku Charlesa Leedsa. Doktor Princi sądził, że był cienki i ostry, jak nóż do filetowania.

Różniły się także metody wejścia do domów; u Jacobich wylamane drzwi na patio, u Leedsów diament do cięcia szkła.

Zdjęcia zbrodni w Birmingham nie wykazywały takiej ilości krwi jak u Leedsów, ale na ścianach sypialni pozostały plamy. Zatem w Birmingham zabójca także ustawił sobie widownię. Policja w Birmingham nie znalazła odcisków palców na ciałach ani na paznokciach. Miesiąc od pochówku i to w lecie, zniszczy każdy odcisk palca, a zwłaszcza taki, jaki zdjęto z dziecka Leedsów.

W obydwu domach znaleziono te same jasne włosy, tę samą ślinę i spernę.

Graham ustawił przed sobą zdjęcia dwóch uśmiechniętych rodzin i w ciszy samolotu wpatrywał się w nie przez dłuższą chwilę.

Cóż przyciągnęło mordercę właśnie do nich? Graham przekonywał sam siebie, że taki wspólny element istnieje i że go wkrótce odgadnie.

W przeciwnym razie zmuszony będzie wchodzić do następnych domów i oglądać spustoszenie, jakie zostawi po sobie Szczerbata Lala.

Z lotniska w Birmingham Graham zatelefonował do terenowego biura FBI, skąd dostał niezbędne wskazówki, i na policję, gdzie zgłosił swoje przybycie. Wynajęty niewielki samochód pluł wodą z otworów klimatyzacyjnych. Wkrótce miał mokre całe ręce i ramiona.

Najpierw zatrzymał się przed biurem sprzedaży nieruchomości Geehana przy Dennison Avenue.

Geehan, wysoki i łysy, przebiegł rażno przez swój turkusowy dywanik, żeby go powitać. Uśmiech spełzył mu z twarzy, kiedy Graham pokazał mu swoją legitymację i poprosił o klucze do domu Jacobich.

– Czy będą tam dzisiaj jakieś gliny w mundurach? – zapytał chwytając się za głowę.

– Nie wiem.

– Daj Boże, żeby nie, dziś po południu mam go pokazać dwóm klientom. To miły dom. Widząc go ludzie zapominają o tamtej historii. W zeszły czwartek miałem tu parę zamożnych emerytów z Duluth. Napaleni na Słoneczny Pas. Byliśmy już przy omawianiu szczegółów – hipoteka i tak dalej czułem, że facet jest gotów, kiedy zajechał wóz patrolowy i policjanci wleźli do środka. Moja para zadała im kilka pytań i, człowieku, dostała nader wyczerpującą odpowiedź. Ci wspaniali funkcjonariusze oprowadzili ich po całym domu i pokazali, kto gdzie leżał. Potem było tylko: do widzenia, panie Geehan, bardzo jesteśmy zobowiązani, że się pan fatygował. Próbowałem im pokazać, jakie wprowadziliśmy środki bezpieczeństwa, ale nie słuchali. Na miękkich nogach powlekli się po żwirze, wdrapali do swojego Sedana De Ville i tyle ich widziałem.

– Czy jacyś pojedynczy faceci chcieli rzucić okiem na dom?

– Nie, ofertę rozesłałem, co prawda, i do innych agentów. Ale nie sądzę. Nie wiem, kiedy policja pozwoli nam w końcu zacząć malować. W środku skończyliśmy w zeszły wtorek. Trzeba było

zdjąć dwie warstwy wykładziny lateksowej, w niektórych miejscach trzy. Pracujemy jeszcze na zewnątrz. To będzie prawdziwe cacko.

– Jak możecie sprzedać dom przed uprawomocnieniem się testamentu?

– Nie mogę sfinalizować aktu sprzedaży, zanim testament się nie uprawomocni, ale to nie znaczy, że nie mogę wszystkiego przygotować. Ludzie mogą się wprowadzić na podstawie oświadczenia o przyjęciu do wiadomości. Muszę coś robić. Mój współnik trzyma w ręku papiery i ten interes pracuje na nas w dzień i w nocy, nawet kiedy śpimy.

– Kto jest wykonawcą testamentu pana Jacobiego?

– Byron Metcalf, z firmy adwokackiej Metcalf i Barnes. Jak długo ma pan zamiar tu zabawić?

– Nie wiem. Aż skończę.

– Klucz może pan zostawić w skrzynce na listy. Nie musi pan mnie odwiedzać w drodze powrotnej.

Jadąc do domu Jacobich Graham miał przytłaczające poczucie, że podąża starym, wyschniętym śladem. Dom znajdował się tuż przy granicy miasta, na terenach niedawno przyłączonych. Zatrzymał się raz na poboczu autostrady, żeby spojrzeć na mapę, zanim znalazł właściwy zjazd na asfaltową boczną drogę.

Ponad miesiąc minął od momentu, kiedy zostali zamordowani. Co on sam robił w tym czasie? Zamocowywał dwa silniki diesla w kadłubie dwudziestometrowego jachtu Rybovicha. Dawał znaki kierującemu dźwigiem Ariadze, żeby opuścił je jeszcze o centymetr. Późnym popołudniem przyszła Molly. Usiedli razem z nią i Ariagą pod markizą przy kokpicie na pół wykończonej łodzi, jedli wielkie krewetki, która przyniosła Molly, i pili zimne piwo Dos Equis. Ariaga opowiadał, jak najlepiej czyści się raki, rysując palcem w trocinach leżących na pokładzie. Załamujące się na falach światło słoneczne odbijało się w piórach krążących mew.

Woda z zepsutego klimatyzatora prysnęła Grahamowi na koszulę; wrócił do Birmingham. Ani jednej krewetki, ani jednej mewy. Prowadził samochód, po prawej ręce mając zagajniki i łąki, gdzie pasły się kozy i konie, po lewej Stonebridge starą dzielnicę willową, z kilkoma eleganckimi rezydencjami i domami bogaczy.

Dostrzegł znak biura nieruchomości sto jardów wcześniej. Dom Jacobich jako jedyny stał po prawej stronie drogi. Sok z otaczających podjazd leszczyn posklejał żwir, który zagrzechotał wewnątrz błotników. Na drabinie stał stolarz i montował okiennice. Machnął ręką Grahamowi, kiedy ten obchodził dom dookoła.

Wyłożony płytami wewnętrzny taras stał w cieniu wielkiego dębu. W nocy drzewo nie dopuszczało światła również na boczne podwórko. To tędy właśnie, przez przesuwane szklane drzwi, wszedł do środka Szczerbata Lala. Teraz wymieniono je na nowe. Aluminiowe ramy błyszcząły w słońcu, nikt nie zdarł jeszcze fabrycznej nalepki. Drzwi zakrywała nowa, ręcznie kuta

krata. Również drzwi do piwnicy były nowe – z hartowanej stali, zabezpieczone nitami. Na płytach chodnikowych stały w skrzynkach elementy prysznic.

Graham wszedł do środka. Gołe podłogi i martwe powietrze. Jego kroki niesły się echem w pustym domu.

Nowe lustra w łazienkach nigdy nie odbiją twarzy rodziny Jacobich ani twarzy zabójcy. Na każdym z nich w miejscu, skąd zerwano cenę, pozostał biały, puszysty prostokąt. W kącie głównej sypialni leżała zwinięta ścierka. Graham usiadł na niej i czekał, aż słońce, świecące przez gołe okna na podłogę, przesunie się o jedną klepkę dalej.

Nie pozostało tu nic. Absolutnie nic.

Gdybym przyjechał tutaj natychmiast po zamordowaniu Jacobich, myślał Graham, czy Leedsowie żyliby jeszcze? Zastanawiał się, jak bardzo ciąży mu to pytanie.

Nie ulżyło mu, kiedy znalazł się z powrotem na dworze.

Stał w cieniu krzaka leszczyny, przygarbiony, z rękoma w kieszeniach, i patrzył na długi podjazd prowadzący do drogi, która biegła równoległe do frontowej ściany domu.

Jak Szczerbata Lala dotarł do domu Jacobich? Musiał przyjechać samochodem. Gdzie zaparkował? Wysypyany żwirem podjazd był zbyt hałaśliwy jak na wizytę o północy, myślał Graham. Policja w Birmingham była innego zdania.

Przeszedł podjazdem w kierunku asfaltowej szosy. Jak sięgnąć okiem, po obu jej stronach widniały rowy. Gdyby ziemia była twarda i sucha, można by w ostateczności przejechać przez rów i ukryć pojazd w przydrożnych zaroślach po stronie Jacobich.

Naprzeciwko domu znajdował się jedyny wjazd na osiedle Stonebridge. Znak drogowy informował, że w Stonebridge działa prywatna służba patrolowa. Obcy pojazd natychmiast zostałby zauważony. Podobnie jak idący późno w nocy facet. Zaparkowanie w Stonebridge nie wchodzi w grę.

Graham wrócił do domu. Ku jego zaskoczeniu telefon był czynny. Zadzwoił do służby meteorologicznej, gdzie dowiedział się, że w dniu poprzedzającym morderstwo Jacobich spadło dziewięć milimetrów deszczu. W takim razie rowy były pełne. Szczerbata Lala nie ukrył swego pojazdu w krzakach przy drodze.

Graham ruszył wzdłuż bielonego ogrodzenia na tyły posiadłości. Dotrzymywał mu kroku pasący się z drugiej strony koń. Kiedy doszli do rogu, Graham dał mu dropsa i skręcił w prawo, idąc wzdłuż płotu postawionego za budynkami gospodarczymi.

Zatrzymał się, kiedy zobaczył zagłębienie w ziemi – miejsce, w którym dzieci Jacobich pogrzebały swojego kota. Zastanawiając się nad tym w komendzie policji w Atlancie, razem ze Springfieldem, wyobraził sobie, że budynki gospodarcze są białe. W rzeczywistości były ciemnozielone.

Dzieci owinęły kota w ścierkę do naczyń i zakopały w pudełku po butach. Między łapki włożyły mu kwiatek.

Graham położył ramię na szczycie ogrodzenia i oparł o nie czoło.

Pogrzeb domowego zwierzaka, uroczysty obrzęd dzieciństwa. Matka i ojciec wracają do domu, bo wstydzą się modlić. Dzieci spoglądają na siebie nawzajem, odkrywając nowy ból promieniujący z miejsca, które poraziła strata. Jedno z nich pochyła głowę, inne idą jego śladem. Łopata jest większa od każdego z nich. Po dyskusji o tym, czy kot poszedł do nieba i czy jest tam razem z Panem Bogiem i Panem Jezusem, dzieci przez chwilę zachowują się cicho.

Kiedy tak stał z karkiem wystawionym na gorące słońce, spłynęła na niego pewność: Fakt, że Szczerbata Lala zabił kota, jest tak samo oczywisty jak to, że przyglądał się dziecinnemu pogrzebowi. Musiał to zobaczyć, za wszelką cenę.

Nie przyjeżdżał tutaj dwukrotnie, za pierwszym razem, żeby zabić kota, za drugim – Jacobich. Przybył tu, zabił kota, a potem czekał, aż dzieci odnajdą martwe zwierzę.

Nie było sposobu, aby dokładnie ustalić, gdzie dzieci znalazły kota. Policja nie odnalazła nikogo, kto komunikowałby się z rodziną Jacobich po dwunastej feralnego dnia – mniej więcej dziesięć godzin przed tym, nim zostali zamordowani.

W jaki sposób Szczerbata Lala tu przybył i gdzie czekał?

Za płotem zaczynały się wysokie na chłopca zarośla, biegnące trzydzieści metrów, aż do granicy drzew. Graham wyciągnął z tylnej kieszeni składaną mapę i rozłożył ją na ogrodzeniu. Według niej, za posiadłością Jacobich rozciągało się szerokie na pół kilometra pasmo lasów. Ich południowym skrajem biegła droga równoległa do tej, przy której stał dom Jacobich.

Graham wszedł do samochodu i zawrócił na autostradę, sprawdzając odległość na liczniku. Skierował się na południe, potem zjechał na boczną drogę, którą odnalazł na mapie. Jechał powoli, wciąż mierząc odległość, aż licznik pokazał mu, że znajduje się na wysokości stojącego po drugiej stronie lasu domu Jacobich.

Droga kończyła się tu przy komunalnym osiedlu mieszkaniowym dla ubogich, oddanym do użytku tak niedawno, że nie zaznaczono go jeszcze na mapie. Wjechał na parking. Samochody były przeważnie stare i siedziały na resorach. Dwa stały na ceglach.

Czarne dzieci grały w koszykówkę na gołej ziemi, wokół jednej jedynej obręczy pozbawionej siatki. Graham siadł na błotniku, żeby przez moment popatrzeć na grę.

Miał ochotę zdjąć marynarkę, ale jego Special kaliber 44 i płaski aparat fotograficzny przy pasku szybko zwróciłyby uwagę. Zawsze czuł dziwne zakłopotanie, kiedy ludzie przypatrywali się jego broni.

Ośmiu graczy nosiło koszulki. Drużyna przeciwna, bez koszulek, liczyła jedenastu chłopców i

wszyscy byli w grze. Sędziowanie odbywało się przez aklamację.

Mały gracz bez koszulki, popchnięty przy kozłowaniu, odmaszerował wściekły w kierunku domu. Po chwili zjawił się z powrotem, uzbrojony w ciastko, i znowu dał nura w tłum goniący za piłką.

Krzyki i odgłos kozłowanej piłki podniosły Grahama na duchu. Jedna piłka, jeden kosz. Uderzyło go, jak wiele rzeczy posiadali Leedsowie. A także rodzina Jacobich, według raportu policji z Birmingham, kiedy sprawdzano i wykluczono hipotezę włamania. Łodzie, sprzęt sportowy i campingowy, aparaty fotograficzne, kamery, broń, wędkę. To jeszcze jedna cecha, która łączyła obie rodziny.

W ślad za myślą o Leedsach i Jacobich, kiedy jeszcze żyli, przyszła myśl, co stało się z nimi potem i Graham nie był w stanie dłużej oglądać gry w koszykówkę. Wziął głęboki oddech i przecinając drogę, ruszył w kierunku ciemnego lasu.

Gęste zarośla na skraju sosnowego zagajnika przerzedziły się gdy Graham wszedł w głęboki cień. Z łatwością stąpał teraz po sosnowych igłach. Powietrze było ciepłe i nieruchome. Siedzące na gałęziach sójki z wyprzedzeniem zapowiadały jego nadejście.

Grunt opadał łagodnie ku łożysku suchego strumienia, gdzie rośło kilka cyprysów. Na czerwonej glinie odcisnęły się ślady szopów i myszy polnych. Były również ślady stóp ludzkich, niektóre pozostawione przez dzieci. Wszystkie podmyte i zniekształcone przez kolejne deszcze.

Za łożyskiem strumienia grunt podniósł się ponownie i stał się bardziej piaszczysty. Pod sosnami rosły paprocie. Graham przedzierał się przez nie spocony, aż zobaczył światło prześwitujące pod koronami drzew na skraju lasu.

Między pniami sosen widać było poddasze domu Jacobich.

I znowu wysokie zarośla, od skraju lasu, aż po płot posiadłości Jacobich. Graham przedostał się przez nie i zatrzymał przy ogrodzeniu, spoglądając na podwórko.

Szczerbata Lala mógł zaparkować przy osiedlu mieszkaniowym i przejść przez las aż do krzaków rosnących za domem. Mógł zwabić kota w zarośla i udusić go. Poruszał się na czworakach, w jednym ręku trzymając bezwładne ciało zwierzęcia, drugą opierając o ogrodzenie. Graham wyobraził sobie kota w powietrzu, jak nie próbuje obrócić się, żeby wylądować na czterech łapach, ale z głuchym pacnięciem uderza plecami o podwórko.

Szczerbata Lala zrobił to w świetle dnia – dzieci nie odnalazłyby ani nie pogrzebały kota po nastaniu zmroku.

Czekał, żeby zobaczyć, jak go znajdą.

Czy pozostałą część dnia spędził w upale panującym w zaroślach? Można by go było dojrzeć przez sztachety. Żeby obserwować podwórko z większej odległości z krzaków, musiałby wyprostować się i stać w promieniach słońca, mając przed sobą okna domu. Na pewno wrócił do

lasu. To samo zrobił Graham.

Policjanci z Birmingham nie byli głupi. Widział miejsca, gdzie przedzierali się przez krzaki, przeszukując teren w ramach śledztwa. Ale to było, zanim odnaleziono kota.

Szukali śladów, zgubionych przedmiotów, odcisków butów – ale nie punktu obserwacyjnego.

Wszedł w las na głębokość kilku jardów na wysokości domu Jacobich i chodził w te i z powrotem, cały w cętkach rzucanego przez gałęzie cienia. Najpierw wdrapał się na pagórek, z którego można było widzieć część podwórka, potem wrócił na skraj lasu.

Szukał już dłużej niż godzinę, kiedy coś błysnęło w poszyciu.

Zgubił to miejsce, za chwilę odnalazł. Był to aluminiowy krążek do otwierania puszek z lemoniadą, leżący pod jednym z nielicznych tutaj wiązów i do połowy zakopany w liściach.

Zauważył go z odległości ośmiu stóp i przez pięć minut nie podchodził bliżej, lecz badał teren wokół drzewa. Przykucnął i posuwając się kaczym chodem w kierunku wiązu, czyścił teren z liści, uważając, żeby nie zniszczyć żadnych śladów stóp. Powoli usunął spod drzewa wszystkie świeże liście. Na warstwie zeszłorocznych nie odcisnęły się żadne ślady.

Obok aluminiowego krążka znalazł wyschnięty ogryzek jabłka, wyjedzony do czysta przez mrówki. Ptaki wydziobały pestki. Kolejne dziesięć minut dokładnie badał teren. Wreszcie usiadł na ziemi i wyprostował zdrętwiałe nogi. Plecami oparł się o drzewo.

Rój komarów zawirował w promieniu słońca. Gąsienica skurczyła się na skraju liścia.

Do konaru nad jego głową przysechł placek czerwonego błota ze strumienia. Przywędrował tutaj na podeszwie buta.

Graham powiesił marynarkę na gałęzi i zaczął ostrożnie wspinać się na drzewo z drugiej strony, przyglądając się uważnie powierzchni pnia i konarów nad miejscem, w którym odkrył błoto. Na wysokości dziesięciu metrów rozejrzał się. Sto pięćdziesiąt metrów dalej stał dom Jacobich. Z tej wysokości wyglądał inaczej, dominował kolor dachu. Tylne podwórko i tereny za zabudowaniami gospodarczymi były stąd świetnie widoczne. Patrząc z tej odległości przez szkła przyzwoitej lornetki polowej z łatwością można by dostrzec rysy i wyraz twarzy ludzi znajdujących się na terenie posiadłości.

Z oddali dochodziły do niego odgłosy ruchu miejskiego, gdzieś daleko słyszał zawodzenie syren policyjnych. Odezwała się cykada i jej podobne do zgrzytu piły buczenie zagłuszyło inne dźwięki.

Gruby konar wyrastał nad nim z pnia, celując prosto w stronę domu Jacobich. Graham podciągnął się do góry i wychylił w bok, żeby lepiej widzieć.

Tuż przy jego policzku tkwiła wkliniowana między pień i konar puszcza po lemoniadzie.

– Wspaniale – szepnął Graham z twarzą wtuloną w korę. – Tak, słodki Jezu, tak. Chodź do mnie,

puszczko.

Nie można było jednak wykluczyć, że puszkę zostawiło tu jakieś dziecko.

Opierając stopy na małych gałęziach, wspiał się wyżej po swojej stronie drzewa. Nie było to takie łatwe. Kiedy był wystarczająco wysoko, obrócił się, żeby spojrzeć na konar.

Na jego górnej części widniała zielona łata, po wyciętym kawałku zewnętrznej warstwy kory, wielkości karty do gry. W środku zielonego prostokątu, wyłobione aż do białego drzewa, widniało coś takiego:

Wycięte to było starannie i wyraźnie, bardzo ostrym nożem. Nie mogło tego zrobić dziecko.

Graham sfotografował znak, starannie dobierając przesłonę.

Roztaczał się stąd dobry widok na posiadłość Jacobich, widok, nad którego poszerzeniem już ktoś przedtem pracował; z niższego konaru sterczał kikut gałęzi. Została wycięta, żeby oczyścić pole widzenia. Włókna były sprasowane, koniec kikuta płasko wyrównany.

Graham rozglądał się za uciętą gałęzią. Gdyby była na ziemi, zobaczyłby ją wcześniej. Wisiała niżej, zaplątana między inne; na zielonym tle zdradzały ją brązowe, wyschnięte liście.

W laboratorium zażądają kikuta i gałęzi, żeby zmierzyć kąt nacięcia. To oznaczało, że trzeba tu będzie wrócić z piłą. Graham zrobił kilka fotografii kikuta. Przez cały czas mamrotał do siebie:

Myślę, że po tym, jak zabiłeś kota i przerzuciłeś go na podwórko, wdrapałeś się tutaj i czekałeś, mój panie. Myślę, że obserwowałeś dzieciaki, czas upływał ci na wystrugiwaniu znaku i marzeniach. Kiedy zapadł zmrok, widziałeś ich sylwetki pojawiające się w jasnych oknach, patrzyłeś, jak się kładą i jak jedne po drugich gasną światła. Poczekaleś jeszcze chwilę, zlazłeś na dół i poszedłeś do nich. Mam rację? Nietrudno jest zejść na dół z grubego konaru, mając do dyspozycji latarkę i jasne światło księżycy.

Grahamowi schodzenie przysporzyło nieco trudności. W otwór puszeki włożył patyk i delikatnie wyciągnął ją z zagłębienia między pniem a konarem. Zszedł na dół, trzymając patyk w zębach. Obie ręce były mu potrzebne, żeby przytrzymać się pnia.

Wróciwszy do osiedla mieszkaniowego Graham stwierdził, że ktoś napisał palcem na brudnym błotniku jego samochodu „Levon to kapuściana głowa”. Wysokość, na której znajdowały się litery, świadczyła, że nawet najmłodszy mieszkańcy osiedla wydobyli się z mroków analfabetyzmu.

Zastanawiał się, czy napisali coś na samochodzie Szczerbatej Lali.

Kilka minut przesiedział w samochodzie, przypatrując się rzędom okien. Na parking wychodziły okna około stu mieszkań. Możliwe, że ktoś pamięta białego nieznajomego, który pojawił się na parkingu późno w nocy. Chociaż minął już ponad miesiąc, warto było spróbować. Żeby zadać kilka pytań każdemu mieszkańcowi i przeprowadzić to szybko, nie obejdzie się bez pomocy policji z Birmingham.

Zwalczył w sobie chęć wysłania puszki prosto do Jimmy'ego Price'a w Waszyngtonie. Musi poprosić policję Birmingham o posiłki. Lepiej będzie dać im to, co ma. Wsypanie proszku na puszkę nie powinno okazać się trudne, inna sprawa to zebranie odcisków palców zamazanych przez pot. Price zawsze może to zrobić ponownie, pod warunkiem, że nikt nie dotknie puszki gołymi palcami. Trzeba więc dać to policji. Wiedział, że ludzie z sekcji dokumentalnej FBI rzucą się na wyryty znak jak głodne hieny. Przedstawiające go zdjęcia można śmiało dać wszystkim, nic złego się nie stanie.

Z domu Jacobich zadzwonił do wydziału zabójstw policji w Birmingham. Detektywi przybyli dokładnie w momencie, kiedy pośrednik Geehan wprowadzał swych ewentualnych kupców na pokoje.

Eileen czytała właśnie w „National Tattler” artykuł zatytułowany „SZCZURZE BOBKI W PIECZYWIE”, kiedy do kafeterii wszedł Dolarhyde. Z kanapki z tuńczykiem wyjadła tylko sam środek.

Schowane za czerwonymi goglami oczy Dolarhyde’a przebiegły pierwszą stroną „Tattlera”. Oprócz „SZCZURZYCH BOBKÓW W PIECZYWIE” tytuły zapowiadały „NIEZNANY ROMANS ELVISA – EKSKLUZYWNE OBRAZKI” i „NIEOCZEKIWANY RATUNEK DLA OFIAR RAKA”. Przez całą szerokość kolumny biegł napis: „HANNIBAL – KANIBAL POMAGA STRÓŻOM PRAWA – GLINY ZASIĘGAJĄ RADY ZBOCZENCA W SPRAWIE MORDERSTW SZCZERBATEJ LALI”.

Dolarhyde z roztargnieniem mieszał kawę stojąc obok okna, do momentu, gdy usłyszał, że Eileen wstaje z miejsca. Wrzuciła swoją tackę do pojemnika na śmieci i właśnie miała wsunąć tam egzemplarz „Tattlera”, kiedy Dolarhyde dotknął jej ramienia.

Czy mógłbym rzucić na to okiem, Eileen? Oczywiście, panie D. Kupuję tę szmatę tylko po to, żeby przeczytać horoskop.

Dolarhyde przeczytał gazetę w swoim biurze, przy zamkniętych drzwiach.

Freddy Lounds miał dwa materiały na rozkładówce. Większy artykuł był zapierającą dech rekonstrukcją morderstw na rodzinach Jacobich i Leedsów. Ponieważ policja nie ujawniła zbyt wiele, Lounds posłużył się wyobraźnią, która podpowiedziała mu kilka niesamowitych szczegółów.

Dolarhyde uznał je za banalne.

Drugi materiał był bardziej interesujący.

CHORY PSYCHICZNIE ZBOCZENIEC UDZIELA RAD GLINIARZOWI, KTÓREGO KIEDYŚ O MAŁO NIE ZAMORDOWAŁ

Od naszego specjalnego reportera Freddy’ego Loundsa

CHESAPEAKE, STAN MARYLAND. Federalnym łowcom głów jak dotąd nie udało się wpaść na trop Szczerbatej Lali – psychopaty, który wyrznął dwie rodziny w Birmingham i Atlancie. Zwrócili się z prośbą o pomoc do najbardziej okrutnego z trzymanyh pod kluczem morderców.

Dr Hannibal Lecter, którego trudne do wysłowienia praktyki opisaliśmy na tych łamach trzy lata temu, odwiedzony został w swej wyposażonej w maksymalne środki bezpieczeństwa celi w szpitalu dla wariatów przez czołowego agenta śledczego Williama (Willa) Grahama.

Graham odniósł z ręki Lectera ciężkie, niemal śmiertelne obrażenia w chwili, kiedy zdemaskował go jako wielokrotnego mordercę.

Powołany został z powrotem do służby ze wcześniejszej emerytury, aby poprowadzić polowanie na Szczerbatą Lalę.

O co szło podczas tego dziwnego spotkania dwóch śmiertelnych wrogów. O co chodziło Grahamowi?

„Tylko czubek może rozpracować czubka”, powiedział piszącemu te słowa wyższy urzędnik federalny. Miał na myśli Lectera, znanego pod przydomkiem „Hannibal-Kanibal”, który jest jednocześnie psychiatrą i wielokrotnym mordercą.

A MOŻE MIAŁ NA MYŚLI GRAHAMA???

Redakcja „Tattlera” dowiedziała się, że Grahama, byłego wykładowcę kryminalistyki na Akademii FBI w Quantico, stan Virginia, zamknięto kiedyś na cztery tygodnie w szpitalu dla psychicznie chorych...

Urzednicy federalni odmówili odpowiedzi na pytanie, dlaczego powierzyli człowiekowi niezrównoważonemu psychicznie prowadzenie tej desperackiej akcji.

Charakter psychicznych problemów Grahama nie jest nam bliżej znany. Jeden z byłych pracowników szpitala określił je jako „głęboką depresję”.

Garmon Evans, półzawodowy psychiatra, stwierdził, że Graham został przyjęty na oddział psychiatryczny wkrótce po tym, jak zabił Garretta Jacoba Hobbsa, Jastrzębia z Minnesoty. Graham zastrzelił Hobbsa w roku 1975, kończąc w ten sposób jego ośmiomiesięczną działalność, podczas której blady strach padł na Minneapolis.

Evans stwierdził, że Graham był wyczerpany, odmawiał przyjmowania posiłków i nie odzywał się przez pierwsze tygodnie swojego pobytu w szpitalu.

Graham nigdy nie był formalnie agentem FBI. Doświadczeni obserwatorzy wiążą to z obowiązującą w Biurze ścisłą procedurą sprawdzającą, nastawioną na wyeliminowanie osobników niezrównoważonych.

Źródła federalne informują jedynie, że pierwotnie Graham zatrudniony był w laboratorium kryminologicznym FBI. Po sukcesach, jakie odniósł tak w laboratorium, jak i podczas pracy w terenie, w charakterze „specjalnego agenta śledczego”, wyznaczony został na stanowisko wykładowcy Akademii w Quantico.

„Tattler” dowiedział się, że przed wstąpieniem do służby federalnej Graham pracował w wydziale zabójstw policji w Nowym Orleanie. Odszedł stamtąd, żeby rozpocząć wyższe studia na wydziale kryminalistyki Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona.

Funkcjonariusz z Nowego Orleanu, który służył razem z Grahamem, powiedział nam: „Cóż, możecie nazywać go emerytem, ale służby federalne lepiej się czują, wiedząc, że nadal jest pod ręką. To tak, jakby się miało królewskiego węża pod domem. Mało go widać, ale przyjemnie jest wiedzieć, że siedzi tam pod spodem i że połyka wszystkie żmije”.

Dr Lecter będzie przebywał w odosobnieniu do końca swego życia. Jeśli kiedykolwiek uzna się go za zdrowego psychicznie, czeka go dziewięć procesów, każdy z nich o morderstwo z premedytacją.

Adwokat Lectera twierdzi, że wielokrotny morderca spędza czas na pisaniu pożytecznych artykułów dla periodyków naukowych i utrzymuje stałą korespondencję z najbardziej szanowanymi osobistościami w dziedzinie psychiatrii.

Dolarhyde przestał czytać i spojrzął na dwa zdjęcia zamieszczone nad tekstem. Jedno pokazywało Lectera przypartego do policyjnego samochodu. Drugie, zrobione przez Freddy'ego Loundsa przy wejściu do szpitala stanowego w Chesapeake, przedstawiało Willa Grahama. Mała fotografia Loundsa wcięta była w pierwsze linijki każdego z tekstów.

Dolarhyde długo przypatrywał się zdjęciom. Gładził je opuszką palca wskazującego, powoli, w tę i z powrotem, wrażliwy aż do bólu na szorstką drukarską farbę. Tusz zostawił ciemną smugę na palcu. Zwilżył ją językiem i wytarł palec papierową serwetką. Potem wyciął artykuły, złożył je i schował do kieszeni.

W drodze do domu z fabryki Dolarhyde kupił specjalny, szybko rozpuszczalny papier toaletowy używany na łodziach i campingach oraz inhalator do nosa.

Czuł się dobrze mimo trapiącego go kataru siennego – jak wielu ludzi, którzy przeszli operację zatok, Dolarhyde nie miał włosów w nosie i prześladował go katar sienny. A także infekcje górnych dróg oddechowych.

Kiedy na moście popsuta ciężarówka zablokowała na dziesięć minut ruch w kierunku na St. Charles, stał cierpliwie w korku. W jego czarnej furgonetce, obitej wewnątrz tapicerką z materiału, było chłodno i cicho. Ze stereofonicznych głośników płynęła Muzyka na wodzie Haendla.

Towarzyszył jej, nucąc przez nos i w odpowiednich momentach bębniąc palcami po kierownicy.

Dwie kobiety siedziały w kabriolecie na sąsiednim pasie. Miały na sobie szorty i bluzki zawiązane pod piersiami. Dolarhyde spojrzął na nie ze swojej furgonetki. Wyglądały na znudzone i zmęczone. Mrużyły oczy przed zachodzącym słońcem. Kobieta siedząca na miejscu pasażera oparła głowę na zagłówku i położyła stopy na tablicy rozdzielczej. W tej pozycji na jej nagim brzuchu pojawiły się dwie fałdy. Dolarhyde dostrzegł malinkę na wewnętrznej stronie jej uda. Zauważyła, że się jej przygląda, siadła prosto i skrzyżowała nogi. Zobaczył na jej twarzy znudzenie i niesmak.

Powiedziała coś do kobiety siedzącej za kierownicą. Obie patrzyły teraz prosto przed siebie. Wiedział, że mówią o nim. Był tak zadowolony, że nawet się nie rozgniewał. Niewiele rzeczy mogło go teraz zdenerwować. Wiedział, że wypełnia go w coraz większym stopniu dostojeństwo Przeistoczenia.

Muzyka była bardzo przyjemna.

Samochody stojące przed furgonetką Dolarhyde'a ruszyły. Na pasie obok niego ruch był wciąż wstrzymany. Cieszył się, że jedzie do domu. Zabębnił palcami po kierownicy, towarzysząc muzyce, a drugą ręką opuścił szybę.

Charknął i splunął zieloną flegmą prosto na brzuch siedzącej obok kobiety, trafiając ją tuż obok pępka. Kiedy odjeżdżał, jej miotane piskliwym głosem przekleństwa unosiły się wysoko nad muzyką Haendla.

Wielka księga Dolarhyde'a miała co najmniej sto lat. Oprawiona w czarną skórę, z mosiężnymi okuciami na rogach, była tak ciężka, że w zamkniętym na klucz składziku u szczytu schodów podtrzymywał ją z boku solidny stoliczek. Od pierwszego momentu, kiedy zobaczył ją na wyprzedzaży starej zbankrutowanej drukarni w St. Louis, Dolarhyde wiedział, że księga będzie jego.

Teraz, wykąpany i ubrany w kimono, otworzył składzik i wyciągnął ją na zewnątrz. Kiedy umieścił księgę pod obrazem Wielkiego Czerwonego Smoka, zasiadł na krześle i otworzył ją. Doszedł go zapach starego papieru.

Przez pierwszą stronę, wielkimi ozdobnymi literami, które sam wykaligrafował, biegły słowa z Apokalipsy św. Jana: „I ukazał się drugi znak na niebie: Oto ogromny, czerwony smok...”

Pierwsza rzecz pomieszczona w księdze była jedyną, która nie została starannie przyklejona. Rzucona luzem między kartki, leżała tam pożółkła fotografia Dolarhyde'a z lat dziecięcych. Stał razem z babką na schodach dużego domu i trzymał się jej spódnicy. Babka stała wyprostowana, że splecionymi z przodu rękoma.

Dolarhyde obrócił kartkę. Zdjęcie zignorował, tak jakby zostawiono je tu przez pomyłkę.

W księdze było dużo wycinków; najwcześniejsze donosiły o zaginięciu dwóch kobiet, jednej w St. Louis, drugiej w Toledo. Kartki pomiędzy wycinkami pokryte były pismem Dolarhyde'a. Pisał czarnym atramentem, ładnym kaligraficznym stylem, niezbyt różniącym się od charakteru pisma Williama Blake'a.

Na marginesach przymocowane były wydarte zębami kawałki skalpów, z wyrastającymi z nich włosami, niczym komety z ogonami sprasowane w albumie Boga.

Wycinki o Jacobich z Birmingham przyklejono tutaj razem z kliszami filmów i slajdami w ramkach.

Były tu też artykuły o Leedsach, a obok nich filmy.

Określenie „Szczerbata Lala” nie pojawiło się w prasie aż do Atlanty. Przewisko podkreślone było we wszystkich doniesieniach na temat Leedsów.

To samo zrobił Dolarhyde z wycinkami z „Tattlera”, podkreślając „Szczerbatą Lalę” gniewnymi pociągnięciami czerwonego flamastra.

Znalazł w swojej księdze pustą stronę i rozprostował wycinek z „Tattlera”, żeby zobaczyć, czy

będzie pasował. Czy powinien wkleić zdjęcie Grahama? Słowa „psychicznie chorych kryminalistów” wyryte w kamieniu nad głową Grahama obrażały Dolarhyde’a. Nienawidził widoku wszelkich miejsc, gdzie więziono ludzi. Twarz Grahama była dla niego nieprzenikniona. Na razie odłożył ją na bok.

Ale Lecter... Lecter. To zdjęcie nie było dobre. Dolarhyde miał lepsze, przyniósł je z pudełka leżącego w składziku. Opublikowane z okazji uwięzienia doktora, wyraźnie pokazywało jego piękne oczy. Mimo to nie było w pełni zadowalające. Według Dolarhyde’a, Lecter powinien być przedstawiony na ciemnym malowidle, jako renesansowy książę. Bo Lecter, jedyny ze wszystkich ludzi, mógł posiadać dość wrażliwości i doświadczenia, by zdać sobie sprawę z chwały i majestatu Przeistoczenia, któremu podlegał Dolarhyde.

Dolarhyde czuł, że Lecter wie, jak nierealni są ludzie, którzy umierają, żeby dopomóc mu w tym dziele; rozumie, że nie są oni z krwi i kości, ale że światła, powietrza i koloru; i że szybkie, urywane dźwięki, które wydają, kiedy poddawani są przemianie, nie trwają długo. Jak pękające kolorowe balony. Rozumie, że dla nich ważniejsza jest przemiana, o wiele ważniejsza od życia, którego kurczowo się czepiają, błagając o łaskę.

Dla Dolarhyde’a krzyki były tym samym, czym kurz unoszący się spod dłuta rzeźbiarza.

Lecter potrafił zrozumieć, że krew i oddech są jedynie elementami poddawanymi przez Dolarhyde’a przemianom po to, aby zasilić jego Promieniowanie. Tak, jak pali się źródło światła.

Chciałby spotkać się z Lecterem, porozmawiać i podzielić się z nim wrażeniami, połączyć we wspólnej wizji, zostać rozpoznany tak, jak Jan Chrzciciel rozpoznał Tego, który przyszedł po nim, dosiąść go tak, jak Smok dosiadł numeru 666 w Objawieniach Blake’a; i sfilmować jego śmierć, kiedy umierając, łączy się z siłą Smoka.

Dolarhyde naciągnął nową parę gumowych rękawiczek i podszedł do biurka. Zdjął opaskę z rolki papieru toaletowego, odwinął wstęgę składającą się z siedmiu kawałków i oderwał ją.

Starannie stawiając drukowane litery lewą ręką, napisał na wstędze list do Lectera.

Po sposobie mówienia nie można poznać, jak dana osoba pisze; to zawsze wielka niewiadoma. Mowa Dolarhydea była pokrętna i urywana z powodu jego prawdziwych i wymaganych ułomności; różnica między tym, jak mówił i jak pisał była uderzająca. Mimo to wiedział, że nie jest w stanie wypowiedzieć na piśmie najważniejszych rzeczy, które czuł.

Chciał, żeby doktor Lecter się odezwał. Chciał dostać od niego osobistą odpowiedź na swój list, zanim będzie mógł mu opowiedzieć o ważnych rzeczach.

W jaki sposób można to zorganizować? Poszperał w pudełku zawierającym wycinki na temat Lectera. Przeczytał je wszystkie jeszcze raz.

Na koniec znalazł prosty sposób i wrócił do pisania listu.

Kiedy przeczytał go po cichu, list wydał mu się zbyt nieśmiały i wstydlivy. Podpisał go

„Chciwy wyznawca”.

Przez kilka minut dumał nad podpisem.

„Chciwy wyznawca”, istotnie. Uniósł władczo podbródek.

Wsadził swój odziany w rękawiczkę kciuk do ust, wyjął sztuczną szczękę i położył ją na suszce.

Jej górna część była niezwykła. Wystawały z niej normalne zęby, proste i białe, ale różowe podniebienie z akrylu było dziwnie powykręcane tak, żeby dopasować się do szczelin i krzywizn jego dziąseł. Do podniebienia dołączona była miękka plastikowa proteza z ruchomą płytką, dzięki której nie mówił przez nos.

Wyjął z biurka małe pudełko. Mieściła się w nim inna sztuczna szczęka. Górna część była taka sama, ale nie dołączono do niej protezy. Między krzywymi zębami widniały ciemne plamy. Szczęka wydzielala lekki odór.

Była taka sama jak szczęka babki, spoczywająca na dole w szklance przy łóżku. Nozdrza Dolarhyde’a rozszerzyły się, kiedy poczuł odór. Otworzył zapadnięte usta, włożył szczękę i zwilżył ją językiem.

Złożył list tam, gdzie znajdował się jego podpis, i przygryzł go mocno. Kiedy ponownie rozłożył list, podpis otoczony był owalnym śladem zębów; jego notarialną pieczęcią, jego imprimatur, noszącym ślad starej krwi.

O piątej po południu mecenas Byron Metcalf zdjął krawat zrobił sobie drinka i położył nogi na biurku.

– Na pewno nie chce się pan niczego napić?

– Innym razem. – Odrywając przyczepione do mankietów rzepy, Graham wdzięczny był, że w pokoju działała klimatyzacja.

– Nie znałem Jacobich zbyt dobrze – mówił Metcalf.

Mieszkali tutaj dopiero od trzech miesięcy. Kilka razy byłem tam razem z żoną na paru drinkach. Ed Jacobi przyszedł do mnie, żeby sporządzić nowy testament, wkrótce po tym, jak się tu sprowadził. W ten sposób się spotkaliśmy.

– Jednak jest pan wykonawcą jego testamentu.

– Tak. Na pierwszego wykonawcę wyznaczona została jego żona. Ja jestem wykonawcą zastępczym, wyznaczonym na wypadek jej śmierci albo choroby. Jacobi miał brata w Filadelfii, ale sądzę, że nie żyli ze sobą blisko.

– Był pan zastępcą prokuratora okręgowego.

– Tak. Od 1968 do 1972. Startowałem w wyborach na prokuratora okręgowego w siedemdziesiątym drugim. Byłem blisko, ale przegrałem. Teraz tego nie żałuję.

– Jak pan widzi to, co się tu wydarzyło, panie Metcalf?

– W pierwszym momencie przypomniało mi to sprawę przywódcy związkowego Josepha Yablonskiego.

Graham kiwnął głową.

– Zbrodnia z motywem, w tym przypadku niech będzie nim walka o władzę, popełniona tak, żeby wyglądała na robotę zbrojnego. Sprawdziliśmy papiery Eda Jacobiego bardzo wnikliwie... Jerry Estridge z biura prokuratora okręgowego i ja. I nic. Nie znaleźliśmy nikogo, kto by skorzystał finansowo na śmierci Jacobiego. Miał dużą pensję i kilka patentów, które przynosiły mu dochód, ale wydawał pieniądze tak samo szybko, jak je zarabiał. Wszystko miała dostać jego żona, z zastrzeżeniem, żeby kawałek gruntu w Kalifornii przeszedł na własność dzieci i ich potomków. Miał odłożony mały kapitał przeznaczony na potrzeby syna z pierwszego małżeństwa. Na następne trzy lata jego studiów. Pewien jestem, że za trzy lata szczeniak nadal będzie na pierwszym roku.

– Niles Jacobi.

– Tak. Ten dzieciak nieźle dał popalić Edowi. Mieszkał w Kalifornii razem z matką. Siedział w

Chino za kradzież. Myślę, że jego matka to nic dobrego. Ed pojechał tam w zeszłym roku zobaczyć się z synem. Przywiózł go do Birmingham i zapisał na studia w Bardwell Community College. Starał się trzymać go w domu, ale chłopak napadał na młodsze dzieci i nie dało się tak żyć. Pani Jacobi jakiś czas to wytrzymywała, ale w końcu oddali go do internatu.

– Gdzie przebywał?

– W nocy, dwudziestego ósmego czerwca? – Metcalf spojrział przymrużonymi oczyma na Grahama. – Interesowała się tym policja i ja też. Poszedł do kina, a potem wrócił do internatu. Sprawdziliśmy to. Poza tym jego krew ma grupę 0. Panie Graham, za pół godziny muszę odebrać żonę. Możemy porozmawiać jutro, jeśli ma pan ochotę. Proszę mi powiedzieć, jak mógłbym panu pomóc.

– Chciałbym zobaczyć osobiste rzeczy pana Jacobiego. Pamiątki, zdjęcia, cokolwiek.

– Nie ma tego zbyt wiele. Prawie wszystko stracili podczas pożaru w Detroit, jeszcze zanim sprowadzili się tutaj. Nic podejrzanego. Ed spawał coś w piwnicy, iskry padły na farby, które tam magazynował, i zajął się cały dom. Jest trochę prywatnych listów. Mam je w zamkniętych na klucze kasetkach razem z drobnymi kosztownościami. Cała reszta jest w magazynie. Może Niles ma parę zdjęć, ale wątpię. Powiem panu – jutro rano o dziewiątej trzydzięci jadę do sądu, ale po drodze mogę pana zabrać do banku, żeby pan się przyjrzał tym rzeczom, a potem przyjadę po pana z powrotem.

– Świetnie – powiedział Graham. – Jeszcze jedna sprawa: potrzebne mi są kopie wszystkich pism związanych z wykonaniem ostatniej woli Jacobiego... roszczenia wobec posiadłości, próby podważenia testamentu, cała korespondencja. Chciałbym mieć wszystkie papiery.

– Biuro prokuratora okręgowego w Atlancie prosiło mnie już o to. Wiem, porównują je z dokumentami dotyczącymi posiadłości Leedsów w Atlancie – powiedział Metcalf. – Mimo to chciałbym mieć dodatkowe kopie dla siebie.

– w porządku, załatwione. Nie myśli pan chyba jednak, że chodziło o pieniądze, prawda?

– Nie. Po prostu mam nadzieję, że te same nazwiska pojawią się tu i w Atlancie.

– Ja też.

Studenckie osiedle przy Bardwell Community College składało się z czterech niewielkich budynków otaczających zaśmiecony czworokąt ubitej ziemi. Kiedy Graham tam wszedł, w powietrzu trwała właśnie wojna na stereo.

Wystawione na utrzymanych w motelowym stylu balkonach kolumny głośnikowe wydierały się na siebie nawzajem, oddzielone pasem ziemi niczyjej. Kiss zmagął się z uwerturą Rok 1812 Beethovena. Wypełniony wodą balon zatoczył szeroki łuk w powietrzu i wylądował dziesięć stóp od Grahama.

Żeby dostać się do salonu w apartamencie, który Niles Jacobi zajmował wspólnie z kolegami,

Graham musiał przejść pod sznurem suszących się ubrań i przeskoczyć przez rower. Drzwi do sypialni Jacobiego były uchylone, dobiegała zza nich muzyka. Graham zapukał.

Bez odpowiedzi.

Pchnął drzwi. Wysoki chłopak o plamistej twarzy siedział na jednym ze złączonych łóżek, pociągając z długiej na cztery stopy fajki. Obok leżała dziewczyna w drelichach.

Głowa chłopaka drgnęła, obróciła się i jego oczy napotkały wzrok Grahama. Rozpaczliwie starał się zebrać myśli.

– Szukam Nilesa Jacobiego.

Chłopak wyglądał półprzytomnie. Graham wyłączył stereo.

– Szukam Nilesa Jacobiego.

– To po prostu lekarstwo na moją astmę, człowieku. Czy ty nigdy nie pukasz?

– Gdzie jest Niles Jacobi?

– Nie wiem, kurwa. Czego od niego chcesz?

Graham pokazał mu odznakę.

– Naprawdę postaraj się sobie szybko przypomnieć.

– O w dupę – odezwała się dziewczyna.

– Łaps od narkotyków, do diabła. Ja się w to nie bawię, porozmawiajmy o tym chwilę, człowieku.

– Porozmawiajmy o tym, gdzie jest Jacobi.

– Postaram się go panu znaleźć – powiedziała dziewczyna.

Graham czekał, a ona pytała we wszystkich pokojach. Zewsząd dobiegał szum spuszczonej wody.

W pokoju było niewiele rzeczy Nilesa Jacobiego. Na komodzie leżała fotografia rodziny Jacobich. Graham zdjął z niej szklanekę z rozpuszczającym się lodem i wytarł rękawem pozostawione przez nią mokre kółko.

Dziewczyna wróciła.

– Niech pan spróbuje we „Wściekłym Wężu” – powiedziała.

Do baru „Pod Wściekłym Wężem” wchodziło się od frontu. Okna pomalowane były na kolor

ciemnozielony. Na parkingu stała dziwna zbieranina pojazdów. Wyglądające jakby im ktoś uciął ogon wielkie ciężarówki bez naczep, małe samochodziki, liliowe kabriolety, stare okaleczone dodge'e i chevrolety na podniesionych wysoko tylnych resorach i cztery harley - davidsony w pełnym rynsztunku bojowym.

Z klimatyzatora zamontowanego nad drzwiami kapało bez przerwy na chodnik.

Graham ominął kałużę i wszedł do środka.

Panował tu tłok, unosił się zapach środków dezynfekcyjnych i stęchłego piwa. Barmanka, krzepka kobieta w kombinezonie, podała Grahamowi jego coca – colę nad głowami zgromadzonych przy barze klientów. Była tutaj jedyną kobietą.

Niles Jacobi, ciemny i cienki jak brzytwa, stał przy szafie grającej. On wrzucał monety, guziki naciskał stojący obok niego mężczyzna.

Jacobi wyglądał jak uczeń na wagarach. Zupełnie inne wrażenie sprawiał ten, który wybierał za niego przeboje.

Towarzysz Jacobiego stanowił dziwną mieszankę; jego chłopięca twarz osadzona była na kanciastym, muskularnym ciele. Nosił bawełnianą koszulkę i dzinsy, starte do białego na kieszeniach. Miał duże brzydkie dłonie i ramiona sękaty od mięśni. Tatuaz wykonany przez profesjonalistę na lewym przedramieniu głosił „Born to Fuck”. Urodzony, żeby rżnąć. Drugie ramię nosiło prymitywny, wydziergany w więzieniu napis „Randy”. Krótkie, przycięte w więzieniu włosy odrastały nieregularnie. Kiedy wyciągnął rękę do przycisku oświetlonej szafy grającej, Graham zobaczył małe wygolone miejsce na jego przedramieniu.

Will poczuł nagły chłód w żołądku.

Podążył w ślad za Nilssem Jacobim i „Randym” na tyły pomieszczenia. Tamci usiedli przy stoliku za parawanem.

Graham zatrzymał się pół metra od stolika.

– Niles, nazywam się Will Graham. Chcę z tobą zamienić parę słów.

Randy spojrzał na niego i twarz rozjaśnił mu fałszywy uśmiech. Jeden z jego przednich zębów był martwy.

– Czy my się znamy?

– Nie. Niles, chcę z tobą pomówić.

Niles wykrzywił figlarnie brwi. Graham zastanawiał się, co działo się z nim w Chino.

– Właśnie prowadziliśmy tutaj miłą prywatną rozmowę. Zjeżdżaj – powiedział Randy.

Graham z namysłem popatrzył na pobazgrane, muskularne ramiona, na ślad po plastrze w zagłębieniu łokcia, na wygolone miejsce, na którym Randy sprawdzał ostrze swego noża. Swędzące miejsce nożownika.

Boję się Randy'ego. Muszę go przygwoździć albo wycofać się.

– Słyszałeś – powiedział Randy. – Zjeżdżaj.

Graham rozpiął marynarkę i położył swoją odznakę na stole.

– Siedź spokojnie, Randy. Jeśli spróbujesz wstać, będziesz miał dwa pępki zamiast jednego.

– Przepraszam pana. – Natychmiastowa potulność więźnia.

– Randy, chcę, żebyś coś dla mnie zrobił. Chcę, żebyś sięgnął do swojej lewej tylnej kieszeni. Tylko dwoma palcami. Znajdziesz tam pięciocalowy nóż sprężynowy. Połóż go na stole. Dziękuję...

Graham schował nóż do kieszeni. Poczł tłuszcz na rękojeści.

– A teraz, w drugiej kieszeni masz portfel. Wyjmij go. Sprzedałeś dzisiaj trochę krwi, prawda?

– No to co?

– Więc wyjmij papierek, który ci tam dali, ten, który masz pokazać następnym razem na stacji krwiodawstwa. Rozłóż go na stole.

Randy miał grupę krwi 0. Można go wykreślić.

– Jak dawno wyszedłeś z pudła?

– Trzy tygodnie temu.

– Kto jest twoim kuratorem?

– Nie jestem na warunkowym.

– To prawdopodobnie kłamstwo. – Graham chciał przepuścić Randy'ego przez wyżymaczkę. Mógł go zatrzymać za posiadanie noża o nieprzepisowej długości. Przebywanie w miejscu z wyszynkiem alkoholu było naruszeniem przepisów zwolnienia warunkowego. Graham wiedział, że jest wściekły na Randy'ego, bo tamtemu udało się go przestraszyć.

– Randy.

– Tak.

– Zjeżdżaj.

– Nie wiem, co mógłbym panu powiedzieć. Nie znałem dobrze swojego ojca – mówił Niles

Jacobi w samochodzie, którym Graham podwoził go do szkoły. – Opuścił matkę kiedy miałem trzy lata, i od tej pory go nie widziałem; matka sobie nie życzyła.

– Tej wiosny przyjechał, żeby się z tobą zobaczyć.

– Tak.

– Do Chino.

– Przecież pan wie.

– Po prostu staram się postawić sprawę jasno. Co się wtedy zdarzyło?

– Dobrze, więc stał tam na sali odwiedzin, cały spięty i starał się za wiele nie rozglądać... ludzie traktują to miejsce jak ogród zoologiczny. Dużo o nim słyszałem od matki, ale nie wyglądał tak źle. Normalny facet stojący tam w klejącej się do ciała sportowej marynarce.

– Co powiedział?

– No cóż, spodziewałem się, że albo ostro na mnie naskoczy, albo będzie miał prawdziwe poczucie winy. Tak to się na ogół odbywa na sali odwiedzin. Ale on zapytał tylko, czy nie sądzę, że mógłbym pójść do szkoły. Powiedział, że jeśli pójdę do szkoły, będę pod jego nadzorem. I żeby spróbować. „Powinieneś sobie trochę pomóc. Spróbuj sobie pomóc, a ja załatwię, żeby cię przyjęli”. I tak dalej.

– Jak długo trwało, zanim wyszedłeś?

– Dwa tygodnie.

– Niles, czy opowiadałeś komuś o swojej rodzinie, kiedy byłeś w Chino? Kolegom z celi albo komukolwiek?

Niles Jacobi szybko spojrzał na Grahama.

– A, rozumiem. Nie. Nie o moim ojcu. Całe lata o nim nie myślałem, dlaczego miałbym o nim opowiadać?

– A tutaj? Czy przyprowadzałeś kiedyś jakichś swoich przyjaciół do domu rodziców?

– Rodzica, nie rodziców. Ona nie była moją matką.

– Czy zabrałeś tam kiedyś kogoś? Kolegów ze szkoły albo...

– Albo kolegów z paki, panie Graham?

– Właśnie.

– Nie.

– Nigdy?

– Ani razu.

– Czy ojciec kiedykolwiek wspominał, że coś albo ktoś mu grozi, czy coś go zaniepokoiło w ostatnim miesiącu albo dwóch, zanim to się stało?

– Był zaniepokojony, kiedy ostatni raz z nim rozmawiałem, ale to tylko z powodu moich ocen. Miałem mnóstwo nieobecności. Kupił mi dwa budziki. O niczym innym nie wiem.

– Czy masz jakieś jego osobiste papiery, listy, fotografie, cokolwiek?

– Nie.

– Masz fotografię rodziny. Leży na komodzie w twoim pokoju. Obok fajki.

– To nie jest moja fajka. Nie wziąłbym tego świństwa do ust.

– Potrzebne mi to zdjęcie. Zrobię z niego odbitkę i prześlę ci z powrotem. Co masz jeszcze?

Jacobi wysunął papierosa z paczki i zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu zapalek.

– To wszystko. Nie mam pojęcia, dlaczego mi to dali. Mój ojciec uśmiecha się do pani Jacobi i do tych wszystkich małych Smurfów. Może pan zatrzymać to zdjęcie. Ja go pamiętam inaczej.

Graham musiał poznać Jacobich. Nowe znajomości w Birmingham niewiele mu w tym pomogły.

Byron Metcalf dał mu rzucić okiem na zawartość kasetek. Przeczytał cienki plik listów, w większości o sprawach zawodowych, i pogrzebał w kupce biżuterii i sreber.

Trzy upalne dni spędził w magazynie, gdzie przechowywano rzeczy Jacobich. W nocy pomagał mu Metcalf. Otworzyli i zbadali zawartość każdej skrzynki na każdej palecie. Fotografie policyjne pomogły Grahamowi ustalić, gdzie co się znajdowało.

Większość umeblowania była nowa, kupiona za pieniądze otrzymane z firmy ubezpieczeniowej po pożarze w Detroit. Rodzina Jacobich nie miała zbyt wiele czasu, żeby zostawić własne piętno na tych rzeczach.

Uwagę Grahama zwrócił jeden mebel – stoliczek przy łóżku wciąż ze śladami proszku do zdejmowania odcisków palców. Na samym środku blatu widniała plama zielonej stearyny. Po raz drugi przyszło mu na myśli, że być może zabójca lubi światło świec. Sekcja dowodów rzeczowych w Birmingham sprawiła się dobrze.

Zamazany ślad czubka nosa był najlepszym odciskiem, jaki udało się zdjąć z puszki znalezionej na drzewie, tak w Birmingham, jak i u Jimmy'ego Price'a w Waszyngtonie.

Laboratoria FBI specjalizujące się w broni i śladach narzędzi nadesłały raport na temat uciętej gałęzi. Użyte ostrza były grube, nachylenie niewielkie: gałąź ucięta została szczypcami do metalu.

Znak wyryty na korze sekcja dokumentalna odesłała do departamentu badań azjatyckich w Langley.

Graham usiadł na skrzyni w magazynie i przeczytał długi raport. Departament badań azjatyckich twierdził, że znak jest chińskim ideogramem oznaczającym „uderz to” albo „uderz to w głowę” – wyrażenia tego używa się czasami przy grach hazardowych. Znak uważany jest za „pozytywny albo przynoszący szczęście”. Ideogram ten pojawia się także na jednej z tabliczek do gry w madżonga, twierdzili naukowcy z departamentu. Oznacza Czerwonego Smoka.

Crawford siedział właśnie w swoim gabinecie w kwaterze głównej FBI w Waszyngtonie i rozmawiał przez telefon z dzwoniącym z lotniska w Birmingham Grahamem, kiedy Przez drzwi zajrzała sekretarka.

– Doktor Chilton ze szpitala w Chesapeake na linii 2706. Mówi, że to pilne.

Crawford kiwnął głową.

– Poczekaj chwilę, Will. – Przełączył telefon. – Crawford.

– Frederick Chilton, panie Crawford, z Chesapeake...

– Słucham, doktorze.

– Mam tutaj zapisany kawałek papieru, a właściwie dwa, których autorem wydaje się człowiek, który zabił tych ludzi w Atlancie i...

– Skąd pan je ma?

– Z celi Hannibala Lectera. Cały list napisany jest na papierze toaletowym, odbite są na nim ślady zębów.

– Czy może mi go pan przeczytać, nie dotykając go już więcej?

Starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie, Chilton zaczął czytać:

Szanowny doktorze Lecter,

Chciałem panu wyznać, że jestem szczęśliwy, iż się pan mną zainteresował. A kiedy dowiedziałem się, że prowadzi pan rozległą korespondencję, pomyślałem sobie: „Czy się ośmielę?” Oczywiście, że tak. Nie wierzę, że powie im pan, kim jestem, nawet jeśli pan wie. Poza tym kwestia, jaką obecnie zajmuję cielesną powłokę, jest nieistotna.

Ważne jest to, że podlegam Przeistoczeniu. Wiem, że tylko pan jeden może to zrozumieć. Mam kilka rzeczy, które koniecznie chciałbym panu pokazać. Może kiedyś, jeśli pozwolą okoliczności. Mam nadzieję, że możemy ze sobą korespondować. (Panie Crawford, tutaj jest wydarta dziura. Dalej idzie tak:) Od lat podziwiam pana i mam pełną kolekcję poświęconych panu artykułów prasowych. Właściwie uważam, że nie został pan w nich potraktowany uczciwie. Podobnie jak ja. Lubią nadawać poniżające przezwiska, nieprawdaż? Szczerbata Lala. Cóż bardziej nieadekwatnego? Wstydziłbym się tego wobec pana, gdybym nie wiedział, że i pan doświadczył podobnych fałszerstw ze strony prasy.

Interesuje mnie agent śledczy Graham. Nie wygląda na gliniarza, prawda? Niezbyt przystojny, ale wygląda poważnie. Powinien pan dać mu nauczkę, żeby nie wtrącał się w nie swoje sprawy.

Proszę wybaczyć papeterię. Wybrałem taki jej rodzaj, ponieważ szybko się rozpuści, jeśli będzie pan musiał ją połknąć.

(Tutaj jest koniec pierwszego kawałka, panie Crawford. Czytam to, co jest na drugim:)

Jeśli się pan odezwie, następnym razem może prześlę panu coś mokrego. Do tego czasu pozostaję pańskim

Chciwym Wyznawcą

Kiedy Chilton skończył, zapadła cisza.

– Jest pan tam?

– Tak. Czy Lecter wie, że macie ten list?

– Na razie nie. Dzisiaj rano przeniesiono go do pomieszczenia zastępczego, na czas czyszczenia jego celi. Zamiast, zgodnie z przepisami, użyć ścierki, sprzątacze urwał trochę papieru z rolki, żeby wyczyścić sedes. W rolce znalazł zawinięty list i przyniósł go do mnie. Przynoszą mi tu wszystko, co odnajdą, a co zostało schowane.

– Gdzie jest teraz Lecter?

– Nadal w pomieszczeniu zastępczym.

– Czy może stamtąd dojrzeć swoją celę?

– Niech pomyślę. Nie, nie może.

– Niech pan chwilę poczeka, doktorze.

Crawford przełączył telefon. Przez kilka sekund patrzył na zapalające się i gasnące światełka na aparacie, wcale ich nie widząc. Crawford, wielki rybak, widział, jak zaczyna drgać jego spławik. Połączył się z powrotem z Grahamem.

Will, mamy list, prawdopodobnie od Szcherbatej Lali. Był ukryty w celi Lectera w Chesapeake. Brzmi jak list od wyznawcy. Chce, żeby Lecter go pochwalił, interesuje się tobą. Zadaje pytania.

– W jaki sposób miał mu Lecter odpowiedzieć?

– Jeszcze nie wiemy. Części listu w ogóle nie ma, w części jest wydarta dziura. Wygląda na to, że jest szansa na podtrzymanie korespondencji, tak długo, jak Lecter nie wie, że my wiemy. Chcę oddać list do laboratorium i chcę przetrząsnąć jego celę, ale to jest ryzykowne. Jeśli Lecter się zorientuje, kto wie, w jaki sposób uda mu się ostrzec tego drania. Chcemy, żeby nawiązany został kontakt, ale musimy także zbadać ten list.

Crawford opowiedział Grahamowi, dokąd przeniesiono Lectera i w jaki sposób odnaleziono

list.

– Do Chesapeake jest stąd osiemdziesiąt mil. Nie mogę na ciebie czekać, stary. Co o tym myślisz?

– Dziesięciu ludzi zabitych w ciągu miesiąca; nie możemy zaczynać długiej zabawy w pocztę. Uważam, że powinieneś pojechać po list.

– Jadę – powiedział Crawford.

– Zobaczymy się za dwie godziny. Crawford wezwał sekretarkę.

– Sarah, zamów helikopter. Potrzebna mi jakakolwiek maszyna, która macha śmigłem, i mam gdzieś, czy należy do nas, do waszyngtońskiej policji, czy do marines. Będę na dachu za pięć minut. Zadzwoń do sekcji dokumentalnej, powiedz im, żeby dostarczyli tam specjalną walizkę na dokumenty. Powiedz Herbertowi, żeby zmontował ekipę poszukiwawczą. Na dachu. Za pięć minut.

Połączył się z powrotem z Chiltonem.

– Doktorze Chilton, musimy przeszukać celę Lectera bez jego wiedzy i potrzebujemy pańskiej pomocy. Czy wspomniał pan komukolwiek o tej sprawie?

– Nie.

– Gdzie jest sprzątac, który znalazł list?

– Tutaj, w moim gabinecie.

– Proszę go tam zatrzymać i powiedzieć, żeby nic nikomu nie mówił. Jak długo Lecter przebywa już poza swoją celą?

– Około pół godziny.

– Czy to dłużej niż zwykle?

– Nie, jeszcze nie. Czyszczenie celi zwykle zabiera pół godziny. Wkrótce zacznie się zastanawiać, co jest nie w porządku.

– Dobra, proszę coś dla mnie zrobić: niech pan wezwie kierownika administracji albo technika, kogokolwiek, kto pilnuje spraw technicznych. Powie mu pan, żeby zamknął dopływ wody do budynku i wyłączył korki w korytarzu, tam gdzie jest Lecter. Niech technik przejdzie obok pomieszczenia gdzie go teraz trzymacie. Ma się spieszyć; niech nie odpowiada na żadne pytania, za dużo ma na głowie... rozumie pan? Niech pan mu powie, że mu wszystko potem wytłumaczę. Niech pan odwoła dzisiejszy wywóz śmieci, jeśli dotąd nie przyjechali. Proszę nie dotykać listu, zgoda? Jedziemy do pana. Crawford zadzwonił do szefa działu analiz naukowych.

– Brian, mam list, który zaraz dostarczę helikopterem, a którego autorem jest prawdopodobnie

Szczerbata Lala. Ta sprawa ma absolutne pierwszeństwo. List musi wrócić tam, skąd go zabrano, w nienaruszonym stanie. Niech zbadają go w sekcjach Włosów i Włókien, Dokumentów i Pisma Sympatycznego, potem niech prześlą do ciebie. Zajmij się koordynacją, dobrze? Dziękuję. List dostarczę ci osobiście.

W windzie było ciepło – zalecane przez instrukcję federalną 26 stopni Celsjusza. Crawford zjeżdżał na dół, trzymając w ręku walizeczkę z listem; włosy miał potargane przez podmuch rotorów helikoptera. Otarł twarz, zanim doszedł do laboratorium sekcji Włosów i Włókien.

W niewielkiej sekcji panowała cisza, ludzie byli zapracowani. Wszędzie piętrzyły się pudełka z dowodami rzeczowymi przysyłanymi przez policję z całego kraju; kawałki taśm, na których odbite zostały ślady ust i związanych nadgarstków, podarte i poplamione ubrania, prześcieradła, na których znaleziono nieboszczyków.

Przeciskając się między pudełkami, Crawford dostrzegł przez szklaną szybę Beverly Katz. Miała przed sobą dziecięcy kombinezon, wiszący nad stołem na haku. Błat wyścielony był białym papierem, paliły się silne światła, pomieszczenie zabezpieczone było przed przeciągami. Katz szciotkowała kombinezon metalową szpachelką, starannie wodząc nią wzdłuż i w poprzek nitki, z włosiem i pod włos. Na papier spadły drobinki kurzu i piasku. Razem z nimi, opadając w nieruchomym powietrzu wolniej niż piasek, ale szybciej niż nitka, pojawił się splątany ciasno włos. Katz pochyliła szybko głowę i wpatrzyła się weń swoim jasnym, ptasim okiem.

Crawford dostrzegł, jak poruszyła wargami. Wiedział, co powiedziała.

– Mam cię.

Zawsze tak mówiła.

Zapukał w szybę i zaraz wyszła do niego, ściągając z rąk białe rękawiczki.

– Nie zdjęto jeszcze odcisków?

– Nie.

– Rozłożyłam wszystko w sąsiednim laboratorium.

Włożyła świeże rękawiczki, a Crawford otworzył walizkę.

List, w dwóch kawałkach, wsunięto delikatnie między dwie okładki z plastiku. Beverly Katz dostrzegła ślady zębów i spojrzała na Crawforda, nie tracąc czasu na zbędne pytania.

Kiwnął głową: ślady pasowały do odlewu uzębienia mordercy, który zabrał ze sobą do Chesapeake.

Przez szybę obserwował, jak Katz podnosi list na cienkim pręciku i zawiesza go nad białym papierem. Przyjrzała mu się przez szkło powiększające, potem lekko poruszyła. Postukała w pręcik końcem szpachelki i badała teraz powierzchnię leżącego pod spodem papieru.

Crawford spojrział na zegarek.

Katz przerzuciła list na drugi pręcik, żeby przyjrzeć się jego odwrotnej stronie. Szczypczykami, prawie tak cienkimi jak włos, usunęła jakiś mały obiekt z jego powierzchni.

Sfotografowała w dużym powiększeniu postrzępione brzegi listu i włożyła go z powrotem do walizeczki. Umieściła tam również świeżą parę białych rękawiczek. Białe rękawiczki-sygnal, żeby nie dotykać – powinny cały czas towarzyszyć dowodowi rzeczowemu, zanim nie zostaną zdjęte odciski palców.

– To wszystko – powiedziała wręczając walizeczkę z powrotem Crawfordowi. – Jeden włos, długości może jednej trzeciej milimetra. Kilka niebieskich ziarenek. Będę nad tym pracować. Co masz jeszcze?

Crawford dał jej trzy koperty opatrzone podpisami.

– Włos z grzebienia Lectera. Włoski z elektrycznej maszynki do golenia, którą pozwolili mu używać. A tu włos sprzątacza. Muszę lecieć.

– Zobaczymy się później – powiedziała Katz. – Masz cudowne włosy.

Jimmy Price w sekcji pisma sympatycznego wykrzywił się na widok porowatego papieru toaletowego. Niecierpliwie zaglądał przez ramię obsługującemu helowo-kadmowy laser technikowi, kiedy wspólnie starali się znaleźć odcisk palca i sprawić, żeby zaświecił. Papier zaczął się pocić, pojawiły się na nim jasne smugi. Nic więcej.

Crawford już miał zadać Price'owi pytanie, ale rozmyślił się i czekał. W szklach okularów odbijało się niebieskie światło.

– Wiemy, że bez rękawiczek dotykało tego trzech facetów, prawda? – zapytał Price.

– Tak. Sprzątacze, Lecter i Chilton.

– Ten facet szorujący klozety prawdopodobnie zmył tłuszcz z opuszków palców. Ale inni... ten papier jest okropny. – Price podniósł list bliżej światła. Kleszcze pewnie tkwiły w starej, pokrytej plamami ręce. – Mogę go poddać działaniu gazów, ale nie ma gwarancji, czy nie wywabi się w ten sposób napisu.

– Ninhydryna? Zwiększenie temperatury? – Normalnie Crawford nie ośmieliłby się dawać technicznych rad Priceowi, ale teraz czepiał się każdej możliwości. Myślał, że Price go ofuknie, ale stary był ponury i smutny.

– Nie. Nie możemy potem tego wyplukać. Nie mogę zdjąć z tego odcisków, Jack. Nie ma żadnego sposobu.

– Kurwa mać! – zaklął Crawford.

Stary odwrócił się. Crawford położył dłoń na jego kościstym ramieniu.

– Do diabła, Jimmy. Gdyby był jakiś sposób, na pewno byś go znalazł.

Price nie odpowiedział. Odpakowywał parę dłoni, która przybyła w związku z inną sprawą. Suchy lód parował z kosza na śmieci. Crawford wrzucił tam białe rękawiczki.

W brzuchu ścisnęło go poczucie zawodu. Popędził do sekcji dokumentów, gdzie czekał już na niego Lloyd Bowman. Bowman wywołany został prosto z sądu. Nagłe przeniesienie sprawiło, że mrugał, jak ktoś dopiero co wyrwany ze snu.

– Gratuluję fryzury. Dzielnie startowałeś – powiedział Bowman. Szybko i ostrożnie przeniósł list na swoją podświetlaną szybę. – Ile mam czasu?

– Najwyżej dwadzieścia minut.

Dwa kawałki listu zdawały się żarzyć pod światłami Bowmana. Ciemna zieleń prześwitywała w górnym kawałku, tam gdzie znajdowała się prostokątna, postrzępiona dziura.

– Pierwsza i najważniejsza sprawa, to sposób, w jaki Lecter ma odpowiedzieć – powiedział Crawford, kiedy Bowman skończył czytać.

– Instrukcje na ten temat znajdowały się prawdopodobnie w wydartej części. – Podczas rozmowy Bowman bez przerwy operował światłami, zmieniał filtry i włączał kamerę. – Tutaj, na górnym kawałku, pisze: „Mam nadzieję, że możemy ze sobą korespondować...” i zaraz potem zaczyna się dziura. Lecter zamazał dalszy ciąg flamastrem, potem zagiął brzegi i prawie wszystko wydarł.

– Nie miał niczego, czym mógłby to wyciąć. Bowman sfotografował odcisk zębów i odwrotną stronę listu pod skrajnie ukośnym światłem. Kiedy przesuwiał lampę o 360 stopni wokół papieru, jego cień przeskakiwał ze ściany na ścianę. Kontury dłoni i palców tańczyły w powietrzu jak w teatrze cieni.

– Teraz troszkę to rozprostujemy. – Bowman umieścił list między dwiema szklanymi taflami, żeby wygładzić postrzępione brzegi dziury. Strzępy zabarwione były na jasnoczerwono. Bowman nucił coś pod nosem. Za trzecim razem Crawford zrozumiał słowa: „Jesteś niezły cwaniak, ale ja nie jestem gorszy”.

Bowman zmienił filtry w swojej małej kamerze telewizyjnej i wycelował ją w list. Zaciemnił pokój tak, że widać było tylko stłumione czerwone światło żarówki i zielony ekran monitora.

Na ekranie pojawiły się powiększone słowa „Mam nadzieję, że możemy ze sobą korespondować” i postrzępiona dziura. Cynobrowa plama znikła i na wydartych brzegach pojawiły się fragmenty napisu.

– Anilinowe barwniki przepuszczają promienie podczerwone – powiedział Bowman. – To tutaj i tutaj to mogą być daszki litery T. Na końcu jest ogonek, który może należeć do litery M albo N, możliwe także, że R. – Bowman zrobił zdjęcie i zapalił światło. – Jack, są tylko dwa sposoby

utrzymywania łączności między dwiema osobami, z których jedna nie wiadomo gdzie się znajduje – telefon i ogłoszenie w gazecie. Czy Lecter może przyjmować telefony?

– Może, ale trwa to długo, zanim go połączą i wszystkie rozmowy przechodzą przez szpitalną centralę.

– W takim razie jedynym bezpiecznym sposobem jest ogłoszenie w prasie.

– Wiemy, że ten kochaś czytuje „Tattlera”. Te bzdury o Grahamie i Lecterze zamieszczone były właśnie tam. Nie wiem o żadnej innej gazecie, która pisałaby coś na ten temat.

– „Tattler” ma w nazwie trzy razy literę T i raz R. Ogłoszenia osobiste, nie sądzisz? Trzeba tam zajrzeć.

Crawford skonsultował się z biblioteką FBI, a następnie telefonicznie przekazał instrukcje do biura w Chicago. Bowman wręczył mu walizeczkę, kiedy skończył.

– „Tattler” wychodzi dziś wieczorem – poinformował Crawford. – Jest drukowany w Chicago, w poniedziałki i czwartki. Dostaniemy przed drukiem kolumny drobnych ogłoszeń.

– Myślę, że będę miał jeszcze jakieś drobiazgi – odparł Bowman.

– Przekazuj wszystko, co mogłoby się przydać, prosto do Chicago. Poinformuj i mnie, kiedy wrócę ze szpitala – powiedział Crawford w drodze do drzwi.

Automat na stacji metra Central w Waszyngtonie oddał Grahamowi z powrotem kartę przejazdów. Na zewnątrz było upalne popołudnie. Wszedł trzymając w ręku swoją torbę podróżną.

Gmach Edgara Hoovera wyglądał jak olbrzymia, betonowa klatka unosząca się nad falującym od gorąca powietrzem Dziesiątej Ulicy. Przenosiny FBI do nowej siedziby były w pełnym toku, kiedy Graham opuścił Waszyngton. Nigdy nie pracował w tym budynku.

Crawford spotkał go obok budki strażnika przy podziemnym podjeździe, żeby swoją kartą dodać ważności wydanym w pośpiechu dokumentom Grahama. Graham wyglądał na zmęczonego i niecierpliwie czekał, żeby podpisać przepustkę. Crawford zastanawiał się, co czuje, mając świadomość, że morderca interesuje się jego osobą.

Grahamowi wydano magnetycznie zakodowaną kartę, podobną do tej, którą nosił przy kurtce Crawford. Wetknął ją w otwór przy bramie i znaleźli się w labiryncie długich białych korytarzy. Crawford niósł jego torbę podróżną.

– Zapomniałem powiedzieć Sarah, żeby wysłała po ciebie samochód.

– Tak jest chyba szybciej. Czy udało ci się bez problemów podzucić z powrotem list Lecterowi?

– Tak – odparł Crawford. – Właśnie wróciłem. Zalaliśmy wodą cały korytarz. Upozorowaliśmy pęknięcie rury i krótkie spięcie. Zajął się tym Simmons – jest teraz zastępcą szefa naszego biura w Baltimore. Wycierał podłogę, kiedy Lectera przenoszono z powrotem do jego celi. Simmons uważa, że tamten to kupił.

– Zastanawiałem się w samolocie, czy przypadkiem Lecter sam tego nie napisał.

– To też mi przyszło do głowy, dopóki nie zobaczyłem listu na własne oczy. Odcisk zębów na papierze jest zgodny z tym, który zdjęliśmy z kobiet. Poza tym list napisany jest długopisem, a Lecter go nie ma. Osoba, która go napisała, czytuje „Tattlera”, a Lecter go nie dostaje. Rankin i Willingham przetrzasnęli celę. Wspaniała robota, ale figę znaleźli. Najpierw zrobili zdjęcia Polaroidem, żeby po rewizji poustawiać wszystko ładnie z powrotem. Potem wpuścili sprzątacza, który zrobił porządek, tak jak to robi normalnie.

– Więc jakie jest twoje zdanie?

– Jako dowód rzeczowy stwierdzający tożsamość podejrzanego, list jest do niczego – powiedział Crawford. – Musimy w jakiś sposób wykorzystać ten kontakt, ale zabij mnie, jeśli wiem, jak to zrobić. Za parę minut będziemy mieli pozostałe wyniki z laboratorium.

– Czy załatwiłeś podsłuch i kontrolę poczty w szpitalu?

– Bezpośredni podsłuch i nagrywanie każdej rozmowy telefonicznej Lectera. Dzwonił gdzieś w

sobotę po południu. Chiltonowi powiedział, że do swojego adwokata. To jest niestety linia działająca w takim systemie, że nie sposób tego sprawdzić z całą pewnością.

– A co mówi adwokat?

– Nic. Wydzierżawiliśmy linię, która łączy Lectera ze szpitalną centralą, coś podobnego nie wydarzy się więc w przyszłości. Sprawdzamy jego pocztę, przychodzącą i odchodzącą, poczynawszy od następnej dostawy. Dzięki Bogu, nie było kłopotów z nakazami.

Crawford przysunął się do drzwi i wetknął kartę zawieszoną przy kurtce w specjalny otwór.

– To moje nowe biuro. Wejdz, proszę. Zostało trochę farby po bitwie, jaką stoczył tu że ścianami malarz. Tutaj leży kopia listu. Dokładnie tej samej wielkości, co oryginał.

Graham przeczytał go dwa razy. Kiedy zobaczył pajęczę nitki liter składające się na jego nazwisko, w głowie zabręczał mu wysokim tonem dzwonek alarmowy.

– W bibliotece potwierdzili, że „Tattler” jest jedyną gazetą, która zamieściła historię o tobie i Lecterze – powiedział Crawford przygotowując sobie szklankę alka-seltzer. – A ty nie chcesz? Dobrze ci robi. Opublikowali to w zeszły poniedziałek wieczorem. W sprzedaży w całych Stanach pojawiło się we wtorek, na niektórych obszarach – na przykład na Alasce i w Maine – w środę. Szczerbata Lala złapał gdzieś egzemplarz, ale nie mógł tego zrobić przed wtorkiem. Przeczytał i napisał do Lectera. Rankin i Willingham wciąż przetrząsają szpitalne śmieci w poszukiwaniu koperty. Fuj, paskudna robota. W Chesapeake nie oddzielają brudnych bandaży od papierowych śmieci.

Ale do rzeczy. Lecter dostaje list od Szczerbatej Lali nie wcześniej niż w środę. Wyrzywa część mówiącą o tym, jak ma odpowiedzieć, i zamazuje, a potem dziurawi miejsce, gdzie jest do tego jakaś aluzja. Nie rozumiem, dlaczego również i tego nie wyrwał w całości.

– To było w środku akapitu pełnego komplementów – powiedział Graham. – Nie mógł się zdobyć na to, żeby nie pozostał po nich żaden ślad. Dlatego w ogóle zostawił sobie ten list. – Pomasaował skronie kostkami kciuków.

– Bowman sądzi, że Lecter posłuży się „Tattlerem”, żeby odpowiedzieć Szczerbatej Lali. Twierdzi, że tak to prawdopodobnie zostało urządzone. Czy myślisz, że on w ogóle odpowie?

– Z pewnością. Uwielbia pisać listy. Ma korespondencyjnych przyjaciół wszędzie, gdzie tylko można.

– Jeżeli posłużą się „Tattlerem”, Lecter nie zdoła chyba zamieścić swojej odpowiedzi w wydaniu, które drukują dziś wieczorem, nawet jeśli wysłał ją ekspresem tego samego dnia, kiedy dostał list od Lali. W drukarni „Tattlera” jest już Chester z naszego biura w Chicago. Sprawdza ogłoszenia. Zecerzy właśnie składają numer.

– Boże, spraw, żeby „Tattler” tego nie rozdmuchał – powiedział Graham.

– Kierownik drukarni myśli, że Chester jest agentem od nieruchomości, który chce mieć wcześniejszy dostęp do ogłoszeń. Sprzedaje mu próbne szpalty, w miarę jak schodzą z maszyny, tak żeby nikt nie widział. Bierzemy wszystko, wszystkie ogłoszenia drobne, po to, żeby nie wiadomo było do czego zmierzamy. No dobrze, powiedzmy, że wykryjemy metodę, jakiej użył Lecter, żeby odpowiedzieć i będziemy w stanie się nią posłużyć. Będziemy mogli wysłać Lali fałszywą wiadomość – ale co w niej zawrzemy? Jak to wykorzystamy?

– Trzeba spróbować go skłonić, żeby skorzystał ze skrzynki kontaktowej, to oczywiste – powiedział Graham – Czymś go tam zwabimy, czymś, czego chce się dowiedzieć. „Ważny dowód rzeczowy”, o którym Lecter dowiedział się w rozmowie ze mną. Jakiś błąd, który popełnił i na którego powtórzenie czekamy.

– Musiałby być idiotą, żeby dać się na to złapać.

– Wiem. Chcesz usłyszeć, co byłoby najlepszą przynętą?

– Najlepszą przynętą byłby sam Lecter – powiedział Graham.

– Ale jak to zorganizować?

– To będzie piekielnie trudne, wiem o tym. Przeniesiemy Lectera pod jurysdykcję federalną – inaczej Chilton w Chesapeake nigdy nie dałby nam spokoju – i ukryjemy go w warunkach gwarantujących maksymalne bezpieczeństwo w szpitalu psychiatrycznym w Virginii. Upozorujemy ucieczkę.

– Chryste!

– W przyszłym tygodniu, po „wielkiej ucieczce”, wyślemy Szczerbatej Lali za pośrednictwem „Tattlera” wiadomość. Lecter poprosi go o spotkanie.

– Dlaczego ktoś, na miłość boską, chciałby się spotykać z Lecterem? Nawet Szczerbata Lala?

– Żeby go zabić, Jack. – Graham wstał. W pokoju nie było okna, przez które można by wyrzucić podczas rozmowy. Stał przed plakatem przedstawiającym „Dziesięciu Najbardziej Poszukiwanych”, jedyną dekoracją w biurze Crawforda. – Zrozum, tylko w ten sposób Lala może go w siebie wchłonać, połączyć się z nim, stać się kimś więcej, niż jest teraz.

Mówisz, jakbyś był tego pewien.

Nie jestem pewien. Kto wie? W swoim liście napisał:

„Mam pewne rzeczy, które pragnąłbym panu pokazać. Któregoś dnia, być może, jeśli okoliczności pozwolą”. To chyba jest poważne zaproszenie. Nie sądzę, żeby to była zwykła grzecznościowa formułka.

– Nie zastanawia cię, co on chce pokazać? Ofiary były nienaruszone. Nic im nie brakowało oprócz małego kawałka skóry i włosów, które zostały prawdopodobnie... jak ujął to Bloom?...

– Połknięte – powiedział Graham. – Bóg jeden wie, co on tam ma. Tremont, pamiętasz kostiumy Tremonta w Spokane? Był przywiązany do noszy, a jeszcze starał się pokazać je podbródkiem policjantom w Spokane. Nie jestem pewien, czy Lecter zwabi do nas Szczerbatą Lalę. Twierdzę jedynie, że to najlepsze co, możemy zrobić.

– Wywołamy niesamowitą panikę, jeśli ludzie uwierzą, że Lecter wy dostał się na wolność. Gazety podniosą larum. Może to i najlepsza rzecz, ale zachowajmy ją na sam koniec.

– Prawdopodobnie nie podejdziesz zbyt blisko do naszej skrzynki kontaktowej, ale może być na tyle ciekaw, żeby rzucić na nią okiem i sprawdzić, czy Lecter go nie zdradził. Jeśli będzie mógł to zrobić z dużej odległości. Możemy wybrać miejsce, które z daleka obserwować można tylko z kilku punktów i wystawić tam posterunki. – Brzmiało to dla Grahama nieprzekonywająco już w chwili, gdy to mówił.

– Secret Service ma takie miejsce, nigdy go nie używali. Pozwolą nam je wykorzystać. Ale jeśli nie zamieścimy ogłoszenia dzisiaj, będziemy musieli czekać aż do następnego wydania w poniedziałek. Prasy drukarskie ruszają o piątej naszego czasu. To daje naszym ludziom z Chicago godzinę i piętnaście minut na podrzucenie nam ogłoszenia Lectera, jeśli je w ogóle wysłał.

– A co z zamówieniem, z listem, który Lecter wysłał do „Tattlera”. Czy nie możemy dostać go wcześniej?

– Nasi ludzie wymyślili na użytek szefa drukarni całą legendę – powiedział Crawford. – Poczta jest zamknięta w biurze kierownika działu ogłoszeń drobnych. Nazwiska i adresy zwrotne sprzedaje się różnym kombinatorom, którzy wysyłają tam swoje oferty, zachwalając produkty dla ludzi samotnych, uroki miłości, tabletki na podniesienie potencji, spotkania z „pięknymi azjatyckimi dziewczętami”, kursy rozwoju osobowości i podobne bzdury. Możemy zaapelować do poczucia obywatelskiego obowiązku kierownika działu ogłoszeń, zajrzeć do jego poczty, poprosić go, żeby siedział cicho, ale nie chcę ryzykować, że „Tattler” obsmaruje nas wszystkich w następnym wydaniu. Żeby wejść tam i przetrząsnąć pocztę, potrzebny jest nakaz. Zastanawiam się nad tą możliwością.

– Jeśli nasi ludzie w Chicago niczego nie odkryją, możemy tak czy owak zamieścić nasze ogłoszenie. Jeśli nawet mylimy się co do „Tattlera”, to przecież nic na tym nie tracimy – powiedział Graham.

– Ale jeśli nie mylimy się, że właśnie w „Tattlerze” ma się ukazać odpowiedź, jeśli zamieścimy nasze ogłoszenie opierając się na jego liście i zrobimy coś nie tak, jak trzeba, a Szczerbata Lala nabierze podejrzeń, to jesteśmy z powrotem w lesie. Nie zapytałem cię o Birmingham. Znalazłeś coś?

– Birmingham to sprawa skończona. Dom Jacobich został na nowo pomalowany, urządzony i wystawiony jest na sprzedaż. Ich rzeczy są w magazynie i czekają na potwierdzenie prawomocności testamentu. Przetrzaśnałem wszystkie skrzynie. Ludzie, z którymi rozmawiałem, nie znali Jacobich zbyt dobrze. Jedna rzecz, o której zawsze wspominali, to uczucie, z jakim Jacobi odnosili się do siebie wzajemnie. Bez przerwy się głaskali. Nic teraz po nich nie zostało oprócz pięciu palet w magazynie załadowanych gratami. Życzyłbym sobie...

– Daj spokój życzeniom, zajmij się terażniejszością.

– Co że znakiem na drzewie?

– ”Uderz to w głowę”? Nic mi to nie mówi – powiedział Crawford. – Tak samo Czerwony Smok. Beverly gra w madżonga. Ma dobre oko, ale nie potrafi tu nic dostrzec. Wiemy na podstawie jego włosa, że nie jest Chińczykiem.

– Uciął gałąź szczypcami do cięcia metalu. Nie widzę...

Na biurku zadzwonił telefon. Crawford odebrał i rozmawiał z kimś krótko.

– Laboratorium ma gotowe wyniki na temat listu, Will. Chodźmy na górę, do biura Zellera. Jest większe i nie takie szare.

Na korytarzu dołączył do nich Lloyd Bowman, bez kropli potu na czole mimo upału. W obu dłoniach miał mokre fotografie. Poruszał nimi, żeby szybciej wyschły. Pod pachą trzymał plik odbitek z telefaksu.

– Jack, muszę być w sądzie piętnaście po czwartej – powiedział. – To sprawa tego fałszerza Niltona Eskew i jego narzeczonej Nan. Potrafiła od ręki narysować banknot studolarowy. Od dwóch lat doprowadzali mnie do szaleństwa, sporządzając własne karty kredytowe na kolorowej kserokopiarce. Bez nich nie wrócę. Zdam na czas, czy powinienem wezwać prokuratora?

– Zdamysz – odparł Crawford. – No, jesteśmy na miejscu.

Beverly Katz posłała Grahamowi uśmiech z kanapy w biurze Zellera, pewnie jako antidotum na zde gustowaną minę siedzącego obok Pricea.

Szef działu analiz naukowych Brian Zeller był dość młody jak na swoje stanowisko, ale włosy przeredziły mu się już nieco i nosił dwuogniskowe okulary. Na półce za jego biurkiem Graham dostrzegł książkę H. J. Wellsa na temat kryminalistyki, wielką trytomową „Medycynę sądową” Tedeschiego i stare wydanie „Upadku Niemiec” Hopkinsa.

– Sądzę, że spotkaliśmy się kiedyś na Uniwersytecie Jerzego Waszyngtona, Will – powiedział Zeller. – Znasz tu wszystkich? To świetnie.

Crawford oparł się o biurko Zellera i skrzyżował ręce na piersi.

– Czy ktoś z was ma w zanadrzu jakąś bombę? To znaczy, czy cokolwiek z tego, co odkryliście, mogłoby świadczyć, że listu nie napisał Szczerbata Lala?

– Nie – powiedział Bowman. – Kilka minut temu rozmawiałem z Chicago i przekazałem im kilka cyfr, które znalazłem na odbitce odwrotnej strony listu. Sześć, sześć, sześć. Pokażę wam wszystko, jak przyjdzie moja kolej. Jak dotąd w Chicago mają dwieście drobnych ogłoszeń. – wręczył Grahamowi plik odbitek telefaksu. – Przeczytałem je, zawierają to samo, co zwykle: oferty matrymonialne, apele do tych, co uciekli z domu. Nie jestem pewien, czy rozpoznamy nasze

ogłoszenie, nawet jeżeli jest wśród nich.

Crawford potrząsnął głową.

– Ja też nie wiem. Rozpatrzmy teraz dowody rzeczowe. Jimmy Price zrobił, co mógł, ale nie udało mu się zdjąć odcisków. Co u ciebie Bev?

– Mam jeden włos. Liczba płytek i wielkość cebulki odpowiada próbkom pobranym od Lectera. Podobnie kolor, który wyraźnie różni się od próbek uzyskanych w Birmingham i Atlancie. Trzy niebieskie ziarenka i kilka pyłków poszły do pracowni Briana. – Spojrzała na Briana Zellera. – Ziarenka pochodzą z dostępnego powszechnie chlorowanego środka czyszczącego – powiedział. – Musiały spaść na list, kiedy facet czyścił sobie ręce. Jest również kilka bardzo niewielkich cząstek skrzepłej krwi. To na pewno krew, ale jest jej za mało, żeby określić grupę.

– Wydarty brzeg papieru nie zawsze jest zgodny z perforacją – kontynuowała Beverly Katz. – Jeśli znajdziemy rolkę, a nie wydarto z niej więcej papieru, będziemy mogli dopasować brzegi. Proponuję już teraz wydać instrukcję, żeby funkcjonariusze dokonujący aresztowania starali się odnaleźć rolkę.

Crawford kiwnął głową.

– Bowman?

– Sharon z mojego biura zbadła papier i zdobyła próbki w celach porównawczych. To specjalny papier używany na jachtach i campingach. Jego struktura odpowiada strukturze papieru wytwarzanego przez firmę Wedeker w Minneapolis. Sprzedawany jest w całym kraju.

Bowman umieścił swoje fotografie na stojaku koło okna. Głos miał zadziwiająco gruby w porównaniu z niepozornym wyglądem. Kiedy mówił, na szyi poruszał mu się lekko węzeł krawatu.

– Jeśli chodzi o charakter pisma, list pisany jest przez osobę praworęczną, używającą ręki lewej i umyślnie stawiającą drukowane litery. Zauważyć można niepewne pociągnięcia linii, litery różnią się między sobą rozmiarem.

Ich proporcje skłaniają mnie do twierdzenia, że nasz człowiek cierpi na nie skorygowany astygmatyzm.

W świetle naturalnym tusz przypomina stosowany w normalnych długopisach. Kiedy użyje się jednak kolorowych filtrów, na jaw wychodzą drobne różnice. Posługiwał się nie jednym, a dwoma długopisami, zmieniając je gdzieś w brakującej części listu. Tu widać, gdzie pierwszy długopis zaczął przerywać. Był rzadko używany – proszę spojrzeć na kleksy, które stawiał na początku. Mógł być przechowywany w pozycji pionowej, wysunięty wkładem w dół, w pojemniku na przybory do pisania albo w kubku, co sugeruje, że list pisano przy biurku. Powierzchnia, na której leżał, była dość miękka, mogła to być podkładka. Na podkładce mogły zachować się odciski. Chciałbym włączyć podkładkę do instrukcji proponowanej przez Beverly.

Bowman przeszedł do fotografii odwrotnej strony listu. Skrajne powiększenie sprawiło, że

papier wydawał się włochaty. Widać było leżące w cieniu wyżłobienia.

– Nasz człowiek złożył list na pół, kiedy pisał jego dolną część, również i to, co zostało później wydarte. Na tym powiększeniu odwrotnej strony ukośne światło odkryło kilka odcisków. Możemy odcyfrować „666”. Może w tym właśnie miejscu miał kłopoty z długopisem i musiał przyciskać go mocniej. Nie wykryłem tych cyfr, zanim nie użyłem wysoko kontrastowych odbitek. W żadnym z ogłoszeń nie figurują na razie trzy szóstki.

Struktura zdań jest jasna, autor nie odbiega od tematu. Złożenie kartki sugeruje, że list wysłano w standardowej kopercie. Te dwa ciemne miejsca to smugi farby drukarskiej. List prawdopodobnie włożono pomiędzy jakieś nie wzbudzające podejrzeń zadrukowane kartki.

To wszystko – zakończył Bowman. – Jeśli nie masz żadnych pytań, Jack, chciałbym teraz iść do sądu. Zamelduję się z powrotem zaraz po złożeniu zeznań.

– Nie daj im żadnej szansy – powiedział Crawford.

Graham czytał kolumnę drobnych ogłoszeń w „Tattlerze”. (Atrakcyjna dama o obfitych kształtach, lat 52, szuka chrześcijanina urodzonego pod znakiem Lwa, wiek 40-70. Dzieci wykluczone. Mile widziana proteza. Tylko poważne oferty. Zdjęcie w pierwszym liście.)

Poruszyły go ból i desperacja kryjące się w tych ogłoszeniach. Nie zwrócił uwagi, że inni wychodzą, aż odezwała się do niego Beverly Katz.

– Przepraszam, Beverly. Co powiedziałaś? – Spojrzał prosto w jej jasne oczy i miłą pomarszczoną twarz.

– Powiedziałam tylko, że cieszę się, że znowu cię widzę, mistrzu. Dobrze wyglądasz.

– Dziękuję, Beverly.

– Saul chodzi do szkoły gastronomicznej. Jest wciąż na etapie prób i błędów, ale kiedy akta tej sprawy pokryją się kurzem, wpadnij i pozwól mu wypróbować na sobie jakąś potrawę.

– Wpadnę.

Zeller wyszedł skontrolować swoje laboratorium. W gabinecie, spoglądając na zegar, zostali tylko Crawford i Graham.

– Czterdzieści minut do uruchomienia pras drukarskich „Tattlera” – powiedział Crawford. – Sprawdzę, czy nie ma nowych ogłoszeń. Co ty na to?

– Sądzę, że powinienesz to zrobić.

Crawford rozmawiał przez chwilę z Chicago z aparatu Zellera.

– Will, musimy przygotować nasze ogłoszenie, jeśli Chicago niczego nie znajdzie.

– Popracuję nad tym.

– Zorganizuję skrzynkę kontaktową. – Crawford zadzwonił do Secret Service i rozmawiał z nimi jakiś czas. Kiedy skończył, Graham wciąż pisał.

– Załatwione, skrzynka kontaktowa jest palce lizać – powiedział w końcu Crawford. – Zamocowana na ścianie budynku straży pożarnej w Annapolis. To terytorium Lectera. Szczerbata Lala wydedukuje, że Lecter rzeczywiście może znać to miejsce. Alfabetyczne przegródki. Ludzie ze straży przyjeżdżają tam, żeby odebrać wezwania i pocztę. Nasz człowiek może obserwować ją z parku, z drugiej strony ulicy. Secret Service przysięga, że skrzynka wygląda dobrze. Zorganizowali ją, żeby złapać fałszerza, ale potem okazało się, że jej nie potrzebują. Tutaj jest adres. Co z ogłoszeniem?

– Musimy zamieścić dwa ogłoszenia w jednym wydaniu. W pierwszym ostrzeżemy Szczerbatą Lale, że wrogowie depczą mu po piętach i są bliżej, niż myśli. Powiemy, że popełnił fatalny błąd w Atlancie i jeśli go powtórzy, jest zgubiony. Napiszemy, że Lecter wysłał do niego „tajną wiadomość”, w której zawarł to, z czym ja go zaznajomiłem. Pokazałem mu, jak blisko jesteśmy rozwiązania sprawy i jakie mamy dowody. Damy do zrozumienia, że jest jeszcze jedno ogłoszenie, zaczynające się od „twojego podpisu”.

Drugie ogłoszenie będzie miało nagłówek „Chciwy wyznawco” i zawierać będzie adres skrzynki kontaktowej. Musimy to urządzić w ten sposób. Nawet ogólnie wyrażone ostrzeżenie zawarte w pierwszym ogłoszeniu może sprawić, że zechcą się w to włączyć jacyś przypadkowi szaleńcy. Jeśli nie odnajdą adresu, nie uda im się przyjść pod skrzynkę i spaskudzić całej sprawy.

– To brzmi rozsądnie. Piekielnie rozsądnie. Czy chcesz zaczekać w moim biurze?

– Mam coś do załatwienia. Chciałbym zobaczyć się z Brianem Zellerem.

– W takim razie nie zatrzymuję cię. Gdyby coś się stało, szybko cię złapię.

Graham odnalazł szefa działu w laboratorium serologicznym.

– Brian, czy mógłbyś mi pokazać kilka rzeczy?

– Naturalnie, co konkretnie?

– Próbki, którymi dysponowałeś, żeby zaklasyfikować Szczerbatą Lale.

Zeller spojrzał na Grahama przez swoje dwuogniskowe okulary.

– Czy w moim sprawozdaniu jest coś, czego nie rozumiesz?

– Nie.

– Coś niejasnego?

– Nie.

– A może czegoś brakuje? – Zeller wymówił ostatnie słowo, jakby miało nieprzyjemny smak.

– Twoje sprawozdanie było doskonałe, nie wyobrażam sobie lepszego. Chcę po prostu sam wziąć dowody rzeczowe do ręki.

– Ach, oczywiście. Nie widzę przeszkód. – Zeller uważał, że wszyscy agenci pracujący w terenie mają swoje myśliwskie przesady. Ucieszył się, że może zaspokoić kaprysy Grahama. – Wszystko jest tam, w końcu korytarza.

Graham szedł za nim, mijając długie lamy zastawione aparaturą.

– Czytasz Tedeschiego?

– Tak – odpowiedział Zeller przez ramię. – Nie mamy tu, jak wiesz, działu medycyny sądowej, ale u Tedeschiego można znaleźć mnóstwo rzeczy, które się nam przydają. Graham. Will Graham. To ty napisałeś klasyczną monografię na temat możliwości określenia czasu zgonu na podstawie aktywności insektów, prawda? Albo mam przed sobą innego Grahama?

– To ja. – Przerwał. – Masz rację, Mant i Nuorteva u Tedeschiego są lepsi, jeśli chodzi o insekty.

Zeller zdumiał się, słysząc myśl, której nie zdążył wypowiedzieć.

– No cóż, jest tam więcej zdjęć i tablic przedstawiających formacje atakujących owadów. Bez obrazy.

– Oczywiście. Są lepsi. Powiedziałem im to.

Zeller zebrał fiolki i slajdy z szafki i lodówki i położył je na laboratoryjnej ladzie.

– Jeśli będziesz miał jakieś pytania, jestem tam, gdzie mnie znalazłeś. Światło w mikroskopie zapala się z tej strony.

Graham nie potrzebował mikroskopu. Nie miał wątpliwości co do żadnego ze znalezisk Zellera. Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, czego chce. Podniósł do światła fiolki i slajdy, potem przezroczystą kopertę z dwoma jasnymi włosami znalezionymi w Birmingham. W drugiej kopercie znajdowały się trzy włosy pani Leeds.

Na stole przed Grahamem była ślina, włosy i nasienie. I puste powietrze, miejsce, w którym próbował zobaczyć choćby zarys, choćby twarz tamtego, coś co zastąpiłoby bezkształtny koszmar, który w sobie nosił.

Z głośnika zawieszzonego pod sufitem odezwał się kobiecy głos.

– Graham, Will Graham, proszony do biura specjalnego agenta Crawforda. Pilne.

Zastał Sarę ze słuchawkami na głowie, stukającą na maszynie. Crawford zaglądał jej przez ramię.

– Chicago dostało ogłoszenie z trzema szóstkami – powiedział półgębkiem. – Dyktują je właśnie. Mówią, że jego część wygląda na szyfr.

Z maszyny do pisania wylaniał się napis: Drogi Pielgrzymie, uhonorowałeś mnie...

– To on, to on – odezwał się Graham. – Lecter nazwał Szczerbatą Lalę Pielgrzymem, kiedy ze mną rozmawiał. – ...jesteś bardzo piękny...

– Chryste! – jęknął Crawford.

Odmówię 100 modlitw za twoje bezpieczeństwo.

Pomocy szukaj w Ewangelii św. Jana 6:22, 8:16; 9:1; Łukasza 1:7, 3:1; Liście do Galecjan 6:11, 15:2; Dziejach Apostolskich 3:3, Objawieniu św. Jana 18:7; Księdze Jonasza 6:8...

Sarah pisała teraz wolniej, powtarzając na głos agentowi z Chicago każdą parę cyfr. Kiedy skończyła, lista biblijnych adresów zajęła jedną czwartą kartki. Podpis brzmiał: „Błogosławię cię, 666”.

– To wszystko – powiedziała Sarah. Crawford wziął od niej słuchawkę.

– Cześć, Chester, jak poszło z kierownikiem działu ogłoszeń? Nie, zrobiłeś słusznie. Ani pary z ust, w porządku. Zaczekaj chwilę przy telefonie, zaraz wracam.

– Szyfr – powiedział Graham.

– Oczywiście. Mamy dwadzieścia dwie minuty, żeby puścić nasze ogłoszenie, jeśli uda nam się złamać szyfr.

Kierownik drukarni musi być uprzedzony dziesięć minut wcześniej i żąda trzysta dolarów za umieszczenie go w tym wydaniu. Bowman jest teraz w swoim biurze, ma przerwę w rozprawie. Zaprzęgnij go do tego, a ja zadzwonię do speców od kryptografii w Langley. Sarah, wyślij teleksem ogłoszenie do sekcji kryptografii CIA. Zawiadomię ich, że już jest w drodze.

Bowman położył ogłoszenie na biurku, starannie wyrównał brzegi, tak żeby spoczywało dokładnie na podkładce. Bardzo długo, tak przynajmniej wydawało się Grahamowi, czyścił szkła swoich pozbawionych oprawek okularów.

Bowman miał opinię szybkiego. Przyznawano to nawet w sekcji materiałów wybuchowych i wybaczano mu, że nie jest byłym żołnierzem piechoty morskiej.

– Mamy dwadzieścia minut – powiedział Graham.

– Rozumiem. Skontaktowaliście się z Langley?

– Crawford do nich dzwonił.

Bowman wielokrotnie przeczytał ogłoszenie, popatrzył na nie z góry, z dołu i z boku, przejechał palcem po marginesie. Wyjął z półki Biblię. Przez pięć minut słycać było tylko oddech obu mężczyzn i trzepotanie cienkich jak bibułka kartek.

– Nie – powiedział. – Nie uda nam się złamać szyfru w tym czasie. Spróbujcie zadziałać inaczej, jeśli macie jeszcze jakąś alternatywę.

Graham pokazał mu puste ręce.

Bowman obrócił się, spojrział Grahamowi w twarz i zdjął okulary. Po obu stronach nosa miał różowe plamki.

– Czy jesteś całkowicie pewien, że list jest jedyną wiadomością, jaką Lecter dostał od Szczerbatej Lali?

– Tak.

– W takim razie szyfr wydaje się prosty. Muszą tylko zabezpieczyć się przed przypadkowymi czytelnikami. Z perforacji w liście do Lectera wynika, że szerokość wydartego miejsca wynosiła tylko siedem centymetrów. To daje niewiele miejsca na instrukcje. Cyfry nie odpowiadają stuknemu szyfrowi więziennemu. Domyślam się, że to szyfr książkowy.

Dołączył się do nich Crawford.

– Szyfr książkowy?

– Na to wygląda. Pierwsza liczba, te „sto modlitw”, może oznaczać numer strony. Pary liczb odnoszące się do rozdziałów Biblii mogą oznaczać wiersz i literę. Ale co to za książka?

– Nie Biblia? – zapytał Crawford.

– Nie, nie Biblia. Z początku myślałem, że tak. Zmylił mnie List do Galacjan 6:11. „Patrzcie, jak wielkimi literami własnoręcznie do was napisałem”. Brzmi to sensownie, ale to czysty zbieg okoliczności, bo potem idzie adres 15:2. List do Galacjan ma tylko sześć rozdziałów. To samo mamy w przypadku Księgi Jonasza 6:8 – ta księga liczy tylko cztery rozdziały. Układając szyfr nie posługiwał się Biblią.

– Może tytuł książki zawarty jest w nie zaszyfrowanej części listu Lectera – podsunął Crawford.

Bowman potrząsnął głową.

– Nie sędzę.

– W takim razie książkę wskazał Szczerbata Lala. Wymienił jej tytuł w swoim liście do Lectera – powiedział Graham.

– Na to wygląda – powiedział Bowman. – Co myślicie o tym, żeby przycisnąć Lectera? W szpitalu psychiatrycznym mógłbym zastosować środki farmakologiczne...

– Trzy lata temu podali mu amytal sodu, próbując uzyskać informacje, gdzie zakopał studenta z Princeton. Dał im przepis na roztwór do kąpieli. Poza tym, kiedy go przyciśniemy, stracimy łączność. Jeżeli to Szczerbata Lala wybierał książkę, to taką, o której wiedział, że Lecter ma ją w swojej celi.

– Wiem na pewno, że ostatnio nie zamawiał ani nie pożyczał od Chiltona żadnej książki.

– Co mamy na ten temat w dokumentach, Jack? Na temat książek posiadanych przez Lectera?

– Że ma książki medyczne, psychologiczne, kucharskie.

– W takim razie to może być jakaś klasyczna pozycja z każdej z tych dziedzin. Coś podstawowego, coś co, według Szczerbatej Lali Lecter z całą pewnością posiada – stwierdził Bowman. – Potrzebna nam jest lista książek Lectera. Mamy ją?

– Nie. – Graham patrzył na czubki swoich butów. – Mógłbym zadzwonić do Chiltona... zaraz, zaraz. Rankin i Willingham. Kiedy przeszukiwali celę, zrobili zdjęcia Polaroidem, żeby potem dokładnie wszystko poukładać z powrotem.

– Czy mógłbyś poprosić ich, żeby spotkali się ze mną i przynieśli fotografie książek? – powiedział Bowman pakując swoją teczkę.

– Gdzie?

– W Bibliotece Kongresu.

Crawford ostatni raz porozumiał się z sekcją kryptografii CIA. Komputer w Langley wciąż sprawdzał nowe kombinacje, podstawiając litery w miejsce liczb i próbując rozmaitych szyfrów alfabetycznych. Bez rezultatu. Pracownik sekcji podzielał zdanie Bowmana, że jest to prawdopodobnie szyfr książkowy.

Crawford spojrzął na zegarek.

– Will, mamy do wyboru trzy możliwości i musimy zdecydować się już teraz. Możemy wycofać ogłoszenie Lectera z gazety i nie zamieszczać niczego. Możemy dać nasze nie zaszyfrowane ogłoszenie, w którym zapraszamy Szczerbatą Lalę do skrzynki kontaktowej. Albo możemy puścić ogłoszenie Lectera w takim kształcie, w jakim nadeszło.

– Jesteś pewien, że możemy wciąż wycofać ogłoszenie z „Tattlera”?

– Chester uważa, że kierownik drukarni wyrzuci je ze składu za jakieś pięćset dolców.

– Nie możemy zamieścić naszego ogłoszenia w nie zaszyfrowanej formie, Jack. Jeśli to zrobimy, Lecter prawdopodobnie nigdy już nie usłyszy od niego ani słowa.

– Tak, ale nie podoba mi się, że pozwalamy na opublikowanie wiadomości Lectera, nie wiedząc, jaka jest jej prawdziwa treść – rzekł Crawford. – Co takiego mógł mu powiedzieć, o czym ten by jeszcze nie wiedział? Jeśli dowie się, że mamy częściowy odcisk jego kciuka, a jego linii papilarnych nie ma w żadnych aktach, może odciąć sobie opuszkę palca, wyrwać zęby i śmiać się z nas w kułak w każdym sądzie.

– Odcisku kciuka nie było w aktach, które widział Lecter. Uważam, że powinniśmy puścić jego ogłoszenie. Zachęci to przynajmniej Szczerbatą Lalę do podtrzymania kontaktu.

– A co będzie, jeśli zachęci go jeszcze do czegoś innego?

– Będziemy tego długo żałować – odparł Graham. – Ale musimy to zrobić.

Piętnaście minut później w Chicago ruszyły wielkie prasy drukarskie „Tattlera”. Dudniąc głucho, nabierały szybkości, aż kurz uniósł się w hali maszyn. Wdychając zapach farby i świeżego druku, czekał tam agent FBI. Wyjął z maszyny jeden z pierwszych egzemplarzy.

„PRZESZCZEP GŁOWY” i „ASTRONOMOWIE DOSTRZEGLI BOGA” – to tylko niektóre z tytułów biegnących przez pierwszą stronę.

Agent sprawdził, czy ogłoszenie Lectera znajduje się na właściwym miejscu, i wsunął egzemplarz do worka z przesyłkami ekspresowymi do Waszyngtonu. Po latach zobaczy tę gazetę ponownie i przypomni sobie smugę, jaką jego kciuk zostawił na pierwszej stronie – w dniu, kiedy podczas wycieczki do kwatery głównej FBI razem ze swoimi dziećmi stanie przed gablotą mieszczącą eksponaty specjalne.

Godzinę przed świtem Crawford ocknął się z głębokiego snu. Zobaczył ciemny pokój, poczuł obfite siedzenie żony wygodnie wtulone w swój krzyż. Nie wiedział, co go obudziło, dopóki telefon nie zabrzączał po raz drugi. Na oślep sięgnął po słuchawkę.

- Jack, tu Lloyd Bowman. Złamałem szyfr. Muszę ci to przeczytać od razu.
- W porządku, Lloyd. – Crawford stopami namacał kapcie.
- Słuchaj: „Graham mieszka na Florydzie, w Marathon. Ratuuj się. Zabij ich wszystkich”.
- Jasny gwint! Muszę lecieć.
- Wiem.

Crawford nie tracił czasu na ubieranie się. Przeszedł do swej nory, dwa razy zadzwonił na Florydę, raz na lotnisko, aż wreszcie połączył się z Grahamem w hotelu.

- Will, Bowman właśnie złamał szyfr.
- No i?
- Zaraz ci powiem. Na razie słuchaj. Wszystko jest w porządku. Już się tym zająłem, więc nie rzucaj słuchawkę, zanim nie skończę.
- Wal szybko!
- To był twój adres. Lecter przesłał temu draniowi twój domowy adres. Czekaj! Szeryf wysłał już do Sugarloaf dwa samochody. Celnicy z Marathon pilnują domu od strony morza. Szczerbata Lala miał za mało czasu, żeby coś wykombinować. Nie rozłączaj się. Szybciej się z tym uwiniesz przy mojej pomocy. Słuchaj...

Ludzie szeryfa nie wystraszą Molly. Właśnie zablokowali samochodami drogę prowadzącą do twojego domu. Dwaj z nich będą obserwować dom z bliska. Możesz zadzwonić do niej, jak się obudzi. Przyjadę po ciebie za pół godziny.

- Nie zastaniesz mnie już.
- Najbliższy samolot w tamtym kierunku odlatuje dopiero o ósmej. Szybciej będzie sprowadzić ich tutaj. Mogą zamieszkać w domu mojego brata w Chesapeake. Mam dobry plan, Will, posłuchaj tylko. Jeżeli ci się nie spodoba, to osobiście odstawię cię na samolot.
- Musisz mi załatwić jakąś broń.
- Zajmiemy się tym, jak po ciebie przyjadę.

Molly i Willy jako jedni z pierwszych wysiedli na lotnisku krajowym w Waszyngtonie. Widząc Grahama w tłumie oczekujących, Molly nie uśmiechnęła się, lecz odwróciła do chłopca i powiedziała coś, idąc szybko na czele strumienia pasażerów wracających z Florydy.

Zmierzyła Grahama od stóp do głów, podeszła i cmoknęła go lekko. Poczul na policzku jej chłodne, opalone palce.

Czuł, że chłopiec przygląda mu się badawczo. Willy wyciągnął rękę i uściśnił mu dłoń.

W drodze do samochodu Graham zażartował, że walizka Molly jest okropnie ciężka.

– Ja poniosę – zaofiarował się chłopiec od razu. Brązowy chevrolet z rejestracją stanu Maryland ruszył za nimi z parkingu.

W Arlington Graham przejechał przez most i wskazał na pomniki Lincolna, Jeffersona i Waszyngtona, po czym skręcił na wschód, ku zatoce Chesapeake. Dziesięć mil za Waszyngtonem brązowy chevrolet zrównał się z nimi na lewym pasie. Kierowca, z ręką przy ustach, spojrzął na nich i nie wiadomo skąd doleciał ich głos:

– Fox Edward, jesteś czysty jak łza. Szerokiej drogi. Graham wyciągnął mikrofon ukryty pod deską rozdzielczą.

– Zrozumiałem, Bobby. Dzięki wielkie. Chevrolet został w tyle i włączył kierunkowskaz.

– Tylko sprawdzali, czy ktoś nas nie śledzi, na przykład prasa – wyjaśnił Graham.

– Rozumiem – bąknęła Molly.

Pod wieczór zatrzymali się na kolację w przydrożnej restauracji. Jedli kraby.

– Przepraszam, Molly – rzekł Graham, gdy Willy poszedł obejrzeć akwarium z homarami. – Nie mogę sobie tego darować.

– On teraz poluje na ciebie?

– Na razie nic na to nie wskazuje. Tyle że Lecter mu to podsunął, namawiał go do tego.

– Obrzydliwe uczucie, niedobrze się robi.

– Wiem. U brata Crawforda będziecie z Willym bezpieczni. Oprócz mnie i Crawforda nikt nie wie, gdzie was szukać.

– Chwilowo wolałabym nie wypowiadać się na temat Crawforda.

– Spodoba ci się tam, zobaczysz.

Odetchnęła głęboko. Zdawało się, że cały gniew uszedł z niej wraz z powietrzem, siedziała

zmęczona, apatyczna. Nagle uśmiechnęła się do męża łobuzersko.

– Cholera, przez chwilę myślałam, że mnie krew zaleje.

Czy my naprawdę musimy znosić jakichś tam Crawfordów?

– Nie. – Przesunął koszyk z grzankami i ujął ją za rękę. – Czy Willy coś wie?

– Nawet dużo. Matka jego kolegi przyniosła ze sklepu jakiegoś szmatławca. Tommy pokazał tę gazetę Willy’emu. Dużo o tobie pisali, chociaż wszystko na opak. O Hobbsie, gdzie trafiłeś później, o Lecterze, wszystko. Bardzo się przejął. Proponowałam mu, że możemy o tobie porozmawiać, ale spytał tylko, czy wiedziałam o tym od samego początku. Wyjaśniłam, że kiedyś o tym rozmawialiśmy i że powiedziałeś mi wszystko przed ślubem. Chciałam mu wytłumaczyć, jak to było naprawdę, ale powiedział, że sam cię o to spyta.

– To mi się podoba. Zuch chłopak. Jaka to była gazeta, „Tattler”?

– Chyba tak, nie jestem pewna.

– Piękne dzięki, Freddy. – Wściekły na Freddy’ego Lounsa, Graham wstał, poszedł do toalety i przemył twarz zimną wodą.

Sarah zegnała się właśnie w biurze z Crawfordem, kiedy zadzwonił telefon. Odłożyła torebkę i parasolkę i podniosła słuchawkę.

– Biuro agenta specjalnego Crawforda. Nie, pana Grahama tu nie ma, ale może... Proszę poczekać, chętnie... Tak, powinien wpaść jutro po południu, ale...

Słyszając jej ton, Crawford wyszedł zza biurka. Trzymała słuchawkę, jak gdyby umarła jej w ręku.

– Pytał o Willa i powiedział, że może zadzwoni jutro po południu. Próbowalam zatrzymać go przy telefonie.

– Kto to był?

– Powiedział: „Niech pani przekaże Grahamowi, że dzwonił Pielgrzym”.

Tak przecież doktor Lecter nazwał...

– Szczerbatą Lalę – dokończył za nią Crawford.

Gdy Molly i Willy rozpakowywali bagaże, Graham poszedł na zakupy. Wracając kupił na targu owoce. Zaparkował przed domem po przeciwnej stronie ulicy i przez jakiś czas siedział z rękami na kierownicy. Wstydził się, że z jego powodu Molly musiała opuścić swój ukochany dom i znaleźć schronienie u obcych.

Crawford zrobił wszystko, co w jego mocy. Zamiast jednej z kryjówek FBI, gdzie poręcze foteli błyszczą od spotniałych rąk, załatwił naprawdę miły domek, świeżo bielony wapnem, z kwitnącymi niecierpkami wokół schodów. Wypielęgnowany, porządny. Plac na tyłach parceli opadał ku zatoce Chesapeake, na której stała tratwa.

Zza zasłon przebijało niebieskozielone światło telewizora. Graham wiedział, że Molly i chłopiec oglądają mecz.

Ojciec Willy'ego był bardzo zdolnym baseballistą. Poznali się z Molly w podstawówce, a pobrali w szkole średniej.

Razem zjechali całą Florydę, kibicując „Kardynałom” w rozgrywkach ligi stanowej. Wozili ze sobą syna i żyli pełną gębą. Na puszkach, ale wesoło. W końcu przyjęli go do „Kardynałów” i w pierwszych dwóch meczach grał jak z nut. Nagle wystąpiły u niego trudności z przełykaniem. Lekarz próbował wyciąć mu całą narośl, niestety nastąpiły przerzuty i rak go stoczył. Umarł pięć miesięcy później, gdy chłopiec miał sześć lat.

Willy nadal nie opuszczał żadnego meczu w telewizji. Molly oglądała baseball, gdy była smutna.

Graham nie miał klucza. Zapukał.

– Ja otworzę – usłyszał głos chłopca.

– Zaczekaj. – Twarz Molly zza zasłony. – No dobrze. Willy otworzył drzwi. W przyciśniętej do uda ręce ścisnął policyjną pałkę.

Graham wzdrygnął się na ten widok. Widocznie chłopak spakował pałkę do swej walizki.

Molly uwolniła go od torby z zakupami.

– Napij się kawy? Jest dzin, ale nie ten, co lubisz.

Kiedy krzątała się w kuchni, Willy poprosił Grahama, żeby wyszedł z nim na dwór.

Z werandy na tyłach domu widzieli światelka łodzi zacumowanych w zatoce.

– Will, co powinienem wiedzieć, żeby móc opiekować się mamą?

– Tutaj oboje jesteście bezpieczni, Willy. Pamiętasz samochód, który jechał za nami z lotniska? Sprawdzali, czy nikt nas nie śledzi. Nikt się nie dowie, gdzie jesteście.

– Ten wariat chce cię zabić, prawda?

– Tego nie wiemy. Ale skoro on zna nasz adres, byłbym o was niespokojny.

– Zabijesz go?

Graham na chwilę przymknął oczy.

– Nie. Ja tylko mam go znaleźć. Potem umieszczą go w szpitalu psychiatrycznym, żeby go leczyć i żeby nikogo już nie mógł skrzywdzić.

– Wiesz, matka Tommy’ego przyniosła taką gazetę. Tam pisali, że zabiłeś kogoś w Minnesocie i trafiłeś do szpitala dla umysłowych. Nie wiedziałem o tym. Czy to prawda?

– Tak.

– Chciałem zapytać mamę, ale pomyślałem, że lepiej porozmawiam z tobą.

– Cieszę się, że zwróciłeś się bezpośrednio do mnie. Widzisz, nie chodzi o to, że trafiłem do szpitala psychiatrycznego, tam leczą wszystkich. – Różnica wydawała mu się istotna. – Ale ja byłem na oddziale psychiatrycznym. Gnębi cię to, że tam leżałem. Bo ożeniłem się z twoją matką.

– Obiecałem tacie, że będę się mamą opiekował. I będę. Zawsze.

Graham czuł, że musi udzielić chłopcu wyczerpujących informacji. Ale nie chciał powiedzieć za dużo.

Światło w kuchni zgasło. Graham widział niewyraźny zarys sylwetki Molly za drzwiami z siatki i poczuł na sobie ciężar odpowiedzialności. Rozmawiając teraz z Willym, jakby dotykał jej serca.

Chłopiec nie bardzo wiedział, o co dalej pytać. Graham wyręczył go.

– Do szpitala trafiłem po tej historii z Hobbsem.

– Zastrześliłeś go?

– Tak.

– Jak to się stało?

– Przede wszystkim, Garrett Hobbs był umysłowo chory. Napadał na uczennice i... i je zabijał.

– Jak?

– Nożem. W każdym razie w ubraniu jednej z dziewcząt znalazłem metalowy wiórek, taki jakie zostają po gwintowaniu... pamiętasz, jak naprawialiśmy prysznic przed domem? No więc wziąłem pod obserwację rozmaitych ślusarzy, hydraulików i tym podobnych. Trwało to bardzo długo. W firmie budowlanej, którą właśnie sprawdzałem, Hobbs złożył rezygnację. Przeczytałem jego wypowiedzenie i wydało mi się... no, dziwne. Nigdzie nie pracował, więc musiałem wybrać się do niego do domu.

Wchodziłem po schodach do jego mieszkania. Razem z policjantem w mundurze. Hobbs pewnie nas zobaczył. Byliśmy w pół drogi z półpiętra do jego drzwi, kiedy wypchnął swoją żonę z

mieszkania. Zleciała martwa po schodach.

– Zabił ją?

– Tak. Poprosiłem policjanta, który mi towarzyszył, żeby wezwał posiłki. Ale wtedy usłyszałem krzyki dzieci. Nie mogłem czekać.

– Wszedłeś do jego mieszkania?

– Tak. Hobbs trzymał dziewczynkę od tyłu, a w ręku miał nóż. Podcinał jej gardło. Dlatego do niego strzeliłem.

– A ta dziewczynka umarła?

– Nie.

– Wyzdrowiała?

– Owszem, po jakimś czasie. Teraz już jest całkiem zdrowa.

Willy przetrwał to w milczeniu. Z zacumowanego jachtu dolatywała cicha muzyka.

Graham potrafił ukryć pewne szczegóły przed chłopcem, ale nie przed sobą. Znow wszystko stanęło mu przed oczami.

Zostawia panią Hobbs na półpiętrze, wczepioną w niego, podżganą nożem Bóg wie ile razy. Widząc, że ona nie żyje, słysząc wrzaski dobiegające z mieszkania, uwalnia się od śliskich czerwonych palców i wyważa drzwi mieszkania. Chrząst barku, drzwi ustępują. Hobbs trzyma swoją córeczkę, zajęty podcinaniem jej gardła, a ona walczy z brodą przygiętą do piersi; kule kalibru 38 przeszywają mu ciało, a on wciąż tnie, wciąż nie chce upaść. Potem Hobbs szlochający na podłodze i rżęca dziewczynka, i Graham, który trzyma ją i widzi, że Hobbs dostał w tchawicę, ale tętnice ma całe. Córka patrzy szeroko otwartymi, szklanymi oczyma to na Grahama, to na swego ojca, który siedzi na podłodze i płacząc krzyczy: „Widzisz? Widzisz?”, aż wreszcie pada na podłogę.

Wtedy to właśnie Graham stracił zaufanie do kalibru 38.

– Ta historia z Hobbsem okropnie mnie przygnębiła, Willy. Widzisz, nie mogłem wybić sobie tego z głowy, ciągle do tego wracałem. W końcu nie potrafiłem myśleć o niczym innym. Nie przestawałem się łudzić, że był jakiś lepszy sposób, że mogłem załatwić to inaczej. Aż wreszcie przestałem czuć cokolwiek. Nie mogłem jeść, nie odzywałem się do nikogo. Wpadłem w ciężką depresję. Wobec tego posłuchałem lekarza, który zalecił mi pobyt w szpitalu. I po jakimś czasie nabrałem dystansu do tej sprawy. Ta dziewczynka, którą Hobbs chciał zabić w mieszkaniu, przyszła mnie odwiedzić. Wyzdrowiała już i wiele rozmawialiśmy. W końcu uwolniłem się od tej obsesji i wróciłem do pracy.

– Czy zabicie człowieka, nawet z konieczności, jest aż tak straszne?

– Willy, to jedna z najgorszych rzeczy pod słońcem.

– Wiesz, muszę zajrzeć na chwilę do kuchni. Przynieść ci coś? Może colę? – Willy lubił przynosić Grahamowi rozmaite rzeczy, ale zawsze dawał do zrozumienia, że robi to jakby przy okazji, a nie wybiera się specjalnie w tym celu.

– Colę? Świetnie.

– Mama powinna wyjść i obejrzeć te światła.

Zapadła noc. Graham i Molly siedzieli w bujakiach na werandzie. Padał lekki deszcz; światła łodzi rozpraszały się w wodnej mgiełce. Od bryzy znad zatoki dostali gęsiej skórki na ramionach.

– Jak myślisz, długo to potrwa? – odezwała się Molly.

– Mam nadzieję, że nie, ale nigdy nie wiadomo.

– Will, Evelyn obiecała zająć się sklepem aż do przyszłego czwartku. Ale ja muszę wrócić do Marathon, przynajmniej na te dwa dni, kiedy przychodzą moi stali klienci. Mogłabym się zatrzymać u Evelyn i Sama. Powinnam też pojechać na targ do Atlanty. Muszę być gotowa na wrzesień.

– Czy Evelyn wie, gdzie jesteście?

– Powiedziałam jej, że w Waszyngtonie.

– To dobrze.

– I jak tu można mieć cokolwiek dla siebie? Zdobyć coś trudno, utrzymać jeszcze trudniej. Czy jest jakaś sprawiedliwość na tej planecie?

– Gdzie tam.

– Ale wrócimy do Sugarloaf, powiedz?

– Na pewno.

– Tylko za bardzo się nie śpiesz i nie wychylaj. Obiecujesz?

– Obiecuję.

– O której musisz wracać? Wcześniej?

Graham odbył przedtem półgodzinną rozmowę telefoniczną z Crawfordem.

– Przed obiadem. Jeżeli chcesz pojechać do Marathon, to rano musimy coś załatwić. Willy'ego pošlemy na ryby.

– On naprawdę musiał cię zapytać o tamtą sprawę.

– Wiem, nie mam mu tego za złe.

– Cholerny pismak, jakże on się nazywa?

– Lounds. Freddy Lounds.

– Pewnie go nienawidzisz. Nie powinnam wracać do tego tematu. Chodź do łóżka... wysmaruję ci grzbiet.

Graham poczuł ukłucie złości. Usprawiedliwiać się przed jedenastoletnim dzieckiem! Które nie ma mu za złe, że go wymaglowali u czubków. A teraz ona chce go wymaglować. Chodź do łóżka... Willy nie ma nic przeciwko temu.

W stanie napięcia staraj się trzymać buzię na kłódkę.

– Pójdę sobie, jeżeli chcesz trochę pomyśleć – odezwała się Molly.

Nie chciał myśleć. Wszystko, tylko nie to.

– Ty mnie wymasujesz z tyłu, a ja ciebie z przodu – odparł.

– No to do roboty, mądralo.

Wiatr przegonił deszcz nad zatokę i o dziewiątej rano ziemia parowała. Zdawało się, że tarcze na strzelnicy policyjnej drgają w migotliwym powietrzu.

Szef strzelnicy obserwował przez lornetkę kobietę i mężczyznę po drugiej stronie placu sprawdzając, czy stosują się do przepisów bezpieczeństwa. Legitymacja wystawiona przez Ministerstwo Sprawiedliwości, którą okazał ów mężczyzna, stwierdzała po prostu „agent”. To mogło oznaczać cokolwiek. Policjant uważał, że strzelania z pistoletu może uczyć jedynie wykwalifikowany instruktor.

Musiał jednak przyznać, że federalny zna się na rzeczy.

Mimo że używali rewolweru kaliber 22, uczył kobietę strzelania w bojowej pozycji Weavera, z lewą nogą wysuniętą nieco do przodu i trzymaniem broni oburącz, w izometrycznie napiętych ramionach. Kobieta strzelała z odległości siedmiu metrów, do sylwetki człowieka. Raz po raz wyciągała rewolwer z bocznej kieszeni swej torebki. W końcu policjant znużył się i odłożył lornetkę.

Podniósł ją z powrotem, słysząc nagłą zmianę dźwięków. Tamci nosili teraz nauszники. Kobieta strzelała z krótkiego, pękatego rewolweru. Szef strzelnicy poznał po huku, że używają lekkiej amunicji.

Zainteresowany rewolwerem w jej wyciągniętych rękach, podszedł bliżej i zatrzymał się kilka metrów za nimi.

Miał wielką ochotę przyjrzeć się tej broni, ale nie chciał im przerywać. Obejrzał ją dopiero, gdy kobieta wyrzuciła puste łuski i załadowała magazynek z podajnika nabojów.

Dziwna broń, jak na federalnego. Bulldog 44 Special, krótki i szpetny, z zadziwiająco wielkim otworem lufy. Zmodyfikowany przez Mag Na Port. Lufę przewiercono u wylotu, by podczas odrzutu mniej podskakiwała w górę, kurek spiłowano, na kolbie założono wymodelowane uchwyty. Prawdopodobnie dostosowany do automatycznego podajnika naboji. Paskudna spluwa, zwłaszcza jeśli załaduje się ją tym, co szykował federalny. Policjant zastanawiał się, jak kobieta sobie z tym poradzi.

Amunicja na stojaku koło nich zmieniała się interesująco. Najpierw leżało pudełko lekkich naboji, potem zwyczajna twarda amunicja wojskowa, a wreszcie coś, o czym szef strzelnicy wiele czytał, ale czego nie widział jeszcze na własne oczy. Garść nabojów Glasera. Ich czubki wyglądały jak końcówki ołówka z gumką, pod którymi znajdowały się miedziane koszulki zawierające kule numer 12, zawieszane w płynnym teflonie.

Lekki pocisk zaprojektowany był tak, że wylatywał z lufy z ogromną prędkością i uwalniał kulę po trafieniu w cel. Rezultat przechodził wszelkie oczekiwania. Szef strzelnicy przypomniał sobie dane statystyczne. Dotychczas pociskami Glasera trafiono dziewięćdziesięciu ludzi. Osiemdziesięciu dziewięciu zmarło natychmiast, a jeden człowiek przeżył, ku zdumieniu wszystkich lekarzy. Pocisk Glasera jest ponadto niezwykle bezpieczny – nie odbija się rykoszetem i nie przelatuje przez ścianę, zabijając kogoś w sąsiednim pomieszczeniu.

Mężczyzna odnosił się do kobiety niezwykle delikatnie, dodając jej otuchy, zarazem jednak wydawał się smutny.

Kobieta przeszła do twardej amunicji. Szef strzelnicy z przyjemnością stwierdził, że radziła sobie z odrzutem znakomicie – nie zamykała oczu i nie mrugała. To prawda, że za pierwszym razem wydobycie broni z torebki i oddanie strzału zajęło jej cztery sekundy, ale z drugiej strony trzykrotnie trafiła w dziesiątkę. Nieźle, jak na początkującego. Miała talent.

Policjant wrócił do swej budki. Dopiero tam usłyszał piekielny świst pocisku Glasera.

Wystrzelała całe pięć naboji. Nie jest to zwyczajna praktyka federalnych.

Policjant zastanawiał się, co takiego tamtych dwoje widziało w sylwetce człowieka na tarczy, że zabili go pięcioma Glaserami.

Graham zostawił uczennicę i przyszedł do budki oddać nauszniaki. Siedziała na ławce z opuszczoną głową, opierając łokcie na kolanach.

Szef strzelnicy pochwalił uczennicę Grahama, twierdząc, że jak na jeden dzień poczyniła niemałe postępy. Graham podziękował z roztargnieniem, ale jego mina zdziwiła policjanta. Wyglądał jak człowiek, który właśnie poniósł niepowetowaną stratę.

„Pielgrzym” powiedział, że być może zadzwoni następnego dnia po południu. W centrali FBI przygotowano się na taką okoliczność.

Kto przedstawił się jako Pielgrzym? Nie Lecter, to Crawford sprawdził na sto procent. Czyżby więc Szczerbata Lala? Kto wie? – pomyślał Crawford.

Biurka i telefony z jego gabinetu przeniesiono w nocy do większego pomieszczenia po drugiej stronie korytarza.

Graham stał w otwartych drzwiach kabiny dźwiękoszczelnej. Za plecami miał telefon Crawforda. Sarah wyczyściła go na wysoki połysk. Musiała się czymś zająć, skoro jej biurko zajmowały magnetofony, spektograf i aparatura do pomiaru napięcia głosu, a na jej krześle urzędowała Beverly Katz.

Wielki zegar na ścianie wskazywał jedenastą pięćdziesiąt.

Grahamowi towarzyszyli doktor Alan Bloom i Crawford. Stali po jego bokach, z rękami w kieszeniach.

Technik siedzący naprzeciwko Beverly Katz zabębnił palcami po blacie biurka, lecz przerwał, widząc mars na czole Crawforda.

Na biurku stały dwa nowe aparaty – bezpośrednie połączenie z elektroniczną centralą telefoniczną i gorąca linia do centrum łącznościowego FBI.

– Ile czasu potrzeba wam na zlokalizowanie numeru? – spytał Bloom.

– Te nowe centrale są szybsze, niż się na ogół wydaje – odparł Crawford. – Jeżeli rozmowa przekazywana jest tylko przez łącza elektroniczne, to z minutę. Jeżeli także przez starszego typu, to trochę dłużej.

Podniósł głos i zawołał w głąb pokoju:

– Jeżeli w ogóle się odezwie, to pewnie będzie gadał krótko. Nie nawalcie. To jak. Will, powtórzmy nasz gry-plan?

– Jasne. Jak dojdziemy do momentu, w którym ja się włączam, chciałbym się pana poradzić, doktorze.

Bloom zjawił się jako ostatni. Po południu miał jeszcze w planie wykład na Wydziale Behawioryzmu Akademii w Quantico. Czuł zapach kordytu emanujący z ubrania Grahama.

– A więc tak – rzekł Graham. – Dzwoni telefon. Natychmiast włącza się cały obwód i centrala elektroniczna zaczyna lokalizować faceta, który nie wie, że go namierzamy, bo generator dźwięków

cały czas nadaje sygnał. To nam zapewnia jakieś dwadzieścia sekund przewagi. – Wskazał palcem na technika. – Proszę wyłączyć generator zaraz po czwartym sygnale. Rozumiemy się?

Technik przytaknął.

– Zaraz po czwartym sygnale.

– Beverly podnosi słuchawkę. On słyszy po głosie, że odebrał kto inny niż wczoraj. Beverly nie poznaje go, jest znudzona. On pyta o mnie. Beverly mówi, że musi mnie wywołać z narady i prosi go, żeby zaczekał przy telefonie. Dasz sobie radę, Bev? – Graham uważał, że lepiej nie uczyć się swoich kwestii na pamięć. Mogłyby potem zabrzmieć płasko, rutynowo. – A więc, my go słyszymy na linii, a on nas nie. Moim zdaniem dłużej będzie czekał na połączenie ze mną, niż rozmawiał.

– A może jednak puścić mu na ten czas muzykę? – wtrącił się technik.

– Nie! – uciął Crawford.

– Każemy mu czekać jakieś dwadzieścia sekund, po czym Beverly włączy się i powie: „Pan Graham podchodzi do aparatu. Przełączam pana”. Ja podnoszę słuchawkę. – Graham odwrócił się do Blooma. – I jak by pan to rozegrał na moim miejscu, doktorze?

– On będzie nastawiony na sceptyczne podejście z naszej strony. Wobec tego powątpiewałbym co nieco w jego tożsamość. Wyjaśniłbym mu zasadniczą różnicę między zawracaniem głowy przez fałszywych rozmówców, a wagą telefonu od prawdziwego sprawcy. Tych fałszywych łatwo rozpoznać, bo nie są w stanie ogarnąć swoim rozumkiem znaczenia tego, co się naprawdę wydarzyło... i dalej w tym stylu. Niech go pan zmusi do powiedzenia czegoś, co by nas przekonało, że on to naprawdę on. – Doktor Bloom wbił wzrok w podłogę i pomasaował kark. – Nie wiadomo, o co właściwie mu chodzi. Może szuka zrozumienia, może uważa pana za przeciwnika i chce się napawać swoim triumfem... to się dopiero okaże. Niech pan spróbuje wczuć się w jego nastrój i dać mu to, czego chce. Nie starałbym się go przechytryć, nie namawiałbym go, żeby sam się do nas zgłosił, chyba że wyczuje pan, że właśnie o to mu chodzi.

Jeżeli to paranoik, to szybko się pan zorientuje. W takim wypadku grałbym na jego podejrzliwości albo poczuciu krzywdy. Jeśli się na to złapie, to może zapomni, jak długo rozmawia. Nic więcej nie przychodzi mi do głowy. – Bloom oparł dłoń na ramieniu Grahama i dorzucił spokojnie: – Widzi pan, to nie będą takie sobie pogaduszki, być może dzięki temu pan go złapie. Niech pan się nie przejmuję moimi radami i postępuje według własnego uznania.

Czekanie. Pół godziny milczenia zrobiło swoje.

– Pal licha, czy zadzwoni – odezwał się Crawford. – I tak musimy się naradzić, co dalej. Co powiesz na pomysł że skrzyneką kontaktową, Will?

– Nic lepszego nie przychodzi mi na myśl – odparł Graham.

– W ten sposób mielibyśmy dwa punkty zaczepienia, kocioł w twoim domu w Keys i skrzynkę.

Zadzwoił telefon.

Do akcji włączył się generator dźwięków i centrala elektroniczna. Cztery sygnały. Technik przesunął dźwignię i Beverly podniosła słuchawkę. Sarah była na podsłuchu.

– Biuro agenta specjalnego Crawforda.

Sarah potrząsnęła głową. Poznała głos jednego z kumpli Crawforda. Beverly pozbyła się go czym prędzej i przerwała namierzanie rozmowy. W gmachu FBI wszyscy wiedzieli, że ta linia ma być wolna.

Crawford wrócił do szczegółów związanych ze skrzynką kontaktową. Wszyscy byli znudzeni, a zarazem napięci. Lloyd Bowman zajął pokazać im, jak pary liczb Lectera pasowały do setnej strony broszurowego wydania Joy of Cooking. Sarah roznosiła kawę w papierowych kubkach.

Dzwonek telefonu.

Włączył się generator dźwięków i centrala elektroniczna. Cztery sygnały. Technik przesunął dźwignię i Beverly podniosła słuchawkę.

– Biuro agenta specjalnego Crawforda. Sarah gwałtownie pokiwała głową.

Graham wszedł do kabiny i zamknął drzwi. Widział poruszające się wargi Beverly. Powiedziała „proszę zaczekać” i patrzyła na sekundnik zegara na ścianie.

W wypolerowanej słuchawce Graham widział odbicie swej twarzy. Dwie rozmyte twarze na obu końcach słuchawki. Czuł, że po strzelnicy jego koszula pachnie kordytem. Nie wyłączaj się. Chryste Panie, tylko się nie wyłączaj! Minęło czterdzieści sekund. Gdy rozległ się sygnał, aparat telefoniczny na jego biurku lekko podskoczył. Niech dzwoni. Jeszcze raz. Czterdzieści pięć sekund. Teraz!

– Mówi Will Graham. Czym mogę służyć?

Cichy śmiech. I zduszony głos:

– To się okaże.

– Można wiedzieć, kto dzwoni?

– Sekretarka panu nie powiedziała?

– Nie, ale wywołała mnie z narady, więc jeśli pan...

– Jeżeli mi pan powie, że nie chce pan rozmawiać z Pielgrzymem, to już się wyłączam. Więc tak czy nie?

– Panie Pielgrzym, jeżeli ma pan jakiś problem, to słucham, czym mogę służyć?

– ja myślę, że to pan ma problem, panie Graham.

– Przepraszam, ale niezupełnie rozumiem.

Pełznący sekundnik zbliżał się do minuty.

– Ma pan pełne ręce roboty, no nie?

– W każdym razie nie mam czasu dłużej rozmawiać, chyba że wyjaśni mi pan, o co chodzi.

– Chodzi mi o to samo, co panu. O Atlantę i Birmingham.

– Wie pan coś na ten temat?

Zduszony chichot.

– Czy ja coś wiem? Interesuje pana Pielgrzym? Tak czy nie? Odkładam słuchawkę, jeżeli pan skłamię.

Graham widział przez szybę Crawforda, który stał ze słuchawkami telefonów w każdej ręce.

– Tak. Ale, widzi pan, dostaję mnóstwo telefonów od ludzi, którym tylko się zdaje, że coś wiedzą.

Minuta.

Crawford odłożył jedną słuchawkę i notował coś szybko.

– Nawet pan sobie nie wyobraża, ilu ludzi udaje – powiedział Graham. – Ale już po paru minutach rozmowy widać, że oni nawet nie pojmują, o co chodzi. A pan?

Sarah przyłożyła kartkę do szyby, żeby Graham mógł ją przeczytać. Napis brzmiał: „Budka telefoniczna w Chicago. Policja w drodze”.

– Umówmy się, niech mi pan coś powie o Pielgrzymie, a powiem panu, czy pan się myli, czy nie – zaproponował zduszony głos.

– Najpierw może sobie wyjaśnijmy, o kim właściwie mówimy.

– O Pielgrzymie.

– A skąd mam wiedzieć, czy ten Pielgrzym zrobił coś takiego, co mogłoby mnie zainteresować?
No?

– Przyjmijmy, że tak.

– Czy Pielgrzym to pan?

– Tego bym nie powiedział.

– Pański znajomy?

– Coś w tym rodzaju.

– Więc proszę to udowodnić. Niech mi pan udowodni, że pan go w ogóle zna.

– Pan pierwszy. Najpierw pan mi o nim opowie. – Nerwowy chichot. – Jedna pomyłka, a odkładałam słuchawkę.

– Zgoda. Pielgrzym jest praworęczny.

– Też mi rewelacja! Jak większość ludzi.

– Jest nie rozumiany.

– Bez ogólników proszę.

– Jest bardzo silny fizycznie.

– Tak, to prawda.

Graham spojrział na zegar. Półtorej minuty. Crawford z otuchą pokiwał głową. Nie zdradź mu jakiegokolwiek cechy, którą mógłby zmienić.

– Pielgrzym jest biały, ma około metr osiemdziesiąt wzrostu. Ale od pana niczego się jeszcze nie dowiedziałem. Nie jestem nawet pewny, czy pan go w ogóle zna.

– Mam się wyłączyć?

– Nie, ale sam pan zaproponował wymianę informacji. Zastosowałem się do pańskiego polecenia.

– Czy uważa pan Pielgrzyma za wariata?

Bloom pokręcił głową.

– Nie wierzę, żeby ktoś tak ostrożny jak on mógł być wariatem. Według mnie on jest po prostu inny. Prawdopodobnie wielu ludzi uważa go za obłąkanego, ale to tylko dlatego, że go nie rozumieją. Nie daje im szansy.

– Niech pan opisz dokładnie, co zrobił z panią Leeds, a może powiem panu, czy ma pan rację.

– Nic z tego.

– Żegnam.

Grahamowi serce podeszło do gardła, ale nadal słyszał oddech rozmówcy w słuchawce.

– Nie mogę tego zrobić, zanim...

Graham usłyszał, jak drzwi budki telefonicznej w Chicago otwierają się z trzaskiem i słuchawka opada ze stukiem. Niewyraźne głosy i stukanie słuchawki kołyszącej się na sznurze. Wszyscy w biurze słyszeli to przez głośniki.

– Stać! Nawet nie drgnij. A teraz załóż ręce na kark, powoli, i wyjdź tyłem. Tylko powoli, powoli. Ręce na ścianę budki.

Ulga spłynęła na Grahama.

– Nie jestem uzbrojony, Stan. Dowód mam w kieszeni.

Hej, łaskoczesz mnie.

Ze słuchawki wyraźnie doleciał zaskoczony głos:

– Z kim rozmawiam?

– Will Graham, FBI.

– Tu sierżant Stanley Riddle, policja miejska Chicago. – Zirytowany. – Czy może mi pan wyjaśnić, co tu się, kurwa, dzieje?

– Pan niech mi to wyjaśni. Aresztowaliście go?

– A jakże. To Freddy Lounds, dziennikarz. Znam go od dziesięciu lat. (Trzymaj swój notes, Freddy). Czy wnosi pan przeciwko niemu oskarżenie?

Graham zbladł. Crawford poczerwieniał. Doktor Bloom wpatrywał się w szpulę magnetofonu.

– Słyszysz mnie pan?

– Tak. Owszem, wnoszę oskarżenie – wydusił Graham. – Oskarżam go o utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości. Proszę go aresztować i postawić do dyspozycji prokuratora.

Nagle w słuchawce odezwał się Lounds. Mówił szybko, już bez waty w ustach.

– Will, posłuchaj...

– Powiesz to prokuratorowi. Daj mi sierżanta Riddle'a.

– Wiem coś, co...

– Dawaj Riddle'a, kurwa twoja mać!

Crawford włączył się na linię.

– Ja to załatwię, Will.

Graham trzasnął słuchawką tak, że wszyscy w biurze zamarli. Wyszedł z kabiny i nie patrząc na nikogo, opuścił gabinet.

– Lounds, człowieku, rozpętałeś piekło! – rzekł Crawford.

– Chcecie go złapać, czy nie? Mogę wam pomóc. Wysłuchaj mnie przez chwilę. – Lounds wstrzelił się w przerwę na oddech Crawforda. – Słuchaj, właśnie się przekonałem, jak bardzo potrzebujecie „Tattlera”. Przedtem nie byłem pewny... To ogłoszenie wiąże się ze sprawą Szczerbatej Lali, inaczej nie robilibyście takiego cyrku z tym telefonem. Świetnie. „Tattler” jest do waszej dyspozycji. Proście, o co chcecie.

– Jak na to wpadłeś?

– Przyszedł do mnie kierownik drukarni. Powiedział, że wasze biuro w Chicago wysłało jakiegoś sztywniaka, żeby sprawdził ogłoszenia. Zabrał pięć ogłoszeń, twierdząc, że to w związku z jakąś aferą finansową. Guzik prawda. Kierownik drukarni zrobił mi kserokopie ogłoszeń i kopert, w których nadeszły, zanim dał je waszemu człowiekowi.

Przejrzałem je. Wiedziałem, że wziął pięć listów dla niepoznaki, ale naprawdę chodziło mu o jeden. Trochę to trwało, zanim je sprawdziłem. Odpowiedź znalazłem na kopercie. Stempel z Chesapeake, poczta szpitala stanowego. Wiesz, że pojechałem tam w ślad za tym twoim drażliwym przyjacielem? Wszystko więc niby grało, ale musiałem się upewnić. Dlatego zadzwoniłem, żeby sprawdzić, jak zareagujecie na nazwisko „Pielgrzym”. No i sprawdziłem.

– Popełniłeś wielki błąd, Freddy.

– Potrzebujecie „Tattlera”, a ja wam to mogę załatwić. Ogłoszenia, wstępniak, sprawdzanie nadchodzącej poczty, co tylko chcecie. Potrafię zachować dyskrecję. Naprawdę. Włącz mnie w to, Crawford.

– W nic cię nie będę włączał.

– Jak tak, to chyba wam nie przeszkodzi, jeżeli w następnym numerze ktoś zamieści sześć drobnych ogłoszeń. Wszystkie do niejakiego „Pielgrzyma” i podpisane w ten sam sposób?

– Załatwię ci zakaz wykonywania zawodu i wyrok za utrudnianie pracy wymiaru sprawiedliwości.

– No i cała ta sprawa może się dostać do prasy. – Lounds wiedział, że rozmowa jest nagrywana, ale miał to już gdzieś. – Zrobię to, Crawford, jak mi Bóg miły, zrobię to. Pograżę cię, zanim ty pograżysz mnie.

– Dodam ci jeszcze szantaż na dokładkę.

– Jack, pozwól, że wam pomogę. Uwierz mi...

– Biegaj na komisariat, Freddy. A teraz daj mi do telefonu sierżanta.

Lincoln Versailles Freddy'ego Loundsa trącił brylantyną, wodą po goleniu, skarpetkami i tytoniem i sierżant nie mógł się doczekać, kiedy dojadą na komisariat.

Lounds znał szefa komendy dzielnicowej, w randze kapitana, a także wielu posterunkowych. Kapitan poczęstował go kawą i zadzwonił do prokuratury, żeby ktoś wpadł „zająć się tym gównem”.

Nikt nie przyjechał po Loundsa. Pół godziny później zadzwonili do niego na komisariat z biura Crawforda, po czym został zwolniony. Kapitan odprowadził go do samochodu.

Lounds był napalony. Jak wariat pędził na wschód, do swego mieszkania wychodzącego na jezioro Michigan. Chciał wyciągnąć z tej sprawy, co się da, i wiedział, że ma to w kieszeni. Po pierwsze, forsa. Najwięcej wpadnie mu z wydania książkowego. Trzydzieści sześć godzin od chwili aresztowania jego książka znajdzie się na półkach. Relacje pisane na prawach wyłączności trafią do całej prasy jako przebój sezonu. Z satysfakcją ujrzy swoje artykuły, nazwisko i zdjęcie na łamach „Chicago Tribune”, „Los Angeles Times”, świętoszkowatej „Washington Post” i świętego „New York Timesa”.

A reporterzy tych szacownych dzienników, którzy patrzyli na niego z góry i nie chcieli z nim pić, niech zdechną z zazdrości.

Lounds był dla nich pariasem, ponieważ zmienił wiarę.

Gdyby był nieudacznikiem bez innych możliwości zarobienia na chleb, starzy wyjadacze z przyzwoitych gazet wybaczyliby mu to, że pracuje dla „Tattlera”, tak jak wybacza się ludziom opóźnionym w rozwoju. Ale Lounds był dobry. Miał wszystkie cechy pierwszorzędnego reportera – inteligencję, ikrę i nosa. A do tego mnóstwo energii i cierpliwość.

Z drugiej strony popularności w branży nie przysparzał mu odpychający wygląd oraz fakt, że nie potrafił nie wysuwać się w swoich artykułach na pierwszy plan.

Loundsa zżerała chęć powszechnego zwracania na siebie uwagi, co często błędnie określa się jako egoizm. Był on niezgrabny, mały i brzydki. Miał końskie zęby, a jego świńskie oczka świeciły jak płwocina na asfalcie.

Przez dziesięć lat pracował w przyzwoitych gazetach, aż wreszcie zdał sobie sprawę, że nigdy nie zostanie akredytowany przy Białym Domu. Zrozumiał, że dla swoich wydawców schodzi tylko nogi i stoczy się do poziomu wykolejonego starego moczymordy, nieuchronnie zmierzającego do marskości wątroby albo śmierci w płomieniach po zaproszeniu ognia w barłogu.

Potrzebowali jego informacji, ale jego nie chcieli. Płacili mu najwyższe stawki, co jednak nie jest wiele dla kogoś, kto kobiety musi kupować. Klepali go po plecach, chwalili za przebojowość, ale odmawiali umieszczenia jego nazwiska na parkingu przed redakcją.

W 1969 roku, przepisując wieczorem artykuł w redakcji, doznał objawienia.

Przy sąsiednim biurku Frank Larkin odbierał korespondencję telefoniczną. W owej gazecie zadanie to zlecano samym weteranom. Frank Larkin miał pięćdziesiąt pięć lat, ale wyglądał na siedemdziesiąt. Miał przekrwione oczy i co pół godziny zaglądał do swej szafki po kielicha. Freddy ze swego miejsca pracy czuł bijący od niego smród.

Larkin poprosił jedną z kobiet w redakcji, żeby przyniosła mu podpaskę z automatu w damskiej toalecie. Używał podpasek, bo wiecznie krwawił mu tyłek.

Freddy przestał pisać. Wykręcił kartkę z maszyny, włożył nową i napisał wymówienie.

Tydzień później pracował już dla „Tattlera”.

Na początek dostał posadę redaktora odpowiedzialnego za raka i pensję dwukrotnie wyższą niż w poprzedniej gazecie. Jego podejście do tematu zadziwiło przełożonych.

„Tattlera” stać było na taką pensję, bo pisząc o raku, zbijali majątek.

Co piąty Amerykanin umiera na tę chorobę. Rodziny chorych, wymęczone i zrezygnowane, próbujące zwalczać przerzuty klepaniem w ramię, budyniem bananowym i dowcipami z brodą, są złaknione choćby iskierki nadziei.

Badania rynku wykazały, że tytuły w rodzaju „Nowe lekarstwo na raka” albo „Cudowny lek przeciwko rakowi” umieszczone na pierwszej stronie zwiększają sprzedaż „Tattlera” w domach towarowych o 22,3 procenta. Jednakże umieszczenie artykułu na pierwszej stronie pomniejsza ów wzrost o sześć procent, bo klienci zdążą przerzucić tekst, zanim kasjerka podliczy im zakupy.

Specjaliści od marketingu stwierdzili, że lepiej podawać wielki kolorowy tytuł na pierwszej stronie, artykuł zaś chować gdzieś w środku numeru, bo trudno jest otwierać gazetę, mając ręce zajęte portfelem i pchaniem wózka z zakupami.

Przeważnie artykuły takie zaczynały się od optymistycznych pięciu akapitów złożonych dziesięciopunktową czcionką, po czym następowała czcionka ośmiopunktowa, sześciopunktowa, aż wreszcie kończono stwierdzeniem, że „cudowne lekarstwo” jest jeszcze niedostępne na rynku albo dopiero w fazie eksperymentalnej na zwierzętach.

Freddy zarabiał na chleb wymyślaniem takich historyjek, dzięki którym „Tattler” rozchodził się w kolosalnych nakładach.

W ramach zwiększania sprzedaży pisano też o cudownych wisiorach i uzdrawiających ubraniach. Producenci takowych płacili specjalne premie za umieszczanie ich ogłoszeń obok cotygodniowych artykułów na temat raka.

Czytelnicy masowo zwracali się do gazety z prośbą o bliższe informacje. Przyniosło to dodatkowy dochód, dzięki sprzedaży ich nazwisk radiowemu „ewangeliście” – socjopacie, który zdierał gardło na antenie, a potem pisał do nich z prośbą o wsparcie, używając kopert ze stemplem:

„Ktoś, kogo kochasz, umrze, jeżeli nie...”

Freddy Lounds dbał o „Tattlera”, a gazeta odpłacała mu tym samym. Teraz, po jedenastu latach w redakcji, zarabiał rocznie siedemdziesiąt dwa tysiące dolarów. Pisywał głównie o tym, co chciał, a pieniądze wydawał na przyjemności. Jak na swoje potrzeby, żył znakomicie.

Ostatni rozwój wypadków sprawił, że zaczął myśleć o podwyżce zaliczki za wydanie książkowe. No i ci z filmu powinni się zainteresować... Słyszał, że odrażającym facetom z grubym portfelem w Hollywood wiedzie się znakomicie.

Freddy był zadowolony. Z fasonem wjechał do podziemnego garażu w swoim domu i z piskiem opon zaparkował pod ścianą, na której wielkimi literami wypisano „Pan Frederick Lounds”.

Wendy już była w domu – jej datsun stał na sąsiednim miejscu. To dobrze. Żałował, że nie może jej zabrać do Waszyngtonu. Dopiero by tym platfusom zbiegało oko! Wjeżdżając na górę, pogwizdywał w windzie wesoło.

Wendy pakowała mu walizkę. Robiła to od lat – i to znakomicie.

W schludnych dzinsach i kraciastej koszuli, z kasztanowymi włosami związanymi na karku, mogłaby uchodzić za wiejską dziewczynę, gdyby nie jej blada cera i figura. Wendy niemal karykaturalnie przypominała podlotka w wieku pokwitania.

Spojrzała na Loundsa wzrokiem, który od lat nie zdradzał zdziwienia. Zobaczyła, że cały drży.

– Za ciężko pracujesz, Roscoe. – Lubiła nazywać go Roscoe, co nie wiedzieć czemu sprawiało mu przyjemność. – O której odlatujesz? O szóstej? – Przyniosła mu kieliszek i zgarnęła z łóżka swój wyszywany cekinami kostium i perukę, żeby miał gdzie przysiąść. – Mogę cię odwiedzić na lotnisko, do klubu idę na szóstą.

Miała własny bar topless, „Wendy City”, i nie musiała już tańczyć. Lounds był współwłaścicielem.

– Przez telefon brzmiałeś jak Skórzany Kret – powiedziała.

– Kto?

– Wiesz, ten program w sobotę rano. On jest okropnie tajemniczy i pomaga Tajnej Wiewiórcie. Oglądaliśmy to, jak miałeś grypę. Przyznaj się, wyciąłeś dziś jakiś grubszy numer? Coś ty taki zadowolony z siebie?

– A żebyś wiedziała. Poszedłem dzisiaj na całość, no i się opłaciło. Trafiła mi się okazja, że aż palce lizać.

– Zdrzemnij się przed wyjazdem, masz czas. Wpędzasz się do grobu.

Lounds zapalił papierosa, choć w popielniczce dopalał mu się poprzedni.

– Wiesz co? Założę się, że jak to wypijesz i się rozbierzesz, to zaśniesz raz-dwa.

Twarz Loundsa, nieruchoma jak zaciśnięta pięść, nagle ożyła, tak jak pięść zamienia się w dłoń. Przestał dygotać. Opowiedział jej o wszystkim, szepcząc w jej powiększone piersi, a ona kreśliła mu palcem ósemki na karku.

– Sprytnie to rozegrałeś, Roscoe – przyznała. – A teraz kładź się. Obudzę cię na samolot. Nic się nie martw, wszystko pójdzie dobrze. A potem zabalujemy jak za dawnych czasów.

Szeptali, dokąd się wybiorą, aż zasnął.

Doktor Alan Bloom i Jack Crawford siedzieli na dwóch składanych krzesłach – jedynych meblach pozostałych w biurze Crawforda.

– Barek pusty, doktorze.

Bloom przyglądał się małpiej twarzy swojego gospodarza, zastanawiając się, o co mu chodzi. Widział w nim nie tylko starego zręde wiecznie łykającego alka-seltzer, lecz również inteligencję zimną jak stół do rentgena.

– Gdzie jest Will?

– Poszedł się przejść i ochłonać – odparł Crawford. – Nie znosi Loundsa.

– Myślisz, że możesz stracić Willa przez to, że Lecter przekazał jego adres? Że wróci do rodziny?

– Przez chwilę tak sądziłem. Przeżył wstrząs.

– Zrozumiałe – przytaknął Bloom.

– Ale potem zdałem sobie sprawę, że ani on, ani Molly i Willy nie mogą wrócić do domu, dopóki Szczerbata Lala jest na wolności.

– Znasz Molly?

– Tak. Świetna babka. Lubię ją. Za to ona chętnie zobaczyłaby mnie w piekle, i to z połamanymi gnatami. Teraz muszę się przed nią ukrywać.

– Ona sądzi, że go wykorzystujesz?

Crawford zerknął na Blooma ostro.

– Muszę z nim obgadać parę spraw. Potem chciałbym zasięgnąć twojej opinii. Kiedy musisz wracać do Quantico?

– Dopiero we wtorek rano. Odwołałem wykład. – Bloom gościnnie prowadził zajęcia na Wydziale Behawioryzmu Akademii FBI.

– Graham cię lubi. Uważa, że ty nie próbujesz grzebać się w jego głowie. – Uwaga, że wykorzystuje Grahama, ubodła Crawforda.

– Bo i nie próbuję. Ani mi się śni. Traktuję go tak samo uczciwie, jak każdego pacjenta.

– No właśnie.

– Źle mnie zrozumiałeś, ja chcę być jego przyjacielem i chyba jestem. Nawyk obserwowania wynika z mojego zawodu, Jack. Pamiętaj jednak, że kiedy sam mnie poprosiłeś o ocenę jego psychiki, odmówiłem.

– To Petersen, ten z góry, zażądał takiego badania.

– Ale to ty mnie prosiłeś. Nieważne, gdyby kiedykolwiek Graham dostarczył mi materiałów przydatnych w celach terapeutycznych, to przedstawiłbym je jako wyniki anonimowego pacjenta. Gdybym miał opublikować na ten temat jakąś pracę naukową, to tylko po śmierci.

– Twojej czy Grahama?

Bloom nie odpowiedział.

– Ciekawi mnie jedna rzecz... zauważyłem, że nigdy nie zostajesz z Grahamem w pokoju sam na sam, prawda? Zręcznie sobie z tym radzisz, ale pozostaje faktem, że nigdy nie zostajecie tylko we dwóch. Dlaczego? Czy dlatego, że on jest psychiczny?

– Nie. To eideteker – ma znakomitą pamięć wzrokową, ale psychiczny nie jest. Nie poddałby się wprawdzie żadnym testom, ale to o niczym nie świadczy. Nie znosi, jak ktoś się go czepia. Ja też nie.

– Ale...

– Will stara się do tego podchodzić jak do czysto intelektualnej łamigłówki kryminalistycznej. Jest dobry, ale przypuszczam, że znalazłoby się kilku równie znakomitych.

– Niewielu – rzekł Crawford.

– Tyle że on w przeciwieństwie do innych potrafi się wczuwać – ciągnął Bloom. – Potrafi przyjąć twój punkt widzenia czy mój... a także każdy inny, jeżeli wzbudza w nim strach i odrazę. Niełatwo z tym żyć, Jack. Percepcja ma dwa końce, jak kij.

– Dlaczego nie zostajesz z nim sam na sam?

– Bo interesuje mnie z profesjonalnego punktu widzenia, a natychmiast by się zorientował. Szybko myśli.

– I gdyby zorientował się, że go podglądasz, to zaciągnąłby zasłony?

– Analogia może i niesmaczna, ale trafna. Owszem. No, Jack, odgryźleś się już dostatecznie, więc przejdźmy do rzeczy. Uwińmy się z tym raz-dwa. Nie czuję się najlepiej.

– Objawy psychosomatyczne? – podsunął Crawford.

– Nie, pęcherz. Więc czego ode mnie chcesz?

– Mam środek łączności ze Szczerbatą Lalą.

– „Tattlera”...

– Właśnie. Czy według ciebie można go popchnąć ogłoszeniami do samozniszczenia?

– Na przykład samobójstwa?

– Nie miałbym nic przeciwko temu.

– Wątpię. W niektórych przypadkach chorób umysłowych byłoby to możliwe. Ale nie w tym. Gdyby miał skłonności samobójcze, to nie byłby tak ostrożny. Nie chroniłby się tak przed wpadką. W wypadku klasycznej schizofrenii paranoidalnej można by go popchnąć do ujawnienia się, a nawet do samookaleczenia. Ale nic ci to nie da.

Bloom traktował samobójstwo jak śmiertelnego wroga.

– Pewnie masz rację – przyznał Crawford. – Czy możemy go czymś rozwścieczyć?

– Dlaczego pytasz? W jakim celu?

– Sformułuję to inaczej: czy możemy go rozjuszyć i skierować jego wściekłość przeciwko konkretnej osobie?

– On i tak już uważa Grahama za swojego przeciwnika, sam wiesz. Nie baw się ze mną w kotka i myszkę. Chcesz, żeby Graham nadstawił karku?

– Chyba nie ma innego wyboru. Albo tak, albo dwudziestego piątego znowu poleje się krew. Pomóż mi.

– Ty chyba sam nie zdajesz sobie sprawy, o co prosisz.

– O radę... proszę cię tylko o radę.

– Nie myślę o sobie – rzekł Bloom. – Chodzi mi o to, czego żądasz od Grahama. Nie chciałbym, żebyś mnie źle zrozumiał, normalnie bym ci tego zresztą nie powiedział, ale co twoim zdaniem jest siłą napędową Willa?

Crawford pokręcił głową.

– Strach, Jack. On się boryka z niemałym bagażem strachu.

– Bo został ranny?

– Nie, niezupełnie. Strach jest wytworem wyobraźni. To kara, cena, jaką płaci się za wyobraźnię.

Crawford wpatrywał się w swe masywne dłonie, splecione na brzuchu. Poczzerwieniał. Rozmowa zesłała na krępujący temat.

– Jasne. Ale o tym między chłopakami się nie mówi, mam rację? Nie martw się, że powiedziałeś mi o jego strachu. Nie uważam go za mięczaka. Aż taki głupi nie jestem.

– Wiem, Jack.

– Nie kazałbym mu nadstawiać karku, gdybym nie mógł mu zapewnić pełnej ochrony. No, może w osiemdziesięciu procentach. Zresztą on sam potrafi się troszczyć o siebie. Może nie jest w tym najlepszy, ale szybki. Pomożesz nam wywabić Szczerbatą Lalę, doktorze? Pomyśl, ilu już zabił.

– Tylko jeżeli Graham zgodzi się podjąć takie ryzyko z własnej woli. Muszę to od niego usłyszeć.

– W tej sprawie się zgadzamy. Ja też go nie podpuszczam. Nie bardziej, niż my wszyscy podpuszczamy się nawzajem.

Crawford znalazł Grahama w niewielkiej pracowni obok laboratorium Zellera, zarzuconej fotografiami i prywatnymi dokumentami ofiar. Poczekał, aż odłoży biuletyn sił porządkowych.

– Posłuchaj, co się kroi na dwudziestego piątego. – Nie musiał tłumaczyć Grahamowi, że dwudziestego piątego wypada pełnia księżyca.

– Jak znowu zabije?

– Tak, gdyby znów były kłopoty.

– Nie ma co gdybać, to pewne.

– Za każdym razem wybierał sobotnią noc. Dwudziestego ósmego czerwca w Brimingham, przy pełni księżyca. Dwudziestego szóstego lipca w Atlancie, dzień przed pełnią, ale także w sobotę. Tym razem pełnia wypada w poniedziałek, dwudziestego piątego sierpnia. Ale skoro on lubi koniec tygodnia, jesteśmy gotowi od piątku.

– Gotowi? My jesteśmy gotowi?

– Jak najbardziej. Wiesz, jak to wygląda w podręcznikach... idealna metoda tropienia zabójcy?

– Nie spotkałem się z tym w praktyce. To zawsze wychodzi inaczej.

– Fakt. Ale to się może udać... wysłanie jednego faceta na miejsce zbrodni. Tylko jednego. Niech tam siedzi, uzbrojony w krótkofalówkę, i dyktuje. Czasu będzie miał pod dostatkiem. Tylko on... to znaczy ty.

Długa cisza.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Począwszy od piątku w nocy, dwudziestego drugiego, w bazie lotniczej Andrews mamy samolot wojskowy. Pożyczyłem go z MSW. Na pokładzie ekipa techniczna, no i my... ja, ty, Zeller, Jimmy Price, fotograf i dwóch ludzi do zbierania zeznań. Ruszamy natychmiast po otrzymaniu wiadomości. W godzinę i piętnaście minut dolecimy w najdalszy zakątek kraju.

– A władze lokalne? Nie muszą z nami współpracować. Nie będą czekać.

– Wyłączamy wszystkie komisariaty i biura szeryfa. Co do jednego. Odpowiednie rozkazy trafią do wszystkich centrali i wszystkich oficerów dyżurnych.

Graham potrząsnął głową.

– Bzdura. Nie wycofają się. Nawet nie mogą.

– Właśnie o to prosimy... to nic wielkiego. Chcemy, żeby pierwszy zawiadomiony komisariat wysłał tam swoich ludzi, niech się rozejrzą. Niech poślą lekarzy i sprawdzą, czy ktoś nie został przy życiu. Ale potem mają się wycofać. Blokady na szosach, zbieranie zeznań, proszę bardzo... ale sama scena zbrodni zostaje zabezpieczona do naszej dyspozycji. Po przyjeździe wchodzisz tam z krótkofalówką. Jak ci przyjdzie ochota, to nam coś powiesz, jak nie, to nie. Siedź tam do woli. A dopiero potem my się weźmiemy do roboty.

– Miejscowi nie będą czekali.

– Oczywiście, że nie. Poślą tam paru swoich. Ale nasza prośba zawsze jakiś tam skutek odniesie. Może nie zdepczą wszystkiego i zostawią ci świeży teren.

Świeży. Graham odchylił głowę na oparcie krzesła i wbił wzrok w sufit.

– Naturalnie, mamy jeszcze trzynaście dni – dorzucił Crawford.

– Oj, Jack...

– Co „oj”?

– Martwisz mnie, Jack, naprawdę.

– Nie rozumiem.

– Owszem, rozumiesz. Postanowiłeś wystawić mnie jako przynętę, bo nic lepszego nie przychodzi ci do głowy. Więc zanim wystrzelisz z prośbą, karmisz mnie makabreskami, jak to będzie następnym razem. To się nazywa psychologiczne podejście. Dla idiotów. Myślisz, że co bym powiedział? Boisz się, że po tej historii z Lecterem straciłem jaja?

– Nie.

– Nie mam ci tego za złe, obaj znamy takich, którym się to przytrafiło. Nie mam ochoty paradować w kamizelce kuloodpornej, z wypiętym zadkiem. Ale, psia krew, i tak w tym siedzę po uszy. Dopóki on jest na wolności, nie możemy wrócić do domu.

– Ani przez chwilę nie wątpiłem, że się zgodzisz.

Graham wiedział, że to prawda.

– A więc chodzi ci o coś jeszcze, tak?

Crawford nie odpowiedział.

– Tylko nie Molly. Nie ma mowy!

– Rany boskie, Will, w życiu bym cię o to nie poprosił. Graham przyglądał mu się przez chwilę.

– Na miłość boską, Jack. Skumałeś się z Freddym Loundsem, może nie? Ubiłeś z tą gniądą interes.

Crawford zmarszczył brew, widząc plamkę na swoim krawacie. Spojrzał na Grahama.

– Sam wiesz, że to najlepszy sposób, żeby go wywabić. On będzie teraz czytał „Tattlera”. Co innego nam zostało?

– Czy musimy się bawić akurat z Loundsem?

– To on trzyma łapę na „Tattlerze”.

– A więc obsmaruję Szczerbatą Lalę w „Tattlerze” i poczekamy na jego ruch. Myślisz, że to lepsze od skrzynki kontaktowej? Nie odpowiadaj, sam wiem, że tak. Rozmawiałeś o tym z Bloomem?

– Tylko w przelocie. Musimy się z nim spotkać. I z Loundsem. Ale niezależnie od tego, ze skrzynki nie rezygnujemy.

– Wybrałeś już miejsce? Musimy dać mu szansę. Jakiś otwarty teren, żeby mógł się do mnie zbliżyć. Wątpię, żeby strzelał. Może mnie wykiwać, ale jakoś nie widzę go z karabinem.

– Rozstawimy snajperów.

Obaj myśleli o tym samym. Kamizelka kuloodporna ochroni Grahama przed kalibrem 9 mm i nożem, chyba że dostałby w twarz. A nie było sposobu uchronić go przed strzałem w głowę, jeżeli Szczerbata Lala mógłby celować z ukrycia.

– Ale z Loundsem sam pogadasz. To nie moja sprawa.

– On musi przeprowadzić z tobą wywiad. Will – powiedział Crawford łagodnie. – Musi ci zrobić zdjęcie.

Bloom ostrzegł go, że w tej kwestii pewnie napotka opór.

A jednak Graham zaskoczył zarówno Crawforda, jak Blooma. Chętnie przystał na spotkanie z Loundsem, a nawet, pomijając zimne niebieskie oczy, miał całkiem przyjemny wyraz twarzy.

Wizyta w kwaterze głównej FBI wywarła na Loundsie zbawienny efekt. Był niemal uprzejmy. Bez słowa i szybko uporał się ze zdjęciami.

Graham postawił się tylko raz, gdy kategorycznie odmówił Loundsowi wglądu w dziennik pani Leeds i wszelką korespondencję obu rodzin.

Na pytania Loundsa odpowiadał uprzejmie. Obaj zerkali do notatek z posiedzenia z doktorem Bloomem. Często pytania i odpowiedzi nagrywali ponownie.

Planowanie akcji na czyjąś szkodę nie przychodziło Bloomowi łatwo. W końcu po prostu wyjawiał im swoją teorię na temat Szczerbatej Lali. Pozostali słuchali go jak uczniowie karate na zajęciach z anatomii.

Bloom stwierdził, że list i działania Szczerbatej Lali wskazują na iluzoryczność zachowań, mającą skompensować skrajne poczucie niższości. Tłuczenie luster świadczy o tym, że poczucie to związane jest z jego wyglądem zewnętrznym.

Przydomek „Szczerbata Lala” wzbudza sprzeciw zabójcy w związku z homoseksualnymi implikacjami słowa „lala”. Bloom sądził, że drzemie w nim nieświadomiony konflikt homoseksualny, straszliwy strach przed homoseksualizmem. Jego opinię potwierdzał dziwny fakt zauważony w domu Leedsów – otóż wszelkie ślady wskazywały na to, że Szczerbata Lala po śmierci Charlesa Leedsa ubrał go w spodenki. Bloom przypuszczał, że chciał w ten sposób zmanifestować brak zainteresowania mężczyznami.

Psychiatra mówił o silnych związkach przejawów agresji i seksualizmu występujących u sadystów w wieku dziecięcym.

Dziki atakowanie kobiet w obecności ich rodzin najwyraźniej było wymierzone w postać matki. (Bloom, krążąc po pokoju i mówiąc jakby do siebie, nazywał podmiot swej oceny „dzieckiem koszmaru”. Crawford spuścił wzrok słysząc przebijające z jego głosu współczucie).

Podczas wywiadu z Loundsem Graham wygadywał rzeczy, na jakie nie pozwoliłby sobie żaden przedstawiciel prawa i jakich nie wydrukowałaby żadna przyzwoita gazeta.

Twierdził, że Szczerbata Lala jest brzydki i niezdolny do współżycia z osobami płci przeciwnej. Utrzymywał, niezgodnie z prawdą, że napastował on seksualnie swoje ofiary płci męskiej. Powiedział, że bez dwóch zdań Szczerbata Lala jest pośmiewiskiem wszystkich swych znajomych i owocem kazirodczego związku.

Podkreślał, że Lala zupełnie nie dorównuje inteligencją Hannibalowi Lecterowi. Obiecał też dostarczyć „Tattlerowi” dalszych danych i spostrzeżeń na temat zabójcy. I choć większość

przedstawiciele prawa jest temu przeciwna, to dopóki on prowadzi śledztwo, „Tattler” na bieżąco będzie otrzymywał od niego pełne i rzetelne informacje.

Lounds zrobił wiele zdjęć.

Najważniejsze przedstawiało „waszyngtońską kryjówkę” Grahama, apartament, który „wynajął do czasu, gdy zmiążdży Lalę”. Było to jedyne miejsce, gdzie mógł „odpocząć” od „karnawałowej atmosfery” śledztwa.

Na zdjęciu Graham w szlafroku ślęczał po nocy przy biurku, nachylony nad groteskową „artystyczną wizją Szczerbatej Lali”.

Za plecami miał okno, przez które widać było zalany światłem gmach Kapitolu. Co ważniejsze, w lewym dolnym rogu okna błyszczał nieco zamazany neon popularnego motelu po przeciwnej stronie ulicy.

Na tej podstawie Szczerbata Lala powinien bez trudu znaleźć Grahama.

W kwaterze głównej FBI sfotografowano Grahama przed wielkim spektrometrem. Sam przyrząd nie miał z całą sprawą nic wspólnego, ale Lounds uznał, że wygląda imponująco.

Graham zgodził się nawet na wspólne zdjęcie z Loundsem, przedstawiające ich w trakcie wywiadu, na tle olbrzymich stojaków na broń. Lounds trzymał pistolet kalibru 9 mm, tego samego typu co broń używana przez Lalę. Graham wskazywał na chałupniczej roboty tłumik wykonany z anteny telewizyjnej.

Doktor Bloom ze zdziwieniem ujrzał, jak Graham obejmuje Loundsa na sekundę przed trzaskiem migawki aparatu.

Wywiad i zdjęcia miały się ukazać w najbliższym numerze „Tattlera”, drukowanym w poniedziałek, jedenastego sierpnia. Zebrawszy materiały, Lounds natychmiast wyjechał do Chicago. Powiedział, że woli sam nadzorować skład. Umówił się z Crawfordem na wtorek po południu, pięć przecznic od kotła.

Począwszy od wtorku, kiedy to „Tattler” trafi na lady w całym kraju, na potwora czekać będą dwie pułapki.

Co wieczór Graham miał zachodzić do swojej „tymczasowej rezydencji” pokazanej na zdjęciu w „Tattlerze”.

Zaszyfrowane ogłoszenie w tym samym wydaniu gazety zapraszało Szczerbatą Lalę do skrzynki kontaktowej w Annapolis, obserwowanej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby Lala coś zwąchał i nabrał podejrzeń, to powinien dojść do wniosku, że tam właśnie skoncentrowano się na polowaniu. Wtedy, zdaniem FBI, Graham jako cel ataku powinien bardziej przypaść mu do gustu.

Władze stanowe Florydy zorganizowały całodobową obserwację domu w Sugarloaf Key.

Mimo to wśród polujących panowało niezadowolenie. Dwa takie kotły odciągały wielu ludzi od innych zadań, w dodatku zaś Graham został przywiązany do Waszyngtonu, skoro co wieczór musiał się stawiać w mieszkaniu-pułapce.

Graham zgadzał się z Crawfordem, że jest to najlepsze posunięcie, ale cała ta operacja była jak na jego gust zbyt pasywna. Uważał, że sami ze sobą bawią się w policjantów i złodziei, zaledwie dwa tygodnie przed następną pełnią księżyca.

Niedziela i poniedziałek minęły w atmosferze niepokoju. Minuty się wlokły, a godziny leciały.

Spurgen, główny instruktor oddziałów antyterrorystycznych w Quantico, w poniedziałek po południu objechał kwartał ulic wokół mieszkania-pułapki. Graham siedział koło niego, a Crawford na tylnym siedzeniu.

– Około siódmej piętnaście zmniejsza się ruch na chodniku. Ludzie zasiadają do kolacji. – Nabity i żyłasty, w zsuniętej na tył głowy sportowej czapeczce, Spurgen wyglądał jak baseballista grający na środku pola. – Jutro wieczorem daj nam sygnał na naszej fali, jak będziesz przejeżdżał przez tory. Postaraj się, żeby to wypadło około ósmej trzydzieści, czterdzieści.

Zajechał na parking przed mieszkaniem.

– Nie jest to może wymarzone miejsce na kocioł, ale ujdzie. Zaparkujesz tu jutro wieczorem. Potem codziennie będziemy zmieniali miejsce postoju, ale zawsze parkuj po tej stronie. Stąd do bramy jest siedemdziesiąt metrów. Przejdźmy się.

Spurgen, niski i krzywonogi, poprowadził ich przodem.

Sprawdza, gdzie może nam się powinąć noga, pomyślał Graham.

– Jeżeli w ogóle do czegoś dojdzie, to pewnie na chodniku – rzekł dowódca grupy specjalnej. – Widzisz, prosta linia od twojego wozu do bramy, naturalna droga, prowadzi przez środek parkingu. To najdalszy punkt od rzędu samochodów parkujących tu przez cały dzień. Żeby się do ciebie zbliżyć, będzie musiał wyjść na otwarty asfalt. Masz dobry słuch?

– Całkiem niezły – odparł Graham. – A na tym cholernym parkingu to nawet znakomity.

Spurgen przyjrzał mu się badawczo, ale nic nie wyczytał z jego twarzy. Zatrzymał się na środku parkingu.

– Przygasimy trochę latarnie, żeby mu utrudnić zadanie, gdyby chciał strzelać.

– Twoim ludziom też będzie trudniej – zaproponował Crawford.

– Dwaj z naszych mają noktowizory Startrona – wyjaśnił Spurgen. – Will, dostaniesz ode mnie taki spray, chciałbym, żebyś opryskał nim swoją marynarkę. No i żeby było nie wiem jak gorąco, przez cały czas masz nosić kamizelkę kuloodporną. Rozumiemy się?

– Tak.

– Jaki typ?

– Kevlar, model... jak to się nazywa, Jack?... Druga Szansa?

– Druga Szansa – potwierdził Crawford.

– Bardzo prawdopodobne, że podejdziesz do ciebie, najpewniej od tyłu, chociaż może wyjść ci naprzeciw i odwrócić się i strzelić, jak już go miniesz – rzekł Spurgen. – Siedmiokrotnie strzelał w głowę, dobrze mówię? No więc miał się okazję przekonać, że to skutkuje. Z tobą zrobi tak samo, jeżeli dasz mu na to czas. Nie daj mu ani sekundy, ani ułamka sekundy. Will. Pokażę ci teraz parę rzeczy w korytarzu i w mieszkaniu, a potem pojedziemy na strzelnicę. Dasz radę?

– Da radę – odpowiedział za niego Crawford.

Na strzelnicy Spurgen był panem i władcą. Kazał Grahamowi włożyć zarówno zatyczki do uszu, jak i nauszniki i podawał mu rzutki ze wszystkich stron. Z ulgą stwierdził, że Graham nie używa broni regulaminowej, ale martwił go błysk z przewierconej lufy. Kiedy po dwóch godzinach skończyli pracę, kazał sprawdzić to i owo w czterdziestce czwórce Grahama.

Graham wziął prysznic i przebrał się, by uwolnić się od zapachu strzelnicy. W końcu pojechał nad zatokę, spędzić ostatnią wolną noc z Molly i Willym.

Po kolacji zabrał żonę i pasierba na zakupy. Odstawił niezły cyrk, wybierając melony. Dopilnował, żeby zrobili kilkudniowe zapasy żywności. Stary numer „Tattlera” wciąż tkwił na stojaku przy kasie, a nie chciał, żeby Molly ujrzała rano nowe wydanie. Wolał nie informować jej o rozwoju wypadków.

Na pytanie, co zjadłby na kolację w przyszłym tygodniu, odparł, że go nie będzie, że musi wracać do Birmingham. Skłamał jej po raz pierwszy w życiu. Miał wrażenie, że jest śliski jak tłusta moneta.

Przechodząc między regałami w sklepie, obserwował ją ukradkiem. Molly, jego piękna baseballowa żona, nieustannie poszukująca u siebie oznak guza, upierająca się przy kwartalnych badaniach lekarskich całej rodziny, z jej kontrolowanym strachem przed ciemnością i ciężko okupioną świadomością, że czas to szczęście. Znała wartość wspólnie spędzonych dni. Potrafiła chwycić przemijającą chwilę. Nauczyła go, jak cieszyć się życiem.

„Kanon” Pachelbela rozbrzmiewał w słonecznym pokoju, w którym poznawali nawzajem swe ciała. Rozpierała ich bezgraniczna radość, ale nawet wtedy strach poraził go jak grom: to zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

W sklepie Molly często przekładała torebkę z ręki do ręki, jak gdyby rewolwer w środku ważył o wiele więcej niż dziewiętnaście uncji.

Graham obraziłby się słysząc, jak złorzeczy pod nosem melonom: „Wpakuję cię, sukinsynu, do

gumowego worka, zobaczysz. Już ja cię wpakuję do piachu”.

Obładowani kłamstwami, bronią i zakupami, tworzyli we troje mały uroczysty oddział.

Molly coś przeczuwała. Kiedy zgasili światła, nie rozmawiała z Grahamem. W nocy śniły jej się ciężkie kroki szaleńca w domu pełnym zmieniających się pokoi.

W Międzynarodowym Porcie Lotniczym im. Lamberta w St. Louis znajduje się kiosk z gazetami sprzedający większość dzienników amerykańskich. Prasa z Nowego Jorku, Waszyngtonu, Chicago i Los Angeles nadchodzi tu frachtem lotniczym i można ją dostać już w dniu wydania.

Jak wiele innych kiosków, tak i ten należy do sieci handlowej i sprzedawca oprócz typowych dzienników i czasopism musi przyjmować trochę szmatławców.

Gdy w poniedziałek, o dziesiątej w nocy, dostarczono „Chicago Tribune”, na podłogę rzucono też paczkę jeszcze ciepłych egzemplarzy „Tattlera”.

Sprzedawca przykucnął przed półkami, wykładając „Chicago Tribune”. Miał trochę do roboty. Ci z dziennej zmiany nigdy nie poprawią gazet porządnie.

Kątem oka ujrzał czarne, zapinane na suwak buty. Gość pewnie przegląda jakieś pisma. Nie, czubki butów skierowane były w jego stronę. Psiakrew, widać czegoś od niego chciał. Miał ochotę skończyć najpierw z „Tribune”, ale uporczywość tamtego przyprawiała go o mrowienie w karku.

Kioskarz pracował tu tylko chwilowo. Nie musiał się silić na uprzejmość.

– Czego? – rzucił w kierunku kolan.

– „Tattlera”.

– Musi pan poczekać, aż otworzę paczkę.

Buty nie odchodziły. Były za blisko.

– Powiedziałem, że musi pan poczekać, aż otworzę paczkę. Jasne? Tu się pracuje.

Dłoń, błysk stali i sznurek przewijający paczkę obok niego pękł z cichym odgłosem. Na podłogę przed nim spadła dolarówka. Czysty egzemplarz „Tattlera”, wyrwany ze środka paczki, rozsypał te z wierzchu na podłogę.

Kioskarz wstał, czerwony z wściekłości. Tamten odchodził z gazetą pod pachą.

– Hej! Hej, ty tam!

Tamten odwrócił się do niego.

– Ja?

– A ty, ty. Mówiłem...

– Co mówiłeś? – Podeszedł do kioskarza. Zbyt blisko. – Co takiego mówiłeś?

Przeważnie opryskliwy sprzedawca odstrasza klientów. W lodowatym spokoju tego faceta było coś niesamowitego.

Kioskarz wbił wzrok w podłogę.

– Należy się ćwierć dolara reszty.

Dolarhyde odwrócił się i odszedł. Kioskarz jeszcze przez pół godziny czuł ogień na policzkach.

Tak, ten palant był tu w zeszłym tygodniu. Jak mi się tu jeszcze raz pojawi, powiem mu, dokąd ma spierdalać. Mam coś pod ladą na takich cwaniaków.

Dolarhyde nie przeglądał „Tattlera” na lotnisku. Czwartkowa wiadomość od Lectera wzbudziła w nim mieszane uczucia. Oczywiście, Lecter miał rację pisząc, że on jest piękny, i czytało się to z przyjemnością. Bo przecież był piękny. Z drugiej strony strach doktora przed tym policjantem wzbudzał w nim pogardę. Lecter jednak niewiele więcej rozumiał niż reszta.

Mimo to aż się palił, by sprawdzić, czy Lecter wysłał mu następną wiadomość. Ale zaczeka z tym do powrotu do domu. Dolarhyde był dumny ze swej siły woli.

Za kierownicą dumiał o kioskarzu.

Niegdyś przeprosiłby go za kłopot i więcej by się tam nie pokazał. Przez całe lata pozwalał ludziom jeździć sobie po głowie. Ale to było dawno. Kioskarz mógłby obrazić Francisa Dolarhyde’a – ale nie mógł stawić czoła Smokowi. Na tym między innymi polega Przeistoczenie.

O północy światło nad jego biurkiem wciąż się paliło. Podłogę zaśmiecały karteluszeki z rozszyfrowaną wiadomością z „Tattlera”. Strzępy gazet walały się wokół dziennika, do którego Dolarhyde wkleił kolejny artykuł. Sam dziennik leżał otwarty pod obrazem Smoka, żeby klej szybciej wysechł. Pod najnowszymi wycinkami znajdowała się świeżo przymocowana mała torebka z folii, na razie pusta.

Podpis na dole głosił: „Obraził mnie nimi”.

Ale Dolarhyde’a już tam nie było.

Siedział na schodach do piwnicy, wdychając stęchły zapach ziemi i pleśni. Omiótł latarką przykryte pokrowcami meble, zakurzone wielkie lustra, które niegdyś wisiały w całym domu, a teraz stały odwrócone pod ścianą, kufer z zapasem dynamitu...

Światło latarki zatrzymało się na wysokim, zakrytym materiałem przedmiocie, jednym z kilku podobnych upchniętych w sam kąt piwnicy. Dolarhyde podszedł do niego. Pajęczyny oblepiły mu twarz. Ściągając zakurzony materiał, zaniósł się kaszlem.

Zamrugnął, powstrzymując łzy, i oświetlił stary dębowy fotel na kółkach, jeden z trzech w piwnicy. Był to ciężki, solidny wózek inwalidzki z wysokim oparciem. Władze okręgowe dostarczyły babce Dolarhyde’a kilka takich wózków w latach czterdziestych, kiedy prowadziła dom dla

inwalidów wojennych.

Dolarhyde wyciągnął skrzypiący fotel z kąta. Bez trudu wniósł ciężkiego grata po schodach i w kuchni nasmarował koła. Przednie wciąż trochę skrzypiały, ale tylne miały dobre łożyska i kręciły się swobodnie, gdy pchnął je palcem.

Kojący szum wirujących kół ostudził nieco jego gniew. Obracając koła, Dolarhyde pomrukiwał pod nosem.

We wtorek o dwunastej w południe, Freddy Lounds opuścił budynek „Tattlera” zmordowany, ale szczęśliwy. Artykuł do gazety napisał jeszcze w samolocie i złożył go w redakcji w równe pół godziny.

Później pracował bez wytchnienia nad książką, nie przyjmując żadnych telefonów. Potrafił organizować sobie pracę i miał już gotowe pięćdziesiąt tysięcy słów materiału na temat dotychczasowych wypadków.

Po złapaniu Szczerbatej Lali napisze tylko wstrząsający wstęp i relację z pojmania sprawcy. To, co już ma, znakomicie wpasuje się w środek. Obgadał sobie trzech niezłych reporterów „Tattlera”, którzy czekali tylko na znak, by natychmiast wyruszyć na zbieranie dla niego materiałów z rodzinnych stron Lali.

Jego agent rzucał olbrzymimi sumami. Wprawdzie omawianie planu z agentem literackim przed zakończeniem sprawy było, formalnie rzecz biorąc, złamaniem układu z Crawfordem, ale ustalili, że po fakcie wstawią do umowy późniejszą datę i nic się nie wyda.

Crawford miał na Loundsa solidnego haka – jego groźby nagrane na taśmie. Tego typu szantaż podlegał ściganiu z mocy prawa i nawet dziennikarz nie mógł się zasłaniać prawami wynikającymi z Pierwszej Poprawki do Konstytucji. Poza tym Lounds wiedział, że Crawford jednym telefonem może mu załatwić wieczne kłopoty z fiskusem.

Lounds miewał przebłyski uczciwości, choć dawno już pozbył się złudzeń na temat charakteru swojej pracy. Do tej sprawy podchodził jednak niemal ze świętym nabożeństwem.

Zawładnęła nim wizja lepszego życia po drugiej stronie bariery finansowej. Stare nadzieje, ukryte pod brudami, jakie miał na sumieniu, odżyły teraz na nowo.

Sprawdził, że aparat fotograficzny i magnetofon są w porządku, i zadowolony pojechał do domu, by złapać trzy godziny snu przed odlotem do Waszyngtonu, na spotkanie z Crawfordem w pobliżu kotła.

W garażu czekała go niemiła niespodzianka. Czarna furgonetka wtarabaniła się częściowo na jego teren. Wyraźnie zastawiała linię odgradzającą miejsce z napisem: „Pan Frederick Lounds”.

Lounds z całej siły pchnął drzwiczki, wgniatając i rysując bok furgonetki. Może to nauczy czegoś tego bezmyślnego drania.

Zamykał właśnie samochód, gdy drzwi furgonetki otworzyły się za jego plecami. Nim zdążył się odwrócić, płaska pałka z głuchym odgłosem trafiła go za ucho. Poderwał ręce, lecz kolana ugięły się pod nim, a straszliwy ucisk na szyję pozbawił go tchu. Gdy jego obolałe płuca mogły nareszcie odetchnąć, wciągnęły chloroform.

Dolarhyde zaparkował na tyłach swego domu, wysiadł z furgonetki i przeciągnął się. Przez całą

drogę z Chicago miał boczny wiatr i ręce bolały go od kierownicy. Spojrzał na ciemne niebo. Niedługo spodziewany jest deszcz meteorytów; nie może tego przegapić.

Apokalipsa: I ogon jego ściągnął co trzecią gwiazdę na niebie, i strącił je na ziemię...

Zrobił to w innych czasach. Teraz musi to obejrzeć i zapamiętać.

Otworzył tylne drzwi i jak zwykle przeszukał cały dom. Powrócił w masce z pończochy.

Przystawił pomost do furgonetki i wytoczył Freddy'ego Loundsa. Dziennikarz miał na sobie tylko spodenki, a do tego knebel i opaskę na oczach. Był na pół przytomny, ale nie bezwładny. Siedział sztywno wyprostowany, z głową na wysokim oparciu starego dębowego fotela na kółkach. Od głowy aż po podeszwy stóp przylepiony był do wózka klejem epoksydowym.

Dolarhyde wtoczył go do domu i zostawił w kącie salonu, odwróconego twarzą do ściany, jak gdyby coś przeszkrobał.

– Nie zimno panu? Może dać panu koc?

Dolarhyde zerwał plaster zaklejający usta i oczy Loundsa. Pismak nie odpowiedział. Roztaczał woń chloroformu.

– Przyniosę panu koc. – Dolarhyde ściągnął z kanapy afgańską narzutę i otulił nią Loundsa po szyję. Potem podsunął mu flaszkę amoniaku.

Lounds otworzył oczy i ujrzał zamazane spojenie ścian w rogu. Odkasznął.

– Czy to był wypadek? Co ze mną?

Zza pleców doleciał go głos:

– Nie, panie Lounds. Nic panu nie jest.

– Bolą mnie plecy. Moja skóra... Czy jestem poparzony?

Tylko nie to...

– Poparzony? Nie. Pan tu tylko odpoczywa. Niedługo do pana wrócę.

– Chcę się położyć! Panie, niech pan zadzwoni do mojej redakcji. Rany boskie, jestem w gorsecie! Złamałem kręgosłup... niech mi pan powie prawdę!

Oddalające się kroki.

– Co ja tu robię? – Piskliwie.

– Pokutuje pan, panie Lounds. – Odpowiedź dobiegła z daleka.

Lounds usłyszał kroki na schodach. Potem szum prysznic. Powoli rozjaśniało mu się w głowie, przypomniał sobie, jak wyszedł z redakcji, no i jazdę do domu, ale nic więcej. Głowa pękała mu z bólu, zapach chloroformu przyprawiał go o mdłości. Bał się, że jeśli zacznie rzygać w tej pozycji, to się zadusi. Otworzył szeroko usta i odetchnął głęboko. Słyszał łomotanie swego serca.

Miał nadzieję, że to tylko sen. Spróbował oderwać ręce od poręczy fotela, celowo wzmagając napięcie ramion i dłoni aż do bólu, który każdego wyrwałby ze snu. Więc jednak nie spał. Jego mózg zaczął pracować na wyższych obrotach.

Odwracając oczy z wysiłkiem, dostrzegł swe ramię na poręczy. Przekonał się, co go tak trzyma. A więc nie nosi gorsetu na złamany kręgosłup. Nie przebywa w szpitalu. Ktoś go porwał.

Zdawało mu się, że słyszy kroki w pomieszczeniu nad sobą, ale równie dobrze mogło to być bicie jego serca.

Próbował zebrać myśli. Skoncentrować się za wszelką cenę.

– Uspokój się i myśl! – wyszeptał. Uspokój się i myśl. Zaskrzybiały schody. To Dolarhyde schodził na parter. Przy każdym kroku Lounds czuł jego wagę. A później obecność za plecami.

Dopiero po kilku słowach udało mu się wpaść we właściwy ton.

– Nie widziałem pana twarzy. Nie mógłbym pana rozpoznać. Nie wiem, jak pan wygląda. „Tattler” – ja pracuję dla „National Tattler” – wypłaci za mnie okup... duży okup. Pół miliona, może nawet milion. Milion dolarów.

Cisza. Wreszcie skrzypienie sprężyn kanapy. Widocznie tamten usiadł.

– I co pan myśli, panie Lounds?

Zapomnij o bólu i strachu i myśl. Myśl! Przez cały czas. Żeby zyskać na czasie. Zyskać lata. On nie chce mnie zabić. Nie pokazał mi swojej twarzy.

– I co pan myśli, panie Lounds?

– Nie wiem, co mi się przytrafiło.

– Czy domyśla się pan, kim jestem?

– Nie. I nie chcę wiedzieć, proszę mi wierzyć.

– Według pana jestem zdeprawowanym, perwersyjnym maniakiem seksualnym. Zwierzęciem, jak pan się wyraził. Prawdopodobnie uniknąłem szpitala dla umyślowo chorych dzięki dobroci sędziego. – W normalnych warunkach Dolarhyde unikałby głoski „s”. Ale tu, przed publicznością jak najdalej od śmiechu, nie musiał się kryć. – Teraz już pan wie?

Nie kłam. Myśl szybko.

– Tak.

– Dlaczego pan wypisuje kłamstwa, panie Lounds? Dlaczego twierdzi pan, że jestem nienormalny? Słucham.

– Kiedy... kiedy ktoś postępuje w sposób niezrozumiały dla większości ludzi, nazywają go...

– Wariatem.

– Tak samo nazywali braci Wright. Od zarania dziejów...

– Dzieje. Historia. Czy pan rozumie to, co robię, panie Lounds?

– Czy rozumiem. Więc o to chodzi. Masz szansę. Postaraj się. – Nie, ale chyba teraz mam okazję zrozumieć, a wtedy zrozumieją to także wszyscy moi czytelnicy.

– Czuje się pan uprzywilejowany?

– Bo to jest przywilej. Ale tak między nami mężczyznami muszę wyznać, że trochę się boję. W takim stanie trudno się skupić. Jeżeli ma pan wspianały pomysł, to nie musi mnie pan straszyć, żebym go w pełni docenił.

– Między nami mężczyznami. Mężczyznami. W ten sposób chce pan podkreślić swoją szczerłość. Doceniam to, panie Lounds, ale widzi pan, ja nie jestem mężczyzną. Urodziłem się człowiekiem, ale łasce Boga i swojej woli zawdzięczam to, że przeistoczyłem się w istotę nadludzką. Powiada pan, że pan się boi. Czy według pana Bóg jest tu z nami?

– Nie wiem.

– Modli się pan teraz do niego?

– Czasami się modlę. Przyznam się, że głównie wtedy, jak się boję.

– I Bóg panu pomaga?

– Nie wiem. Po fakcie nie zastanawiam się nad tym. Choć może powinienem.

– Powinien pan. Uhm. Powinien pan zrozumieć bardzo wiele rzeczy. Wkrótce panu w tym pomogę. Pozwoli pan, że odejdę na chwilę?

– Ależ oczywiście.

Kroki wychodzące z pokoju. Wsuwanie szuflady w kuchni, brzęk. Lounds wielokrotnie relacjonował sprawy morderstw popełnionych w kuchni, gdzie zawsze jest pod ręką tyle rozmaitych narzędzi. Raporty policyjne raz na zawsze potrafią zmienić pogląd człowieka na kuchnię. Oho, teraz leci woda.

Lounds sądził, że jest noc. Crawford i Graham pewnie się już niepokoją. Musieli zorientować się, że zniknął. Do jego strachu dołączył bezbrzeżny smutek.

Czyjś oddech za plecami, biały błysk dostrzeżony kątem oka. Dłoń, mocna i blada. A w niej filiżanka herbaty z miodem. Lounds popijał przez słomkę.

– Napiszę wielki, uczciwy artykuł – powiedział w przerwach między łykami. – Wszystko, co tylko pan zechce. Opiszę pana, jak pan sobie tylko zażyczy, ewentualnie nie opiszę, pańska wola.

– Ciii! – Palec postukał Loundsa w czubek głowy. Rozbłyły dodatkowe światła i fotel zaczął się obracać.

– Nie. Nie chcę pana oglądać.

– Pan mnie musi obejrzeć, panie Lounds. Jest pan przecież dziennikarzem. Musi pan zdać czytelnikom relację. Gdy pana odwrócę, ma pan otworzyć oczy i spojrzeć na mnie. Jeżeli sam pan tego nie robi, to przytwierdzę panu powieki do czoła zszywaczem.

Jakieś cmoknięcie, szczęk i fotel odwrócił się. Lounds siedział teraz twarzą do pokoju, z zaciśniętymi oczami. Palec postukał go natarczywie w pierś. Dotknięcie powieki.

Otworzył oczy.

Z fotela wydawało mu się, że facet w kimonie jest niezwykle wysoki. Maskę z pończochy miał podwiniętą pod nos. Odwrócił się do Loundsa plecami i zrzucił szlafrok. Mięśnie grzbietowe napięły się nad jaskrawym wytatuowanym ogonem, biegnącym od krzyża w dół i oplatającym nogę.

Smok powoli odwrócił głowę, zerknął na Loundsa przez ramię i uśmiechnął się, pokazując szczerbate, poplamione zęby.

– Święty Boże Wszechmogący! – jęknął Lounds.

Lounds siedzi na środku pokoju, z ekranem projektora przed sobą. Za jego plecami stoi Dolarhyde, teraz już w szlafroku i ze sztuczną szczęką, umożliwiającą mu mówienie.

– Czy chcesz się dowiedzieć, kim jestem?

Lounds chciał skinąć głową, lecz tylko naderwał sobie włosy.

– O niczym bardziej nie marzę. Bałem się prosić.

– Wiec patrz. – pierwsze przezrocze przedstawiało obraz Blake’a – człowieka-smoka, stojącego z rozwianymi skrzydłami i trzaskającym ogonem nad kobietą odzianą w słońce.

– Widzisz teraz?

– Widzę.

Dolarhyde szybko zmieniał kolejne slajdy. Trzask. Pani Jacobi żywa.

– Widzisz?

– Tak.

Trzask. Pani Leeds żywa. – Widzisz?

– Tak.

Trzask. Dolarhyde, nieokiełznany Smok, z napiętymi mięśniami i wytatuowanym ogonem nad łóżkiem Jacobich.

– Widzisz?

– Tak.

Trzask. Pani Jacobi przed.

– Widzisz?

– Tak.

Trzask. Pani Jacobi po.

– Widzisz?

– Tak.

Trzask. Nieokiełznany Smok.

– Widzisz?

– Tak.

Trzask. Pani Leeds przed, obok bezwładnego męża.

– Widzisz?

– Tak.

Trzask. Pani Leeds po, cała zalana krwią.

– Widzisz?

– Tak.

Trzask. Freddy Lounds, kopia zdjęcia z „Tattlera”.

- Widzisz?
- O Boże!
- Widzisz?
- O Boże jedyny! – Przeciągle, jak szlochające dziecko.
- Widzisz?
- Proszę, nie.
- Co „nie”?
- Nie mnie.
- Co „nie”? Pan jest mężczyzną, panie Lounds. Prawda?
- Tak.
- Czy sugeruje pan, że jestem jakimś zbrodźcą?
- Rany boskie, nie!
- A może pan jest zbrodźca, panie Lounds?
- Nie.
- Czy dalej będzie pan wypisywał kłamstwa na mój temat, panie Lounds?
- Ależ nie, nie!
- Dlaczego pan pisał te kłamstwa, panie Lounds?
- Dowiedziałem się od policji. Oni mi tak powiedzieli.
- Cytuje pan Willa Grahama.
- To Graham mi nakłamał. Graham.
- A teraz powie pan prawdę? O Mnie. Moim Dziele. Moim Przeistoczeniu. O mojej Sztuce, panie Lounds. Czy to jest Sztuka?
- Sztuka.

Przerażenie na twarzy Loundsa pozwoliło Dolarhyde’owi mówić swobodnie, mógł latać na głoskach szczelinowych, ze zwartych spleść misterne wielkie skrzydła.

– Twierdziłeś, że ja, który widzę daleko więcej niż ty, jestem nienormalny. Ja, który posunąłem świat daleko bardziej do przodu, jestem obłąkany. Odważyłem się na więcej niż ty, odcisnąłem swe niepowtarzalne piętno dużo głębiej i pozostanie w ziemi o wiele dłużej niż twoje marne prochy. W porównaniu z moim twoje życie jest jak ślad ślimaka na kamieniu. Jak srebrna warstewka śluzu pokrywająca litery na moim pomniku.

Dolarhyde’owi przypomniały się słowa, które zapisał w dzienniku.

– Jestem Smokiem, a ty śmiesz zwać mnie obłąkanym? Moje ruchy śledzą i opisują z większą uwagą niż ruch gwiazdy, która zawita w nasz układ. Słyszałeś o gwieździe, która przybyła do nas w roku tysiąc pięćdziesiątym czwartym? Oczywiście, że nie. Czytelnicy śledzą twoje teksty, jak dziecko śledzi palcem ślad ślimaka, i równie bezmyślnie. Odnoszą je do twojej płytkiej czaszki i bulwiastej twarzy tak, jak ślimak odnosi swój śluz do domu.

Wobec mnie jesteś jak ten ślimak w słońcu. Wtajemniczyłem cię w istotę Przeistoczenia, a ty nic nie rozumiesz. Jesteś jak mrówka w błonach płodowych.

Tylko jedno potrafisz robić prawidłowo. Słusznie, że drżysz przede mną. Ale ty i wszystkie inne mrówki, Lounds, jesteście mi winni nie strach, lecz przerażenie.

Dolarhyde stał z opuszczoną głową, podpierając nos kciukiem i palcem wskazującym. Nagle wyszedł z pokoju.

Nie zdjął maski, pomyślał Lounds. Nie zdjął maski! Jeżeli wróci bez niej, to już po mnie. Boże, cały jestem zlany potem. Przekręcił oczy w stronę drzwi i czekał, nasłuchując odgłosów dobiegających z tyłu domu.

Dolarhyde powrócił w masce, niosąc chlebak i dwa termosy.

– To na drogę do domu – powiedział unosząc jeden termos. – Lód, przyda nam się niedługo. Ale zanim ruszymy, musimy jeszcze coś nagrać.

Przypiął mikrofon do koca koło twarzy Loundsa.

– Powtarzaj za mną.

Nagrywali przez pół godziny. Wreszcie padło:

– To wszystko, panie Lounds. Sprawił się pan bardzo dobrze.

– Teraz mnie pan już puści?

– Tak. Ale widzę tylko jeden sposób, żeby ci pomóc zrozumieć i zapamiętać.

Dolarhyde odwrócił się do Loundsa tyłem.

– Chcę zrozumieć. Chcę, żeby pan wiedział, jak pana cenię za zwrócenie mi wolności. Wie pan,

że teraz już będę pisał samą prawdę.

Dolarhyde nie mógł odpowiedzieć – właśnie zmienił zęby.

Znow włączył magnetofon.

Uśmiechnął się, pokazując brązowe, poplamione zęby.

Oparł Loundsowi dłoń na wysokości serca, nachylił się nad nim, jak gdyby chciał pocałować go w usta, po czym odgryzł mu wargi i wypluł je na podłogę.

Świt w Chicago; ciężkie powietrze i niskie szare niebo.

Z hallu budynku „Tattlera” wyszedł strażnik. Stał przy krawężniku i paląc papierosa, masował obolałe krzyże. Ulica była pusta, toteż w ciszy słyszał wyraźnie szcęk przełącznika świateł na skrzyżowaniu oddalonym o cały długi kwartał domów i położonym na szczycie wzniesienia.

O pół przecznicy na północ od tych świateł, poza zasięgiem wzroku strażnika, Francis Dolarhyde kulił się obok Loundsa w tyle furgonetki. Uformował z koca coś na kształt głębokiego kaptura, który skrywał teraz głowę dziennikarza.

Lounds cierpiał. Sprawiał wrażenie jakby otępiełego, lecz jego umysł pracował w przyspieszonym tempie. Musiał pamiętać o kilku istotnych rzeczach. Krawędź kaptura wspierała mu się na nosie, mógł więc dojrzeć, jak palce Dolarhyde’a sprawdzają zaskorupiały knebel.

Dolarhyde przywdział biały kitel sanitariusza, ułożył Loundsowi termos na kolanach i wytoczył go z furgonetki. Kiedy zablokował kółka wózka i odwrócił się, by schować pomost do środka, Lounds zdołał dostrzec spod koca krawędź zderzaka furgonetki.

Odwrócił się więc, ujrzał cały zderzak i – tam do licha! – tablicę rejestracyjną. Wprawdzie tylko na moment, ale jej treść utkwiała mu głęboko w pamięci.

Poczuł, że jedzie. Szpary pomiędzy płytami chodnika. Skręt za róg, a później podskok na krawężniku. Pod kołami zaszeleścił papier.

Dolarhyde zatrzymał wózek w małym niechlujnym zakątku pomiędzy wysypiskiem śmieci a zaparkowaną ciężarówką. Szarpnął za koc. Lounds zamknął oczy. Butelka amoniaku podsunięta pod nos.

Cichy głos tuż za nim.

– Słyszysz mnie? Jesteśmy prawie na miejscu. – Już nie miał kaptura na głowie. – Jeżeli mnie słyszysz, zamrugaj.

Dolarhyde rozwarł mu oko kciukiem i palcem wskazującym. Lounds spojrzał mu prosto w twarz.

– Okłamałem cię. – Dolarhyde poklepał termos. – Bo tak prawdę mówiąc, to wcale nie mam tu pod ręką twoich warg – Zrzucił na ziemię koc i odkręcił termos.

Lounds poczuł zapach benzyny. Zaczął się gwałtownie wrywać, zdzierając sobie skórę z przedramion i powodując, że mocny fotel na kółkach aż jęczał. Tocząc się ku środkowi ulicy, odbierał całym ciałem chłód rozlanej benzyny, której dławiący smród wypełniał mu gardło.

– No i jak ci się podoba być pupilkiem Grahama, Free-eeedeeeee?

Błysk eksplozji, silne pchnięcie i tur-tur, tur-tur, potoczył się ku gmachowi „Tattlera”.

Przeraźliwy krzyk wypchnął mu z ust płonący knebel. Strażnik czym prędzej spojrzał w tamtą stronę. Zobaczył kulę ognia, która – mknąc wprost ku niemu – podskakiwała na wybojach i ciągnęła za sobą wielki snop dymu, iskier oraz rozwiane skrzydła płomieni. W szybach wystawowych migotało jej zwielokrotnione odbicie.

Ognisty pojazd skręcił, uderzył w zaparkowany samochód i przewrócił się tuż przed samym gmachem. Jedno kółko kręciło się jeszcze, wichrząc płomienie szprychami, a tryskające żarem ramiona wznosiły się w agonalnej pozie ofiary całopalenia.

Strażnik czym prędzej zawrócił do hallu. Nie wiedział, czy to coś za chwilę nie wybuchnie, czy aby nie powinien odsunąć się od okien. Włączył alarm przeciwpożarowy. Co jeszcze? Porwał ze ściany gaśnicę i wyrzwał na zewnątrz. Nie, nic jeszcze nie wybuchło.

Ruszył ostrożnie przed siebie, brnąc poprzez gęste kłęby tłustawego dymu, które kładły się nisko nad chodnikiem, i w końcu spryskał pianą ciało Freddy’ego Loundsa.

Harmonogram wymagał, by Graham wyszedł ze swego mieszkania-pułapki w Waszyngtonie o 6.45, na grubo przed godziną porannego szczytu.

Kiedy się golił, zadzwonił Crawford.

– Dzień dobry.

– Jak dla kogo – odparł Crawford. – Szczerbata Lala dopadł Loundsa w Chicago.

– No nie!

– On jeszcze żyje i pyta o ciebie. Nie może długo czekać.

– Już jadę.

– Spotkajmy się na lotnisku. Linie United, rejs 245. Odlot za czterdzieści minut. W razie potrzeby zdążysz wrócić do tego swojego kotła.

Padał ulewny deszcz, kiedy Chester, agent specjalny FBI, odnalazł ich na lotnisku O'Hare. Chicago to miasto nawykłe do dźwięku syren, więc samochody niechętnie ustępowały im z drogi, gdy Chester pędził autostradą. Czerwony „kogut” rzucał różowe błyski w zacinającym deszczu.

Chester starał się przekrzyczeć ryk syreny:

– Policja z Chicago twierdzi, że został zaatakowany w swoim garażu. Moje informacje są tylko z drugiej ręki. Nie bardzo nas tu teraz lubią.

– A co z tego przedostało się do prasy?

– Wszystko. Nawet o tym waszym kotle. Po prostu wszystko.

– Czy Lounds zdołał mu się przyjrzeć?

– Nie słyszałem opisu. Ale policja z Chicago około szóstej dwadzieścia wysłała do wszystkich jednostek rozkaz poszukiwania wozu z odpowiednimi numerami.

– Czy skontaktowaliście się, tak jak chciałem, z doktorem Bloomem?

– Skontaktowałem się z jego żoną, Jack. Doktor Bloom dziś rano miał wycinany woreczek żółciowy.

– Wspaniale – stwierdził Crawford.

Chester przystanął pod ociekającym deszczem portykiem szpitala. Odwrócił się na siedzeniu.

– Jack, Will, zanim pójdziecie na górę... Słyszałem, że ten ptaszek nieźle urządził Loundsa. Powiniście być na to przygotowani.

Graham skinął głową. Podczas lotu do Chicago usiłował zdławić w sobie nadzieję, że Lounds skona, zanim zdoła się z nim zobaczyć.

Korytarz kliniki Paeye'a był czymś w rodzaju długiej rury o ścianach pokrytych nieskazitelną glazurą. Wysoki lekarz o ciekawej, ni to starej, ni młodej twarzy skinął na Grahama i Crawforda, odciągając ich od grupki ludzi zebranych przy drzwiach pokoju Loundsa.

– Oparzenia pana Loundsa są śmiertelne – oświadczył. – Mogę mu tylko ulżyć w cierpieniu i zamierzam to zrobić. Nawdychał się płomieni, toteż gardło i płuca ma w opłakanym stanie. Być może nie odzyska już przytomności. W jego przypadku byłoby to wręcz błogosławieństwem. Jednakże gdyby odzyskał świadomość, policja miejska prosiła mnie, żebym mu odpowiedział tchawicę, tak aby ewentualnie mógł odpowiedzieć na parę pytań. Zgodziłem się, lecz tylko na krótko. W tej chwili zakończenia nerwów ma znieczulone przez ogień. Jeżeli jednak pożyje jeszcze trochę, czeka go straszliwy ból. Wyjaśniłem to policji bez ogródek i chcę tak samo postąpić wobec panów: w razie potrzeby natychmiast przerwę przesłuchanie, żeby zaaplikować mu środki znieczulające. Rozumiemy się?

– Tak – odrzekł Crawford.

Skinąwszy głową wartownikowi przy drzwiach, lekarz założył do tyłu ręce, kryjąc je w fałdach swego białego kitla, i odszedł, podobny do wielkiej brodzącej czapli.

Crawford spojrzał na Grahama.

– I jak? W porządku z tobą?

– Ze mną tak. Ja przecież byłem pod obstawą grupy specjalnej.

Głowa Loundsa spoczywała na podwyższeniu. Jego włosy i uszy strawił ogień, a kompresy na niewidzących oczach zastępowały spalone powieki. Działka miał nabrzmiałe od pęcherzy.

Siedząca obok pielęgniarka odsunęła stelaż z kroplówką, by Graham mógł podejść bliżej. Lounds roztaczał woń zgliszcz końskiej stajni.

– Freddy, to ja. Will Graham.

Lounds zgiął kark, wpierając się mocniej w poduszkę.

– To tylko odruch. Jest nieprzytomny – stwierdziła pielęgniarka.

Plastikowa rurka, utrzymująca drożność jego spieczonej i opuchniętej tchawicy, syczała równomiernie w rytm działania respiratora.

W kącie siedział blady sierżant z notatnikiem i magnetofonem na kolanach. Graham nie zauważył

go, dopóki tamten się nie odezwał.

– Lounds wymienił pańskie nazwisko jeszcze w izbie przyjęć, nim założyli mu tę rurę.

– Był pan tam wtedy?

– Trochę później. Ale mam go na taśmie. Podał strażakom numer rejestracyjny, ledwie do niego dotarli. Stracił przytomność i w karetce jej nie odzyskał, ocknął się na chwilę dopiero w izbie przyjęć, kiedy dali mu zastrzyk w klatkę piersiową. Paru ludzi z „Tattlera” jechało cały czas za karetką. To oni nagrali tę taśmę.

– Zechce pan mi ją puścić.

Detektyw pomanipulował przy magnetofonie.

– Pewnie chce pan słuchawki – stwierdził z wystudiowaną obojętnością. Nacisnął guzik.

Graham usłyszał jakieś głosy, pisk ogumionych kółek, „dajcie go na trójkę”, stuknięcie wózka o wahadłowe drzwi, rżenie, jakby ktoś wymiotował, i dziwne krakanie człowieka pozbawionego warg.

– Herhata Lala.

– Freddy, widziałeś go? Jak on wyglądał, Freddy?

– Wendy? Hroszę Wendy. To Hraham tah hie hystahił. Hiedział chuj co hobi. To Hraham. Obejmohał hie chuj na tyh zdjęciu jah jakiego hociaha. Wendy?

Świst, jak gdyby zasysanie przez rurę. I głos lekarza: „Dość tego. Przepuście mnie. Z drogi! Ale już!” To było wszystko.

Kiedy Crawford przesłuchiwał taśmę. Graham stał nad łóżkiem Loundsa.

– Właśnie szukamy tego numeru rejestracyjnego – powiedział sierżant. – Czy zrozumiał pan, co on mówił?

– Kto to jest Wendy? – zapytał Crawford.

– To ta prostytutka w korytarzu. Blondynka z wielkim biustem. Próbowwała się z nim zobaczyć. Nie wie o niczym.

– Dlaczego jej nie wpuście? – odezwał się pochylony nad łóżkiem Graham. Stał tyłem do nich.

– Żadnych odwiedzających.

– Ale ten człowiek umiera.

– A pan myśli, że o tym nie wiem? Siedzę tu, kurwa, już od za kwadrans szósta... O, przepraszam, siostró.

– Niech pan odpocznie sobie parę minut – powiedział Crawford. – I napije się kawy. Albo ochłapie sobie twarz zimną wodą. On nic już nie powie. A jeśli nawet, to będę tu siedział z magnetofonem.

– Zgoda, bardzo mnie to urządza.

Kiedy detektyw wyszedł. Graham zostawił Crawforda przy łóżku i podszedł do kobiety czekającej w korytarzu.

– Wendy?

– Tak.

– Jesteś pewna, że chciałabyś tam zajrzeć? Jeśli tak, to mogę cię wprowadzić.

– Tak, chcę. Tylko przyczeszę włosy.

– To już nie ma teraz znaczenia – powiedział Graham. Sierżant po powrocie nie próbował jej wypraszać. Wendy z „Wendy City” trzymała szerniałe szpony

Loundsa, wpatrując się w jego twarz. Tuż przed południem poruszył się.

– Wszystko będzie w porządku, Roscoe – powiedziała. – Zrobimy sobie ubaw, jak trza.

Lounds poruszył się jeszcze raz i skonał.

Kapitan Osborne z chicagowskiego wydziału zabójstw miał szarą spiczastą twarz wyrzeźbionego w kamieniu lisa. Po całym posterunku walały się egzemplarze „Tattlera”. Jeden z nich spoczywał na jego biurku.

Nie poprosił Crawforda i Grahama, by usiedli.

– Czy Lounds odwałwał dla was jakąś robotę w Chicago?

– Nie, miał przylecieć do Waszyngtonu – odrzekł Crawford. – Załatwił sobie rezerwację na samolot. Nie wątpię, że już to sprawdziliście.

– Jasne. Wyszedł wczoraj ze swojego biura o pierwszej trzydzieści. Napad miał miejsce w garażu jego budynku, gdzieś tak za dziesięć drugą.

– Znaleźli tam coś?

– Jego kluczyki ktoś kopnął pod samochód. Tam nie ma żadnego stróża. Drzwi były zdalnie otwierane, ale że przytrzasnęły już parę samochodów, więc je wymontowali. Nikt nic nie widział. Stara śpiewka, skąd my to znamy? Teraz pracujemy nad jego wózkiem.

– Czy moglibyśmy wam w tym pomóc?

– Dostaniecie wyniki, jak tylko mi je dostarczą. Niewiele powiedziałaś. Graham. Za to w gazecie miałaś dużo do gadania.

– Od pana też nie za wiele usłyszałem.

– Pewnie jest pan niewąsko wnerwiony, co, kapitanie? – zapytał Crawford.

– Ja? A to niby dlaczego? Idziemy tropem tego telefonu do was i poszukujemy kurewskiego pismaka. Ale wy nie wysuwacie przeciwko niemu żadnych zarzutów. Macie z nim jakieś swoje układy i pozwalacie mu się sfajczyć przed redakcją tego jego szmatławca. Więc teraz wszystkie gazety przyznają się do niego, zupełnie jakby był ich. No i mamy nasze własne morderstwo. Szczerbata Lala w Chicago! A to bomba! „Lala w Chicago!” Do północy co najmniej z sześć osób zarobi przypadkową kulkę, i to we własnych domach. Ot, choćby jakiś facet będzie chciał po pijaku przemknąć się chyłkiem do chaty, a żona coś usłyszy i dup! Kto wie, być może Lali spodoba się w Chicago; postanowi tu zostać i zabawić się trochę.

– Mamy dwa wyjścia – rzekł Crawford. – Wziąć się za łby, napuścić na siebie komisarza policji i prokuratora, no i wszystkich naszych dupków, twoich i moich. Albo możemy wziąć się solidnie do roboty i przyskrzytnić skurwysyna.

Ten plan był mój i wszystko szlag trafił, wiem. Wam w Chicago pewnie się to nie zdarza, co? Nie mam zamiaru z panem wojować, kapitanie. Chcemy go tylko nakryć i wrócić spokojnie do domu.

Więc, czego pan chce?

Osborne poprzestawiał kilka przedmiotów na biurku – stojak na pióra, zdjęcia chłopca o lisiej twarzy, ubranego w strój członka orkiestry. W końcu rozsiadł się wygodnie, ściągnął wargi i z sykiem wypuścił powietrze.

– Na razie chcę kawy. Napijcie się?

– Czemu nie? – odrzekł Crawford.

– Chętnie – zawtórował Graham.

Osborne podał im styropianowe kubki i wskazał dwa krzesła.

– Szczerbata Lala musiał skombinować furgonetkę albo jakąś krytą ciężarówkę, skoro tak woził Loundsa w tym fotelu na kółkach – powiedział Graham.

Osborne przytaknął.

– Tablica rejestracyjna, którą widział Lounds, została skradziona z wozu technicznego telewizji w Oak Park. Zabrał numery służbowe, bo potrzebował ich do innej ciężarówki lub furgonetki. A skradzioną tablicę zastąpił inną, także skradzioną, żeby się za szybko nie wydało. Kawał cwaniaka. Jedno wiemy na pewno: zdjął tę tablicę z furgonetki telewizyjnej wczoraj rano, gdzieś po ósmej trzydzięci. Bo z samego rana kierowca kupował benzynę i płacił kartą kredytową. Pracownik tej stacji benzynowej odnotował na kwicie właściwy numer rejestracyjny, a więc tablica została skradziona potem.

– I nikt nie widział żadnej ciężarówki albo furgonetki? – zapytał Crawford.

– Nie. Strażnik z „Tattlera” nie zauważył nic. Jest tak ślepy, że nadawałby się na sędziego w zapasach. Pierwsi zjawili się na miejscu strażacy. Po prostu przyjechali do pożaru. Przesłuchujemy teraz pracowników z nocnej zmiany w sąsiedztwie „Tattlera” i mieszkańców okolic, w których we wtorek rano pracował ten facet od telewizorów. Mamy nadzieję, że ktoś widział, jak gwizdnięto mu tablicę.

– Chciałbym jeszcze raz obejrzeć ten wózek – powiełał Graham.

– Jest w naszym laboratorium. Zadzwoń do nich. – Osborne przerwał nagle. – Lounds był facetem z jajami, trzeba mu to przyznać. Bo w takim stanie zapamiętać numer rejestracyjny, a potem jeszcze jakoś go wymamlać... Słuchał pan tego, co Lounds powiedział w szpitalu?

Graham skinął głową.

– Nie chcę się nad panem znęcać, ale ciekaw jestem, czy obaj zrozumieliśmy tak samo. Co pan słyszał?

– ”Szczerbata Lala. To Graham mnie tak wystawił. Wiedział chuj, co robi! To Graham.

Obejmował mnie chuj na tym zdjęciu jak jakiego kociaka” – Monotonna recytacja. Osborne nie potrafił wyczuć, jak Graham to odbiera. Pytał więc dalej:

– Miał na myśli wasze wspólne zdjęcie w „Tattlerze”?

– Na pewno.

– Skąd wpadł na taki pomysł?

– Ja i Lounds mieliśmy ze sobą na pieńku.

– Ale na zdjęciu wyglądacie na parę przyjaciół. Lala najpierw zabija przyjaciela ofiary, mam rację?

– No właśnie.

Ten kamienny lis jest całkiem bystry, pomyślał Graham.

– Szkoda, że nie daliście mu ochrony. Graham nie odpowiedział.

– Lounds miał być razem z nami, nim jeszcze Lala zobaczy „Tattlera” – wyjaśnił Crawford.

– Czy to, co tam wtedy mówił, daje panu coś do myślenia? Coś, co mogliśmy wykorzystać?

Graham błędził myślami gdzieś daleko i zanim odpowiedział, musiał powtórzyć sobie w myśli pytanie Osborne’a.

– Z tego, co mówił Lounds, wiemy, że Lala musiał przeczytać „Tattlera”, zanim dopadł Loundsa. Zgadza się?

– Zgadza.

– Więc jeśli jako punkt wyjścia przyjmiemy, że to właśnie „Tattler” sprowokował go do działania, czy nie przychodzi panu czasem do głowy, że zorganizował to wszystko w cholernym pośpiechu? Gazeta zeszła z maszyn w poniedziałek w nocy, a we wtorek on już jest w Chicago i kradnie te tablice, prawdopodobnie z samego rana. I dopada Loundsa po południu. Coś wam to mówi?

– Że przejrzał gazetę wyjątkowo wcześnie i nie miał zbyt długiej drogi – odparł Crawford. – Przeczytał ją albo tu w Chicago, albo też gdzie indziej, ale w poniedziałek w nocy Pamiętaj, że przecież czekał na ogłoszenia.

– Albo był tu na miejscu, albo też w odległości, którą mógł przebyć samochodem – ciągnął Graham. – Zbyt szybko dopadł Loundsa, i to z tym wielkim starym wózkiem na kółkach, którego nie mógł przewieźć samolotem. Jego nie da się nawet złożyć. A przecież nie przyleciał tutaj i dopiero po kradzieży furgonetki i tablicy rejestracyjnej zaczął szukać staroświeckiego wózka inwalidzkiego. Musiał zdobyć stary, nowy nie nadawałby się do tego wszystkiego – Graham wstał i zabawiał się

sznurkiem rolety, spoglądając na ceglany mur po drugiej stronie szybu wentylacyjnego. – Albo miał go już wcześniej albo też widział go w wyobraźni.

Osborne chciał wtrącić jakieś pytanie, lecz powstrzymał go wyraz twarzy Crawforda.

Graham wiązał supełki na sznurku rolety. Dłonie trochę mu drżały.

– Widział go w wyobraźni – podsunął Crawford.

– Uhm – mruknął Graham. – Widzicie więc, że... pomysł zrodził się na widok wózka. Na widok i na myśl o nim. Pomysł wziął się stąd, że zaczął kombinować, jak by tu się odegrać na tych draniach. Płonący Freddy, pędzący wózkiem w dół ulicy, to widok nie z tej ziemi.

– Sądysz, że on się temu przyglądał?

– Być może. Ale z pewnością widział to już wcześniej, na etapie planowania.

Osborne obserwował Crawforda. Wiedział, że można na nim polegać. Widocznie wie, co robi, pomyślał i sam też się włączył do rozmowy.

– Jeśli miał ten wózek lub widział go w wyobraźni, to możemy sprawdzić wszystkie domy opieki dla starców i inwalidów wojennych – stwierdził.

– Idealnie nadawał się do unieruchomienia Freddy’ego – mówił dalej Graham.

– I to na dłuższy czas. Lounds zniknął na jakieś piętnaście godzin i dwadzieścia pięć minut – dodał Osborne.

– Gdyby chciał go tylko załatwić, mógł to zrobić w garażu – ciągnął Graham. – Mógł go spalić w samochodzie. Ale on chciał z Freddy’em porozmawiać albo poznać się nad nim.

– Zrobił to albo w furgonetce, albo też gdzieś go wywiózł – rzekł Crawford. – A biorąc pod uwagę upływ czasu sądzę, że raczej go gdzieś zabrał.

– Czyli że musiał mieć jakąś bezpieczną kryjówkę – zauważył Osborne. – Gdyby go odpowiednio opatulił, to w każdym domu opieki społecznej mógłby się kręcić do woli, nie zwracając niczyjej uwagi.

– Ale pewnie narobiłby hałasu – zaproponował Crawford. – I miałby sporo sprzątanina. Przypuśćmy, że miał ten wózek, furgonetkę, a do tego jeszcze bezpieczne miejsce, gdzie mógł zabrać Freddy’ego, żeby nad nim popracować. Czy nie brzmi to dla was jak... dom?

Zadzwonił telefon.

– Że co? – warknął Osborne do słuchawki. – Nie, nie chcę rozmawiać z „Tattlerem”... Tylko nie wciskać mi żadnego kitu. Połącz mnie... Tak, tu kapitan Osborne... O której? Kto pierwszy odebrał telefon... na centrali! To zdejmijcie ją z centrali, jeśli łaska. I proszę mi jeszcze powtórzyć, co

powiedział... Za pięć minut przyślę tam policjanta...

Odłożył słuchawkę i w zamyśleniu wpatrywał się w aparat.

– Sekretarka Loundsa jakieś pięć minut temu odebrała telefon – oznajmił. – Zaklina się, że to był głos Freddy'ego. Powiedział coś, czego nie mogła zrozumieć: „siła Wielkiego Czerwonego Smoka”. A przynajmniej tak jej się zdaje.

Doktor Frederick Chilton stał na korytarzu przed celą Hannibala Lectera, w towarzystwie trzech potężnych sanitariuszy. Jeden z nich trzymał kaftan bezpieczeństwa, drugi natomiast miał pojemnik z gazem obezwładniającym. Trzeci ładował właśnie wiatrówkę nabojem zawierającym środek uspokajający.

Lecter siedział przy stole. Czytał wykresy statystyczne i robił notatki. Usłyszał zbliżające się kroki i szcęk zamka wiatrówki za plecami, ale kontynuował lekturę, nie dając po sobie poznać, że zdaje sobie sprawę z obecności Chiltona.

W południe Chilton przysłał mu gazety, aż do wieczora utrzymując go w niepewności, czy i jaka kara spotka go za pomaganie Smokowi.

– Doktorze Lecter... Lecter odwrócił się.

– Dobry wieczór, doktorze Chilton. – Patrzył tylko na Chiltona, jak gdyby nie dostrzegając obecności strażników.

– Przyszedłem po pańskie książki. Wszystkie książki.

– Rozumiem. Na jak długo chce je pan zatrzymać, jeśli wolno wiedzieć?

– To będzie zależało od pańskiej postawy.

– Czy to pańska decyzja?

– To ja decyduję tutaj o środkach dyscyplinarnych.

– Naturalnie. Will Graham by tego nie zażądał.

– Proszę cofnąć się do kraty i włożyć kaftan, doktorze Lecter. Nie zamierzam pana prosić po raz drugi.

– Oczywiście, doktorze Chilton. Mam nadzieję, że to numer trzydzieści dziewięć. Bo trzydzieści siedem jest za ciasny w klatce piersiowej.

Lecter przywdział kaftan, jak gdyby wkładał smoking. Sanitariusz sięgnął między kratami i związał mu rękawy z tyłu.

– Pomóżcie mu przejść do łóżka – polecił Chilton.

Kiedy sanitariusze ogołacali półki, przetaił okulary i począł grzebać wiecznym piórem w osobistych papierach Lectera.

Lecter przyglądał mu się z zaciemnionego kąta celi. Nawet w kaftanie bezpieczeństwa roztaczał

wokół siebie jakiś przedziwny wdzięk.

– Pod żółtą teczką – stwierdził spokojnie – znajdzie pan list z „Archives”, w którym odrzucają pańską publikację– Przez pomyłkę dostarczono mi go razem z moją pocztą z „Archives” i niestety otworzyłem go nie patrząc na kopertę. Przepraszam.

Chilton zaczerwienił się i zwrócił do sanitariusza:

– Lepiej niech pan też zdejmie sedes z ustępu doktora Lectera.

Spojrzał na formularz statystyczny. U góry Lecter zapisał swój wiek: czterdzieści jeden lat.

– I co pan w tym pragnie zawrzeć? – spytał Chilton.

– Czas – odparł Lecter.

Brian Zeller zaniósł teczkę kuriera i kółka od wózka inwalidzkiego do sekcji analizy instrumentalnej. Pędził tak szybko, że kanty jego gabardynowych spodni ze świstem przecinały powietrze.

Personel, który musiał pozostać dłużej, mimo iż dzienna zmiana dobiegała już końca, dobrze znał ów odgłos: Zeller się spieszy.

Zwłoka trwała zbyt długo. Znużony kurier, którego lot do Chicago najpierw opóźniono ze względu na pogodę, a potem przeniesiono do Filadelfii, wynajął samochód i w ten sposób dotarł do laboratorium FBI w Waszyngtonie.

Laboratorium policyjne w Chicago jest dość dobrze wyposażone, niemniej pewnych ekspertyz nie może się podjąć. Zeller miał je właśnie teraz przeprowadzić.

Wrzucił do spektrometru odpryski farby z drzwiczek samochodu Loundsa.

Beverly Katz z Włókien i Włosów otrzymała natomiast kółka, by zająć się nimi wraz z resztą pracowników tej sekcji.

Ostatnim etapem wędrówki Zellera był mały duszny pokoik, gdzie Liza Lake pochylała się nad swym chromatografem gazowym. Badała próbki popiołu związane z przypadkiem podpalenia na Florydzie, śledząc uważnie pisak kreślący zygzakowatą linię na przesuwającej się taśmie.

– Płyn do zapalniczek firmy Ace – stwierdziła. – Tym to podpalono. – Miała już do czynienia z tak wieloma próbkami, że potrafiła je rozróżniać nawet nie sięgając do rejestru.

Zeller odwrócił od niej wzrok i zganił się w duchu surowo za to iż szuka w pracy miłych doznań i podnieć. Odkasznął i uniósł w górę dwie błyszczące puszki po farbie.

– Chicago? – zapytała.

Przytaknął.

Sprawdziła stan ogólny puszek i szczelność denek. Jedna z nich zawierała spopielone szczątki wózka inwalidzkiego, druga zaś – zwęgloną odzież Loundsa.

– Jak długo to było w puszkach?

– Co najmniej od sześciu godzin.

– Pobiorę próbkę gazów.

Przekłuła wieko igłą mocnej strzykawki, nabrała nieco powietrza znajdującego się w puszcze z popiołem i wstrzyknęła je bezpośrednio do chromatografu. Wyregulowała aparat. Kiedy próbka przesuwała się wzdłuż stu pięćdziesięciometrowej kolumny, pisak kreślił zygzaki na szerokiej papierowej taśmie.

– Ołowiu brak... – stwierdziła. – To benzyna bezołowiowa. Niewiele tu z tego widać. – Przekartkowała szybko rejestr złożony z luźnych kartek z wykresami próbek. – Nie mogę ci jeszcze podać konkretnej marki. Pozwól, że zrobię próbę z pentanem, i dopiero wtedy dam ci znać.

– Dobra – powiedział Zeller. Pentan rozpuści co trzeba w popiołach, później oddzieli się w pierwszej frakcji i pozostawi do analizy tylko oczyszczone płyny.

O pierwszej po południu Zeller miał już wszystko.

Lizie Lake udało się określić markę benzyny. Freddy Lounds został podpalony przy użyciu gatunku „Servco Supreme”.

Cierpliwe omiatanie pędzelkami bieżników opon wózka dostarczyło dwóch rodzajów włókien z dywanów: wełnianych i syntetycznych. Pleśń na błocie w rowkach bieżników wskazywała, iż wózek przechowywano w ciemnym i chłodnym miejscu.

Pozostałe wyniki były mniej zadowalające. Odpryski nie pochodziły z oryginalnego lakieru fabrycznego. Wrzucone do spektrometru i porównane z próbkami wykresów krajowych farb samochodowych, okazały się wysokiej jakości lakierem firmy „Duco”, którego w pierwszym kwartale 1978 roku wyprodukowano aż 186000 galonów i rozprowadzono do kilku sieci sklepów sprzedających farby samochodowe.

Zeller miał nadzieję, iż uda się określić markę pojazdu i przybliżoną datę jego produkcji.

Przesłał wyniki do Chicago teleksem.

Policja w Chicago domagała się zwrotu kół. Dla kuriera był to koszmarny bagaż. Zeller włożył mu jeszcze do worka pisemne wyniki badań laboratoryjnych oraz inne przesyłki i paczkę, która nadeszła na nazwisko Grahama.

– Nie jestem Ekspresem Federalnym – mruknął kurier, gdy był już pewien, że Zeller go nie

usłyszysz.

Departament Sprawiedliwości dysponuje kilkoma małymi mieszkaniami w pobliżu Siódmego Sądu Okręgowego w Chicago, przeznaczonymi dla pracowników i szczególnie ważnych świadków podczas trwania sesji. Graham zatrzymał się w jednym z nich. Po drugiej stronie korytarza zamieszkał Crawford.

Graham przyjechał o dziewiątej wieczorem, zmęczony i przemoczony. Nie miał nic w ustach od śniadania w samolocie z Waszyngtonu, lecz sama myśl o jedzeniu budziła w nim odrazę.

Deszczowa środa dobiegła wreszcie końca. Nie pamiętał równie paskudnego dnia.

Po śmierci Loundsa awansował prawdopodobnie na następną ofiarę, toteż Chester przez cały dzień nie spuszczał go z oka. Zarówno podczas ulewy, na okopconym chodniku, gdzie spłonął Lounds, jak i w jego garażu. Oślepiiony błyskami fleszy powiedział reporterom, iż oto „opłakuje bolesną stratę swego przyjaciela, Fredericka Loundsa”.

Wybierał się również na pogrzeb. Podobnie jak liczni agenci federalni i policjanci, którzy liczyli, że zabójca zjawi się, by popatrzeć, jak Graham opłakuje Loundsa.

W istocie nie czuł nic prócz lodowatych mdłości, a od czasu do czasu również fali chorobliwej satysfakcji, że to nie on zginął w płomieniach.

Miał wrażenie, że w ciągu czterdziestu lat niczego się nie nauczył. Po prostu tylko się zmęczył.

Przyrządził sobie duże martini i popijał je, rozbierając się. Wziął prysznic i z następnym drinkiem obejrzał wiadomości.

(„Pułapka zastawiona przez FBI na Szczerbatą Lalę zawiodła i zasłużony reporter poniósł śmierć. Szczegóły w Relacjach Naocznych Świadków”).

Przed końcem dziennika mówiono jeszcze o „Smoku”. A więc „Tattler” wychłapał wszystko sieciom telewizyjnym. Graham nie zdziwił się. Czwartkowe wydanie powinno się rozejść bez zwrotów.

Przyrządził sobie trzecie martini i zadzwonił do Molly.

Oglądała wiadomości o szóstej i jedenastej, i czytała „Tattlera”. Wiedziała, że Graham służy za przynętę.

– Powinieneś mi o tym powiedzieć, Will.

– Może. Ale nie sądzę.

– Myślisz, że on spróbuje cię teraz zabić?

– Prędzej czy później. Teraz byłoby mu ciężko, bo przerzucam się z miejsca na miejsce. Cały

czas mam obstawę, Molly, i on o tym wie. Nic mi nie będzie.

– Trochę ci się płacze język. Czyżbyś odbył spotkanie ze swym przyjacielem z lodówki?

– Chlapnąłem sobie trochę.

– A jak się czujesz?

– Dość podle.

– W dzienniku mówili, że FBI nie zapewniło dziennikarzowi żadnej ochrony.

– Miał być z Crawfordem, zanim jeszcze Lala dostanie gazetę.

W telewizji nazywają go teraz Smokiem. On sam tak siebie nazywa.

– Will, muszę ci o czymś powiedzieć. Chcę zabrać Willy'ego i wyjechać.

– Dokąd?

– Do jego dziadków. Nie widzieli go od dość dawna i chętnie by go zobaczyli.

– Hm, taak...

Rodzice ojca Willy'ego mieli rancho na wybrzeżu Oregonu.

– Tu jest koszmarnie. Wiem, że podobno tu jesteśmy bezpieczni, ale całe noce nie śpimy. Może to przez te lekcje strzelania? Sama nie wiem.

– Przykro mi, Molly. Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro.

– Będzie mi ciebie brakowało. Nam obojgu.

A więc już się zdecydowała.

– Kiedy wyjeżdżasz?

– Rano.

– A co ze sklepem?

– Evelyn chce go przejąć. Załatwię jej kupno jesiennych rzeczy u hurtowników, tylko za sam procent, a ona zatrzyma sobie zarobek.

– A psy?

– Poprosiłam ją, żeby wezwała rakarza, Will. Przykro mi, ale może ktoś weźmie kilka z nich.

– Molly, ja...

– Gdybym siedząc tu mogła zapobiec najgorszemu, to bym nie wyjechała. Ale moja obecność tutaj w niczym ci nie pomoże, wręcz przeciwnie. Mając nas z głowy, będziesz mógł się zatroszczyć o siebie. Nie zamierzam dźwigać tego cholernego pistoletu do końca życia, Will.

– Może uda ci się pojechać do Oakland i pogapić się na marynarzy.

Nie zamierzał tego mówić. O Boże, czemu ona milczy tak długo?

– Jeszcze do ciebie zadzwonię – powiedziała w końcu. – Albo to raczej ty będziesz musiał tam do mnie zadzwonić.

Graham czuł, że coś się rozpada na strzępy. Zabrakło mu tchu.

– Pozwól, niech biuro się wszystkim zajmie. Zarezerwowałaś już bilety?

– Nie podałam prawdziwego nazwiska. Myślałam, że może gazety...

– Dobrze. Bardzo dobrze. Załatwię, żeby ktoś cię odprowadził. Nie będziesz musiała wchodzić przejściem dla pasażerów i znikniesz z Waszyngtonu bez śladu. Pozwolisz, że się tym zajmę? Nie odmawiaj. O której odlatuje samolot?

– O dziewiątej czterdzieści. Linie American, rejs sto osiemnaście.

– W porządku. Więc o wpół do dziewiątej, na tyłach instytutu Smithsonian. Jest tam taki parking. Zostaw tam samochód. Ktoś wyjdzie ci na spotkanie. Będzie słuchał tykania zegarka; wysiadając z wozu, przystawi go sobie do ucha. Dobrze?

– Doskonale.

– Słuchaj, czy przesiadasz się na lotnisku O'Hare? Mógłbym przyjechać...

– Nie. Przesiadam się w Minneapolis.

– Och, Molly. A może mógłbym tam przyjechać po ciebie, jak już będzie po wszystkim?

– Byłoby mi bardzo miło. Bardzo miło.

– Masz pieniądze?

– Bank wysłał mi telegraficznie.

– Że co?

– Do „Barclay's”, na lotnisku. Nie martw się.

– Będzie mi ciebie brakowało.

– Mnie też, czyli dokładnie tak samo, jak teraz. Przez telefon odległość jest ta sama. Masz pozdrowienia od Willy’ego.

– Ucałuj go ode mnie.

– Uważaj na siebie, kochanie.

Nigdy dotąd nie zwracała się do niego „kochanie”. Nie zależało mu na tym. Miał gdzieś wszelkie nowe słówka typu „kochanie” czy „Czerwony Smok”.

Oficer dyżurny z nocnej zmiany w Waszyngtonie chętnie załatwił Molly wszystko, co trzeba.

Graham przycisnął twarz do chłodnej szyby i patrzył, jak strugi deszczu chłuszczą słabnący ruch na szarej ulicy, rozświetlanej co chwila błyskawicami. Jego twarz pozostawiła na szkle odcisk czoła, nosa, podbródka i warg.

Molly wyjechała.

Dzień minął; przed sobą miał tylko noc... i oskarżycielski głos płynący z pozbawionych warg ust.

Kobieta Loundsa do samego końca trzymała szczątki jego zwęglonych palców.

Hallo, tu Valerie Leeds. Przykro mi, ale nie mogę teraz podejść do telefonu...

– Mnie też bardzo przykro – powiedział Graham.

Znów napełnił szklaneczkę i usiadł przy stoliku pod oknem, wpatrując się w puste krzesło naprzeciwko. Wpatrywał się z takim uporem, że w końcu przestrzeń nad krzesłem przybrała ludzki kształt wypełniony ciemnymi, wirującymi pyłkami, niczym cień zawieszony w tumanach kurzu. Próbował scalić jakoś ten obraz, dostrzec twarz. Lecz zjawia ani drgnęła; pozbawiona oblicza, przyglądała mu się z wręcz namacalnym skupieniem.

– Wiem, że to trudne – powiedział. Był już mocno pijany. – Musisz spróbować przestać; po prostu wstrzymaj się, dopóki cię nie znajdziemy. A jak już koniecznie musisz coś zrobić, to weź się, kurwa, za mnie. Gównu mnie to obchodzi. Potem będzie lepiej. Teraz już mają rozmaite rzeczy, które pomogą ci przestać. Żebyś już tak bardzo nie chciał. Pomóż mi. Pomóż mi trochę. Molly wyjechała, stary Freddy nie żyje. Zostaliśmy tylko ty i ja, kolego.

Pochylił się nad stolikiem, wyciągnął rękę przed siebie i wówczas zjawia zniknęła.

Opuścił głowę na blat stołu, wspierając policzek na ramieniu. W świetle błyskawic widział na szybie odcisk swojego czoła, nosa, ust i brody. Twarz, po której spływały krople deszczu. Twarz bez oczu. Twarz pełną deszczu.

Usilnie próbował zrozumieć Smoka.

Czasami, oddychając ciszą domów ofiar, miał wrażenie, że pomieszczenia, w których przebywał Smok, zechcą do niego przemówić.

Niekiedy czuł pewne pokrewieństwo ze Smokiem. Ostatnio nie mógł się pozbyć uczucia, które pamiętał z innych dochodzeń: sarkastycznego przeświadczenia, że oto i on, Smok o tej samej porze robią te same rzeczy, że ich rozkład dnia jest podobny. że Smok jada, kąpie się i sypia w tych samych godzinach, co on.

Graham usilnie próbował go poznać. Ale nie poprzez slajdy, fiolki i raporty policyjne; starał się dostrzec jego twarz między wierszami. Starał się, jak tylko mógł.

Lecz aby zacząć rozumieć Smoka, móc usłyszeć odgłos lodowatych kropeł kapiących wśród jego mroków, patrzeć na świat przez obłoki jego czerwonej mgły, Graham musiałby najpierw dostrzec rzeczy, których nigdy nie mógł zobaczyć; musiałby wędrować w czasie.

Springfield, Montana, 14 czerwca 1938.

Marian Dolarhyde Trevane, zmęczona i obolała, wysiadła z taksówki przed Szpitalem Miejskim. Kiedy wchodziła po schodach, gorący wiatr smagał piaskiem jej kostki nóg. Walizka, którą wlokła za sobą, prezentowała się lepiej niż jej luźna, fartuchowata sukienka, podobnie jak siatkowa wieczorowa torebka, którą przyciskała do nabrzmiałego brzucha. W torebce miała dwie ćwierćdolarówki i jedną dziesięciocentówkę. W brzuchu dźwigała Francisa Dolarhyde'a.

W izbie przyjęć skłamała, że nazywa się Betty Johnson. Oświadczyła, że mąż jest muzykiem, ale że nie zna miejsca jego pobytu, co zresztą było prawdą.

Ulokowano ją w części charytatywnej oddziału położniczego. Nie przyglądała się leżącym po bokach pacjentkom. Patrzyła wprost przed siebie, na podeszwy stóp po drugiej stronie przejścia.

Po czterech godzinach zabrano ją na salę porodową, gdzie urodziła Francisa Dolarhyde'a. Położna zauważyła, że przypominał on „bardziej liściastonosęgo nietoperza niż dziecko”, co także odpowiadało prawdzie. Przyszedł bowiem na świat z obustronnymi rozszczepieniami górnej wargi oraz podniebienia. Środkowa część ust sterczała mu dziwnie do przodu, a nos miał spłaszczony.

Przedstawiciele władz szpitalnych postanowili nie pokazywać go matce od razu. Czekali, by się przekonać, czy dziecko zdoła przeżyć bez podawania tlenu. Umieścili je na sali noworodków, w łóżeczku na tyłach, i odwrócili twarzą od okna, przez które można było obserwować dzieci. Malec był w stanie sam oddychać, za to nie mógł jeść. Z rozszczepionym podniebieniem nie potrafił ssać.

Pierwszego dnia jego płacz nie rozbrzmiewał jeszcze tak często, jak wrzask dziecka narkomanki, ale był równie przenikliwy.

Następnego dnia po południu kwilił już tylko żałośnie.

Kiedy o trzeciej przyszła druga zmiana, na jego łóżeczko padł szeroki cień. Prince Easter Mize, ważąca równe sto trzydzieści kilogramów sprzątaczką i pomocnicą na oddziale położniczym, przystanęła i skrzyżowała ręce na piersi, przyglądała mu się uważnie. W ciągu dwudziestu sześciu lat pracy widziała około trzydziestu dziewięciu tysięcy niemowląt. To powinno przeżyć, jeżeli zacznie jeść.

Prince Easter nie otrzymała od Pana instrukcji, że ma pozwolić temu niemowlęciu umrzeć. Podejrzewała, że szpital też nie. Wyjęła więc z kieszeni gumowy korek przekłuty zakrzywioną szklaną rurką do picia i wepchnęła go do butelki z mlekiem. Uniosła niemowlę i podtrzymała mu główkę olbrzymią dłonią. Przysunęła je sobie do piersi, a gdy stwierdziła, że poczuł bicie jej serca, przechyliła dłoń i wepchnęła mu rurkę do gardła. Przełknął około trzydziestu mililitrów i zasnął.

– No proszę! – mruknęła. Położyła noworodka w łóżeczku i wróciła do swoich właściwych obowiązków, to znaczy do wynoszenia pieluch.

Czwartego dnia pielęgniarki przeniosły Marian Dolarhyde Trevane do separatki. Na umywalce w emaliowanym dzbanku stały tam jeszcze malwy pozostawione przez poprzednią pacjentkę.

Marian była przystojną dziewczyną i opuchlizna zaczęła już znikać jej z twarzy. Spojrzała na lekarza, który mówił coś do niej trzymając jej dłoń na ramieniu. Czowała silną woń mydła bijącą z jego ręki i rozmyślała o zmarszczkach w kącikach jego oczu, dopóki nie zdała sobie sprawy z tego, co mówi. I wówczas zamknęła oczy i nie otworzyła ich nawet wówczas, gdy przyniesiono dziecko.

W końcu spojrzała. Kiedy podniosła wrzask, zamknięto drzwi. A potem dano jej zastrzyk.

Opuściła szpital piątego dnia. Nie wiedziała, dokąd pójść. Nie mogła wrócić do domu, jej matka jasno postawiła sprawę.

Marian Dolarhyde Trevane mierzyła krokami odległość między słupami elektrycznymi. Co trzy słupy siadała na walizce, by odpocząć. Miała przynajmniej walizkę. W każdym mieście w pobliżu dworca autobusowego znajduje się zwykle lombard. Dowiedziała się tego podróżując z mężem.

Springfield w 1938 roku nie było centrum chirurgii plastycznej. W Springfield każdy paradował z taką twarzą, z jaką przyszedł na świat.

Chirurg w Szpitalu Miejskim zrobił dla Francisca Dolarhyde co mógł, najpierw cofając przednią część ust za pomocą elastycznej opaski, a następnie zamykając rozszczepienia w wardze techniką prostokątnej nakrywki, która obecnie uchodzi już za przestarzałą. Te kosmetyczne zabiegi nie przyniosły szczególnych rezultatów.

Chirurg zadał sobie trud przestudiowania literatury fachowej i podjął słuszną decyzję, że podniebienie niemowlęcia winno jeszcze poczekać, dopóki malec nie skończy pięciu lat. Wcześniejsza operacja zakłóciłaby rozrost twarzy.

Miejscowy dentysta zaoferował się, że wykona protezę, która zatka podniebienie dziecka i pozwoli mu się odżywiać bez zalewania nosa.

Francis trafił na półtora roku do miejskiego sierocińca, a następnie do domu dziecka imienia Morgane Lee.

Domem dziecka kierował wielebny S. B. Lomax, zwany „Kumplem”. Brat Kumpel zwołał wszystkich innych chłopców i dziewczęta i powiedział im, że wprawdzie Francis ma zajęczą wargę, ale żeby w żadnym wypadku nie nazywali go Zajęczą Wargą. Zaproponował też, żeby się za niego modlili.

Z biegiem lat po narodzinach Francisca jego matka nauczyła się troszczyć o siebie.

Najpierw znalazła pracę maszynistki w biurze szefa okręgu Partii Demokratycznej w St. Louis. Dzięki jego pomocy uzyskała też unieważnienie małżeństwa z nieobecnym panem Trevane.

W trakcie postępowania sądowego nie wspomniano o dziecku.

Nie utrzymywała żadnych kontaktów z matką. („Nie po to cię wychowałam, żebyś się lajdaczyła, i to dla tego irlandzkiego gnojka” – brzmiały pożegnalne słowa pani Dolarhyde, gdy Marian z mężem opuszczała dom).

Były małżonek zadzwonił do niej do biura. Trzeźwy i pobożny, oświadczył, że odkrył właściwą drogę i chciał się dowiedzieć, czy on, Marian i dziecko, „którego nigdy nie miał szczęścia poznać”, mogliby wspólnie rozpocząć nowe życie. Wyglądało na to, że jest bez grosza przy duszy.

Marian odparła, że dziecko urodziło się martwe, i odłożyła słuchawkę.

Zjawił się więc pijany, z walizką, w jej pensjonacie.

Kiedy go przegnała, stwierdził, że ich małżeństwo rozpadło się z jej winy i że to ona winna jest śmierci dziecka. Wyraził także wątpliwość, czy na pewno on był ojcem.

Rozwścieczona Marian opowiedziała wówczas Michaelowi Trevane, co takiego spłodził, i oświadczyła mu, że może z tym swoim potomstwem zrobić, co zechce. Przypomniała również, że w rodzinie Trevane'ów były już dwa przypadki rozszczepionego podniebienia.

Wyrzuciła go na ulicę i zakazała jakichkolwiek telefonów. Nie dzwonił. Ale wiele lat później, pijany i rozgoryczony nowym, bogatym mężem Marian oraz jej powodzeniem w życiu, odezwał się do byłej teściowej.

Poinformował panią Dolarhyde o kalekim dziecku i stwierdził, że nawet jej zęby dowodzą, iż genetyczną winę ponosi tu rodzina Dolarhyde'ów. Tydzień później koła tramwaju w Kansas City przecięły go na pół. Kiedy Trevane doniósł pani Dolarhyde, iż Marian ukrywa swego syna, stara dama spędziła większość nocy bezsennie. Wysoka i chuda babka Dolarhyde siedziała w fotelu na biegunach, z uporem wpatrując się w ogień. Tuż przed samym świtem zaczęła się z lekka kołysać, powoli i rozmyślnie. Gdzieś na piętrze dużego domu ktoś wyrwany ze snu krzyknął piskliwym głosem. Strop nad babką Dolarhyde zaskrzypiał, gdy ktoś, powłócząc nogami, ruszył w kierunku ustępu.

Ciężkie grzmotnięcie w sufit – ktoś pewnie upadł – i znów piskliwy głos, tym razem wrzeszczący z bólu.

Babka Dolarhyde ani na moment nie oderwała wzroku od ognia. Bujała się coraz szybciej. Wreszcie po jakimś czasie głos na piętrze ucichł zupełnie.

Pod koniec piątego roku życia Francis Dolarhyde po raz pierwszy i ostatni miał gościa w sierocińcu.

Siedział właśnie w dusznej jadalni, kiedy przyszedł starszy chłopiec, by zaprowadzić go do gabinetu Brata Kumpla.

Pani, która tam na niego czekała, była wysoką kobietą w średnim wieku, obficie upudrowaną i z włosami splecionymi w ciasny kok. Jej twarz była zupełnie biała. Siwe włosy, białka oczu i zęby miały nieco żółtawy odcień.

Francisa uderzyło coś, co zapamiętał na całe życie – na widok jego twarzy kobieta uśmiechnęła się radośnie. Coś takiego nie zdarzyło mu się ani przedtem, ani potem.

– To twoja babka – oświadczył Brat Kumpel.

– Cześć – powiedziała kobieta.

Brat Kumpel otarł usta smukłą dłonią.

– Odpowiedz babci! Śmiało!

Francis nauczył się wymawiać pewne słowa zatykając sobie nos górną wargą, ale nie miał zbyt wiele okazji, by mówić „cześć”. „Eść” to wszystko, co zdołał z siebie wydusić.

Babka była z niego jeszcze bardziej zadowolona.

– Czy potrafisz mówić „babcia”?

– Spróbuj powiedzieć „babcia” – polecił Brat Kumpel. Głoska „b” okazała się straszliwą przeszkodą. Francis nader często dławił się własnymi łzami. Czerwona osa brzęcząc uderzała o sufit.

– Nieważne – powiedziała babka. – Ale założę się, że potrafisz się przedstawić. Wiem, że taki duży chłopak jak ty na pewno potrafi powiedzieć, jak ma na imię. No, powiedz.

Twarz dziecka rozjaśniała się. Starsi chłopcy pomagali mu w nauce imienia. Chciał sprawić kobiecie przyjemność. Zebrał wszystkie siły.

– Cipogęba – powiedział.

Trzy dni później babka Dolarhyde przyjechała do sierocińca i zabrała Francisa do domu. Od razu też zaczęła mu pomagać w nauce wymowy. Skupili się na jednym słowie: „matka”.

Dwa lata po unieważnieniu małżeństwa Marian Dolarhyde poznała i poślubiła Howarda Vogta, wziętego prawnika mającego rozliczne powiązania z aparatem partyjnym w St. Louis i z tym, co pozostało z organizacji starego Pendergasta w Kansas City.

Vogt był wdowcem z trojgiem małych dzieci, uprzejmym i ambitnym mężczyzną o piętnaście lat starszym od Marian. Nie miał żadnych wrogów z wyjątkiem „St. Louis Post-Dispatch”, która osmałiła mu nieco piórka podczas skandalu z rejestracją wyborców w roku 1936, a w roku 1940 udaremniła machinie partyjnej z St. Louis próbę przejścia fotela gubernatorskiego.

Przed rokiem 1943 gwiazda Vogta znów jakby poczęła wschodzić. Został miejscowym kandydatem do legislatury stanowej i mówiło się o nim jako o prawdopodobnym delegacie na zbliżającą się stanową konwencję konstytucyjną.

Marian była gospodarną i atrakcyjną panią domu, a Vogt zakupił właśnie ładną drewniano-

murowaną willę przy Olive Street. Budynek ten znakomicie nadawał się do przyjmowania gości.

Francis Dolarhyde, zanim go tam zaprowadzono, mieszkał u swojej babki zaledwie tydzień.

Babka nigdy dotąd nie odwiedzała willi swojej córki. Pokojówka, która im otworzyła, w ogóle jej nie знаła.

– Jestem panią Dolarhyde – oświadczyła babka przepychając się obok służącej. Z tyłu, spod sukni, wystawało jej co najmniej dziesięć centymetrów halki. Wprowadziła Francisca do dużej bawialni z przyjemnym kominkiem.

– Kto przyszedł, Violu? – dobiegł ich kobiecy głos z góry.

Babka chwyciła Francisca pod brodę. Poczł zapach jej chłodnej, skórzanej rękawiczki i usłyszał nagłacy szept:

– Idź, zobacz się ze swoją matką, Francis. Idź, zobacz matkę! No, leć!

Cofnął się i skurczył pod wpływem jej wzroku.

– No dalej! Pędź do matki!

Ujęła go za ramiona i poprowadziła ku schodom. Wbiegł truchtem na półpiętro i obejrzał się za nią. Ruchem brody kazała mu iść dalej.

W górę, ku obcemu korytarzowi i otwartym drzwiom sypialni.

Jego matka siedziała przy toalecie, sprawdzając starannie makijaż w podświetlanym lustrze. Szykowała się na jakiś polityczny mityng i zbyt duża ilość różu na policzkach mogłaby się okazać nie na miejscu.

Siedziała plecami do drzwi.

– Mahko! – zapiszczał Francis, tak jak go nauczono. Ze wszystkich sił starał się, żeby wypadło to jak najlepiej. – Mahko.

Ujrzała jego odbicie w lustrze.

– Jeżeli szukasz Neda, to jeszcze nie wrócił z... Mahko! – Wszedł w krąg bezlitosnego światła.

Marian usłyszała z dołu głos swojej matki, która domagała się herbaty. Zastygła w bezruchu, z szeroko otwartymi oczami. Nie odwróciła się. Zgasiła światło przy toalecie i jej twarz zniknęła nagle z lustra. Siedząc w ciemnościach, wydała niski, żalony jęk, który przerodził się w szloch. Może z żalu nad sobą, a możliwe, że nad nim.

Po tej historii babka zaczęła zabierać Francisca na wszystkie mityngi polityczne, wyjaśniając zebranym, kim jest ten chłopak i skąd przybywa. Kazała mu się witać ze wszystkimi. Ale teraz już nie

ćwiczyła z nim w domu wymowy „cześć”.

Pan Vogt przegrał wybory. Zabrakło mu tysiąca ośmiuset głosów.

Nowy świat Francisca Dolarhyde'a, zawarty w domu babki, składał się z lasu nóg oplecionych niebieskawymi żyłakami.

Kiedy z nią zamieszkał, babka już od trzech lat prowadziła swój mały dom starców. Od śmierci męża w 1936 roku miała kłopoty finansowe – wychowana na damę, nie posiadała żadnych umiejętności, których efekty można by spieniężyć.

Pozostał jej tylko ów duży dom i długi zmarłego męża. Wynajmowanie pokoi nie wchodziło w rachubę – na takim odludziu pensjonat nie cieszyłby się wzięciem. Groziła jej eksmisja.

Ślub Marian z zamożnym Howardem Vogtem, o czym przeczytała w gazecie, wydał się babce Dolarhyde prawdziwym zrzędzeniem opatrności. Kilkakrotnie pisała do Marian z prośbą o pomoc, lecz nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Kiedy zaś telefonowała, służąca odpowiadała jej, że pani Vogt właśnie wyszła.

W końcu rozgoryczona babka podpisała umowę z władzami okręgu i zaczęła przyjmować do siebie starszych, ubogich ludzi. Za każdego z nich otrzymywała od władz pewną sumę, a oprócz tego nieregularne wpłaty od tych krewnych, których administracji okręgu udało się zlokalizować. Było jej ciężko, dopóki nie przyjęła kilku prywatnych pensjonariuszy z rodzin przynależnych do klasy średniej.

Przez cały ten czas nie otrzymywała żadnej pomocy od Marian – choć córka mogła jej pomóc.

Tak więc Francis Dolarhyde bawił się na podłodze w gąszczu nóg. Zamiast samochodzików miał kostki od madżonga babki, które przesuwiał wśród stóp wykoślawionych niczym sękatę korzenie. Pani Dolarhyde zdołała upilnować swych pensjonariuszy, aby chodzili w czystych, przyzwoitych szlafrokach, ale straciła nadzieję, że uda ich się zmusić do noszenia butów.

Starcy przez cały dzień siedzieli w bawialni, słuchając radia. Pani Dolarhyde wstawiła im także małe akwarium, by mieli na co patrzeć, a któryś z prywatnych sponsorów sfinansował pokrycie parkietów linoleum, co zabezpieczało podłogę przed jakże częstymi wypadkami mimowolnego oddawania moczu.

Siedzieli obok siebie na kanapach i wózkach, słuchając radia i wpatrując się wyblakłymi oczami w ryby, w przestrzeń lub w coś, co widzieli dawno, dawno temu.

Francisowi na zawsze utkwilo w pamięci szuranie bosych stóp na linoleum w upalny i rozbzykany muchami dzień, a także dolatująca z kuchni woń duszonych pomidorów z kapustą, zapach starczych ciał przypominający odór wysuszonych na słońcu opakowań od mięsa i nieustanny dźwięk radia.

Rinso bieli, Rinso pierze,

Wnet przywraca barwy świeże.

Francis starał się spędzać jak najwięcej czasu w kuchni, ponieważ właśnie tam znalazł sobie przyjaciółkę. Kucharka, Królowa Matka Bailey, od dziecka służyła rodzinie świętej pamięci pana Dolarhyde'a. Czasami przynosiła Francisowi śliwkę ukrytą w kieszeni fartucha i nazywała go „Małym, rozmarzonym oposem”. W kuchni było ciepło i bezpiecznie. Ale pod wieczór Królowa Matka Bailey wracała do domu...

Grudzień 1943 roku: pięcioletni Francis Dolarhyde leżał w łóżku w swoim pokoju na piętrze domu babki. Było ciemno, choć oko wykol, bo obowiązywało zaciemnienie na wypadek nalotu Japończyków. Nie potrafił powiedzieć „Japończyk”. Chciał siku. Ale bał się wstać po ciemku.

Zawołał babkę śpiącą w pokoju na dole.

– Acia! Acia! – pobekiwał jak młode kozłátko. Wołał tak, dopóki się nie zmęczył. – Plosę, acia!

No i stało się: najpierw ciepło na nogach i pod siedzeniem, a potem dla odmiany chłód, gdy nocna koszula zaczęła mu się lepić do ciała. Nie wiedział, co robić. Zacerpnął haust powietrza i obrócił się na bok, twarzą w stronę drzwi. Nic mu się nie stało. Postawił więc jedną stopę na podłodze. Wstał po ciemku, z nocną koszulą oblepiającą mu nogi i płonąącą twarzą. Pobiegł ku drzwiom. Uderzył czołem w klamkę, tuż nad okiem i siadł na podłodze w mokrej koszuli, lecz zaraz zerwał się i szybko zbiegł po schodach; jego wilgotne palce zapiszczały na poręczach. Wpadł do babki. Po ciemku wśliznął się do niej pod kołdrę, czując ciepły dotyk jej ciała.

Babka poruszyła się, zeszywniała na moment, a jej plecy, do których przylgnął policzkiem, też jakby zeszywniały. Zasyczała gniewnie: „Nigdy jeszcze nie widziałam...” – tu stukot o blat nocnego stolika, gdzie odnalazła wreszcie swoją sztuczną szczękę, a później jakby mlaśnięcie, kiedy wkładała ją do ust.

– Nigdy jeszcze nie widziałam równie obrzydliwego i brudnego bachora. No już, wynoś się z tego łóżka!

Zapaliła nocną lampkę. Francis stał drżąc na dywanie. Przesunęła kciukiem po jego brwi. Zabarwił się krwią.

– Stukłeś coś?

Potrząsnął głową tak gwałtownie, że kropelki krwi bryznęły na koszulę babki.

– Na górę. No już!

Na schodach osaczyła go ciemność. Nie mógł zapalić światła, bo babka skróciła sznurki wyłączników tak, że tylko ona mogła ich dosięgnąć. Nie chciał wracać do mokrego łóżka. Przez dłuższy czas stał po ciemku, trzymając się zagłówka. Myślał, że ona nie przyjdzie. Wszystkie mroczne zakamarki pokoju sądziły, że nie przyjdzie.

Przyszła jednak i pociągnęła za krótki sznurek u wiszącej pod sufitem lampy. Przyniosła naręczce prześcieradeł. Zmieniając pościel, nie odezwała się ani słowem.

Potem chwyciła go za ramię i zawlokła do łazienki. Lampa była nad lustrem, więc żeby jej dosięgnąć, musiała stanąć na palcach. Podała mu mokrą i zimną ścierkę.

– Ściągnij koszulę i wytrzyj się dokładnie.

Woń przylepca i szczęk błyszczących krawieckich nożyc. Odcięła skrawek plastra, stawiając resztę na klapie sedesu, i zalepiła mu ranę nad okiem.

– A teraz... – Wsunęła nożyczki pod jego wydatny brzuch; poczuł chłodny dotyk stali. – Patrz – powiedziała.

Ujęła go za potylicę i pochyliła mu głowę tak, by ujrzał swe małe prącie leżące w poprzek dolnego ostrza rozwartych nożyc. Zwarła nożyczki, aż poczuł lekki, szczypiący ucisk.

– Chcesz, żebym ci go ucięła?

Próbował spojrzeć w górę, w jej twarz, lecz ona mocno trzymała go za głowę. Zaszlochał, a ślina ściekła mu na brzuch.

– Chcesz?

– Nie, aciu! Nie, aciu!

– Daję ci słowo honoru, że jeśli jeszcze raz napaskudzisz w łóżko, to ci go odetnę. Rozumiesz?

– Ach, aciu!

– Potrafisz przecież odnaleźć po ciemku ustęp i usiąść na nim jak grzeczny chłopiec. Nie musisz nawet stać. A teraz marsz do łóżka.

O drugiej nad ranem zerwał się wiatr, przynosząc ciepłe podmuchy z południowego wschodu, klekocząc gałęziami uschłych jabłonek i szeleszcząc listowiem żywych. Wiatr siekł bryzgami ciepłej ulewy o boczną ścianę domu, za którą śpi Francis Dolarhyde, czterdziestodwuletni mężczyzna.

Leży na boku, ssie kciuk, z wilgotnymi włosami przyklejonymi do czoła i karku.

Właśnie się budzi. Słucha w ciemności swojego oddechu i cichutkich odgłosów mrugających powiek. Jego palce zalatują jeszcze trochę benzyną. Czuje, że ma pełny pęcherz.

Po omacku szuka na nocnym stoliku szklanki ze sztuczną szczęką.

Dolarhyde zawsze wkłada sztuczną szczękę, zanim wstanie. Idzie do łazienki. Nie zapala światła. Po ciemku odnajduje sedes i siada na nim, niczym grzeczny chłopiec.

Zmiana, jaka zaszła w usposobieniu babki, ujawniła się po raz pierwszy zimą 1947 roku, kiedy Francis miał dziewięć lat.

Przestała jadać z Francisem u siebie w pokoju. Przenieśli się do wspólnego stołu w jadalni, gdzie uczestniczyła w posiłkach swych pensjonariuszy.

Już we wczesnej młodości nauczono ją, jak powinna się zachowywać czarująca pani domu, dlatego też odszukała i wyczyściła swój srebrny dzwoneczek i stawiała go od tej pory obok talerza.

Pilnowanie, by obiad toczył się zgodnie z planem, kierowanie służbą, podtrzymywanie rozmowy, odbijanie łatwych piłek towarzyskiej konwersacji i kierowanie ich ku mocnym punktom nieśmiałyh biesiadników, ukazywanie lepszych stron jednych gości w blasku uwagi innych – to sztuka co się zowie, dziś już niestety zanikająca.

Babka była w tym niegdyś bardzo sprawna. Dlatego jej starania przy stole początkowo uprzyjemniały posiłki tym nielicznym pensjonariuszom, którzy byli w stanie śledzić logiczny tok rozmowy.

Francis zasiadał na miejscu gospodarza, po drugiej stronie alei trzęsących się głów, i słuchał, jak babka naciąga na wspomnienia tych, którzy jeszcze cokolwiek pamiętali. Żywo interesowała się podróżą poślubną pani Floder do Kansas City, kilkakrotnie przechodziła żółtą febrę z panem Eatonem i z uwagą słuchała przypadkowych i niezrozumiałych pomruków reszty biesiadników.

– Czyż to nie fascynujące, Francis? – pytała i dzwoniła, by wniesiono kolejne danie. Posiłki składały się wprawdzie z różnych papek mięsno-jarzykowych, niemniej dzieliła to wszystko na dania, przysparzając kłopotów pomocy kuchennej.

Przy stole nigdy nie wspomniano o żadnych nieszczęściach. Dzwonek i gest wykonany w pół zdania rozwiązywał problem tych, którzy coś właśnie rozlali, zasnęli lub też zapomnieli, po co właściwie znajdują się przy stole. Babka zawsze utrzymywała tak duży personel, jaki tylko mogła opłacić.

Kiedy pogorszył się jej ogólny stan zdrowia, straciła na wadze i dzięki temu znów mogła nosić suknie od dawna spoczywające w kufrach. Jej rysy twarzy i fryzura przywodziły na myśl podobiznę George'a Washingtona na banknotach jednodolarowych.

Na wiosnę jej maniery nieco podupadły. Rządziła przy stole w sposób despotyczny i nie pozwalała sobie przerywać, ilekroć opowiadała o swym dzieciństwie w St. Charles, wyjawiając przy tym nawet bardzo osobiste szczegóły gwoli zbudowania Francisa i pozostałych.

Istotnie, babka przez jeden sezon, w roku 1907, była miejscową królową piękności, dlatego zapraszano ją na co lepsze bale po drugiej stronie rzeki, w St. Louis.

Była to „lekcja pogładowa” dla wszystkich, jak oświadczyła. Spojrzała znacząco na Francisa,

który krzyżował nogi pod stołem.

– Wchodziłam w świat w okresie, gdy medycyna niewiele jeszcze mogła działać dla poprawy drobnych niedociągnięć natury – powiedziała. – Miałam przepiękną cerę i wspaniałe włosy, toteż w pełni ten fakt wykorzystywałam. Siłą osobowości i pogodnym usposobieniem nadrabiałam ten mankament, jaki stanowiły moje zęby, a czyniłam to z takim powodzeniem, że stały się one w końcu moją „oznaką piękności”. Sądzę, że można by je nawet nazwać „znakiem firmowym mojego uroku”. Nie zamieniłabym ich na żadne inne, przenigdy.

Nader drobiazgowo wyjaśniła, że nie dowierzała lekarzom. Kiedy stało się jasne, że kłopoty z dziąsłami będą ja kosztowały utratę zębów, wyszukała jednego z najbardziej renomowanych dentystów na Środkowym Zachodzie, doktora Felixa Bertla, Szwajcara. „Szwajcarskie zęby” doktora Bertla, powiadała, cieszyły się w pewnych sferach ogromną popularnością, toteż prowadził on rozległą praktykę.

Śpiewacy operowi, lękając się, iż nowe kształty umieszczone w ich ustach źle wpłyną na barwę ich głosu, aktorzy i inne osobistości życia publicznego ściągali aż z San Francisco, by zamówić sobie sztuczne szczęki.

Doktor Bertl potrafił dokładnie skopiować naturalne zęby pacjenta, a także eksperymentował z różnymi składnikami, badając wpływ, jaki wywierały na brzmienie głosu.

Gdy doktor Bertl wykonał sztuczną szczękę dla babki Dolarhyde, zęby wyglądały dokładnie jak prawdziwe. Dzięki sile osobowości nic nie straciła ze swego niepowtarzalnego czaru, oświadczyła na koniec ze swym zjadliwym uśmiechem.

Jeżeli kryła się w tym nawet jakaś lekcja pogładowa, to Francis docenił ją znacznie później: nie ma co liczyć na operację, dopóki sam za nią nie zapłaci.

Francis potrafił wytrwać przy obiedzie tylko dlatego, że liczył na to, co nastąpi później.

Mąż Królowej Matki Bailey przyjeżdżał po nią co wieczór wozem zaprzężonym w muły, którym rozwoził drewno. Jeżeli babka była czymś zajęta na górze, Francis jechał z nimi alejką aż do głównej drogi.

Na tę wieczorną przejażdżkę czekał cały dzień: zasiadał na koźle wozu obok Królowej Matki; jej wysoki, chudy mąż zazwyczaj milczał i był niemal niewidzialny w mroku, żelazne obręcze kół chrzęściły o żwir, a wędzidła podzwaniały miarowo. Dwa gniade muły, niekiedy ubłocone, z krótko przystrzyżonymi i sterczącymi niczym szczotki grzywami, chłostały się ogonami po zadach. Woń potu i wygotowanego perkalu, pachnąca i ciepła uprząż. Czuło się także zapach drzewnego dymu, ilekroć pan Bailey oczyszczał nowe grunty, a jeśli brał ze sobą strzelbę do pracy, w wozie leżało później kilka królików albo wiewiórek, wyciągniętych tak, jakby jeszcze biegły.

W czasie przejażdżek nigdy nie rozmawiali; pan Bailey odzywał się tylko do mułów. Na wybojach chłopiec podskakiwał i wpadał na Baileyów. Gdy wysadzali go na końcu alejki, obiecywał im zawsze, że wróci do domu, i śledził oddalającą się lampę wozu. Słyszał, jak

rozmawiają ze sobą. Czasami Królowa Matka rozśmieszała czymś męża i śmiała się wraz z nim. Przyjemnie było słuchać ich tam, w ciemności, i wiedzieć, że to nie z niego się śmieją. Później zmienił zdanie na ten temat...

Towarzyszką zabaw Francisa Dolarhyde'a była czasami córka dzierżawcy, który mieszkał o trzy pola dalej. Babka pozwalała jej przychodzić, bo bawiło ją ubieranie małej w stroje Marian z lat dzieciństwa.

Była to niespokojna, rudowłosa dziewczynka, którą męczyła zbyt długa zabawa.

Pewnego upalnego czerwcowego popołudnia, znudzona łowieniem żuków za pomocą słomki na podwórku obok kurnika, poprosiła Francisa, żeby jej pokazał siusiaka.

W kącie pomiędzy kurnikiem a niskim żywopłotem, który zasłaniał ich przed widokiem z niższych okien domu, pokazał jej to, co chciała. Odwzajemniła mu się w podobny sposób, opuszczając postrzępione bawełniane majtki aż do kostek.

Kiedy przysiadł na piętach, by móc się lepiej przyjrzeć, zza rogu, sunąc na grzbiecie i wzbijając kurz trzepoczącymi skrzydłami, wypadł nagle bezgłowy kurczak. Spętana majtkami dziewczynka odskoczyła do tyłu, gdy ochlapał jej krwią stopy i łydki.

Francis, z opuszczonymi portkami, zerwał się na równe nogi w chwili, gdy w ślad za kurczakiem zza rogu wyszła Królowa Matka Bailey i zobaczyła ich.

– Słuchaj no, chłopcze – powiedziała spokojnie. – Chciałeś koniecznie zobaczyć, co jest co, no to zobaczyłeś, ale teraz zmykajcie stąd i znajdźcie sobie coś lepszego do roboty. Zajmijcie się czymś odpowiednim dla dzieci i nie ściągajcie gatek. A najpierw pomóżcie mi oboje złapać tego koguta.

Zakłopotanie dzieciaków szybko ustąpiło, gdy kogut wymknął im się z rąk. Ale babka przyglądała im się z okna na piętrze...

Babka widziała, jak Królowa Matka wraca do domu, a dzieci wchodzą do kurnika. Odczekała z pięć minut, po czym zaskoczyła je znienacka. Gwałtownie otworzyła drzwi i zastała dzieciaki zbierające pióra na pióropusze.

Odprawiła dziewczynkę, Francis natomiast zaprowadziła do domu.

Powiedziała, że odeśle go z powrotem do Brata Kumpla, ale przedtem musi go ukarać.

– Idź na górę. W pokoju zdejmij spodnie i czekaj, póki nie wrócę z nożyczkami.

Czekał godzinami, leżąc bez spodni na łóżku, ściskając w dłoni skraj narzuty i spodziewając się nożyczek. Przeczekał odgłosy kolacji na dole, a także stukot i poskrzypywanie wozu z drewnem oraz parskanie mułów, gdy wreszcie mąż przyjechał po Królową Matkę.

Nad ranem zasnął, lecz zaraz zbudził się gwałtownie i dalej czekał.

Ale babka nie przyszła. Być może zapomniała.

Z biegiem dni czekał nadal, wielokrotnie doświadczając mrozącego strachu. Czekał już zawsze.

Unikał Królowej Matki Bailey; nie odzywał się do niej i nie chciał wyjaśnić dlaczego. Niesłusznie uznał, że to ona opowiedziała babce, co takiego widziała na podwórku. Teraz już był święcie przekonany, że śmiech, jaki słyszał obserwując oddalającą się lampę wozu, dotyczył właśnie jego. Najwyraźniej nikomu nie mógł ufać.

Kiedy do głowy cisną się podobne myśli, trudno leżeć bez ruchu i zasnąć. Trudno jest leżeć spokojnie w taką jasną noc.

Francis wiedział, że babka ma rację. Tak bardzo ją przecież zranił. Okrył ją hańbą. Wszyscy już pewnie wiedzą, co zrobił nawet w dalekim St. Charles. Nie miał do babki pretensji. Nie czuł do niej urazy. Wiedział, że bardzo ją kocha. I chciał być porządnym chłopcem.

Wyobrażał sobie, że do domu wdzierają się włamywacze, on staje w obronie babki, a ona odwołuje wszystko, co o nim powiedziała.

– Nie jesteś jednak pomiotem szatana, Francis. Jesteś moim grzecznym chłopcem.

Ciągle rozmyślał o zakradającym się włamywaczu, który koniecznie chce pokazać babce swojego siusiaka.

Jak mógłby ją obronić? Był przecież za mały, żeby walczyć z dorosłym bandytą.

Przemyślał to sobie. W spiżarni leżał tasak Królowej Matki. Po zabiciu tamtego kurczaka wytarła go w gazetę. Musi go zdobyć. To jego obowiązek. Pokona strach przed ciemnością. Jeżeli naprawdę kocha swoją babkę, to inni jego muszą się bać w ciemnościach. Włamywacz też musi się go bać.

Zszedł cichaczem po schodach i znalazł tasak wiszący na gwoździu. Miał dziwny zapach, trochę jak ten bijący z kuchennego zlewu, gdy zarzytało się nad nim kurczaka. Był ostry, a jego ciężar nappełniał spokojem.

Poszedł z tasakiem do pokoju babki, by upewnić się, czy nie ma tam jakichś włamywaczy.

Babka spała. Pomimo ciemności wiedział dokładnie, gdzie ona leży. Gdyby był tam włamywacz, musiałby usłyszeć jego oddech, tak jak słyszał oddech śpiącej babki. Wiedziałby doskonale, gdzie znajduje się jego szyja, tak samo jak wiedział, gdzie szukać babki. Tuż pod oddechem.

Gdyby tu był włamywacz, podkradłby się do niego po cichu, o tak. I uniósłby tasak oburącz nad głowę, właśnie w ten sposób.

Nadepnął na pantofel babki leżący przy łóżku. Ostrze tasaka zachwiało się w ciemności i brzęknęło o metalowy abażur lampki nocnej.

Babka przewróciła się na drugi bok i mlasnęła. Francis stał bez ruchu. Od trzymania uniesionego tasaka ręce mu drżały z wysiłku. Babka zaczęła pochrapywać.

Uczucie, jakie żywił do niej Francis, omal go nie rozsadziło. Wyśliznął się z pokoju. Rozpierało go szaleńcze pragnienie, by stanąć w jej obronie. Musiał czegoś dokonać, za wszelką cenę. Nie bał się już ciemności, ale dusił się w czterech ścianach.

Wyszedł tylnymi drzwiami na dwór i z twarzą zwróconą ku górze, oddychał gwałtownie, jak gdyby mógł wchłaniać w płuca światło gwiazd. Małeńki krążek księżycy uległ odkształceniu przeglądając się w białkach jego wywróconych oczu. Zaokrąglił się dopiero gdy spojrzenie Francisza przesunęło się w dół i gdy odbił się w jego źrenicach.

Przyptyw miłości był nie do zniesienia, Francis nie mógł już wytrzymać. Ruszył w kierunku kurnika, coraz szybciej, czując chłód ziemi pod bosymi stopami i zimne ostrze tasaka, który obijał mu się o udo, kiedy puścił się biegiem, wiedząc, że za chwilę wybuchnie.

Francis nigdy w życiu nie doświadczył tak błogiego, kojącego spokoju jak wtedy, gdy mył się przy pompie na podwórku. Pogрузzył się w nim ostrożnie i stwierdził, że spokój ten właściwie nie ma kresu, otacza go ze wszystkich stron.

To, czego babka łaskawie mu nie odcięła, sterczało jak nagroda, kiedy zmywał krew z brzucha i nóg. Jego umysł pracował jasno i spokojnie.

Powinien jednak coś zrobić z nocną koszulą. Najlepiej będzie ją ukryć pod workami w wędzarni.

Odkrycie martwego kurczaka zaskoczyło babkę. Powiedziała, że nie wygląda to na sprawkę lisa. W miesiąc później Królowa Matka znalazła następnego gdy poszła zbierać jajka. Tym razem kurczakowi ktoś ukręcił łeb. Babka oświadczyła przy stole, że jej zdaniem zrobiła to jakaś „mściwa służąca”, którą ona musiała oddalić. Stwierdziła też, że powiadomiła o wszystkim szeryfa.

Francis w milczeniu siedział na swoim miejscu, rozwierając i zwierając dłoń na wspomnienie oka, które mrugnęło w jego rękę. Czasami w łóżku obmacywał się, by sprawdzić, czy nie ucięto mu siusiaka. Chwyając go, miał wrażenie, że na wewnętrznej stronie dłoni czuje mrugnięcie.

U babki następowały gwałtowne zmiany. Z dnia na dzień stawała się coraz bardziej kłótniwa i nie potrafiła utrzymać służby na dłużej. Choć brakowało jej sprzątaczk, to jednak przejęła osobisty nadzór nad kuchnią i strofowała Królową Matkę Bailey, co odbijało się tylko na jakości jedzenia. Królowa Matka, która całe życie spędziła w służbie u Dolarhyde'ów, była jedyną stałą pomocą domową.

Z twarzą zaczerwienioną od żaru kuchennego pieca, babka miotła się pomiędzy jednym zajęciem a drugim, często rzucając potrawy w trakcie przygotowywania i nie podając ich na stół. Przyrządzała dania z wczorajszych resztek, choć w spiżarni więdły stosy jarzyn.

Jednocześnie zaś fanatycznie zwalczała marnotrawstwo. Zmniejszała racje mydła i proszku do

prania, aż w końcu pościel stała się brudnoszara.

Tylko w listopadzie przyjęła pięć czarnoskórych służących. Żadna jednak nie chciała zostać.

Kiedy ostatnia z nich opuściła dom, babka wpadła w szał. Miotła się po domu, wrzeszcząc i wyjąc. Wpadła do kuchni i zobaczyła, że Królowa Matka Bailey, rozwałkowawszy ciasto, pozostawiła na stolnicy rozsypaną łyżeczkę mąki.

Wśród kłębow pary i kuchennego żaru, na pół godziny przed obiadem, podeszła do Królowej Matki i uderzyła ją w twarz.

Zaszokowana Królowa Matka upuściła łyżkę wazową i z oczu pociekły jej łzy. Babka powtórnie uniosła rękę do ciosu, lecz odepchnęła ją duża, różowa dłoń.

– Niech się pani nie waży. Pani już nie jest sobą, ale niech się pani nawet nie waży tknąć mnie palcem.

Miotając obelgi, babka gołymi rękami przewróciła gorący garnek z zupą, która rozlała się, ściekając z sykiem po kuchennej płycie. Poszła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami. Francis słyszał, jak przeklina i ciska wszystkim, co ma pod ręką, o ściany. Nie wyszła przez cały wieczór.

Królowa Matka starła resztki zupy i nakarmiła starców. Zebrała swój nieliczny dobytek do koszyka, włożyła stary sweter i zrobioną na drutach czapkę. Szukała Francis, ale nie mogła go znaleźć.

Siedziała już na wozie, gdy zobaczyła go przycupniętego w kącie werandy. Patrzył, jak ciężko zsiada z kozła i człapie ku niemu.

– Odchodzę, Oposku. Już tu nie wrócę. Sironia ze sklepu spożywczego zadzwoni do twojej mamy. A gdybyś mnie potrzebował, zanim mama przyjedzie po ciebie, to wiesz, gdzie mieszkam.

Cofnął się, czując dotyk jej dłoni na policzku.

Pan Bailey cmoknął na muły. Francis patrzył w ślad za oddalającą się lampą wozu. Już od dawna obserwował ją z uczuciem smutku i pustki, bo zrozumiał, że Królowa Matka go zdradziła. Ale teraz już się nie przejmował. Cieszył się nawet. Słabe światło lampy naftowej znikające w oddali jest niczym w porównaniu z blaskiem księżyca.

Zastanawiał się, co czuje się, zabijając muła.

Marian Dolarhyde Vogt nie zareagowała na telefon Królowej Matki Bailey.

Zjawiała się dopiero dwa tygodnie później, wezwana przez szeryfa z St. Charles. Przyjechała po południu, za kierownicą przedwojennego packarda. Nosila rękawiczki i kapelusz.

Zastępca szeryfa czekał na nią u wylotu alejki. Nachylił się do okna samochodu.

– Pani Vogt, pani matka dzwoniła dziś koło południa do naszego biura. Twierdziła, że jej służba kradnie. Kiedy tu przyjechałem, wybaczy pani, ale mówiła coś od rzeczy.

Szeryf doszedł do wniosku, że przede wszystkim powinien skontaktować się z panią. Rozumie pani, co mam na myśli.

W końcu pan Vogt jest osobą publiczną i w ogóle...

Marian zrozumiała. Jej mąż był teraz inspektorem robót publicznych w St. Louis i nie cieszył się specjalnymi względami partii.

– O ile wiem, nikt więcej tu nie zaglądał – stwierdził zastępca szeryfa.

Marian zastała matkę we śnie. Dwoje starszków siedziało przy stole, czekając z uporem na lunch. Jakaś kobieta snuła się po podwórku w samych majtkach.

Marian zatelefonowała do męża.

– Jak często sprawdzają takie miejsca... widocznie niczego nie spostrzegli... Nie mam pojęcia, czy jacyś krewni składali skargi, moim zdaniem ci ludzie nie mają żadnych krewnych... Nie. Ty trzymaj się od tego z daleka. Potrzebuję paru czarnych. Załatw mi kilka czarnych... i doktora Watersa. Sama się tym zajmę.

Doktor z ubraną na biało pielęgniarką przybył w ciągu czterdziestu pięciu minut, a chwilę później kryta ciężarówka przywiozła pokojówkę Marian i jej pięć innych służących.

Kiedy Francis wrócił ze szkoły, Marian, doktor i pielęgniarka znajdowali się w pokoju babki. Francis słyszał jej przekleństwa. Gdy wytoczyli ją z domu na jednym z wózków inwalidzkich, miała szkliste oczy, a na rękę przyklejony kawałek waty. Bez sztucznej szczęki jej twarz zapadła się i zmieniła. Marian również miała świeżo obandażowaną rękę, po ugryzieniu.

Babkę odwieziono samochodem doktora. Siedziała pod opieką pielęgniarki na tylnym siedzeniu. Francis patrzył, jak odjeżdża. Chciał jej pomachać, ale zaraz opuścił rękę.

Ekipa sprzątaczek Marian wyszorowała i wywietrzyła dom, urządziła gigantyczne pranie i wykąpała starszków. Marian pracowała wraz z nimi, nadzorując przyrządzenie zaimprovizowanego posiłku.

Odzywała się do Francisca tylko wtedy, gdy chciała się dowiedzieć, gdzie czego szukać.

Potem odesłała służbę i wezwała władze okręgowe. Wyjaśniła, że pani Dolarhyde doznała wylewu krwi do mózgu.

Było już ciemno, gdy ludzie z opieki społecznej przyjechali po pacjentów szkolnym autokarem. Francis sądził, że jego także zabiorą. Nie brano go jednak pod uwagę.

W domu pozostali tylko Marian i Francis. Ona siedziała przy stole w jadalni, z twarzą ukrytą w

dłoniach. On wyszedł na zewnątrz i wdrapał się na dziką jabłoń.

W końcu Marian zawołała go. Spakowała walizeczkę z jego ubraniami.

– Musisz pojechać ze mną – powiedziała w drodze do samochodu. – Wsiadaj. Tylko nie kładź nóg na siedzeniu.

Odjechali packardem, zostawiając na podwórku tylko pusty fotel na kółkach.

Obyło się bez skandalu. Władze stwierdziły, że wypadek pani Dolarhyde to prawdziwe nieszczęście, że prowadziła wszystko wspaniale. Honor Vogtów nie ucierpiał.

Babkę osadzono w prywatnym sanatorium dla nerwowo chorych. Dopiero po czternastu latach Francis miał znowu pojawić się w jej domu.

– Francis, to twoje przyrodnie siostry i brat – oświadczyła matka. Znajdowali się w bibliotece Vogtów.

Ned Vogt miał dwanaście lat, Victoria trzynaście, a Margaret dziewięć. Ned i Victoria spojrzeli po sobie. Margaret wbiła wzrok w podłogę.

Francisa umieszczono w pokoju u szczytu schodów dla służby. Od czasu katastrofalnych wyborów w roku 1944 Vogtowie nie zatrudniali już pokojówki na piętrze.

Zapisano go do szkoły podstawowej imienia Pottera Gerarda, kilka kroków od domu i z dala od prywatnej szkoły episkopalnej do której uczęszczały pozostałe dzieci.

Przez pierwsze kilka dni dzieci Vogtów ignorowały go w miarę możliwości, lecz już pod koniec pierwszego tygodnia Ned i Victoria weszli po schodach dla służby w odwiedziny.

Francis słyszał ich szepty kilka minut wcześniej, nim jeszcze poruszyła się klamka u drzwi. Kiedy stwierdzili, że są zamknięte na zasuwkę, nawet nie próbowali pukać.

– Otwórz – polecił Ned.

Francis otworzył. Bez słowa zaczęli przeglądać jego ubrania w szafie. Ned Vogt wysunął szufladę w małej toalecie i dwoma palcami zaczął wyciągać schowane tam przedmioty: urodzinowe chusteczki z wyszytym monogramem „FD”, kapodaster do gitary, kolorowego żuka w butelce po pastylkach, egzemplarz Baseball Joe in the World Series, który kiedyś zamókł, i kartkę z życzeniami podpisaną „Sarah Hughes, koleżanka z klasy”.

– A to co? – zapytał Ned.

– „Kapo”.

– Do czego to?

– Do gitary.

– Masz gitarę?

– Nie.

– Więc po co ci to? – spytała Victoria.

– Mój ojciec tego używał.

– Nic nie rozumiem. Co ty powiedziałaś? Każ mu to powtórzyć, Ned.

– Powiedział, że to należało kiedyś do jego ojca. – Ned wytarł nos w jedną z chusteczek i wrzucił ją z powrotem do szuflady.

– Przyszli dziś po kucyki – powiedziała Victoria.

Usiadła na wąskim łóżku. Ned usadowił się koło niej, oparty plecami o ścianę i z nogami na kołdrze.

– Nie ma już kucyków – stwierdził Ned. – I nie ma już letniego domu nad jeziorem. A wiesz dlaczego? No mów, ty mały skurwysynu.

– Ojciec jest ciężko chory i nie zarabia już tyle forsy powiedziała Victoria. – Czasami wcale nie chodzi do biura.

– A wiesz, dlaczego choruje, skurwysynu? – zapytał Ned. – Mów tak, żebym cię mógł zrozumieć.

– Babka mówiła, że z niego kawał pijaka. No co, zrozumiałaś?

– Choruje na sam widok twojej wrednej gęby – oświadczył Ned.

– To dlatego ludzie na niego nie głosowali – dorzuciła Victoria.

– Wyoście się – warknął Francis. Kiedy odwrócił się, żeby otworzyć drzwi, Ned kopnął go w plecy. Francis próbował oburącz złapać się za nerki, co ocaliło mu palce, kiedy Ned kopnął go w żołądek.

– Och, Ned – jęknęła Victoria. – Och, Ned.

Ned schwycił Francisza za uszy i przysunął go do lustra nad toaletką.

– Dlatego właśnie choruje! – Wyrznął jego twarzą w lustro.

– To dlatego choruje! – Trzask. – Właśnie dlatego! – Trzask. Lustro umazane było krwią i śluzem. Ned w końcu przestał i Francis opadł na podłogę. Victoria spojrzała na niego szeroko

otwartymi oczyma, przygryzając dolną wargę. Zostawili go. Twarz miał mokrą od krwi i śliny. Oczy łzawiły mu z bólu, ale nie płakał.

Chicagowski deszcz bębni w mroku o baldachim nad otwartym grobem Freddy'ego Loundsa.

Grzmot pioruna wstrząsa skołataną głową Willa Grahama, gdy ten przemyka się od stołu do łóżka, gdzie pod poduszką czają się senne majaki.

Stary dom za St. Charles, broniąc się przed naporem wichury, powtarza jej długie westchnienia rozbrzmiewające wśród odgłosów bijącego o szyby deszczu i przetaczającego się gromu.

Schody skrzypią w ciemności. To Dolarhyde schodzi na parter; jego kimono szeleści cicho, szeroko otwarte oczy nie otrząsnęły się jeszcze ze snu.

Włosy ma wilgotne i schludnie przyczesane. Paznokcie starannie oczyszczone. Porusza się zwinnie i niespiesznie, obnosząc swą koncentrację jak napelnioną po brzegi filiżankę.

Obok projektora leży film. Tylko dwa tematy. Inne rolki są w koszu na śmieci, przeznaczone do spalania. Zostały tylko dwie, wybrane spośród kilkudziesięciu przeróżnych firmów amatorskich, które skopiował w laboratorium i przyniósł do domu.

Wygodnie rozparty na leżance, mając w zasięgu ręki tacę z owocami i serem, Dolarhyde wpatruje się w ekran.

Pierwszy film pochodzi z pikniku w dniu święta narodowego. Udana rodzinka: troje dzieci, ojciec – facet o byczym karku – sięga grubymi paluchami do słoja z piklami. I matka.

Najlepiej można jej się przyjrzeć podczas gry w baseball z dziećmi sąsiada. Widać ją na ekranie zaledwie przez piętnaście sekund: zaczyna na drugim polu, twarzą do rzucającego, z szeroko rozstawionymi nogami, gotowa pędzić w którąkolwiek stronę; jej piersi kołyszą się pod pulowerem, kiedy pochyla się nieco do przodu. Denerwująca przerwa, gdy dziecko bierze rozmach kijem. I znów kobieta: cofa się, staje jedną stopą na poduszce, której użyto w charakterze bazy, i zamiera w bezruchu z napiętymi mięśniami wysuniętego uda.

Dolarhyde w kółko powtarza ujęcia, w których występuje kobieta. Stopa wsparta na bazie, płynne ruchy bioder, mięśnie uda napinające się pod nogawką kuso przyciętych dżinsów.

Zatrzymuje ostatni kadr. Kobieta i jej dzieci. Są brudni i zmęczeni. Obejmują się, a u ich stóp pies merda ogonem.

Przeraźliwy huk grzmotu sprawia, iż w wysokim kredensie babki pobrzękują kryształ. Dolarhyde sięga po gruszkę.

Drugi film składa się z kilku części. Jego tytuł, Nowy Dom, ułożono z drobnych monet na kawałku kartonu z opakowania koszuli, koło rozbitej skarbonki. Rozpoczyna się sceną, w której ojciec dźwiga przez podwórko tablicę z napisem „Na sprzedaż”. Unosi ją do góry, patrzy w kamerę i uśmiecha się z zakłopotaniem. Kieszenie spodni ma wywrócone na zewnątrz.

Dalekie, trochę zachwiane ujęcie matki z trójką dzieci na frontowych schodkach. Ładny dom. Cięcie – widok basenu. Małe dziecko o gładko przylizanych włosach człapie ku desce trampoliny, pozostawiając na kafelkach mokre ślady. Z wody sterczą głowy pozostałych. Mały piesek, z położonymi uszami i wysoko uniesionym łebkiem, błyskając białkami oczu płynie w kierunku córki.

Matka, zanurzona w wodzie, trzyma się drabinki i podnosi wzrok na kamerę. Falujące czarne włosy lśnią niczym zwierzęca sierść; wydatne piersi błyszczą wilgocią nad stanikiem kostiumu; nogi machają pod powierzchnią wody.

Noc. Kiepsko naświetlone ujęcie jasnego domu kręczone zza basenu. Światła przeglądają się w wodzie.

Wnętrze domu – rodzinne zabawy. Wszędzie pudełka i rzeczy niezbędne do pakowania. Stary kufer, którego nie wyniesiono jeszcze na strych.

Mała córeczka przymierza stroje babki. Na głowie ma wielki kapelusz, noszony podczas przyjęć pod gołym niebem. Ojciec siedzi na kanapie. Wygląda, jakby był pod muchą. Teraz to chyba on przejął kamerę. Obraz się chwieje. Matka przymierza kapelusz przed lustrem.

Dzieci tłoczą się wokół niej; chłopcy chichoczą i skubią staroświeckie ozdoby. Dziewczynka beznamiętnie przygląda się matce, zapewne oceniając, jak też będzie wyglądać, gdy dorośnie.

Zbliżenie. Matka odwraca się i ze sztucznym uśmiezkiem wdzięczy się do kamery. Przesuwa dłonią po karku. Jest bardzo piękna. Na szyi ma broszkę z kameą.

Dolarhyde zatrzymuje kadr. Cofa film. Kobieta raz po raz z uśmiechem odwraca się od lustra.

Dolarhyde z roztargnieniem bierze film z grą w baseballa i wrzuca go do kosza na śmieci.

Zdejmuje drugą rolkę z projektora i odczytuje adres na nalepce z laboratorium: Bob Sherman, Star Route 7, Box 603, Tulusa, Oklahoma.

Łatwy dojazd.

Trzymając film w otwartej dłoni, nakrywa go drugą, niczym żywe stworzenie, które mogłoby uciec. Ma wrażenie, że film podskakuje mu w rękach jak świerszcz.

Przypomina sobie nerwowość i pośpiech w domu Leedsów, towarzyszące włączeniu lamp. Wcześniej musiał rozprawić się z Leedssem.

Tym razem wszystko odbędzie się spokojniej. Byłoby wprost cudownie, gdyby zdołał wśliznąć się z kamerą między śpiących i przytulić się do nich na chwilę. Potem mógłby zaatakować po ciemku i usiąść pomiędzy nimi, mokry i szczęśliwy.

Potrzebna będzie do tego kamera działająca w podczerwieni ale wie, gdzie zdobyć odpowiedni film.

Projektor wciąż jest włączony. Dolarhyde siedzi trzymając film w dłoniach, a na jasnym i pustym ekranie, wtórując westchnieniom wiatru, przesuwiają się dla niego zupełnie inne obrazy.

Nie ma w nim żądz zemsty, jedynie miłość i marzenia o przyszłej chwale; serca zamierające szybko niczym kroki w oddali.

Stoi. On, przepełniony miłością, a Shermanowie otwierają się przed nim.

Przeszłość dla niego nie istnieje, interesuje go tylko przyszła chwala. Nie rozmyśla o domu swojej matki. W istocie jego świadome wspomnienia z tego okresu są zaskakująco skąpe i mętne.

Odplynęły bezpowrotnie, kiedy miał dwadzieścia kilka lat, pozostawiając pustą plamę na powierzchni jego umysłu.

Wiedział, że mieszkał tam tylko przez miesiąc. Ale nie pamiętał już, że w wieku dziewięciu lat został odesłany, bo powiesił kota Victorii.

Jednym z nielicznych obrazów, jakie udało mu się zachować, był sam dom; oświetlony, oglądany od strony ulicy w zimowym zmierzchu, taki, jakim go widział wracając ze szkoły podstawowej im. Pottera Gerarda do oddalonego o milę budynku, w którym go umieszczono.

Pamiętał zapach biblioteki Vogtów, kiedy matka przyjęła go, żeby dać mu rzeczy na wakacje. Nie pamiętał natomiast twarzy śledzących go z okien na piętrze, kiedy odchodził po zamrożonym chodniku, a znienawidzone praktyczne prezenty paliły go pod pachą; spieszył do domu, do tego miejsca w głowie, które było jak najdalsze od St. Louis.

Kiedy miał jedenaście lat, jego wyobraźnia była niezwykle aktywna i żywa, stąd też, gdy presja miłości stawała się nazbyt wielka, zwykł dawać jej upust. Żerował zatem na zwierzętach domowych; czynił to jednak ostrożnie, chłodnym okiem bacząc, by nie ponieść konsekwencji. Zwierzaki były zazwyczaj oswojone, więc sprawa nie nastroczała mu trudności. Władze nigdy nie domyśliły się jego związku z niewielkimi i jakże żalnymi plamami krwi, które wsiąkały w podłogi garaży.

W wieku czterdziestu dwóch lat już o tym nie pamiętał. Nigdy też nie rozmyślał o mieszkańcach domu swej matki. O samej matce, przyrodniej siostrze, ani też o przyrodnim bracie.

Czasami tylko widywał ich we śnie, w jaskrawych strzępkach gorączkowych majaków. Wysocy i odmienieni, z ciałami o jaskrawych papuzich barwach, nachylali się nad nim w pozach modliszek.

Gdy nachodziła go ochota na wspomnienia, co zdarzało mu się nader rzadko, wracał do miłych chwil z okresu służby wojskowej.

W wieku siedemnastu lat, złapany w momencie, gdy w bliżej nie sprecyzowanym celu wchodził przez okno do mieszkania pewnej kobiety, stanął w obliczu wyboru: albo zaciągnie się do wojska, albo stanie przed sądem. Wybrał wojsko.

Po odbyciu wstępnego przeszkolenia trafił na specjalistyczny kurs laborantów ciemni fotograficznych i został przeniesiony do San Antonio, gdzie skierowano go do pracy przy filmach

instruktażowych dla korpusu służby medycznej szpitala wojskowego Brooke.

Chirurdzy z Brooke zainteresowali się nim i postanowili podreperować mu twarz.

Wykonali więc operację plastyczną nosa, używając do przedłużenia jego końcowej części chrząstek pobranych z ucha, a także – stosując ciekawą technikę nakładkową Abby'ego, która ściągnęła na salę operacyjną sporą widownię z lekarzy – naprawili mu wargę.

Chirurdzy byli bardzo dumni z rezultatu. Dolarhyde natomiast odsunął lusterko i tylko gapił się w okno.

Kartoteka filmoteki dowodzi, że Dolarhyde wypożyczał sporo filmów, głównie na temat urazów cielesnych, i z reguły przetrzymywał je na noc. Ponownie zaciągnął się do wojska w roku 1958 i wówczas to odkrył Hongkong. Ponieważ stacjonował w Korei, w Seulu, gdzie wywoływał filmy z małych samolotów zwiadowczych, które pod koniec lat pięćdziesiątych wysyłano za dwudziesty ósmy równoleżnik, udało mu się dwa razy wyjechać do Hongkongu na urlop. W roku 1959 Hongkong i Kowloon mogły zaspokoić najbardziej wybujałe apetyty.

Babkę zwolniono z sanatorium w roku 1961; osiągnęła swoisty, daleki od poczytalności stan spokoju wywołany thorazinem. Dolarhyde poprosił o zwolnienie ze względu na trudną sytuację rodzinną i otrzymał je na dwa miesiące przed planowanym przejściem do rezerwy. Pojechał do domu, aby zaopiekować się babką.

Teraz i dla niego nastąpiły dziwnie spokojne czasy. Dzięki swej nowej pracy w Gateway mógł wynająć kobietę, która zajmowała się babką podczas dnia. Wieczorami przesiadywał ze staruszką w salonie, ale nie odzywali się do siebie ani słowem. Ciszę przerywało tylko tykanie i bicie starego zegara.

Matkę zobaczył już tylko jeden raz: na pogrzebie babki w 1970 roku. Spojrzał na nią na przestrzał, przewiercił ją na wylot swoimi żółtymi oczami, jakże podobnymi do jej oczu, zupełnie jak kogoś nieznanego.

Jego wygląd zaskoczył matkę. Szczupły, lecz barczysty miał ładny odcień cery i schludne wąsiki, które – jak przypuszczała – były włosami przeszczepionymi z głowy.

Tydzień później zadzwoniła do niego i usłyszała tylko trzask odkładanej słuchawki.

Przez całe dziewięć dni po śmierci babki Dolarhyde nie miał żadnych zmartwień, ani też sam ich nikomu nie przysparzał. Jego czoła nie splamiła nawet najmniejsza zmarszczka. Wiedział tylko, że czeka. Ale nie wiedział na co.

W końcu drobne, z pozoru najzwyklejsze w świecie wydarzenie, przekazało zarodkom w jego czaszce, że nadszedł już czas. Stał właśnie przy północnym oknie i oglądał pod światło jakiś film, gdy nagle zdał sobie sprawę, że jego ręce się starzeją. Zupełnie jakby jego dłonie trzymające kliszę pojawiły się z nienacka same, tuż przed jego oczyma, on zaś spostrzegł w dobrym północnym świetle, iż skóra na kościach i ścięgnach zwiotczała, pokrywając się siatką maleńkich rombów, niczym u

jaszczurki.

Obracając dłonie w świetle, poczuł intensywny zapach duszonych pomidorów z kapustą. Wzdrygnął się, choć w pokoju było ciemno. Wieczorem ćwiczył usilniej niż zwykle.

Na ścianie salki gimnastycznej, którą urządził sobie na strychu, koło sztang i ławki do wyciskania, wisiało wysokie, jedyne w domu lustro. Mógł w nim swobodnie podziwiać swoje ciało, bo zawsze ćwiczył w masce.

Napiął mięśnie i przyjrzał się uważnie swej sylwetce. Mimo czterdziestu lat mógłby z powodzeniem startować w lokalnych zawodach kulturystycznych. Uznał, że to za mało.

Po tygodniu natknął się na obraz Blake'a, który natychmiast go zauroczył.

Zobaczył go na dużej kolorowej reprodukcji w „Time Magazine”, ilustrującej reportaż na temat retrospektywnej wystawy Blake'a w londyńskiej Tate Gallery. Muzeum Brooklyńskie wysłało z tej okazji do Londynu Wielkiego Czerwonego Smoka i Kobiety Odzianą w Słońce.

Krytyk z „Time'a” napisał: „Niewiele demonicznych obrazów w sztuce zachodu emanuje tak koszmarnym ładunkiem energii seksualnej...”.

Dolarhyde nie musiał czytać tekstu, żeby się o tym przekonać.

Całymi dniami nosił to zdjęcie przy sobie. Później sfotografował je i do późna w nocy pracował w ciemni nad powiększeniem. Niemal przez cały czas trwał w podnieceniu. Powiesił zdjęcie w salce do ćwiczeń, tuż obok lustra, i wpatrywał się w nie wyciskając sztangę. Nie potrafił zasnąć, jeżeli wcześniej nie ćwiczył do pełnego wyczerpania i nie oglądał potem swoich medycznych filmów, które pomagały mu rozładować napięcie seksualne.

Odkąd skończył dziewięć lat, wiedział, że w istocie jest po prostu sam i że już na zawsze pozostanie samotny. Wniosek typowy raczej dla mężczyzny po czterdziestce.

Teraz zaś, po czterdziestce, żył fantazjami pełnymi świeżości, bezpośredniości i prostoty, typowymi dla wieku dziecięcego. Pozwoliło mu to wyjść poza samotność.

W wieku, gdy inni mężczyźni po raz pierwszy ze strachem dostrzegają swoją izolację od świata i ludzi, Dolarhyde rozumiał to już doskonale – był sam, bo był Niepowtarzalny. Z żarem neofity spostrzegł, że jeżeli będzie nad tym usilnie pracował, jeśli posłucha prawdziwych popędów, które tak długo dławił i kultywował tylko jako inspiracje, to dostąpi Łaski Przeistoczenia.

Na obrazie nie widać wprawdzie twarzy Smoka, lecz Dolarhyde stopniowo dowiadywał się, jak ona wygląda.

Oglądając w salonie swe medyczne filmy, wyczerpany podnoszeniem ciężarów, rozwierał szeroko usta, by móc w nie wcisnąć sztuczną szczękę babki. Nie pasowała do jego zniekształconych dziąseł, więc szybko dostawał skurczu.

W wolnych chwilach ćwiczył więc także szczęki, gryząc twardy gumowy kołek, dopóki mięśnie nie wybrzuszały mu policzków niczym dwa orzechy włoskie.

Jesienią 1979 roku podjął część swych okazałych oszczędności i poprosił w Gateway o trzymiesięczny urlop. Pojechał do Hongkongu, zabierając ze sobą zęby babki.

Gdy wrócił, rudowłosa Eileen i inni koledzy z pracy stwierdzili jednogłośnie, że wakacje mu dobrze zrobiły. Był teraz spokojny. Nie zwrócili uwagi, że nie używa już szatni dla pracowników i nie korzysta z natrysków, zwłaszcza że i przedtem nie zaglądał tam zbyt często.

Zęby babki powróciły do szklaneczki stojącej przy łóżku. A jego nowa sztuczna szczęka została zamknięta na klucz w szufladzie biurka na górze.

Gdyby Eileen mogła go zobaczyć przed lustrem, z zębami na swoim miejscu i nowym jaskrawym tatuażem błyszczącym w ostrym świetle sali gimnastycznej, zapewne krzyknęłaby ze zgrozy. Raz.

Miał teraz sporo czasu, nie musiał się już spieszyć. Miał całą wieczność. Minęło więc pięć miesięcy, nim wybrał sobie Jacobich.

Rodzina Jacobich jako pierwsza miała mu pomóc i doprowadzić go do Chwały Przeistoczenia. Dostarczyli mu niezapomnianych wrażeń, najwspanialszych w całym jego życiu

Póki nie doszedł do Leedsów.

A teraz, kiedy rósł w siłę i chwałę, przysłała kolej na Shermanów i całkiem nowy intensywny pomysł z podcierwienią. Niezwykle obiecujące.

Francis Dolarhyde musiał opuścić swe dotychczasowe terytorium w laboratorium filmowym Gateway, by zdobyć to, czego potrzebował.

Był szefem produkcji największego działu Gateway – wywoływania filmów amatorskich – ale wytwórnia miała jeszcze cztery inne działy.

Kryzys z lat siedemdziesiątych zmniejszył popularność filmów amatorskich, a do tego wzrastała konkurencja ze strony domowych magnetowidów. Wytwórnia musiała zatem zmienić swą działalność.

Przedsiębiorstwo otworzyło nowe działy, które przносиły filmy na taśmę video, drukowały mapy zakresu antenowego i oferowały specjalne usługi producentom krótkometrażowych filmów reklamowych.

W 1979 roku firmie trafiła się prawdziwa gratka. Przedsiębiorstwo podpisało kontrakt z Departamentem Obrony i Departamentem Energii na wynalezienie i przetestowanie nowych emulsji dla fotografii w podczerwieni.

Departament Energii potrzebował czułego filmu dla swoich badań nad zachowaniem ciepła. Wojskowi zaś chcieli go wykorzystać do nocnych lotów zwiadowczych.

Pod koniec roku 1979 Gateway wykupiło sąsiednią niewielką firmę Baeder Chemical i tam zlokalizowano prace nad wynalazkiem.

Dolarhyde udał się do Baedera podczas przerwy na lunch. Idąc pod błękitnym niebem, uważnie omijał połyskujące kałuże na asfalcie. Śmierć Loundsa wprawiła go w znakomity humor.

Wyglądało na to, że wszyscy pracownicy Baedera wybrali się na lunch jednocześnie.

Pokonał labirynt korytarzy, aż znalazł właściwe drzwi. Tablica na ścianie głosiła: „Czułe materiały podczerwone. Używanie lamp, palenie i wnoszenie gorących napoi wzbronione”. Nad tablicą paliło się czerwone światelko.

Dolarhyde nacisnął guzik i po chwili światelko zmieniło się na zielone. Wszedł do komory pochłaniacza światła i zapukał do wewnętrznych drzwi.

– Proszę. – Głos kobiety.

Chłodna, absolutna ciemność. Bulgotanie wody, znajomy zapach wywoływacza D-76 i lekki powiew perfum.

– Jestem Francis Dolarhyde. Przyszedłem w sprawie suszarki.

– O, to świetnie. Wybacz pan, że mówię z pełnymi ustami. Właśnie kończyłam lunch.

Usłyszał odgłos miętych i wrzucanych do kosza papierów.

– Właściwie to Ferguson potrzebuje suszarki – powiedział głos w ciemności. – Wyjechał wprawdzie na urlop, ale wiem, dokąd miała pójść. Nie macie suszarek w Gateway?

– Mam nawet dwie. Jedna jest większa. Ale Ferguson nie sprecyzował, ile właściwie ma miejsca. – Notatkę o kłopotach z suszarką czytał przypadkiem kilka tygodni wcześniej.

– Pokażę panu, jeśli pan chwilę poczeka.

– W porządku.

– Niech pan się oprze o drzwi – przemawiała teraz tonem doświadczonego wykładowcy – zrobi trzy kroki do przodu, aż poczuje pan pod stopami płytki, i zaraz na lewo wymaca pan stółek.

Znalazł go. Był teraz bliżej niej. Słyszał szelest jej fartucha. – Dziękuję, że pan przyszedł – powiedziała. Miała czysty, nieco stalowy głos. – Pan jest szefem produkcji w głównym gmachu, prawda?

– Uhm.

– Tym samym „panem D.”, który miota gromy, ilekroć ktoś źle zapisze zamówienie?

– Właśnie.

– Jestem Reba McClane. Mam nadzieję, że tutaj nic nie poknociłszy.

– To już nie moje podwórko. Ja tylko zaprojektowałem tutejszą ciemnię, kiedy kupiliśmy tę firmę. Nie zaglądałem tu od sześciu miesięcy. – To długie jak na niego przemówienie łatwiej mu było wygłosić po ciemku.

– Jeszcze chwilka i zapalę panu światło. Czy potrzebuje pan taśmy mierniczej?

– Nie, mam.

Dolarhyde stwierdził, że rozmowa po ciemku z tą kobietą jest nawet wcale przyjemna. Słyszał grzechotanie, gdy potrząsała torebką, a później trzask zamykanej puderniczki.

Kiedy zadzwonił czasomierz, zrobiło mu się przykro.

– Gotowe. Wstawię ten materiał do Czarnej Dziury – powiedziała.

Poczuł podmuch chłodnego powietrza, usłyszał, jak szafka zamyka się na gumowe przyssawki, a później dobiegł go syk zamka próżniowego. Wreszcie zapach perfum, gdy kobieta przeszła koło niego.

Wsparł nos na kostkach palców, przybrał zamyślony wyraz twarzy i czekał na światło.

Zabłyły lampy. Kobieta stała przy drzwiach, uśmiechając się mniej więcej w jego kierunku. Jej oczy, skryte za opuszczonymi powiekami, drgały mimowolnie.

Dostrzegł opartą w kącie białą laskę. Oderwał dłoń od twarzy i uśmiechnął się.

– Czy mogę poczęstować się śliwką? – zapytał. Leżały na blacie, przy którym wcześniej siedziała.

– Oczywiście, są naprawdę dobre.

Reba McClane miała około trzydziestki i ładną twarz dziewczyny rodem z prerii, ukształtowaną przez zgrabne kości i rozsądek. Na grzbiecie nosa widniała niewielka blizna w kształcie gwiazdy. Włosy, o barwie pszenicznej słomy i czerwonego złota, obcięte miała na pazia, wobec czego jej fryzura wyglądała cokolwiek niemodnie. Twarz i ręce pstrzyły sympatyczne i pogodne piegi. Na tle kafelków i nierdzewnej stali Reba McClane była kolorowa jak jesień.

Mógł patrzeć na nią do woli. Jego spojrzenie wędrowało po jej postaci równie swobodnie, jak lekki podmuch powietrza. Nie miała bowiem sposobu, aby je odparować.

Rozmawiając z kobietami, Dolarhyde często odczuwał na skórze coś w rodzaju ciepłych, mrowiących plam. Przesuwały się po nim ku miejscu, na które, jak mu się zdawało, kobieta akurat patrzyła. I nawet kiedy odwracała wzrok, podejrzewał, iż nadal śledzi jego odbicie. Zawsze był świadom istnienia powierzchni mogących odbijać obrazy, znał kąty odbicia jak rekin uwięziony w basenie zna zarys jego brzegów.

Lecz jego skóra była teraz chłodna. Jej zaś piegowata, głównie na gardle i na wewnętrznej stronie przegubów dłoni.

– Pokażę panu pomieszczenie, gdzie on chce ją ustawić – powiedziała Reba McClane. – Możemy zmierzyć, co trzeba.

Zmierzyli.

– Mam do pani wielką prośbę – rzekł wreszcie Dolarhyde.

– Słucham.

– Potrzebny mi jest film podczerwony, na zakres tysiąca nanometrów.

– Będzie go pan musiał trzymać w lodówce, i przed zrobieniem zdjęć, i potem.

– Wiem.

– Czy mógłby mi pan określić mniej więcej warunki, to może...

– Chodzi o filmowanie z odległości dwóch i pół metra, z dwoma filtrami Wrattena. – Zabrzmiało to trochę jak opis inwigilacji. – W ogrodzie zoologicznym – dodał jeszcze. – w „Świecie

Ciemności”. Chciałbym sfilmować życie zwierząt prowadzących nocny tryb życia.

– Pewnie są wyjątkowo płochliwe, skoro nie może pan użyć normalnie dostępnego filmu podczerwonego.

– Uhm.

– Jestem pewna, że da się to załatwić. Ale jest jedna sprawa. Wie pan, że większość naszego personelu pracuje nad zamówieniem dla Departamentu Obrony. Cokolwiek stąd wychodzi, musi być zarejestrowane.

– W porządku, podpiszę.

– Na kiedy pan potrzebuje ten film?

– Do dwudziestego. Nie później.

– Chyba nie muszę panu mówić, że im wrażliwszy film, tym trudniej się nim posługiwać. Trzeba mieć chłodziarki, suchy lód i tak dalej. Jeśli to pana interesuje, to o czwartej wyświetlają tu zwykłe próbki. Może pan sobie wybrać najodpowiedniejszą emulsję.

– Przyjdę.

Po wyjściu Dolarhyde’a Reba McClane przeliczyła śliwki. Wziął tylko jedną.

Dziwny człowiek, ten Dolarhyde. Kiedy włączyła światło, w jego głosie nie zabrzmiał niezręczny ton zaskoczenia, współczucia czy troski. Może już wcześniej wiedział, że jest niewidoma? Albo, daj Boże, miał to po prostu gdzieś?

To by było wreszcie coś nowego.

W Chicago odbywał się właśnie pogrzeb Freddyego Loundsa. „The National Tattler” opłacił niezwykle uroczyste nabożeństwo i tak wpłynął na przyspieszenie wszelkich formalności, że pogrzeb mógł odbyć się w czwartek, nazajutrz po śmierci. Dzięki temu w czwartkowym wieczornym wydaniu „Tattlera” mogły ukazać się zdjęcia.

Nabożeństwo w kaplicy trwało bardzo długo, a przy grobie jeszcze dłużej. Radiowy kaznodzieja wygłosił nie kończącą się i aż do obrzydliwości przesłodzoną mowę pochwalną. Graham żeglował po tłustych i wzburzonych falach swego kaca i obserwował tłum.

Wynajęty chór starał się udowodnić, iż nie bierze pieniędzy za darmo. Szumiały elektryczne silniki kamer reporterów „Tattlera”. Obecne były także dwie ekipy telewizyjne z kamerami na statywach i kilkanaście ręcznymi. Fotografowie policyjni, udający akredytowanych dziennikarzy, filmowali tłum.

Graham rozpoznał paru tajniaków z chicagowskiego wydziału zabójstw. Jedyne ich twarze coś mu mówiły.

Przyszła także Wendy z „Wendy City”, przyjaciółka Loundsa. Usiadła pod baldachimem, przy samej trumnie. Graham z trudem ją rozpoznał. Szesała blond perukę do tyłu i upięła ją w kok, a ponadto wdziała czarny kostium.

Kiedy śpiewano ostatni hymn, wstała niepewnie, zrobiła krok w przód, uklękła i oparła głowę na trumnie. W świetle fleszy aparatów fotograficznych rozpostarła dłonie na wieńcach z chryzantem.

Ludzie wychodzili z cmentarza po gąbczastej trawie w absolutnej ciszy.

Graham szedł obok Wendy. Tłum nieproszonych gapiów przyglądał się im przez kraty wysokiego żelaznego ogrodzenia.

– Jak się czujesz? – zapytał Graham.

Zatrzymali się wśród nagrobków. Oczy miała suche, patrzyła na niego spokojnie.

– Lepiej niż pan. Upił się pan, prawda?

– Prawda. Czy ktoś cię tu pilnuje?

– Dzielnica wysłała kilku ludzi. W klubie jest paru tajniaków. Interes kręci się, że aż miło. Przychodzi dużo więcej bzików niż zwykle.

– Przykro mi, że coś takiego ci się przydarzyło. Uważam, że tam, w szpitalu, byłaś po prostu wspaniała. Podziwiałem cię.

Skinęła głową.

– Freddy był równym gościem. Nie zasłużył na tak paskudną śmierć. Dzięki, że wprowadził mnie pan wtedy na sa... – Spojrzała gdzieś w dal, mrugając w zamyśleniu; jej makijaż sprawiał wrażenie, jak gdyby pomalowała oczy kamiennym pyłem. Wreszcie spojrzała mu prosto w oczy. – Przecież pan wie, że „Tattler” mi płaci. Domyślił się pan, prawda? Za wywiad i za rzucenie się na trumnę. Nie sądzę, żeby Freddy miał coś przeciwko temu.

– Byłby wściekły, gdybyś przepuściła taką okazję.

– Tak właśnie sobie pomyślałam. To idioci, ale płacą jak trzeba. Ale chodzi o to, że próbowali mnie namówić, żebym opowiedziała, jak to z całym rozmysłem pchnął pan Freddy’ego w łapy tego zbrojeńca. Przez to, że tak go pan obejmował na tym zdjęciu. Nic takiego nie powiedziałam. Jeśli coś takiego wydrukują, to bujda na resorach.

Graham milczał. Wendy wpatrywała się w jego twarz.

– Pan go pewnie nie lubił... To zresztą nie ma już znaczenia. Ale gdyby pan przewidział, że coś takiego się zdarzy, na pewno zasadziłby się pan na Lalę, prawda?

– Tak, Wendy. Nakryłbym go, jak nic.

– A czy wy w ogóle cokolwiek macie? Słyszałam tylko plotki, ale nic konkretnego.

– Niewiele mamy. Trochę danych z laboratorium, nic więcej. To była czysta robota, a zresztą facet ma cholerne szczęście.

– A pan?

– Co?

– Czy pan ma szczęście?

– Czasami.

– Freddy nigdy jakoś nie miał szczęścia. Powiedział mi, że teraz nareszcie się obłowi. Wszędzie wietrzył duże interesy.

– I pewnie by mu się udało.

– Ano, gdyby tak pan, no, tego, miał kiedyś ochotę na jednego, to u mnie zawsze znajdzie się butelczyna.

– Dzięki.

– Ale na ulicy niech pan trzyma szpan.

– Tak, jasne.

Dwóch policjantów utorowało Wendy drogę przez tłum ciekawskich i pomogło wydostać się za bramę. Jeden z gapiów miał na sobie koszulkę z wydrukowanym napisem: „Szczerbata Lala daje występ tylko jednej nocy”. Zagwizdał na Wendy. Stojąca obok niego kobieta strzeliła go w twarz.

Jakiś rosły policjant wcisnął się obok Wendy do samochodu i odjechali. Drugi, w wozie z cywilną rejestracją, ruszył za nimi.

W upalne popołudnie Chicago cuchnęło niczym wypalony bengalski ogień.

Graham czuł się samotny i wiedział, dlaczego. Pogrzeby często wywołują w nas potrzebę seksu: jeden zero dla śmierci.

U jego stóp wiatr grzechotał suchymi badyłami wieńców pogrzebowych. Z bólem przypomniał sobie liście palm szeleszczące na wietrze od morza. Pragnął wrócić do domu. lecz wiedział, że to niemożliwe, że tego nie zrobi, dopóki Smok nie zejdzie z tego świata.

Salka projekcyjna w Baeder Chemical była mała – pięć rzędów składanych krzesełek z przejściem pośrodku.

Dolarhyde się spóźnił. Stał z tyłu, z założonymi rękoma, patrząc, jak wyświetlają ujęcia szarych kart, potem różnokolorowych, a w końcu jakichś rozmaicie oświetlonych sześcianów sfilmowanych z użyciem rozmaitych emulsji.

Jego obecność podenerwowała Dandridge'a, młodego człowieka, który kierował pokazem. Dolarhyde miał bowiem autorytet. Był uznanym ekspertem od ciemni, pracował w macierzystej firmie i uchodził za perfekcjonistę.

Dandridge nie konsultował się z nim już od wielu miesięcy. Ta niegroźna rywalizacja między nimi rozpoczęła się w momencie, gdy Gateway wykupiło Baeder Chemical.

– Reba, podaj nam dane wywoływacza próbki numer... – osiem – powiedział Dandridge.

Reba McClane siedziała w ostatnim rzędzie z notatnikiem na kolanach. Przesuwając w półmroku palcem po kartach, głośno i wyraźnie podawała dane dotyczące wywoływania filmu. Określała chemikalia, temperaturę i czas oraz procedurę przechowywania przed i po sfilmowaniu.

Czułym filmem przystosowanym do promieni podczerwonych należy zajmować się w absolutnej ciemności. Reba wykonywała zatem wszystkie prace w ciemni, dzięki zastosowaniu kodu dotykowego utrzymując w porządku rozliczne próbki i prowadząc po ciemku całą kartotekę. Łatwo więc było ocenić jej przydatność dla Baedera.

Pokaz dobiegł końca.

Reba McClane nie wstała, mimo że pozostali wychodzili. Dolarhyde przezornie przywitał się z nią z daleka, zanim inni wyszli. Nie chciał, żeby poczuła się obserwowana.

– Myślałam, że pan nie zdążył – powiedziała.

– Miałem włączoną maszynę. Dlatego się spóźniłem. Zabłyśły światła. Stojąc nad nią spostrzegł czystą skórę jej głowy, prześwitującą wzdłuż przedziałka we włosach.

– Czy udało się panu zobaczyć próbkę tysiąc C?

– Tak.

– Mówili, że dobrze się prezentuje. Znacznie łatwiej się nią posługiwać niż serią tysiąc dwieście. Myśli pan, że się nada?

– Z pewnością.

Miała przy sobie torebkę i lekki, nieprzemakalny płaszcz. Cofnął się, kiedy weszła w przejście, by odszukać laskę. Najwyraźniej nie oczekiwała pomocy, więc sam się nie narzucał.

Dandridge wsunął głowę przez drzwi.

– Reba, kochanie, Marcia musi już pędzić. Poradzisz sobie jakoś?

Rumieniec zabarwił jej policzki.

– Poradzę sobie doskonale. Dziękuję ci, Danny.

– Podrzuciłbym cię, kochanie, ale jestem już spóźniony. Panie Dolarhyde, a może pan by tak...

– Danny... sama trafię do domu! – Pohamowała gniew. Nie знаła subtelności grania wyrazem twarzy, dlatego jej mina pozostała niewzruszona. Nie mogła jednak powstrzymać oblewających ją rumieńców.

Śledząc wszystko swymi żółtawymi, zimnymi oczyma, Dolarhyde doskonale rozumiał jej gniew; wiedział, że nieszczerze współczucie Dandridge'a odbierała niczym zniecka wymierzony policzek.

– Zabiorę panią – oświadczył, cokolwiek za późno.

– Nie. Ale dziękuję. – Miała nadzieję, że zaproponuje jej to znacznie wcześniej, a wtedy wyraziłaby zgodę. Nie chciała, żeby ktokolwiek czynił to pod przymusem. Do diabła z Dandridge'em, do diabła z jego niezgulstwem, pojedzie w końcu tym cholernym autobusem. Ma przecież bilet, zna drogę i może sobie, psiakrew, jechać, gdzie jej się żywnie podoba.

Guzdrała się w damskiej toalecie tak długo, dopóki wszyscy nie wyszli z budynku. Wypuścił ją portier.

Szła wzdłuż krawężnika wysepki parkingu, z płaszczem przeciwdeszczowym narzuconym na ramiona. Kierowała się w stronę przystanku, stukając laską w brzeg chodnika i wyczuwając kałuże, ilekroć koniec laski przecinał ich powierzchnię.

Dolarhyde obserwował ją z furgonetki. Jego uczucia zaniepokoiły go; za dnia stawały się niebezpieczne.

W zachodzącym słońcu przednie szyby aut, kałuże i rozpięte wysoko druty rozszczepiały światło niczym ostrza nożyczek.

Jej biała laska dodała mu otuchy. Zmiatała odblask nożyczek, zmiatała same nożyczki. Świadomość nieszkodliwości dziewczyny uspokoiła go. Zapuścił silnik.

Reba McClane usłyszała za sobą warkot furgonetki. Wóz był już tuż obok.

– Dziękuję, że mnie zaprosiłaś.

Skinęła głową, uśmiechnęła się i dalej postukiwała laską.

– Jedź ze mną.

– Dziękuję, ale zawsze jeżdżę autobusem.

– Dandridge to głupiec. Jedź ze mną... – jak to się w takich sytuacjach mówi? – dla mojej przyjemności.

Przystanąła. Usłyszała, że on wysiada z furgonetki.

W podobnych sytuacjach ludzie zazwyczaj chwyтали ją za przedramię, nie znajdując innego rozwiązania. Niewidomi nie lubią, gdy zakłóca im się równowagę, gdy ściska się ich za mięsień trójgłowy. Jest to dla nich równie nieprzyjemne, jak stanie na chybotliwej wadze. Jak wszyscy, nie lubią być popędzani.

Ale nie dotknął jej. Toteż stwierdziła po chwili:

– To może lepiej ja wezmę ciebie pod rękę.

Poznała już dotykiem wiele różnych ramion, ale jego ramię zdziwiło ją niepomiarnie. Było twarde niczym dębowa poręcz.

Nie domyślała się, jak wielkim wysiłkiem woli pozwolił się jej dotknąć.

Furgonetka sprawiała wrażenie dużej i wygodnej. Otoczona przez rezonanse i echa, tak różne od tych, jakie słyszała w innych samochodach, Reba McClane przytrzymała się brzegów składanego fotela, dopóki Dolarhyde nie zapiął jej pasów bezpieczeństwa. Taśma biegnąca przez ramię przygniotła jej pierś. Przesunęła ją bardziej na środek.

W czasie jazdy rozmawiali niewiele. Zatrzymując się na czerwonych światłach mógł się jej przyglądać do woli.

Mieszkała w lewej części bliźniaka, przy spokojnej uliczce w pobliżu Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona.

– Wejdz, przygotuję ci drinka.

Przez całe życie Dolarhyde nie odwiedził nawet tuzina prywatnych domów. A w ciągu ubiegłych dziesięciu lat był tylko w czterech: w swoim własnym, króciutko w domu Eileen, a później u Leedsów i Jacobich. Mieszkania obcych ludzi były dla niego czymś egzotycznym.

Poczuła kołysanie furgonetki, gdy wysiadał. Otworzyły się drzwiczki. Długi krok przy wysiadaniu. Zderzyła się z nim lekko. Przypominało to zderzenie z drzewem. Był znacznie cięższy, znacznie masywniejszy, niż można było sądzić po jego głosie. No i chód miał bardzo lekki. Kiedyś w Denver poznała bocznego obrońcę z Bronco, który przyjechał filmować apel „United Way” z niewidomymi dziećmi...

Przekroczywszy próg swego domu Reba McClane odstawiła w kącie łaskę i nagle stała się kobietą wolną. Poruszała się teraz bez trudu. Włączyła jakąś muzykę, powiesiła płaszcz.

Dolarhyde na chwilę stracił pewność, czy aby na pewno jest niewidoma. Przebywanie w cudzym domu podniecało go.

– Napijesz się dzinu z tonikiem?

– Sam tonik wystarczy.

– A może wolałbyś soku?

– Tonik.

– Nie pijesz alkoholu, tak?

– Właśnie.

– Chodź do kuchni. – Otworzyła lodówkę. – A może – szybko zbadała dłońmi jej zawartość – wolisz kawałek ciasta? Z orzeszkami? Powiadam ci, bomba!

– Znakomicie.

Wyjęła ciasto z lodówki i położyła je obok na blacie. Opuściwszy dłonie, rozpostarła palce, aż obwód tortownicy wskazał jej, że trzyma ją w pozycji wskazówek zegara o godzinie trzeciej i dziewiątej. Wówczas złączyła kciuki czubkami i opuściła je na powierzchnię placka, by dokładnie zlokalizować środek. Zaznaczyła to miejsce wykałaczką.

Dolarhyde próbował podtrzymać rozmowę, by nie poczuła na sobie jego wzroku.

– Od jak dawna pracujesz w Baederze? – W tych słowach nie było „s”.

– Od trzech miesięcy. Nie wiedziałeś o tym?

– Mówią mi tylko to, co niezbędne.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Pewnie musiałeś nadepnąć komuś na odcisk, kiedy projektowałeś te ciemnie. Wiesz, technicy cię za to kochają. Kanalizacja działa i jest mnóstwo kranów. Woda jest wszędzie, gdzie trzeba.

Wsparła środkowy palec lewej ręki na wykałaczkę, a kciuk na brzegu blachy i odkroiła plaster ciasta, prowadząc nóż wskazującym palcem lewej ręki.

Obserwował ją, jak posługuje się błyszczącym nożem. To dziwne, przyglądać się kobiecie do woli, stojąc z nią twarzą w twarz. Jak często w towarzystwie można patrzeć na to, na co akurat się chce?

Przyrzuciła sobie mocny dżin z tonikiem i przeszli do bawialni. Przesunęła dłoń ponad stojącą lampą i – nie poczuwszy ciepła – zapaliła ją.

Dolarhyde pochłonął swój placek w trzech szybkich kęsach i przysiadł sztywno na kanapie. Jego gładkie włosy lśniły w świetle lampy; potężne dłonie położył na kolanach. Reba odchyliła głowę na oparcie krzesła i wsparła stopy na brzeżku kanapy.

– Kiedy będą kręcili ten film w zoo?

– Może w przyszłym tygodniu. – Cieszył się, że zadzwonił do zoo i zaproponował im zrobienie filmu na tak czułej błonie. Dandridge może sobie sprawdzać.

– To wspaniałe zoo. Byłam tam z siostrą i siostrzenicą kiedy przyjechały mi pomóc w przeprowadzce. Wiesz, jest tam takie miejsce, w którym można się kontaktować ze zwierzętami. Przytuliłam się tam do lamy. W dotyku była bardzo miła, ale ten zapach... Człowieku! Dopóki nie zmieniłam bluzki, zdawało mi się, że ta lama wciąż za mną chodzi.

A więc tak wygląda prowadzenie rozmowy. Musiał coś powiedzieć albo wyjść.

– W jaki sposób trafiłaś do Baedera?

– Ogłaszali się w Instytucie Reikera w Denver, gdzie pracowałam. Któregoś dnia sprawdzałam tablicę ogłoszeń i przypadkiem natknęłam się na tę ofertę. To wyglądało tak, że Baeder musiał zrewidować swoją politykę zatrudnienia, żeby utrzymać ten kontrakt z Obroną. Na osiem wolnych miejsc udało im się wpakować siedem kobiet, trzech czarnych, trzech Latynosów, jednego Azjatę, jednego paralityka i jeszcze mnie. Rozumiesz, każdy z nas liczy się tam w dwóch kategoriach naraz.

– Okazałaś się dla Baedera doskonałym nabytkiem.

– Inni też. Baeder niczego nie daje za darmo.

– A przedtem?

Trochę się pocił. Rozmowa przychodziła mu z trudem. Podobało mu się jednak, że może patrzeć na dziewczynę. Miała ładne nogi. Goląc je, zacięła się w kostkę. Wzdłuż ramion czuł jakby ciężar jej dziwnie bezwładnych nóg.

– Jeszcze do niedawna szkoliłam ociemniałych w Instytucie Reikera w Denver, przez całe dziesięć lat po ukończeniu szkoły. To moja pierwsza praca na zewnątrz.

– Na zewnątrz czego?

– No, w szerokim świecie. W Instytucie czułam się jak odcięta na wyspie. Uczyliśmy naszych podopiecznych, jak żyć w świecie ludzi widzących, chociaż sami żyliśmy poza nim. Za dużo czasu przegadaliśmy we własnym gronie. Pomyślałam więc, że wyjadę i pokręcę się trochę po świecie. Właściwie to chciałam się zająć leczeniem dzieci z wadami mowy i słuchu. I chyba jeszcze kiedyś do tego wrócę. – Wysączyła kieliszek do dna. – Ej, mam tu jeszcze trochę tych małych pulpetów z

krabów pani Paul. Są całkiem niezłe. Nie powinnam podawać najpierw deseru. Zjesz?

– Uhm.

– Gotujesz?

– Ehem.

Na jej czole pojawiła się drobniutka zmarszczka. Weszła do kuchni.

– A może kawy?

– Aha.

Rzuciła kilka banałów o cenach artykułów spożywczych, ale nie usłyszała odpowiedzi. Wróciła do bawialni i przysiadła na kanapie, wspierając łokcie na kolanach.

– Porozmawiajmy o jednej rzeczy, żebyśmy mieli to w końcu z głowy. Dobra?

Cisza.

– Nic nie powiedziałaś. Nic a nic, odkąd wspomniałam o leczeniu wad wymowy. – Jej głos brzmiał łagodnie, ale stanowczo. Nie było w nim ani śladu współczucia. – Świetnie cię rozumiem, bo mówisz bardzo dobrze, no a ja potrafię słuchać. Ludzie często nie zwracają uwagi na to, co się mówi. Przez cały czas dopytują: „Jak? Jak? że co?”. Jeśli nie chcesz rozmawiać, to nie ma sprawy. Ale ja mam nadzieję, że sobie pogadamy. Przecież umiesz mówić, a mnie interesuje to, co masz do powiedzenia.

– Acha. No dobrze – mruknął cicho Dolarhyde. Rzecz jasna, to małe przemówienie było dla niej bardzo ważne. Czyżby zapraszała go do klubu dwóch kategorii, wraz z sobą i chińskim paralitykiem? Zastanawiał się, co może być tą jego drugą kategorią.

Jej następne pytanie zabrzmiało dla niego wprost niewiarygodnie.

– Czy mogę dotknąć twojej twarzy? Chcę wiedzieć, czy się uśmiechasz, czy może marszczysz czoło. – Uśmiechną się jakby z przymusem. – Chciałabym po prostu mieć jakąś wskazówkę, czy mówić dalej, czy najzwyczajniej powinnam się zamknąć.

Uniosła dłoń i czekała.

Jak by sobie radziła, gdyby jej odgryzł palce, pomyślał Dolarhyde. Mógłby to zrobić bez trudu nawet tymi zębami, które zakładał wychodząc na ulicę. Gdyby tak zapał się stopami o podłogę i chwycił ją oburącz za przegub, z pewnością nie zdołałaby cofnąć ręki. Chrup, chrup, chrup chrup; kciuk może by jej zostawił. Do odmierzenia ciasta.

Ujął jej nadgarstek kciukiem i palcem wskazującym i odwrócił jej kształną, choć zniszczoną dłoń do światła. Widniało na niej sporo blizn, a także kilka świeżych skaleczeń i otarć. Gładka blizna

na grzbiecie dłoni mogła być śladem po oparzeniu.

Zbyt blisko domu. Zbyt wcześnie, jak na jego przeistoczenie. I gdyby jej zabrakło, nie miałby na kogo patrzeć. Jeżeli poprosiła o coś tak niewiarygodnego, zapewne nie wiedziała nic o jego sprawach osobistych. Z pewnością unikała plotek.

– Musisz mi uwierzyć na słowo, że właśnie się uśmiecham – powiedział. Tym razem z „s” poszło mu całkiem łatwo. Bo naprawdę w pewnym sensie uśmiechał się teraz, odsłaniając swe ładne zęby, których używał wychodząc z domu.

Przesunął jej nadgarstek nad kolana i puścił. Dłoń dziewczyny opadła jej na udo i zwarła się nieco; palce sunęły po tkaninie niczym jakieś przedziwne, odwrócone narządy wzroku.

– Coś mi się zdaje, że kawa już gotowa – stwierdziła.

– Pójdę już. – Musiał iść. Do domu, by tam znaleźć ulgę.

Skinęła głową.

– Jeżeli cię obraziłam, to wiedz, że nie miałam takiego zamiaru.

– Wiem.

Pozostała na kanapie, nasłuchując, czy zamek w drzwiach zatrzaśnie się po jego wyjściu.

Przyrzędziła sobie jeszcze jeden dzin z tonikiem. Nastawiła płytę Segovii i skuliła się na kanapie. Dolarhyde pozostawił w poduszce ciepłe zagłębienie. Ślady jego obecności wciąż jeszcze wisiały w powietrzu. Zapach pasty do butów, nowego skórzanego paska, dobrej wody po goleniu.

Jakiż to niebywale skryty człowiek. W pracy słyszała na jego temat ledwie kilka uwag. Dandridge rzucił kiedyś do jednego ze swych pochlebców: „ten skurwysyn Dolarhyde”.

Skrytość była dla Reby niezwykle ważna. W dzieciństwie, kiedy uczyła się radzić sobie po utracie wzroku, była zupełnie pozbawiona poczucia intymności.

Teraz wśród ludzi nigdy nie była pewna, czy nie jest obserwowana. Dlatego też poczucie prywatności Francisca Dolarhydea bardzo do niej przemawiało. Nie miała dla niego ani krzty współczucia i właśnie to było dobre.

Dzin także był dobry.

Nagle Segovia zabrzmiał jakoś dziwnie. Nastawiła więc płytę ze śpiewem wielorybów.

Trzy trudne miesiące spędzone w zupełnie nowym mieście. Trzeba będzie stawić czoło zimie, nauczyć się szukania krawężników pod śniegiem. Reba McClane, długonoga i dzielna, potępiła litowanie się nad samym sobą. Odrzucała tego typu litość. Była świadoma ogromu gniewu, jakże typowego dla kalek, który krył się w jej duszy, i choć nie potrafiła się go pozbyć, to przekształciła go

w pozytywną siłę napędową dążenia do niezależności, utwierdzając się w przekonaniu, że z każdego dnia musi wyciskać, ile się tylko da.

Na swój sposób była twarda. Wiedziała, że wiara w jakąkolwiek naturalną sprawiedliwość jest tylko lampką zapaloną w nocy dla bojących się mroku dzieci. I że cokolwiek by robiła, skończy tak samo, jak inni: leżąc płasko na wznak, z rurką podłączoną do nosa, i zastanawiając się: „czy to już koniec?” Wiedziała, że już nigdy nie ujrzy światła, ale może mieć inne rzeczy. Takie, które przynoszą radość. Czerpała więc satysfakcję z niesienia pomocy swoim uczniom, tym silniejszą, że zdawała sobie sprawę, iż nie czeka jej za to ani kara, ani nagroda.

Nawiązując przyjaźnie wystrzegła się ludzi, którzy podsycają przeróżne formy zależności, by czerpać z nich swą siłę. Kilkakrotnie zaangażowała się w związki z takimi osobnikami; niewidomi zwykle ich przyciągają, nie wyczuwając w nich wrogów.

Zaangażowała się. Reba wiedziała, że pociąga mężczyzn fizycznie. Bóg świadkiem, że wielu ujmując ją pod rękę próbowało ją zarazem obmacywać.

Bardzo lubiła seks, lecz już wiele lat temu poznała zasadniczą prawdę o mężczyznach: większość z nich przeraża perspektywa wzięcia sobie na barki dodatkowego ciężaru A w jej przypadku obawa ta rosła szczególnie.

Nie chciała, żeby mężczyzna wślizgiwał się chyłkiem do jej łóżka, a potem wymykał się niczym lis, który zakradł się do kurnika.

Ralph Mandy przychodził czasem i brał ją na obiad. Skomlał tchórzliwie, że życie przeraża go tak bardzo, iż czuje się niezdolny do miłości. Ostrożny Ralph powtarzał to nazbyt często i tym właśnie ją zraził. Był nawet zabawny, ale nie chciała go mieć na własność.

Nie chciała widywać się z Ralphem. Nie miała ochoty na rozmowy, na wyłapywanie zawieszania zdań przy stolikach dookoła, ilekroć ktoś obcy przyglądał się, jak ona je.

Jakże by było miło, gdyby zapragnął jej ktoś, kto miałby odwagę po prostu odejść albo zostać i kto ceniłby ją dokładnie za to samo. Ktoś, kto by się o nią nie martwił.

Francis Dolarhyde – nieśmiały, zbudowany jak piłkarz, nie chrzaniący głupot.

Dotychczas nie widziała ani nie dotykała zajęczej wargi, toteż nie miała żadnych wzrokowych skojarzeń z wydobywającymi się spod niej dźwiękami. Zastanawiała się, czy Dolarhyde przypadkiem nie uważa, że ona rozumie go bez trudu, ponieważ „niewidomi słyszą o wiele lepiej niż my”. – Był to powszechnie uznany mit. Kto wie, może zdołałaby mu wyjaśnić, że to nieprawda, że niewidomi co najwyżej zwracają tylko większą uwagę na wszystko, co słyszą.

Na temat ociemniałych kursuje mnóstwo błędnych pojęć.

Zastanawiała się, czy Dolarhyde podziela obiegowy pogląd, że niewidomi są ludźmi „czystsze serca” niż większość ich bliźnich, jakoby dlatego, że kalectwo uświęca ich na swój sposób. Uśmiechnęła się pod nosem. To również nie było prawdą.

Chicagowska policja pracowała pod ciągłym ostrzałem środków masowego przekazu i codziennego „odliczania” w wieczornych wiadomościach dni, jakie pozostały do następnej pełni księżyca. Zostało ich jedenaście.

Wszystkie miejscowe rodziny były przerażone.

Jednocześnie rosła frekwencja na filmach grozy, nawet tych, które powinny zejść z ekranów najgorszych kin w ciągu tygodnia. Fascynacja i groza. Przedsiębiorca, który zasypał rynek trafiając w upodobania zwolenników punkowej muzyki rockowej i wyprodukował koszulki ze Szczerbatą Lalą, wystąpił z następną serią, tym razem opatrzoną napisem: „Czerwony Smok daje występ tylko jednej nocy”. Ta druga seria sprzedawała się równie dobrze.

Jack Crawford musiał po pogrzebie stawić się na konferencji prasowej z udziałem wyższych funkcjonariuszy policji. Żądała tego „góra”, chcąc, by obecność władz federalnych możliwie jak najbardziej rzucała się w oczy. Nie rzucała się jednak w uszy, ponieważ nie odezwał się tam ani słowem.

Śledztwo prowadzone przez całe zastępy ludzi, którzy nie mają dostatecznych danych, zaczyna w końcu kręcić się w kółko, dreptać w tym samym miejscu aż do zupełnego udeptania podłoża. Przybiera kolisty kształt szczytu trąby powietrznej lub zera.

Gdziekolwiek Graham się ruszył, wszędzie napotykał detektywów, kamery, pędzący dokądś tłum umundurowanych ludzi. Słyszał ustawiczny jazgot nadajników radiowych. A on potrzebował spokoju.

Crawford, wzburzony udziałem w konferencji prasowej odszukał Grahama dopiero o zmierzchu. Zastał go w zaciszu rzadko używanego pokoju dla przysięgłych, nad biurem prokuratury.

Jasne lampy zwisały nisko nad pokrytym zielonym suknem stołem, gdzie Graham porozkładał papiery i fotografie. Zdjął marynarkę, rozluźnił krawat, po czym rozwalił się wygodnie w fotelu, zapatrzony w dwa zdjęcia. Przed nim stała oprawna w ramki fotografia Leedsów, obok niej zaś do wspartego o karafkę notesu, przypięte było zdjęcie Jacobich.

Zdjęcia Grahama przypominały Crawfordowi przenośny ołtarzyk torreadora, który można bez trudu ustawić w każdym pokoju hotelowym. Nie było tu jednak żadnej fotografii Loundsa. Doszedł do wniosku, że Graham wcale nie myśli o sprawie dziennikarza. A więc nie musi się martwić o Grahama.

– Wygląda tu jak w melinie bukmachera – odezwał się Crawford.

– Zagadałeś ich na śmierć? – Graham był blady, ale trzeźwy. Trzymał w ręku litr soku pomarańczowego

– O Jezus! – Crawford osunął się na krzesło. – Spróbowałbyś tam myśleć. To równie wygodne,

jak sikanie w pociągu.

– Było coś ciekawego?

– Szef policji pocił się nad pytaniami, które mu zadawali, a poza tym drapał się w jaja przed kamerami telewizji. To była jedyna godna uwagi rzecz, jaką tam widziałem. Jeśli nie wierzysz, to obejrzyj wiadomości o szóstej i jedenastej.

– Chcesz trochę soku?

– Wolałbym połknąć drut koleczasty.

– Dobra. Zostanie więcej dla mnie. – Twarz Grahama była ściągnięta. Jego oczy za bardzo błyszczały. – A co z benzyną?

– Niech Bóg błogosławi Lizę Lake. W obrębie wielkiego Chicago jest czterdzieści jeden koncesjonowanych stacji Servco Supreme. Chłopcy kapitana Osborne’a obkoczyli je wszystkie, zbierając dane o sprzedaży benzyny do kanistrów ludziom prowadzącym furgonetki lub ciężarówki. Póki co, nic nie mają, tyle że nie gadali jeszcze z ludźmi ze wszystkich zmian. Servco ma jeszcze sto osiemdziesiąt sześć innych stacji rozsypanych po ośmiu stanach. Poprosiliśmy o pomoc tamtejsze organa ścigania. Zajmie nam to jakiś czas. Jeżeli Bóg choć trochę mi sprzyja, to tamten facet musiał się posłużyć kartą kredytową. Jest jakaś szansa.

– Nie ma, jeżeli Lala potrafi wyciągać benzynę z baku.

– Prosiłem szefa policji, żeby nie puszczał pary z gęby, że być może Lala mieszka gdzieś tu, na tym obszarze. Ludzie i tak są dostatecznie przerażeni. Gdyby to ogłosił, podniósłby się wrzask jak jasna cholera.

– Więc nadal uważasz, że on jest gdzieś w pobliżu?

– A ty nie? Na to wygląda, Will. – Crawford sięgnął po protokół sekcji zwłok Loundsa i przyjrzał mu się przez okulary. – Siniec na głowie był wcześniejszy niż obrażenia ust. Wcześniejszy o jakieś pięć do ośmiu godzin, co do tego nie są pewni. Ale obrażenia ust, gdy już przywieźli Loundsa do szpitala, i tak liczyły sobie wtedy ładną parę godzin. Z zewnątrz wargi były nadpalone, za to badając usta od środka mogli wydać opinię. Zachowało się w nich trochę chloroformu w... no, gdzieś tam w przewodzie oddechowym. Myślisz, że stracił świadomość, zanim Lala go pogryzł?

– Nie. Bo tamten chciał, żeby był przytomny.

– Też tak uważam. A więc w porządku; daje mu po łbie i po krzyku. To dzieje się jeszcze w garażu. Musi go uciszyć za pomocą chloroformu, póki nie przewiezie go w jakieś miejsce, gdzie hałas nie będzie miał większego znaczenia. Później odwozi go z powrotem, wiele godzin po ugryzieniu.

– Mógł to wszystko zrobić w furgonetce, zaparkowanej gdzieś na odludziu – powiedział Graham.

Crawford rozcierał sobie palcami nos po bokach, stąd też jego głos zabrzmiał jak z megafonu.

– Zapominasz o kółkach od wózka. Bev zebrała z nich dwa rodzaje włókien dywanowych: wełniane i syntetyczne. Te syntetyczne mogą pochodzić z furgonetki, ale czyś kiedy widział, żeby ktoś wyścielał wnętrze furgonetki wełnianym dywanem? Ile prawdziwych dywanów widziałeś w jakichkolwiek miejscach do wynajęcia? Raczej cholernie mało. Wełniany dywan oznacza dom. Will. A ziemia i pleśń pochodziły z jakiegoś ciemnego miejsca, gdzie przechowywano ten wózek. Z piwnicy z klepiskiem.

– Możliwe.

– A teraz spójrz na to. – Crawford wyjął z teczki Atlas drogowy Randa McNally’ego. Zakreślił okrąg na mapie Stanów Zjednoczonych, tej, która podawała odległości w milach i określała szacunkowo czas jazdy. – Freddy zniknął na nieco ponad piętnaście godzin, a jego obrażenia pochodzą z tego okresu. Muszę przyjąć kilka założeń; nie lubię tego robić, ale cóż... Z czego się śmiejesz?

– Po prostu przypomniało mi się, jak prowadziłeś te ćwiczenia terenowe w Quantico... Kiedy ten kursant oświadczył ci, że właśnie coś sobie założył.

– Nie pamiętam. Otóż...

– Kazaleś mu napisać na tablicy „założyć”. Później wzięłaś krede i kreśląc po tablicy wykrzykiwałeś mu prosto w twarz: „Założyć, to sobie możesz nogę na nogę albo stryczek na szyję!” Tak właśnie mówiłeś.

– Dobrze się zapowiadał, tylko potrzeba mu było jeszcze tęgiego kopa w dupę. A teraz popatrz no tutaj. Przypuśćmy, że kiedy wywoził Loundsa z miasta, facet miał kłopoty brnąć przez te korki uliczne, jakich w Chicago nie brak we wtorek po południu. Dodajmy jeszcze te kilka godzin, podczas których majstrował przy Loundsie tam, dokąd go zabrał, a potem jeszcze czas, jaki musiał zużyć na drogę powrotną. Nie mógł odjechać dalej niż na odległość sześciu godzin jazdy z Chicago. Widzisz, ta linia jest trochę falista, bo niektóre z tych szos są szybsze od innych.

– A może on zwyczajnie, nigdzie się stąd nie ruszał?

– Może, ale to wyznacza najdalszą odległość, na jaką mógł odjechać.

– Więc ograniczasz się do Chicago albo do terenu, na którym leżą Milwaukee, Madison, Dubuque, Peoria, St. Louis, Indianapolis i Detroit ze wymienię tylko kilka możliwości.

– Wcale nie, lepiej. Wiemy, że bardzo szybko zdobył egzemplarz „Tattlera”. Prawdopodobnie już w poniedziałek wieczorem.

– Mógł go kupić w Chicago.

– Wiem, ale jeśli wyjedzie się z miasta, to niełatwo dostać „Tattlera” wieczorem. Oto lista z biura kolportażu „Tattlera”. Miejscowości zawarte wewnątrz koła to te, do których gazeta

dostarczana jest samolotami lub ciężarówkami właśnie w poniedziałek wieczorem. Spójrz, to pozostawia nam tylko Milwaukee, St. Louis, Cincinnati, Indianapolis i Detroit. „Tattler” idzie więc na lotniska i być może do dziewięćdziesięciu kiosków z gazetami, które czynne są przez całą noc, nie licząc tych w Chicago. Zamierzam je sprawdzić przy pomocy biur terenowych. Być może któryś z kioskarzy zapamiętał sobie dziwnego klienta w poniedziałek wieczorem.

– Może. To dobry ruch, Jack.

Najwyraźniej Graham błądził myślami gdzie indziej.

Gdyby Graham był etatowym agentem, Crawford postraszyłby go dożywotnim zesłaniem na Aleuty. Zamiast tego oświadczył:

– Mój brat telefonował po południu. Powiedział, że Molly opuściła jego dom.

– Tak.

– Pewnie pojechała w jakieś bezpieczne miejsce? Graham był przekonany, że Crawford dokładnie wie, dokąd się udała.

– Do dziadków Willy’ego.

– Cóż, bardzo się ucieszą, gdy zobaczą dzieciaka. – Crawford zamilkł, czekając na komentarz Grahama.

Nie doczekał się.

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

– Pracuję, Jack. Nie przejmuj się tym. Wiesz, ona po prostu za bardzo się tam denerwowała.

Spod stosu zdjęć z pogrzebu Graham wyciągnął płaską paczkę przewiazaną sznurkiem i zaczął rozsupływać węzeł.

– Co to takiego?

– Przesyłka od Byrona Metcalfa, prawnika Jacobich. Dostałem ją od Briana Zellera. Wszystko w porządku.

– Zaczekaj, pozwól, że to obejrzę. – Crawford przez chwilę obracał paczkę i inicjały „SF” – „Semper Fidelis” należące do Ayneswortha, szefa działu materiałów wybuchowych – gwarancję, że paczka została prześwietlona.

– Zawsze wszystko sprawdzaj. Zawsze.

– Sprawdzam, Jack.

– To Chester ci ją przyniósł?

– Tak.

– Czy zanim ci ją wręczył, pokazał ci tę pieczętkę?

– Sprawdził ją i pokazał. Graham przeciął sznurek.

– To kopie wszystkich dokumentów spadkowych związanych z majątkiem Jacobich. Prosiłem Metcalfa, żeby mi je przysłał... Możemy je porównać z dokumentami Leedsów, jak nadejdą...

– Nasz prawnik już się tym zajmuje.

– Potrzebne mi te papiery. Nie znałem Jacobich, Jack. Byli w tym mieście zupełnie nowi. Dotarłem do Birmingham o miesiąc za późno, kiedy ich rzeczy już pogubiono i rozpieprzono. Dobrze wyczuwam Leedsów. Ale nie Jacobich. Muszę ich poznać. Chcę porozmawiać z ludźmi, którzy znali ich w Detroit. I chcę jeszcze posiedzieć parę dni w Birmingham.

– Ale ja potrzebuję cię tutaj!

– Słuchaj, Lounds był zwyczajną podpuchą. To my spowodowaliśmy, że on się wściekł na Loundsa. Jedyne związki Lali z Loundsem to ten, który my sami sfabrykowaliśmy. W sprawie Loundsa jest bardzo mało dowodów, zresztą zajmuje się tym policja. Lounds go jedynie wyprowadził z równowagi, natomiast Leedsów i Jacobich Lala potrzebował. Musimy odkryć związki pomiędzy nimi. Jeżeli kiedykolwiek uda nam się go złapać, to właśnie w ten sposób.

– Więc możesz przejrzeć papiery Jacobich tutaj – powiedział Crawford. – Ale czego konkretnie szukasz?

– Czegokolwiek, Jack. W tej chwili interesują mnie wywody lekarskie. – Graham wyciągnął z paczki kopie formularzy podatkowych. – Lounds był przecież w wózku inwalidzkim. Medycyna. Valerie Leeds mniej więcej sześć tygodni przed śmiercią przeżyła operację... przypominasz sobie ten jej pamiętnik? Mała cysta na piersi. Znowu medycyna. Zastanawiałem się więc, czy i pani Jacobi przeszła jakąś operację.

– Nie przypominam sobie, żeby w protokole sekcji zwłok była mowa o jakiejś operacji.

– Nie, ale to mogło być coś niewidocznego na pierwszy rzut oka. Jej związki z medycyną dzielą się na Detroit i Birmingham. Mogło się nam więc coś po drodze zapodziać. Jeśli miała jakąś operację, to powinno tu być podanie o odpis podatkowy i papiery związane z odszkodowaniem. – Więc sądzisz, że to jakiś wędrowny sanitariusz? I że pracował w obu miejscach, w Detroit albo Birmingham i w Atlancie?

– Siedząc w szpitalu podpatruje się rozmaite rzeczy.

Później po wyjściu, z powodzeniem można udawać sanitariusza i podłapać odpowiednią pracę – stwierdził Graham.

– Zjesz obiad?

– Później. Po jedzeniu robię się ociężały umysłowo.

Wychodząc, Crawford zerknął jeszcze na Grahama z mrocznej głębi drzwi. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Zwisające nisko lampy podkreślały zapadłe policzki Grahama, kiedy studiował papiery, a źrenice ofiar wpatrywały się w niego z fotografii. W pomieszczeniu wisiał zapach rozpachy.

A może lepiej by było wyłączyć Grahama ze sprawy? Crawford nie mógł pozwolić, żeby Will spalał się tu niepotrzebnie. Ale jeżeli potrzebnie?...

To nie litość, lecz zwyczajny instynkt kazał Crawfordowi zostawić Grahama w spokoju.

Do dziesiątej wieczorem Dolarhyde osiągnął stan niemal zupełnego wyczerpania: podnosił ciężary, oglądał swoje filmy i próbował zyskać uspokojenie. Wciąż jednak był niespokojny.

Ilekczo zaczął myśleć o Rebie McClane, podniecenie kołatało w jego piersi niczym jakiś zimny medalion. Powinien wybić ją sobie z głowy.

Wyciągnięty na leżance, spocony i zaczerwieniony od ćwiczeń, oglądał dziennik telewizyjny, by przekonać się, jak też policja radzi sobie ze sprawą Freddy'ego Loundsa.

Na pogrzebie był Will Graham. Stał obok trumny na tle zawodzącego chóru. Był szczupły. Łatwo byłoby mu złamać kręgosłup. To lepsze niż zabicie go. Złamać mu kręgosłup i jeszcze przekreślić w bok, tak dla pewności. Na następne śledztwo mogliby go przywieźć w wózku.

Nie ma pośpiechu. Niech Graham zasmakuje strachu.

Dolarhyde'a przepełniało teraz spokojne poczucie własnej mocy.

Policja miejska Chicago narobiła szumu na konferencji prasowej. Ale cała ta wrzawa i pokrzykiwanie o tym, jak to ciężko pracują, zdradzały jedno: w sprawie Freddy'ego brak postępów. Jack Crawford był w grupie siedzącej za mikrofonami. Dolarhyde rozpoznał go dzięki zdjęciu w „Tattlerze”.

Rzecznik prasowy „Tattlera”, otoczony przez goryli, oświadczył: „Ten zwyrodniały, bezsensowny czyn sprawi, że głos „Tattlera” będzie odtąd rozbrzmiewał znacznie głośniejsze”.

Dolarhyde parsknął śmiechem. Może i tak. Ale na razie sprawił tylko, że Freddy zamknął się na dobre.

Spikerzy telewizyjni nazywali go teraz „Smokiem”. A jego wyczyny określali mianem „bestialstw, jak to niegdyś mawiała policja «Szczerbatej Lali»,,.

Znaczny postęp.

Zostały już tylko wiadomości lokalne. Jakiś gbur z końską szczęką relacjonował coś z zoo. Jak nic wysyłają go gdziekolwiek, byle dalej od studia.

Dolarhyde sięgał już po pilota, gdy nagle ujrzał na ekranie człowieka, z którym rozmawiał przez telefon kilka godzin wcześniej: dyrektora zoo, doktora Franka Warfielda, który tak się ucieszył z zaproponowanego mu filmu.

Doktor Warfield i dentysta zajmowali się tygrysem, który złamał ząb. Dolarhyde też chciał zobaczyć tygrysa, ale zasłaniał go reporter. Wreszcie dziennikarzyna usunął się.

Rozparty na leżance, patrząc na ekran wzdłuż swego potężnego torsu, Dolarhyde ujrzał w końcu

wielką bestię, uśpioną i rozciągniętą na stole zabiegowym.

Dziś usuwali tylko ząb; za kilka dni założą mu koronę – relacjonował osioł.

Dolarhyde przyglądał się, jak dentysta spokojnie manipuluje pomiędzy szczękami straszliwego, pręgowanego łba.

Czy mogę dotknąć twojej twarzy? – spytała panna Reba McClane.

Chciał coś powiedzieć Rebie. Chciał, żeby miała choć słabe przeczucie tego, co niemal zrobiła. Chciał, żeby przez mgnienie oka była świadkiem jego chwały. Ale nie mogła dostąpić tego, a jednocześnie pozostać przy życiu. A ona musi żyć – widziano go w jej towarzystwie, no i mieszkała zbyt blisko.

Próbował dzielić się swymi wrażeniami z Lecterem, a on go zdradził.

Chciałby się jednak z kimś podzielić. Chciałby podzielić się choć trochę z Rebą, w taki sposób, żeby mogła przeżyć.

– Ja wiem, że to polityka, ty wiesz, że to polityka, ale teraz też bawisz się mniej więcej w to samo – tłumaczył Crawford Grahamowi, kiedy późnym popołudniem szli State Street Mali do gmachu FBI. – Rób to, co do tej pory, znajdź mi tylko wszelkie analogie, a już ja się zajmę resztą.

Policja miejska Chicago zwróciła się do działu analiz psychologicznych FBI z prośbą o szczegółową ocenę sylwetek ofiar. Rzekomo chcieli wykorzystać te dane do opracowania rozmieszczenia dodatkowych patroli podczas pełni księżyca.

– Próbują tylko chronić własne dupy – dowodził Crawford, potrząsając torebką frytek. – Ofiary wywodziły się z ludzi zamożnych, więc trzeba rozmieścić patrole w bogatych dzielnicach. Wiedzą, że podniesie się wrzask jak jasna cholera... odkąd spłonął Freddy, szefowie okręgów żrą się ze sobą o dodatkowe posiłki. Więc jeżeli będą patrolować dzielnice zamożnej klasy średniej, a on uderzy na slumsy, to niech Bóg ma w swej opiece ojców miasta! Tyle że w razie czego będą mogli zwalić wszystko na tych cholernych federalnych. Już to słyszę.....To oni nam tak kazali. To ich robota”.

– Nie sądzę, żeby istniało większe prawdopodobieństwo, że on uderzy w Chicago, a nie gdzie indziej – rzekł Graham. – Nie ma podstaw do takiego wniosku. To nieobliczalny bzik. Dlaczego Bloom nie może opracować tych danych? Jest przecież konsultantem na Wydziale Behawioryzmu.

– Oni nie chcą jego opinii, tylko naszej. Zwalanie winy na Blooma nic by im nie dało. A zresztą on jeszcze nie wyszedł ze szpitala. Dostałem polecenie, żeby się tym zająć. Ktoś z Kapitolu rozmawiał z Ministerstwem Sprawiedliwości. Góra każe to załatwić. Więc jak?

– Zgoda. Ostatecznie i tak się tym zajmuję.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził Crawford. – Po prostu rób dalej swoje.

– Wolałbym wrócić do Birmingham.

– Nie – uciął Crawford. – Zostaniesz ze mną.

Na zachodzie dogorywały ostatnie blaski piątkowego wieczoru. Zostało dziesięć dni.

– Możesz mi wreszcie zdradzić, dokąd mnie zabierasz? – spytała Reba McClane po dziesięciu minutach jazdy furgonetką Dolarhyde’a. Miała nadzieję, że na piknik.

Furgonetka zatrzymała się. Reba usłyszała, jak Dolarhyde opuszcza szybę po swojej stronie.

– Jestem Dolarhyde – powiedział. – Doktor Warfield zostawił mi przepustkę.

– Tak, proszę pana. Zechce pan wsunąć to pod wycieraczkę po wyjściu z wozu.

Ruszyli powoli. Reba wyczuła lekki zakręt drogi. Dziwne, duszące zapachy. Ryk słonia.

– Zoo – powiedziała. – Cudownie! – Wolałaby wprawdzie piknik, ale co tam, też dobrze. – Kim jest ten doktor Warfield?

– Dyrektorem zoo.

– To twój znajomy?

– Nie. Ale oddaliśmy mu przysługę z tym filmem, więc teraz się rewanżują.

– W jaki sposób?

– Będiesz mogła dotknąć tygrysa.

– A to ci niespodzianka!

– Czy widziałaś kiedyś tygrysa?

Ucieszyła się, że zdobył się na takie pytanie.

– Nie. Z dzieciństwa pamiętam pumę. Tylko ją mieli w zoo w Red Deer. Porozmawiajmy o tym chwilkę.

– Właśnie leczą tygrysowi ząb. Muszą go... uspić. Jeśli chcesz, będziesz go mogła dotknąć.

– Czy będzie tam tłum ludzi?

– Nie. Żadnej publiczności. Tylko Warfield, ja i jeszcze parę osób. Telewizja wejdzie dopiero po nas. To jak, chcesz?

Pytanie zabrzmiało dziwnie natarczywie.

– Tam do licha, pewnie, że chcę! Dziękuję. To wspaniała niespodzianka.

Furgonetka zatrzymała się.

– Hm, a skąd będzie wiedziała, że on już smacznie śpi?

– Połaskocz go. Jeśli się zaśmieje, bierz nogi za pas.

W sali zabiegowej Reba wyczuła pod butami linoleum.

Pomieszczenie było chłodne, rozbrzmiewało zwielokrotnionym echem. Z daleka promieniowało ciepło.

Rytmiczne szuranie ciężkich stóp – to Dolarhyde poprowadził ją w bok, aż poczuła napór ścian w rogu sali.

Zwierzę już tu było, czuła jego zapach.

Czyjś głos.

– Teraz do góry. Spokojnie. I w dół. Czy możemy zostawić pod nim pasy, doktorze Warfield?

– Tak. Owińcie tę poduszkę jednym z zielonych ręczników i wsuńcie mu ją pod głowę. Jak skończymy, przyślę po was Johna.

Oddalające się kroki.

Czekała, że Dolarhyde coś jej powie. Ale milczał.

– Jest tutaj – odezwała się więc.

– Dziesięciu mężczyzn przydźwigało go na pasach. Jest olbrzymi. Ma trzy i pół metra długości. Doktor Warfield osłuchuje mu właśnie serce. Teraz zagląda mu pod powiekę. A oto i on.

Ktoś stanął przed nią, wytłumiając echa.

– Doktor Warfield, Reba McClane – przedstawił Dolarhyde.

Wyciągnęła rękę. Ujęła ją czyjaś duża, miękka dłoń,

– Dziękuję, że pozwolił mi pan tu przyjść – powiedziała. – To wielka frajda.

– To ja się cieszę, że mogła pani przyjechać. Nareszcie jakaś odmiana. A przy okazji, jesteśmy bardzo wdzięczni za film.

Głęboki, kulturalny głos zdradzał, że doktor Warfield jest w średnim wieku. Przypuszczała, że pochodzi z Virginii.

– Zanim doktor Hassler przystąpi do zabiegu, musimy poczekać i sprawdzić, czy zwierzę oddycha regularnie i czy ma silne serce. Hassler właśnie ustawia sobie lusterko na czole. Tak między nami mówiąc, nosi je tylko po to, żeby miał czym przyciskać perukę. Przedstawię go pani. Panie

Dolarhyde?

– Ależ oczywiście.

Reba wyciągnęła rękę do Dolarhyde'a. Ujął ją bez pośpiechu, za to lekko. Jego dłoń zostawiła jej na kostkach warstewkę potu.

Doktor Warfield podał jej ramię i ruszyli powoli.

– Już sobie smacznie śpi. Czy ma pani pojęcie... Jeśli pani chce, opiszę go pani. – Przerwał, trochę niepewny, jak zabrać się do rzeczy.

– Z dzieciństwa pamiętam obrazki w książkach, a raz widziałam pumę w zoo koło naszego domu.

– Ten tygrys to jakby superpuma – rzekł Warfield. – Ma szerszą klatkę piersiową, masywniejszy łeb i silniejszą budowę oraz muskulaturę. To czteroletni samiec bengalski. Od nosa po koniec ogona mierzy około trzy i pół metra, waży czterysta kilogramów. Leży teraz na prawym boku, w silnym świetle lamp.

– Czuję te światła.

– Wygląda imponująco, cały w pomarańczowe i czarne pasy, pomarańczowy jest tak intensywny, że nieomal przenika w powietrze. – Nagle Warfield przestraszył się, że opowiadanie dziewczynie o kolorach zakrawa na celowe okrucieństwo, ale rzut oka na jej twarz wystarczył, by się uspokoił. – Jesteśmy trzy metry od niego. Czuje już pani jego zapach?

– Tak.

– Być może wie już pani od pana Dolarhyde'a, że jakiś kretyn zaczął szturchać tego tygrysa łopatą naszego ogrodnika. I zwierzę złamało sobie na niej górny kieł. No i jak, doktorze Hassler?

– Ma się znakomicie. Odczekamy jeszcze minutkę albo dwie.

Warfield przedstawił dziewczynie dentystę.

– Moja droga, jest pani pierwszą miłą niespodzianką, jaką mi sprawił Frank Warfield – oświadczył Hassler. – Chce pani tego dotknąć? To złoty ząb, a właściwie kieł. – Wsunął go jej do ręki. – Ciężki, prawda? Oczyszcilem złamany ząb, kilka dni temu wziętem odcisk, a dzisiaj nałożę tę koronę. Rzecz jasna, mogłem wykonać ją z jakiegoś białego materiału, ale uznałem, że tak będzie zabawniej. Doktor Warfield może zaświadczyć, że nigdy nie przepuszczam okazji, żeby się czymś popisać. Ale jest na tyle nieuprzejmy, że nie pozwala mi umieścić swojej reklamy na klatce.

Wrażliwymi, choć zniszczonymi palcami wymacała stożek, krzywiznę i czubek kła.

– Niezła robota! – W pobliżu słyszała powolny, głęboki oddech.

– A to się dzieciaki wystraszą, jak ziewnie – rzekł Hassler. – Nie sądzę, żeby ten kiel skusił jakiegoś złodzieja.

No, to do roboty. Mam nadzieję, że się pani nie boi? Ten pani muskularny kawaler patrzy na nas jak sroka w gnat. Mam nadzieję, że pani do tego nie zmusza?

– Nie, gdzie tam! Sama chcę.

– Stoimy teraz za jego plecami – poinformował doktor Warfield. – Drzemie sobie jakieś trzy czwarte metra od pani, na stole zabiegowym, mniej więcej na wysokości pasa. Coś pani powiem, położę pani lewą rękę – pani jest praworęczna, prawda? – no więc położę pani lewą rękę na krawędzi stołu, a pani będzie go mogła dotykać prawą. Nie musi się pani spieszyć. Będę tuż obok.

– Ja także – stwierdził doktor Hassler. Bawili się znakomicie. W gorącym świetle lamp jej włosy pachniały niczym świeże trociny na słońcu.

Reba poczuła ciepło na czubku głowy, od którego swędziała ją cała skóra. Czowała zapach swych rozgrzanych włosów, mydła, którego używał Warfield, alkoholu, środka dezynfekującego i kociej sierści. Miała wrażenie, że za chwilę zemdleje, ale przemogła się szybko.

Chwyciła krawędź stołu i niepewnie wyciągnęła drugą rękę. Jej palce dotknęły futra – na wierzchu rozgrzanego, poniżej chłodniejszego – aż wreszcie dotarły do ciepła poniżej. Rozpostarła dłoń na gęstej sierści i przesuwiała ją łagodnie, czując, jak futro poddaje się jej pieszczotom, z włosem i pod włos, a skóra naciąga się na szerokich, pracujących w rytm oddechu żebrach.

Chwyciła kępę sierści i poczuła, że futro przecieka jej między palcami. Bliskość zwierzęcia sprawiła, że jej twarz zaróżowiła się, a ona sama poczuła mimowolne skurcze twarzy, typowe dla ociemniałych, których tak starała się wystrzegać.

Warfield i Hassler cieszyli się widząc, jak się zapomniwała. Przeprowadzili ją przez falujące okno, za szybę nowego wrażenia, do którego przyciskała teraz twarz.

Dolarhyde obserwował całą scenę z cienia. Potężne mięśnie jego pleców dygotały, po żebrach ściekła mu kropla potu.

Doktor Werfield szepnął Rebie do ucha:

– I jeszcze z drugiej strony.

Poprowadził ją wokół stołu, tak że jej dłoń sunęła wzdłuż ogona.

Nagły skurcz serca Dolarhydea, kiedy jej palce przesunęły się po owłosionych tygrysiach jądrach. Potrzymała je przez chwilę i ruszyła dalej.

Warfield podniósł wielką łapę zwierzęcia i wsunął ją Rebie do ręki. Czowała szorstkość poduszek i zapach unoszący się z podłogi klatki. Warfield nacisnął palec tygrysa, żeby wysunął się pazur. Dłonie dziewczyny wypełniły ciężkie, prężne mięśnie łopatek.

Dotknęła uszu tygrysa, pomacała jego szeroki łeb i – prowadzona przez weterynarza – musnęła jego szorstki język. Gorący oddech zwierzęcia poruszył włoski na jej przedramieniu.

Na koniec doktor Warfield założył jej stetoskop. Oparła dłonie na rytmicznie falującej klatce piersiowej zwierzaka, uniosła twarz do góry, a uszy wypełnił jej donośny łomot tygrysięgo serca.

Gdy odjeżdżali, Reba McClane była spokojna, choć zarumieniona i podekscytowana. W pewnym momencie odwróciła się do Dolarhyde'a i szepnęła powoli:

– Dziękuję... bardzo ci dziękuję. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, napiłabym się teraz martini.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Dolarhyde, parkując na swoim podwórku.

Reba ucieszyła się, że nie wrócili do niej. Jej mieszkanie było jakieś takie zatęchłe, spokojne.

– Przypadkiem nie sprzątaj. Wprowadź mnie i powiedz, że jest porządek.

– Zaczekaj.

Zaniósł do domu torbę ze sklepu z alkoholami i rozejrzał się szybko. W kuchni przystanął na chwilę i ukrył twarz w dłoniach. Nie był pewny tego, co robi. Przeczuiwał jakieś niebezpieczeństwo, choć nie ze strony kobiety. Bał się spojrzeć na schody. Musiał coś zrobić, ale nie wiedział jak. Powinien jednak odwieźć ją do domu.

Zanim dostąpił Przeistoczenia, na nic takiego by się nie powążył.

Teraz zdał sobie sprawę, że może zrobić wszystko, cokolwiek. Co tylko zechce. Co bądź.

Wyszedł na dwór, na słońce, w długi, niebieski cień furgonetki. Reba McClane przytrzymała się jego ramion, dopóki nie postawiła stopy na ziemi.

Wyczuła ogrom domu, oceniła jego wysokość po brzmieniu echa zamykanych drzwi furgonetki.

– Cztery kroki po trawie. Później będzie rampa – powiedział Dolarhyde.

Wzięła go pod rękę. Przebiegł go dreszcz. Wilgoć potu pod bawełnianą tkaniną.

– Rzeczywiście, masz tutaj podjazd. Po co?

– Kiedyś był tu dom starców.

– Ale teraz już nie?

– Nie.

– Wydaje się chłodny i wysoki – oświadczyła w salonie. Powietrze jak w muzeum. O, czyżby to było kadzidło? W oddali tykanie zegara. – To duży dom, prawda? Ile ma pokoi?

– Czternaście.

– Jest stary. I wszystkie sprzęty też są stare. – Otarła się o ozdobiony frędzlami abażur lampy i musnęła go palcami.

Nieśmiały pan Dolarhyde. Doskonale wiedziała, że podniecił go jej widok z tygrysem; gdy opuszczając salę zabiegową ujęła go pod rękę, dygotał jak koń wyścigowy.

Zorganizowanie tej wycieczki to elegancki gest z jego strony. Może również wymowny, tego nie była pewna.

– Martini?

– Pozwól, że pójdę z tobą i sama je przygotuję – powiedziała zrzucając buty.

Strzepnęła z palca odrobinę wermutu do kieliszka. Do tego dwie i pół uncji džinu i dwie oliwki. Szybko znalazła w tym domu punkty orientacyjne: tykający zegar, szum aparatu klimatyzacyjnego pod oknem. Podłoga koło drzwi kuchennych była rozgrzana, prawdopodobnie przez popołudniowe słońce. Zaprowadził ją do wielkiego fotela. Sam przysiadł na kanapie.

Powietrze było naładowane elektrycznością. Zdawało się, że na mgnienie oka utrwala ślad każdego ruchu, jak fosforyzujące morze. Ona odstawiła szklankę na podręczny stolik; on włączył muzykę.

Dolarhydeowi pokój wydawał się odmieniony. Reba była pierwszą osobą, na której towarzystwo w tym domu zgodził się dobrowolnie; teraz pokój podzielił się na jej część i jego.

Muzyka, Debussy, i przygaszone światło.

Zapytał ją o Denver. Opowiedziała mu to i owo, ale z roztargnieniem, jak gdyby myślami błądziła gdzie indziej. Opisał jej dom i otoczone żywopłotem podwórko. Ale nie czuli potrzeby rozmowy.

W ciszy, kiedy zmieniał płytę, powiedziała nagle:

– Ten cudowny tygrys, ten dom... jesteś pełen niespodzianek, D. Tak naprawdę, to chyba nikt cię nie zna.

– A pytałaś ich?

– Kogo?

– Kogokolwiek.

– Nie.

– Więc skąd wiesz, że nikt mnie nie zna? – Skoncentrowany na prawidłowej wymowie,

powiedział to tonem zupełnie neutralnym.

– Wiesz, kilka kobiet z Gateway widziało nas kiedyś, jak wsiadałam do twojej furgonetki. Człowieku, z ciekawości omal nie pękły. Ni stąd, ni zowąd miałam nagle towarzystwo przy automacie z coca-colą.

– Czego się chciały dowiedzieć?

– No, liczyły na jakieś zawiesziste plotki. A jak się przekonały, że nic z tego, odeszły. Tak tylko próbowały coś wywąchać.

– I co powiedziały?

Zamierzała przedstawić nachalną ciekawość kobiet jako żart wymierzony przeciw sobie. Ale jakoś nie wyszło.

– Wszystko je ciekawi – odparła. – Uważają, że jesteś bardzo interesujący i tajemniczy. Patrz, jaki komplement.

– Czy mówiły ci, jak wyglądam?

Zrobił to bardzo zgrabnie, pytanie zabrzmiało jak rzucone od niechcienia, ale Reba wiedziała, że to nie żarty. Podjęła rękawicę.

– Ja ich nie pytałam. Ale owszem, mówiły, jak według nich wyglądasz. Chcesz usłyszeć? Dosłownie? Bo jeśli nie, to nie prosz. – Była pewna, że jednak spyta.

Milczenie.

Nagle Reba poczuła, że jest sama, że miejsce, gdzie przed chwilą stał Dolarhyde, jest więcej niż puste, jak czarna dziura, która połyka wszystko i nic nie wydziela. Wiedziała; że nie mógł wyjść z pokoju tak, żeby go nie usłyszała.

– Chyba ci jednak powiem – stwierdziła. – Jest w tobie jakaś twarda i nieustępliwa schludność, która im się podoba. Mówiły, że jesteś wspaniale zbudowany. – Było jasne, że nie może na tym poprzestać. – Mówią, że jesteś przewrażliwiony na punkcie swojej twarzy, ale że niepotrzebnie. Na przykład: „o, idzie ten wariat ze sztuczną szczęką”.

– To Eileen, mam rację?

– Eileen.

Aha, nareszcie sygnał zwrotny. Czowała się teraz jak radio-astronom.

Była doskonałą parodystką. Mogła zaskakująco wiernie naśladować głos i sposób mówienia Eileen, ale była za mądra, żeby naśladować czyjąś wymowę w obecności Dolarhyde. Zacytowała więc Eileen, jak gdyby czytała z kartki.

– ”To całkiem przystojny facet. Jak Boga kocham, chodziłam z wieloma gorszymi. Raz się nosiłam z takim hokeistą – grał chyba dla „Niebieskich” – co miał zagłębienie w wardze, bo mu się dziąsło zapadło. Oni wszyscy to mają, ci hokeiści. Wiecie, to takie no, męskie. Moim zdaniem pan D. ma najładniejszą cerę, jaką kiedykolwiek widziałam, i nie wiem, co bym dała za takie włosy”. No i co? Zadowolony? Aha, i pytała mnie jeszcze, czy rzeczywiście jesteś taki silny, na jakiego wyglądasz.

– I co?

– Powiedziała, że nie wiem. – Dopiła wermut i wstała. – Gdzie ty właściwie jesteś, u licha? – Usłyszała, jak przechodzi pomiędzy nią a kolumną od stereo. – A, tu jesteś. Chcesz wiedzieć, co ja o tym myślę?

Odszukała palcami jego usta i pocałowała go, przyciskając lekko wargi do jego zaciśniętych zębów. Natychmiast zauważyła, że jest taki sztywny przez nieśmiałość, a nie odrazę.

Był zaskoczony.

– No, to może byś mnie tak zaprowadził do łazienki?

Ujęła go pod ramię i ruszyli korytarzem.

– Wrócę sama.

W łazience przyglądała włosy i przesunęła palcami wzdłuż krawędzi umywalki, szukając pasty do zębów i płynu do ust. Próbowała odszukać drzwiczki szafki z lekarstwami i stwierdziła, że nie ma żadnych drzwiczek, a tylko same zawiasy i odsłonięte półki. Wystrzegając się brzytwy, ostrożnie dotykała leżących tam przedmiotów, aż wreszcie znalazła butelkę. Zdjęła nakrętkę, powąchała, by się przekonać, czy o to jej chodzi, i przepłukała usta.

Po powrocie do salonu usłyszała znajomy dźwięk: szum przewijającego taśmę projektora.

– Muszę jeszcze przez chwilę popracować – wyjaśnił Dolarhyde, podając jej nową szklaneczkę martini.

– Oczywiście – powiedziała. Nie wiedziała, jak to rozumieć. – Jeżeli przeszkadzam ci w pracy, to sobie pójdę. Czy da się tu wezwać taksówkę?

– Nie. Chcę, żebyś została. Naprawdę. Muszę tylko przejrzeć jeden film. To nie potrwa długo.

Chciał ją posadzić w wielkim fotelu, ale ona wiedziała, gdzie jest kanapa i podeszła do niej.

– Czy ten film ma ścieżkę dźwiękową?

– Nie.

– A mogę dalej słuchać muzyki?

– Uhm.

Odnutowała jego zainteresowanie. Chciał, żeby została, był tylko przestraszony. A przecież nie miał powodu do obaw. No nic. Usiadła.

Martini było cudownie chłodne i orzeźwiające.

Dolarhyde przysiadł na drugim końcu kanapy. Pod jego ciężarem lód w szklance dziewczyny zagrzechotał. Projektor wciąż przewijał taśmę.

– Wyciągnęłabym się na chwilę, jeśli nie masz nic przeciwko temu – rzekła. – Nie, nie przesuwaj się, mam mnóstwo miejsca. Obudź mnie, gdybym się zdrzemnęła, dobrze?

Położyła się na kanapie, trzymając szklaneczkę na brzuchu. Koniuszkami włosów muskała jego rękę spoczywającą wzdłuż uda.

Nacisnął przycisk pilota i rozpoczął się film.

Dolarhyde chciał obejrzeć swój film z Leedsami albo Jacobimi w obecności tej kobiety. Chciał spoglądać bez przerwy to na ekran, to na Rebę. Wiedział, że ona nigdy niczego takiego nie przeżyje. Kobiety widziały ją, jak wsiadała do jego furgonetki. Wybij to sobie z głowy. Kobiety was widziały.

Obejrzy więc swój film o Shermanach – następnych, których odwiedzi. Zobaczy obietnicę przyszłej ulgi, i to w obecności Reby, przyglądając jej się do woli.

Na ekranie Nowy dom – tytuł wypisany drobnymi monetami na tekturowym opakowaniu koszuli. Dalekie ujęcie pani Sherman i dzieci. Zabawa w basenie. Pani Sherman trzyma się drabinki i patrzy w górę, ku kamerze. Jej błyszczące, wilgotne piersi pęcznieją nad stanikiem kostiumu, a blade nogi wykonują ruchy nożyc.

Dolarhyde był dumny ze swego opanowania. Będzie rozmyślał o tym filmie, a nie o tym drugim. W myślach jednak zaczął przemawiać do pani Sherman tak, jak mówił do Valerie Leeds w Atlancie.

Widzisz mnie teraz, o tak.

I odczuwasz to w ten sposób, o tak.

Przymierzanie starych ubrań. Pani Sherman ma na głowie kapelusz z szerokim rondem. Stoi przed lustrem. Odwraca się ze sztucznym uśmiechem i przybiera teatralną pozę przed kamerą, kładąc rękę na karku. Na szyi ma broszkę z kameą.

Reba McClane porusza się na kanapie. Stawia kieliszek na podłodze. Dolarhyde czuje ciężar i ciepło. Oparła mu głowę na udzie. Jej kark jest blady, igrają na nim światłocienie filmu.

On siedzi bez ruchu, jedynie kciukiem zatrzymuje albo cofa film. Na ekranie pani Sherman pozuje przed lustrem w kapeluszu. Odwraca się do kamery i uśmiech.

Widzisz mnie teraz, o tak!

I odczuwasz to w ten sposób, o tak!

Czy teraz mnie czujesz? Tak!

Dolarhyde dygocze. Spodnie tak go uwierają. Czuje ciepło. Przez materiał czuje gorący oddech. Reba dokonała odkrycia.

Jego kciuk spazmatycznie włącza i wyłącza projektor.

Widzisz mnie teraz, o tak!

I odczuwasz to w ten sposób, o tak!

A czy czujesz go? Tak!

Reba rozpięła mu rozporek.

Uklucie strachu. Nigdy dotąd nie miał wzrodu w obecności żywej kobiety. Ale jest przecież Smokiem, nie musi się bać.

Jej palce uwalniają go pracowicie.

Czy czujesz mnie teraz? Tak!

A czy czujesz go? Tak!

Wiem, że tak, o tak!

Serce ci bije jak dzwon, tak!

Musi trzymać ręce z dala od szyi Reby. Z daleka. Kobiety widziały ich razem w furgonetce. Jego dłoń ściska poręcz kanapy. Palce wbijają się w obicie.

Serce ci bije jak dzwon, tak!

A teraz łomocze

Łomocze

Próbuje wyskoczyć z piersi, tak!

A teraz jest szybkie i lekkie, coraz szybsze i lżejsze i...

Po wszystkim.

Już po wszystkim.

Reba opiera głowę na jego udzie i odwraca ku niemu rozplómienny policzek. Wsuwa mu ciepłą dłoń pod koszulę i kładzie mu ją na piersi.

– Mam nadzieję, że cię nie przyprawiłam o szok?

To raczej jej głos go zaszokował, głos żywej osoby. Musiał sprawdzić, czy jej serce wciąż bije. Biło. Łagodnie przytrzymała tam jego rękę.

– Rany boskie, chyba nie masz już dość, co?

Żywa kobieta. Jakież to dziwne. Przepelniony mocą Smoka, a może własną, bez trudu uniósł ją z kanapy. Niósł ją, jakby nic nie ważyła, tym łatwiej, że nie była bezwładna. Nie na górę. Nie na górę. Szybko. Gdziekolwiek. Szybko. Łóżko babki, jedwabna kołdra usuwa się spod nich.

– Och, poczekaj, muszę je zdjąć. Aj, podarłeś je. Nieważne. No chodź. Boże jedyny, człowieku. Ależ to słodkie! Nie, nie kładź mnie, proszę. Pozwól, że przyjdę do ciebie i sama go wezmę.

Z Rebą, swą jedyną żywą kobietą, uwięziony z nią w tej samej bańce czasu, po raz pierwszy odniósł wrażenie, że wszystko jest w porządku; wyzwał swoje życie i siebie samego, poza śmiertelnymi, których wysyłał w gwiazdzistą ciemność, za tę planetę bólu, wydzwanającą harmonijnie odległości dzielące go od pokoju i obietnicy spoczynku.

Leżąc koło niej w ciemności, objął ją łagodnie i przytulił, by zamknąć jej drogę odwrotu. Gdy spała, Dolarhyde – przeklęty morderca jedenastu osób – co chwila nasłuchiwał bicia jej serca.

Wizerunki. Barokowe perły opadające w przyjaznej ciemności. Pistolet, z którego strzelał do księżycy. Wielki fajerwerk, który widział w Hongkongu, znany pod nazwą: „Smok ziejący perłami”.

Smok.

Czuł się oszołomiony, rozszczępiony na drzazgi. Leżąc koło niej przez całą długą noc nasłuchiwał, przerażony, czy nie usłyszy siebie schodzącego w kimonie po schodach.

W nocy poruszyła się raz, szukając czegoś przez sen, aż dotknęła szklanki na nocnym stoliku. Zagrzechotały w niej zęby babki.

Dolarhyde przyniósł jej wody. Przytuliła się do niego w ciemności. Gdy zasnęła z powrotem, zdjął jej dłoń ze swego wielkiego tatuażu i ułożył sobie na twarzy.

O świcie zasnęła mocno.

Reba McClane obudziła się o dziewiątej i usłyszała jego miarowy oddech. Przeciągnęła się leniwie w wielkim łóżku. On ani drgnął. Przypomniała sobie rozkład domu, rozmieszczenie dywanów, gołej podłogi; skąd dobiega tykanie zegara. Kiedy zorientowała się już we wszystkim, wstała i odszukała łazienkę.

Długo brała prysznic. Kiedy wróciła, on nadal spał. Jej podarta bielizna leżała na podłodze.

Odszukała ją stopą i wepchnęła do torebki. Wciągnęła przez głowę bawełnianą sukienkę, wzięła laskę i wyszła na dwór.

Dolarhyde powiedział jej, że podwórko jest duże i płaskie, otoczone żywopłotem, ale z początku wolą uważać.

Poranny wietrzyk przenikał chłodem, choć słońce przygrzewało. Stała na podwórku, pozwalając, by wiatr igrał z jej dłońmi gronami jagód czarnego bzu. Wiatr znalazł zagłębienia w jej ciele, jeszcze wilgotne od natrysku. Wyciągnęła ręce i chłodny podmuch owionął jej piersi, pachy i przemknął między udami. Obok brzęczały pszczoły. Nie bała się ich, a one zostawiły ją w spokoju.

Dolarhyde obudził się. Przez chwilę rozglądał się, zdziwiony, że nie leży w sypialni na piętrze. Jego żółtawe oczy rozszerzyły się, gdy przypomniał sobie, co zaszło. Jak sowa przekreślił głowę, zerkając na drugą poduszkę. Pusta.

Czyżby chodziła po domu? Co mogła znaleźć? A może w nocy stało się coś złego? Coś, czego skutki musiałyby uprzątnąć? Będzie podejrzany. Może nawet będzie musiał uciekać.

Zajrzał do łazienki i do kuchni. Na dół, do piwnicy, gdzie stał jego drugi wózek inwalidzki. Na piętro. Nie chciał tam zaglądać, ale musiał sprawdzić. Gdy wchodził po schodach, jego tatuaż gwałcił się i falował. Smok z obrazu w sypialni przeszył go wzrokiem. Nie mógł pozostać ze Smokiem sam na sam.

Z okna na piętrze dostrzegł Rebę na podwórku.

– FRANCIS! – Wiedział, że głos dobiega z sypialni. Wiedział, że to głos Smoka. Jego dwoista jedność ze Smokiem dezorientowała go. Po raz pierwszy odczuł ją, gdy położył dłoń na sercu Reby.

Smok nigdy dotąd do niego nie mówił. Teraz przeraził się.

– FRANCIS, CHODŹ TUTAJ.

Próbował zatykać uszy, byleby nie słyszeć przyzywającego go głosu, gdy zbiegał pędem po schodach.

Co ona mogła tu znaleźć? Zęby babki zagrzechotały w szklance, ale odsunął je, zanim przyniósł jej wodę. Niczego nie mogła zobaczyć.

Taśma Freddy'ego. Była w magnetofonie kasetowym w salonie. Sprawdził ją. Była przewinięta do początku. Nie mógł sobie przypomnieć, czy cofnął ją po przegraniu przez telefon do redakcji „Tattlera”.

Nie wolno jej wpuścić z powrotem do domu. Nie wiedział, co mogłoby się zdarzyć. Mogłaby ją spotkać jakaś niespodzianka. Przecież Smok może zejść na dół. Wiedział, jak łatwo mogłoby ją rozszarpać.

Kobiety widziały, jak wsiadała do jego furgonetki. Warfield pamięta ich razem.

Ubrał się pospiesznie.

Reba McClane poczuła zimną pręgę cienia pnia drzewa, a potem ciepło słońca, gdy przeszła dalej w głąb podwórka. Ciepło słońca i szum aparatu klimatyzacyjnego w oknie pozwalały jej zorientować się w każdej chwili, gdzie się znajduje. Nawigacja – dyscyplina jej życia – w tych warunkach była całkiem łatwa. Reba krążyła więc po placu, dotykając krzewów i wysokich kwiatów.

Zatrzymała się, nie wiedząc, w którą stronę jest zwrócona, gdy chmura przesłoniła słońce. Nie słyszała też aparatu klimatyzacyjnego – był wyłączony. Po chwili niepokoju klasnęła w dłonie i usłyszała kojące echo od strony domu. Otworzyła kopertę swego zegarka i dotknęła wskazówek, sprawdzając, która godzina. Wkrótce powinna zbudzić D. Musi wracać do domu.

Trzasnęły drzwi.

– Dzień dobry – powiedziała.

Brzęk kluczy, gdy szedł ku niej po trawie.

Zbliżał się ostrożnie, jak gdyby podmuchem mógł przewrócić ją na ziemię. Zobaczył, że ona wcale się go nie boi.

Nie była ani zakłopotana, ani zawstydzona tym, co robili w nocy. Nie była zła. Nie uciekała ani mu nie groziła. Zastanawiał się, czy nie wynika to z faktu, że nie widziała jego genitaliów.

Reba objęła go i oparła mu głowę na twardej piersi. Serce biło mu szybko.

Z trudem wyjąkał „Dzień dobry”.

– Było cudownie, D. Naprawdę.

Rzeczywiście? Co w tej sytuacji wypada odpowiedzieć?

– To świetnie. Mnie też.

Tak, chyba wyszło nieźle. Trzeba ją stąd zabrać czym prędzej.

– Ale teraz muszę już wracać do domu – ciągnęła. – Siostra przyjedzie zabrać mnie na obiad. Jeśli chcesz, możesz pójść z nami.

– Muszę zajrzeć do pracy – powiedział, zmieniając kłamstwo, które miał w pogotowiu.

– Wezmę swoją torebkę. Tylko nie to!

– Przyniosę ci ją.

Ślepy na swoje uczucia, niezdolny wyrazić ich tak, jak blizna nie może się zaczerwienić.

Dolarhyde nie wiedział, co naprawdę przydarzyło mu się z Rebą McClane, ani dlaczego. Był zmieszany, przepojony nowym strachem przed swą dwoistością.

Zagrażała mu. Nie zagrażała.

A wszystko za sprawą jej zaskakująco żywych i chętnych ruchów w łóżku babki.

Dolarhyde często nie wiedział, co czuje, dopóki nie przechodził do działania. Nie wiedział, co czuje w stosunku do Reby McClane.

Kiedy odwoził ją do domu, pewien niemiły incydent trochę go oświecił w tej materii.

Tuż za wylotem bulwaru Lindbergha na autostradę międzynarodową numer 70 Dolarhyde zajechał na stację benzynową Servco Supreme.

Pracownikiem stacji był silnie zbudowany ponurak, którego oddech załatywał winem. Skrzywił się, gdy Dolarhyde kazał mu sprawdzić olej.

Brakowało co najmniej litra oleju. Pracownik stacji włożył więc lejek do bańki oleju i silnika.

Dolarhyde wysiadł, żeby zapłacić.

Ponurak z niezwykłym entuzjazmem przecierał szybę wozu; tarł ją i tarł bez przerwy, zwłaszcza od strony pasażera.

Reba McClane siedziała na składanym siedzeniu z nogą założoną na nogę i spódnicą zadartą nad kolana. Jej biała laska leżała pomiędzy siedzeniami.

Ponurak znów zabrał się za szybę, zaglądając Rebie pod spódnicę.

Dolarhyde podniósł wzrok znad portfela i przyłapał go na tym. Sięgnął przez okno do środka furgonetki i włączył wycieraczki na maksymalną szybkość, tak że uderzyły ponuraka po palcach.

– Hej, uważaj no! – Pracownik stacji zajął się bańką oleju. Wiedział, że go przyłapano i uśmiechał się chytrze. Dolarhyde obszedł furgonetkę i podszedł do niego.

– Ty skurwysynu! – Szybko uporał się z „s”.

– Panie, co jest, czyś pan na głowę upadł? – Ponurak był mniej więcej tego samego wzrostu i wagi, ale nie mógł się równać z Dolarhyde’em jeśli chodzi o siłę. Był za młody, żeby nosić sztuczną szczękę, i nie dbał o zęby.

Jego zdekompletowane uzębienie napełniało Dolarhyde’a obrzydzeniem.

– Coś zrobił z zębami? – zapytał cicho.

– A co cię to obchodzi?

– Wyrwałeś je sobie dla swojego kochasia, ty fiucie złamany? – Dolarhyde zbliżył się niebezpiecznie blisko.

– A odwalże się ode mnie!

– Świnia. Idiota. Śmieć. Dureń – syknął Dolarhyde przez zęby. Jedną ręką pchnął tamtego tak, że wyrznął w drzwi furgonetki. Puszka i lejek z łoskotem poleciały na asfalt.

Dolarhyde podniósł je.

– Nie uciekaj. I tak cię złapię. – Wyciągnął lejek z puszki i spojrzał na jego ostrą krawędź.

Facet ze stacji pobladł. W twarzy Dolarhyde’a zobaczył coś, czego nigdy dotąd nie widział.

Przez zasnute czerwienią mgnienie oka Dolarhyde ujrzał lejek wbity w pierś tamtego, wnikaący mu w serce. Przez szybę wozu widział twarz Reby. Potrząsała głową i coś do niego mówiła, próbując znaleźć kławkę okna.

– Podbił ci już ktoś to świńskie lipo? Tamten szybko potrząsnął głową.

– Nie chciałem nikogo obrazić. Jak Boga kocham. Dolarhyde przysunął ponurakowi zakrzywiony metalowy lejek pod nos i ujął go oburącz. Mięśnie jego klatki piersiowej naprężyły się, gdy zginał go wpół. Pociągnął faceta za pasek i wrzucił mu w spodnie pogięty kawał złomu.

– Wlepiaj swoje świńskie gały w co innego. – Wepchnął mu do kieszeni koszuli pieniądze za benzynę. – A teraz spływaj. Ale pamiętaj, w razie czego złapię cię bez trudu.

Taśma nadeszła w sobotę, w małej paczce wysłanej na nazwisko Willa Grahama do centrali FBI w Waszyngtonie. Nadano ją w Chicago w dniu śmierci Loundsa.

Laboratorium i dział daktyloskopii nie znalazły nic szczególnego ani na pudełku kasety, ani na opakowaniu.

Kopię taśmy wysłano do Chicago razem z popołudniową pocztą. Agent specjalny Chester przyniósł ją Grahamowi do pokoju przysięgłych dopiero późnym popołudniem, wraz z dołączoną do niej notatką od Lloyda Bowmana.

Zapis głosu potwierdza, że to Lounds– pisał Bowman. – Najwyraźniej powtarzał to, co mu podyktowano. Taśma jest nowa, wyprodukowana w ciągu ostatnich trzech miesięcy i przedtem nie używana. Na Wydziale Behawioryzmu badają jej treść. Doktor Bloom powinien ją przesłuchać, jak wyzdrowieje, ale o tym już sam zdecydujesz.

Jasne, że morderca chce cię wyprowadzić z równowagi.

Mam nadzieję, że zrobi to o jeden raz za dużo.

Graham doceniał to beznamiętne wotum zaufania.

Wiedział, że musi przesłuchać tę taśmę. Począł jednak aż Chester wyjdzie.

Nie chciał zostać z taśmą sam na sam w pokoju przysięgłych. Lepsza już była pusta sala sądowa – przez wysokie okna wpadało do niej trochę dziennego światła. Mimo że sprzątaczkę urzędowały tam niedawno, w promieniach słońca wirowały pyłki kurzu.

Magnetofon był mały i szary. Graham ustawił go na stoliku obrońcy i włączył.

Monotonny głos technika:

– Sprawa numer 426238, dowód rzeczowy 814, opisany i oznakowany. Kasetę magnetofonową. Nagranie jest kopią oryginału.

Zmiana jakości dźwięku.

Graham oburącz przytrzymał się barierki koło miejsca dla świadków. W głosie Freddy'ego Loundsa brzmiał lęk i zmęczenie.

– Spotkał mnie wielki zaszczyt. Ujrzałem... ujrzałem bowiem z wielkim podziwem... podziwem i zgrozą... zgrozą... siłę Wielkiego Czerwonego Smoka.

Nagranie oryginalnej ścieżki przerywano wielokrotnie. Za każdym razem magnetofon zapisywał trzask klawisza stop. Graham widział palec na tym klawiszu. Palec Smoka.

– Kłamałem na Jego temat. Wszystko, co napisałem, to kłamstwa Willa Grahama. Zmusił mnie do tego. Ja... ja bluźnięm przeciwko Smokowi. A mimo to... Smok jest miłosierny. Teraz chcę Mu służyć. On... pomógł mi zrozumieć... jak jest Wspaniały, dlatego będę głosić Jego Chwałę. Gazety! Drukując to, piszcie Go zawsze dużą literą.

On wie, że kazałeś mi kłamać, Willu Grahamie. A ponieważ zmusiłeś mnie do kłamstwa. On będzie bardziej... bardziej litościwy dla mnie niż dla ciebie.

Sięgnij za siebie, Willu... i wymacaj takie małe... wypukłości na szczycie swojej miednicy. Wymacaj kręgosłup między nimi... to właśnie w tym miejscu... Smok ci go złamie.

Graham nie odrywał rąk od barierki. Pomacać kręgosłup, jeszcze czego! Czy Smok nie słyszał o kręgach lędźwiowych, czy też celowo nie używał tej nazwy?

– Powinieneś się bać... wielu rzeczy. Z... z moich ust zaraz się dowiesz, czego.

Cisza – i przerażający wrzask. I jeszcze bardziej koszmarny bełkot z pozbawionych warg ust:

– Ty chooeehny dhaniu, oohecyhałeś!

Graham zwiesił głowę między kolana i czekał, aż jasne plamy przestaną tańczyć mu przed oczyma. Oddychał głęboko przez usta.

Minęła godzina, zanim mógł słuchać dalej.

Wrócił z magnetofonem do pokoju przysięgłych i spróbował tam przesłuchać resztę taśmy. Zbyt blisko. Zostawił magnetofon włączony, a sam wrócił na salę sądową. Teraz słuchał przez otwarte drzwi.

– Spotkał mnie wielki zaszczyt...

Ktoś stanął w drzwiach sali. Graham rozpoznał młodego funkcjonariusza chicagowskiej filii FBI i gestem zaprosił go do środka.

– Przyszedł list do pana – rzekł chłopak. – Pan Chester kazał mi go panu przynieść. Mam pana zapewnić, że kontroler poczty go prześwietlił i sprawdził.

Wyciągnął list z kieszeni na piersi. Gruba fiołkowa papeteria. Graham miał nadzieję, że to od Molly.

– Widzi pan, jest stempel.

– Dziękuję.

– Dziś także jest dzień wypłaty. – Funkcjonariusz wręczył mu czek.

W tym momencie z magnetofonu dobiegł wrzask Freddy'ego. Chłopak aż podskoczył.

– Przepraszam – powiedział Graham.

– Nie rozumiem, jak pan to znosi – stwierdził tamtem.

– Wracaj do domu – rzekł Graham.

Usiadł na ławie przysięgłych, żeby przeczytać list. Szukał ukojenia. List był od doktora Hannibala Lectera.

Drogi Willu.

Zechciej przyjąć gratulacje z okazji wspaniałego posunięcia z panem Loundsem. Jestem dla ciebie pełen podziwu Ale z ciebie spryciarz!

Pan Lounds często obrażał mnie swoją ignorancją i bełkotem, za to oświecił mnie w jednej materii – twojego pobytu w szpitalu psychiatrycznym. Mój niewydarzony obrońca powinien wyjawiać to w trakcie rozprawy, ale teraz to już nie ma znaczenia.

Wiesz, Willu, chyba za bardzo się przejmujesz. Gdybyś przestał się martwić sobą, czułbyś się o wiele lepiej.

Natura człowieka to coś, na co nie mamy wpływu. Dostajemy ją razem z płucami, trzustką i całą resztą bebechów. Więc po co z nią walczyć?

Chcę ci pomóc, Willu, więc zacznę od pytania: twoja depresja nie wynikała z faktu, że zastrześliłeś Garretta Jacoba Hobbsa, prawda? Bo tak naprawdę, to czułeś się podle dlatego, że zabicie go sprawiło ci tak wielką frajdę, mam rację?

Przemyśl to sobie, ale się nie zamartwiaj. Niby dlaczego zabójstwo nie miałoby sprawiać przyjemności? Bóg najwyraźniej to lubi, skoro robi to bez przerwy, a czyż nie jesteśmy stworzeni na obraz i podobieństwo Jego?

Być może czytałeś we wczorajszej gazecie, że Bóg stracił dach kościoła na swoich trzydziestu czterech czcicielu w Teksasie, dokładnie w chwili, gdy mozolnie intonowali hymn. Nie sądzisz, że było Mu przyjemnie? Trzydziestu czterech za jednym zamachem. Więc daruje ci Hobbsa.

W zeszłym tygodniu w jednej tylko katastrofie lotniczej załatwił stu sześćdziesięciu Filipińczyków. Więc i tobie odpuści jednego marnego Hobbsa. Nie będzie ci przecież zazdrościł raptem jednego morderstwa. No, teraz już dwóch. Ale cóż to jest?

Czytaj uważnie gazety. Bóg zawsze nas wyprzedza.

Powodzenia Dr med. Hannibal Lecter

Graham wiedział, że Lecter kompletnie się myli co do Hobbsa, ale przez mgnienie oka zastanawiał się, czy aby nie ma odrobiny racji w przypadku Freddy'ego Loundsa. Wróg, ukryty w duszy Grahama, zgadzał się z każdym oskarżeniem.

Czy dlatego obejmował Freddy'ego na zdjęciu w „Tattlerze”, by ludzie uwierzyli, że naprawdę przekazał mu te obraźliwe uwagi pod adresem Smoka? A może jednak chciał trochę narazić Freddy'ego na ryzyko? Ciekawe...

Ulgę przyniosła mu pewność, że nigdy świadomie nie przepuściłby szansy załatwienia Smoka.

– Zbikowane skurwysyny, jestem przez was zupełnie wykończony! – powiedział na głos.

Musiał odsapnąć. Zadzwoił do Molly, ale w domu dziadków Willy'ego nikt nie podnosił słuchawki.

– Pewnie wypuścili się gdzieś tą cholerną chałupą na kółkach – mruknął.

Wyszedł na kawę, głównie po to, by się upewnić, że nie chowa się w tej sali sądowej.

Na wystawie jubilera zobaczył delikatną złotą bransoletkę, prawdziwy antyk. Kosztowała go znaczną część całej wypłaty. Kazał ją zapakować i nalepić znaczki pocztowe. Dopiero kiedy się przekonał, że jest przy skrzynce sam, zaadresował paczkę do Molly w Oregonie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, o czym Molly świetnie wiedziała – że daje prezenty tylko kiedy jest wściekły.

Nie chciał już wracać do pokoju przysięgłych i pracy, ale nie miał wyboru. Bodźca dodała mu myśl o Valerie Leeds.

– Przykro mi, ale nie mogę teraz podejść do telefonu – powiedziała Valerie Leeds.

Żałował, że jej nie znał. Żałował... cóż to za bezużyteczna, dziecinna myśl.

Graham był zmęczony, przepełniony egoizmem i urazą, sprowadzony na skutek zmęczenia do stanu umysłowości dziecka, dla którego wszelkie punkty odniesienia wiążą się z pierwszymi poznanymi pojęciami, gdy jeszcze kierunek „północ” określała autostrada numer 61, a „sześć stóp” zawsze oznaczało wzrost ojca.

Zmusił się do pracy nad szczegółową charakterystyką ofiar, którą montował z całego wachlarza raportów i własnych obserwacji.

Zamożność. To była cecha wspólna. Obie rodziny były zamożne. Dziwne więc, że Valerie Leeds oszczędzała na rajstopach.

Zastanawiał się, czy w dzieciństwie była biedna. Przypuszczał, że raczej tak: jej dzieci chodziły aż nazbyt dobrze ubrane.

Graham w dzieciństwie zaznał biedy, przenosząc się z ojcem od stoczni w Biloxi i Greenville do warsztatów naprawy łodzi na jeziorze Erie. W szkole był zawsze tym nowym, zawsze obcy. W głębi duszy kołatała mu się więc lekka uraza do bogatych.

Valerie Leeds w dzieciństwie mogła klepać biedę. Kusilo go, żeby jeszcze raz obejrzeć ją na filmie. Mógłby to zrobić w sali sądowej. Ale nie. Leedsowie nie stanowili dla niego większego

problemu. Znał ich. Nie znał natomiast Jacobich.

Prześladował go ciągły brak bliższych danych o tej rodzinie. Pożar domu w Detroit strawił wszystko, nawet albumy rodzinne i prawdopodobnie pamiętniki.

Próbował ich poznać poprzez przedmioty, które kupowali, których pożąдали lub używali. Niczym innym nie dysponował.

Akta postępowania spadkowego Jacobich miały osiem centymetrów grubości, a składały się głównie ze spisu ich dobytku, zgromadzonego od czasu przeprowadzki do Birmingham. Przejrzyj całe to gówno. Wszystko było ubezpieczone, zaopatrzone w spisy numerów seryjnych, tak jak wymagały tego towarzystwa ubezpieczeniowe. Człowiek, który po stracie całego dobytku w płomieniach zaraz wykupuje plik polis ubezpieczeniowych, jest godny zaufania.

Prawnik, Byron Metcalf, wysłał mu kopie dokumentów zamiast odbitek kserograficznych. Kopie były zamazane i często nieczytelne.

Jacobi mieli motorówkę do nart wodnych i Leedsowie także. Jacobi mieli trójkołowy motocykl, Leedsowie rower z przyczepą. Graham poślinił kciuk i odwrócił kartkę.

Czwartym z kolei przedmiotem na następnej stronie był projektor filmowy marki Chinon Pacific.

Graham zatrzymał się. Jak mógł to przegapić? Przejrzał przecież wszystkie skrzynie w magazynie w Birmingham, czujny na wszystko, co mogłoby dać mu jakiś osobisty pogląd na rodzinę Jacobich.

Gdzie się podział projektor? Mógł sprawdzić tę deklarację ubezpieczeniową ze spisem inwentarza, który Byron Metcalf, jako wykonawca testamentu, sporządził przed oddaniem mienia Jacobich do przechowania.

Przejrzenie listy zmagazynowanych przedmiotów zabrało mu kwadrans. Żadnego projektora, żadnej kamery, żadnego filmu.

Graham odchylił się na krześle i wbił wzrok w Jacobich. uśmiechających się do niego z fotografii.

Coś ty z nim, psiakrew, zrobił?

Czyżby ktoś go ukradł?

A może go ukradł morderca?

Jeśli to morderca go ukradł, czy sprzedał go paserowi?

Dobry Boże, pozwól mi dotrzeć do tego pasera.

Zmęczenie opuściło Grahama. Chciał się dowiedzieć, czy jeszcze czegoś brakuje. Szukał przez

całą godzinę, porównując spis inwentarza z deklaracjami ubezpieczeniowymi. Wszystko się zgadzało, z wyjątkiem kilku cennych drobiazgów, które powinny znajdować się na osobnej liście Byrona Metcalfa – liście przedmiotów zdeponowanych w sejfie bankowym w Birmingham.

I wszystkie tam były, z wyjątkiem dwóch.

Na deklaracji widniała „kryształowa kasetka na drobiazgi, o wymiarach dziesięć na osiem centymetrów, ze srebrnym wieczkiem”, ale w sejfie jej nie było. Podobnie jak nie było „srebrnej ramki na fotografie, dwanaście centymetrów na szesnaście, zdobionej motywami kwiatów i winorośli”.

Skradziono je? Zawieruszyły się gdzieś? Takie małe drobiazgi łatwo ukryć. Paserzy zazwyczaj natychmiast przetapiają kradzione srebro. Trudno byłoby więc do nich dotrzeć. Ale sprzęt filmowy ma na zewnątrz i w środku numery seryjne, które zawsze można sprawdzić.

Czy zabójca był jednocześnie złodziejem?

Wpatrując się w poplamioną fotografię Jacobich, Graham poczuł, że przechodzi go rozkoszny dreszcz związany z odkryciem nowego tropu. Gdy jednak wyobraził sobie odpowiedź na tę nową zagadkę, wydała mu się błaha, rozczarowująca i bez znaczenia.

W pokoju przysięgłych był telefon. Graham połączył się z wydziałem zabójstw policji w Birmingham. Odebrał oficer dyżurny z popołudniowej zmiany.

– Zauważyłem, że w sprawie Jacobich spisywaliście wszystkich, którzy wchodzili do domu po opieczętowaniu zgadza się?

– Niech pan poczeka, zaraz sprawdzimy – odparł oficer. Graham wiedział, że prowadzili taki spis. Odnotowywanie wszystkich osób płaczących się na miejscu zbrodni było rozsądnym posunięciem i z przyjemnością stwierdził, że policja w Birmingham to robiła. Po pięciu minutach funkcjonariusz znów podniósł słuchawkę.

– Tak, zgadza się, wszyscy wchodzący i wychodzący. A co pan chce wiedzieć?

– Czy Niles Jacobi, syn zmarłego, także jest na tej liście?

– Hmm, uhhh, tak. Drugiego lipca siódma wieczorem. Miał pozwolenie na odbiór rzeczy osobistych.

– Czy miał ze sobą walizkę? Jest jakaś informacja na ten temat?

– Nie. Przykro mi.

Byron Metcalf odebrał telefon zdyszany i zachrypnięty. Graham zastanawiał się, w czym mu właśnie przeszkodził.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzam?

– Czym mogę ci służyć. Will?

– Potrzebuję pomocy w związku z Nilesem Jacobim.

– A cóż on znowu znalazł?

– Wydaje mi się, że po zabójstwie zwał z domu starego kilka przedmiotów.

– Aha.

– ze spisu przedmiotów zdeponowanych w sejfie brakuje srebrnej ramki na fotografii. Jak byłem w Birmingham, znalazłem fotografię rodziny leżącą luzem w pokoju Nilesa. Przedtem była w ramce. Do tej pory widać odcisk, jaki zostawiła podkładka.

– Skurczybyk. Dałem mu zgodę na zabranie rzeczy osobistych – rzekł Metcalf.

– Niles ma kosztownych przyjaciół. Ale chodzi mi głównie o to, że brakuje też projektora i kamery filmowej. Chcę wiedzieć, czy to on je zabrał. Pewnie tak, ale jeśli nie, to wziął je morderca. W takim wypadku musielibyśmy rozesłać numery seryjne do lombardów. Trzeba umieścić je na krajowej liście trefnych przedmiotów. Bo ramka została już pewnie przetopiona.

– Już ja go przetopię!

– Jeszcze jedno... jeżeli to Niles zabrał projektor, to może zatrzymał film. Nie mógłby go przecież sprzedać. Potrzebny mi ten film. Muszę go obejrzeć. Jeżeli zaatakujesz go wprost, wyprze się wszystkiego i wrzuci film do kibla, jeśli go jeszcze ma.

– W porządku – rzekł Metcalf. – Przywrócono mu prawa do dysponowania samochodem. Jako wykonawca testamentu mogę przeszukać tego grata bez nakazu. A zaprzyjaźniony sędzia bez gadania wyda mi zgodę na przetrząśnięcie jego pokoju. Zadzwoń do ciebie.

Graham wrócił do pracy.

Zamożność. Trzeba o niej wspomnieć w charakterystyce dla policji.

Ciekaw był, czy panie Leeds i Jacobi wychodziły czasami na zakupy w strojach do tenisa. W niektórych kręgach panowała taka moda, o tyle idiotyczna, że tu i ówdzie podwójnie prowokacyjna: z jednej strony wzbudzała odruch niechęci klasowej, z drugiej pożądanie.

Graham wyobrażał sobie, jak popychają wózki w domu towarowym. W krótkich, plisowanych spódniczkach odsłaniających opalone uda i z podskakującymi pomponikami przy skarpetkach mijają zwalistego faceta o oczach barakudy, który kupuje zimne mięso, by przeżuć je potem w samochodzie.

Ile jest rodzin mających troje dzieci, zwierzaka i tylko zwyczajne zamki w drzwiach do obrony przed Smokiem?

Wyobrażając sobie potencjalne ofiary Graham widział prężnych ludzi sukcesu w eleganckich i

szykownych strojach.

Ale następna osoba, której przyszło stawić czoło Smokowi, nie miała ani dzieci, ani zwierzątka, jej dom zaś daleki był od elegancji.

Osobą tą był Francis Dolarhyde.

Łomot sztangi o podłogę strychu niósł się po całym domu.

Dolarhyde podnosił, rwał i wyciskał znacznie większe ciężary niż dotychczas. Zmienił także kostium – tatuaż zakrywały mu spodenki dresu. Bluza natomiast wisiała na Wielkim Czerwonym Smoku i Kobiecie Odzianej w Słońce, a kimono na ścianie niczym skóra zrzucona przez jakiegoś węża drzewnego. Zasłaniało lustro.

Dolarhyde nie miał na twarzy maski.

W górę. Sto czterdzieści kilogramów z połogi na wysokość piersi, jednym zrywem. A teraz nad głowę.

– O KIM MYŚLISZ?

Zaskoczony przez głos, omal nie upuścił sztangi. Zachwiał się pod jej ciężarem. Na dół. Sztanga opadła na podłogę z łomotem i szczękiem.

Odwrócił się, zwiesił potężne ramiona i spojrzał w stronę głosu.

– O KIM MYŚLISZ?

Głos jakby dobiegał spod bluzy, ale jego natężenie i szorstkość podrażniła mu gardło.

– O KIM MYŚLISZ?

Wiedział, kto to mówi, i był przerażony. Od samego początku on i Smok stanowili jedność. On podlegał Przeistoczeniu, a Smok był w nim istotą wyższą. Ich ciała, głosy, wola były tożsame.

A teraz nie. Odkąd zjawiła się Reba, już nie. Nie myśl o Rebie.

– NA KOGO PRZYSTAŁEŚ? – zapytał Smok.

– Na panią... erman... Sherman – zdołał wydusić Dolarhyde.

– GŁOŚNIEJ, NIC NIE ROZUMIEM. O KIM MYŚLISZ?

Dolarhyde z zaciętą twarzą odwrócił się do sztangi. W górę. Nad głowę. Tym razem poszło trudniej.

– pani... erman, cała mokra, w wodzie.

– MYŚLISZ O TEJ SWOJEJ PSIPSIULE, PRYZNAJ SIĘ. CHCESZ, ŻEBY BYŁA TWOJĄ PSIPSIULĄ, PRAWDA?

Sztanga upadła z łomotem.

– Ja nie mam psy... psyjaciółki. – Strach tylko pogorszył jego wymowę. Musiał zasłaniać nos górną wargą.

– KRETYŃSKIE KŁAMSTWO. – Głos Smoka był silny i jasny Wymawiał „s” bez najmniejszego trudu. – ZAPOMINASZ O PRZEISTOCZENIU. PRZYGOTUJ SIĘ NA SHERMANÓW. DŹWIGAJ SZTANGĘ.

Dolarhyde chwycił drążek sztangi i naprężył się. Razem z ciałem spał się jego umysł. Rozpaczliwie próbował myśleć o Shermanach. Zmuszał się, by myśleć o ciężarze pani Sherman w jego ramionach. Teraz kolej na panią Sherman. Tylko pani Sherman. Walczył z jej mężem w ciemności. Przydusił go, aż upływ krwi sprawił, że serce Shermana zaczęło trzepotać jak ptak. Słyszał tylko jego serce, niczyje inne. Nie słyszał serca Reby. Nie słyszał.

Strach wyssał z niego siłę. Dolarhyde uniósł sztangę na wysokość ud, nie mógł jej podrzucić na pierś. Pomyślał o Shermanach rozmieszczonych wokół niego, z szeroko otwartymi oczami, podczas gdy on brał to, co należne Smokowi. Nic z tego. Jego myśli były puste, fałszywe. Sztanga upadła z łoskotem.

– NIE DO PRZYJĘCIA.

– Pani...

– NAWET NIE POTRAFISZ WYMÓWIĆ „PANI SHERMAN”. WCALE NIE ZAMIERZASZ SIĘ WZIĄĆ ZA SHERMANÓW. CHCESZ REBY MCCLANE. CHCESZ, ŻEBY BYŁA TWOJĄ PSIPSIUŁĄ. CHCESZ SIĘ Z NIĄ „ZAPRZYJAŹNIĆ”.

– Nie.

– KŁAMSTWO!

– ylko ez...ilkę...

– TYLKO PRZEZ CHWILKĘ? TY ZASMARKANA ZAJĘCZA WARGO, KTO BY SIĘ CHCIAŁ Z TOBĄ PRZYJAŹNIĆ? CHODŹ TU, POKAŻĘ CI, CZYM JESTEŚ. Dolarhyde nie ruszył się z miejsca.

– NIGDY NIE WIDZIAŁEM RÓWNIE OBRZYDLIWEGO I BRUDNEGO DZIECIAKA JAK TY. CHODŹ TU.

Podszedł.

– ZDEJMIJ BLUZĘ. Zdjął.

– SPÓJRZ NA MNIE.

Smok patrzył na niego ze ściany z wściekłością.

– ZDEJMIJ KIMONO I SPÓJRZ W LUSTRO. Spojrzał. Nie mógł odwrócić twarzy od rażącego światła.

Zobaczył, że z ust cieknie mu ślina.

– PRZYJRZYJ SIĘ SOBIE. DAM CI NIESPODZIANKĘ DLA TEJ TWOJEJ PSIPSIUŁY. ŚCIAGAJ TĘ SZMATĘ.

Ręce Dolarhyde'a walczyły ze sobą przy pasku spodenek, które w końcu poszły w strzępy. Zdarł je z siebie prawą ręką, a lewą nadal przytrzymywał resztki.

Prawa ręka wyrwała szmaty z drżącej, słabnącej lewej dłoni. Rzucił je w kąt i upadł na matę, wijąc się jak przekrojony na żywo homar. Dysząc ciężko, szamotał się i jęczał, a jaskrawy tatuaż świecił w ostrym świetle sali gimnastycznej.

– NIGDY NIE WIDZIAŁEM RÓWNIE OBRZYDLIWEGO I BRUDNEGO DZIECIAKA JAK TY. IDŹ PO NIE.

– ...aciu.

– IDŹ PO NIE.

Wyczołgał się z pokoju i wrócił z zębami Smoka.

– POŁÓŻ JE W OTWARTYCH DŁONIACH, ZACIŚNIJ PALCE I ZEWRZYJ MOJE ZĘBY.

Dolarhyde napiął mięśnie.

– WIESZ, JAK ONE POTRAFIĄ GRYŹĆ. A TERAZ PRZYTRZYMAJ JE POD BRZUCHEM. WŁÓŻ GO SOBIE MIĘDZY ZĘBY.

– ...nie!

– ZRÓB TO... A TERAZ SPÓJRZ.

Zęby zaczynały go ranić. Ślina i łzy ściekały mu na pierś.

– plose...

– JESTEŚ ŚMIECIEM, WYRZUTKIEM PRZEISTOCZENIA JESTEŚ ŚMIECIEM I POWIEM CI, JAK SIĘ TERAZ NAZYWASZ. CIPOGĘBA. POWTÓRZ TO.

– Nazywam się cipogęba. – Żeby to wypowiedzieć, musiał sobie zatkać nos górną wargą.

– WKRÓTCE BĘDĘ Z CIEBIE OCZYSZCZONY – powiedział Smok bez najmniejszych trudności. – CZY TAK BĘDZIE DOBRZE?

– .. dobrze.

– A KTO BĘDZIE NASTĘPNY, KIEDY NADEJDZIE CZAS?

– ... pani... erman.

Dolarhyde'a przeszył nagły ból; ból i potworny strach.

– URWEŃ CI GO.

– ...reba, reba. Dam ci za to rebę. – Wymowa już mu się poprawiła.

– NICZEGO MI NIE DASZ. ONA JEST MOJA. ONE WSZYSTKIE SĄ MOJE. NAJPIERW REBA MCCLANE, A POTEM SHERMANOWIE.

– Reba, a potem shermanowie. odpowiem za to przed prawem.

– PRZYGOTOWAŁEM ALIBI NA TEN DZIEŃ. CZYŻBYŚ W TO WĄTPIŁ?

– nie.

– KIM JESTEŚ?

– cipogęba.

– MOŻESZ JUŻ ODŁOŻYĆ MOJE ZĘBY, TY ŻAŁOSNA I SŁABA ZAJĘCZA WARGO. CHCESZ TRZYMAĆ TĘ SWOJĄ PSIPSIULĘ Z DALA ODE MNIE, TAK? ROZERWEŃ JĄ NA STRZĘPY I WETRĘ CI JE POTEM W TWOJĄ SZKARADNĄ TWARZ. POWIESZĘ CIĘ NA JEJ JELICIE GRUBYM, JEŚLI MI SIĘ SPRZECIWISZ. WIESZ, ŻE MOGĘ TO ZROBIĆ. ZAŁÓŻ NA SZTANGĘ STO PIĘĆDZIESIĄT KILOGRAMÓW.

Dolarhyde dołożył ciężarki. Dotychczas nie podniósł więcej niż sto czterdzieści kilo.

– PODNIEŚ TO.

Reba umrze, jeżeli nie będzie równie silny jak Smok.

Wiedział o tym. Naprężył się, aż cały pokój poczerwieniał przed jego wysadzonymi z orbit oczami.

– nie mogę.

TY NIE MOŻESZ, ALE JA MOGĘ.

Dolarhyde chwycił sztangę. Aż się wygięła, gdy uniósł ją do ramion. W GÓRĘ. Ponad głowę, bez trudu.

– ŻEGNAJ, CIPOGĘBO – powiedział Smok, dygocząc w jasnym świetle.

W poniedziałek rano Francis Dolarhyde nie dotarł do pracy.

Wyruszył z domu o tej samej porze co zawsze. Wyglądał nienagannie, prowadził samochód bezbłędnie. Gdy skręcił na most na Missouri i wjechał pod słońce, założył ciemne okulary.

Jego styropianowa lodówka zapiszczała, ocierając się o oparcie siedzenia koło niego. Schylił się i postawił ją na podłodze, pamiętając, że musi jeszcze wziąć suchy lód i zabrać film z...

Przejeżdżał nad kanałem Missouri, pod nim płynęła woda. Spojrzał na białe grzywacze i poczuł, że to on się przesuwa, a rzeka trwa w bezruchu. Ogarnęło go dziwne uczucie, jak gdyby się rozpadał. Zdjął nogę z gazu.

Furgonetka zwolniła na zewnętrznym pasie i zatrzymała się. Za nim utworzyła się kolumna trąbiących samochodów. Nie słyszał ich.

Siedział patrząc pod słońce i przesuając się nad nieruchomą rzeką. Ciepłe łzy pociekły mu spod okularów przeciwsłonecznych i skapały mu na ramiona.

Ktoś zastukał w szybę – kierowca o bladej, zapuchniętej od snu twarzy, który wysiadł z samochodu za nim i darł się na niego przez okno.

Dolarhyde zmierzył go wzrokiem. Z drugiej strony mostu nadciągały błyskające niebieskie światła. Wiedział, że powinien ruszyć. Poprosił swe ciało, by nacisnęło na pedał gazu – usłuchało. Krzykacz za oknem odskoczył szybko, by uratować stopy.

Dolarhyde zajechał na parking dużego motelu przy skrzyżowaniu z autostradą numer 270. Stał tam szkolny autokar; o tylną szybę ktoś oparł wielką tubę.

Dolarhyde zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien wsiąść do autokaru ze starszankami.

Nie, to nie to. Rozejrzał się, szukając packarda swojej matki.

– Wsiadaj. Tylko nie kładź nóg na siedzeniu – powiedziała matka.

To także nie było to.

Znajdował się na parkingu w zachodniej części St. Louis; pragnął dokonać wyboru – i nie mógł.

Za sześć dni, jeżeli zdoła wytrwać tak długo, zabije Rebę McClane. Zapiszczał nagle przez nos.

A może Smok zadowolili się najpierw Shermanami i poczeka do następnej pełni księżyca?

Nie, nie zadowolili się.

Reba McClane nic nie wiedziała o Smoku. Myślała, że jest po prostu z Francisem

Dolarhyde'em. Kochała się z nim w łóżku jego babki.

– Było cudownie, D. – powiedziała Reba McClane na podwórku.

Może po prostu lubiła Francisa Dolarhyde'a? Byłaby to z jej strony podła perwersja. Wiedział, że powinien nią za to gardzić, ale och, dobry Boże, jakież to było wspaniałe!

Reba McClane była winna tego, że lubi Francisa Dolarhyde. Jej winę można łatwo udowodnić.

Gdyby nie moc jego Przeistoczenia, gdyby nie Smok, nigdy nie przyprowadziłby jej do domu. Nie byłby zdolny do współżycia. Choć kto wie?

– Boże jedyny, człowieku. Ależ to słodkie! Tak właśnie powiedziała. „Człowieku”.

Z motelu wyszedł tłum ludzi, którzy skończyli śniadanie. Kiedy mijali jego furgonetkę, ich spojrzenia przebiegły po nim jak mrowie maleńkich stóp.

Musiał pomyśleć. Nie mógł wracać do domu. Wynajął pokój w motelu i zadzwonił do pracy, że jest chory. Pokój, który mu dali, był miły i cichy. Jediną ozdobę stanowiły wiejskie grafiki przedstawiające parowce. Nikt nie przeszywał go ze ściany wściekłym spojrzeniem.

Położył się w ubraniu. Na gipsowym suficie migotały jakieś niewielkie plamki. Co kilka minut musiał wstawać, by oddać mocz. Na przemian to dygotał, to znów się pocił. Minęła godzina.

Nie chciał oddawać Smokowi Reby McClane. Myślał o tym, co Smok mu zrobi, jeżeli jej nie odda.

Silny strach przychodzi falami; ciało nie mogłoby go znieść bez przerwy. W chwilach ociężałego spokoju pomiędzy kolejnymi napadami strachu Dolarhyde był w stanie myśleć.

Co mógłby zrobić, żeby mu jej nie oddać? Do głowy przychodził mu wciąż ten sam sposób. Wstał.

W wyłożonej kafelkami łazience głośno pstryknął przełącznik. Dolarhyde spojrzał na pręt przytrzymujący zasłonę wokół natrysku – solidny kawałek dwucentymetrowej średnicy rurki, przyśrubowanej do ścian. Zdjął zasłonkę i powiesił ją na lustrze.

Chwycił rurkę jedną ręką i podciągnął się, ocierając palcami stóp o brzeg wanny. Rurka okazała się wystarczająco silna. Jego pasek także był mocny. Potrafi się do tego zmusić. Tego akurat się nie bał.

Marynarskim węzłem przywiązał pasek do rury. Koniec z klamrą utworzył pętlę. Gruby pas nie kołysał się, zwisał zupełnie sztywno.

Przysiadł na sedesie i spojrzał na pętlę. Nie będzie miał gdzie spaść, ale poradzi sobie. Utrzyma ręce z dala od pętli, aż osłabnie do tego stopnia, że nie da już rady ich podnieść.

Ale skąd może mieć pewność, że jego śmierć wpłynie na Smoka, skoro teraz już nie stanowią jedności? Może wcale na niego nie wpłynie? Czy może być pewny, że Smok zostawi ją wtedy w spokoju?

Może upłynąć wiele dni, nim znajdą jego zwłoki. Reba będzie się zastanawiać, co się z nim stało. Czy przyjdzie do niego do domu i zacznie go szukać po omacku? Wejdzie na piętro i spotka ją niespodzianka?

Wielki Czerwony Smok wypluwałby jej szczątki po schodach przez dobrą godzinę.

Może powinien zatelefonować i ostrzec ją? Ale czy nawet wtedy mogłaby Mu cokolwiek zrobić? Nic. Mogłaby tylko liczyć na szybką śmierć, na to, że w przypływie szału On ugryzie ją szybko i dostatecznie głęboko.

Na piętrze jego domu Smok czekał na zdjęcia, które Dolarhyde własnoręcznie oprawił. Czekał w niezliczonych albumach i czasopismach, odradzający się za każdym razem, gdy fotograf robił... no właśnie, co?

W głębi mózgu Dolarhyde słyszał potężny głos Smoka przeklinający Rebę. Najpierw ją będzie przeklinał, dopiero potem ukąsi. Będzie też złorzeczył Francisowi. Powie jej, że on jest niczym.

– Nie rób tego. Nie... nie rób. – Głos Dolarhyde’a odbił się od kafelków łazienki. Wsłuchał się w swój głos, głos Francisa Dolarhyde’a, którego Reba tak świetnie rozumiała, w swój własny głos. Ten, którego wstydził się przez całe życie, którym docinał innym ludziom zjadliwie.

Ale nigdy nie słyszał, żeby przeklinał go głos Francisa Dolarhyde’a.

– Nie rób tego.

Głos, który teraz słyszał, nigdy, przenigdy go nie przeklinał. Ale powtórzył obelgę Smoka. Wspomnienie tego napełniło go wstydem.

Pomyślał, że chyba jednak nie jest prawdziwym mężczyzną. Przyszło mu do głowy, że jakoś nigdy tego nie sprawdził, a teraz jest ciekawy.

Reba McClane dała mu chociaż ochłap dumy. Właśnie duma powiedziała mu, że śmierć w łazience to marny koniec.

Więc co? Czy jest jakiś inny sposób?

Był. Kiedy o nim pomyślał, wiedział, że to świętokradztwo. Ale zawsze to jakieś wyjście.

Krążył po całym pokoju, od łóżka do okna i drzwi. A jednocześnie ćwiczył wymowę. Jeżeli oddychał głęboko pomiędzy zdaniami i się nie spieszył, słowa brzmiały całkiem dobrze.

Pomiędzy napadami strachu potrafił mówić znakomicie.

Ale nadszedł kolejny atak, tak silny, że przyprawił go o wymioty. Później zwykle następował spokój. Zaczekał na tę chwilę, a gdy wreszcie nadeszła, pognął do telefonu i zamówił rozmowę z Brooklynem.

Na parkingu przed motelem orkiestra ze szkoły średniej wsiadała do autokaru. Dzieci zobaczyły nadchodzącego Dolarhyde'a, który po drodze do furgonetki musiał przejść między nimi.

Otyły chłopak o nalanej twarzy i z poskręcany skautowskim paskiem zmarszczył groźnie brwi, wypiął pierś i naprężył mięśnie, gdy Dolarhyde przeszedł koło niego. Dwie dziewczynki zachichotały. W tym momencie w autobusie ktoś zadał w tubę, tak że Dolarhyde nie usłyszał śmiechu za plecami.

Dwadzieścia minut później zatrzymał furgonetkę w alejce trzysta metrów od domu babki.

Otarł twarz z potu i kilka razy odetchnął głęboko. W lewej dłoni trzymał klucze od domu, prawą ścisnął kierownicę.

Znów zapiszczał przez nos. I jeszcze raz, głośniej. I jeszcze głośniej. Naprzód.

Furgonetka ruszyła z piskiem opon, wyrzucając żwir spod kół; za przednią szybą dom rósł w oczach. Wóz wjechał na podwórko poślizgiem, a Dolarhyde wyskoczył w biegu i puścił się biegiem.

W domu, nie rozglądając się, z tupotem zbiegł do piwnicy; szarpnął kłódkę kufra, szukając kluczy.

Były na górze. Nie namyślał się. Biegąc po schodach na górę, zapiszczał głośno przez nos, by zagłuszyć myśli i odpędzić wszystkie inne głosy.

Dopadł biurka. Grzebał w szufladzie szukając kluczy, nie patrząc na obraz Smoka oparty o wezłowie łóżka.

– CO TY TAM ROBISZ? Gdzie klucze, gdzie są te klucze?

– CO TY TAM ROBISZ? DOŚĆ! NIGDY NIE WIDZIAŁEM RÓWNIE OBRZYDLIWEGO I BRUDNEGO DZIECKA JAK TY. PRZESTAŃ.

Pracowite dłonie spowolniały.

– POPATRZ... POPATRZ NA MNIE!

Przytrzymał się skraju biurka, usiłując się nie odwracać. Z wysiłkiem zamknął oczy, gdy wbrew jego woli głowa sama przekręciła się ku ścianie.

– CO TY TAM ROBISZ?

– Nic.

Dzwoni telefon, telefon, telefon. Podniósł słuchawkę, odwracając się plecami do ściany.

– Cześć, D. Jak się czujesz? – Głos Reby McClane.

Odchrząknął.

– W porządku – odparł szeptem.

– Dzwoniłam do ciebie do pracy. Powiedzieli, że jesteś chory. Brzmisz okropnie.

– Porozmawiaj ze mną.

– Jasne. A jak myślisz, po co dzwonię? Co ci się stało?

– Grypa.

– Pójdiesz do lekarza?... Halo? Pytałam, czy pójdziesz do lekarza?

– Mów głośniej. – Skończył grzebać w jednej szufladzie i zabrał się do drugiej.

– Jakies zakłócenia na linii? Wiesz, D., nie powinieneś siedzieć sam, skoro jesteś chory.

– POWIEDZ JEJ, ŻEBY TU PRZYSZŁA WIECZOREM I SIĘ TOBĄ ZAJĘŁA.

Ledwie zdążył nakryć słuchawkę dłonią.

– Rany boskie, co to było? Jest ktoś z tobą?

– To radio. Pokręciłem złą gałką.

– Słuchaj, D., przysłać ci tam kogoś? Jakoś się nie cieszysz. To przyjadę sama. Poproszę Marcie, żeby podwiozła mnie w czasie przerwy na lunch.

– Nie. – Kluczyki leżały w szufladzie pod zwiniętym paskiem. Już je miał. Z telefonem w rękę wycofał się do korytarza. – Nic mi nie jest. Wkrótce się zobaczymy. – Ach, to „s”! Zbiegł na parter, wrywając kabel ze ściany; telefon stoczył się po schodach.

Dziki, wściekły wrzask:

– WRACAJ TU, CIPOGĘBO!

Na dół, do piwnicy. W kufrze, obok pudła z dynamitem była mała walizeczka, a w niej gotówka, karty kredytowe, prawa jazdy na różne nazwiska; był tam też jego pistolet, nóż oraz pałka.

Z walizką w garści wbiegł na parter. Szybko minął schody gotów do walki, gdyby Smok schodził już po niego. Wskoczył do furgonetki i wystartował ostro; tył wozu zarzucił na żwirze.

Na autostradzie zwolnił i zjechał na pobocze, by wypluć nadmiar żółci. Strach częściowo już

minął. Nie przekraczając dozwolonej szybkości i z dużym wyprzedzeniem włączając kierunkowskazy, ostrożnie jechał na lotnisko.

Zapłacił za taksówkę przed blokiem mieszkalnym na Eastern Parkway, dwie przecznice od Muzeum Brooklyńskiego. Resztę drogi przebył pieszo. Mijali go amatorzy joggingu, biegnący do Prospect Park.

Stojąc na wysepce koło stacji metra dokładnie obejrzał sobie bryłę klasycystycznego budynku. Dotychczas nie widział Muzeum Brooklyńskiego, znał je wyłącznie z przewodnika, który zamówił, kiedy po raz pierwszy ujrzał maleńki napis „Muzeum Brooklyńskie” pod fotografiami Wielkiego Czerwonego Smoka i Kobiety Odzianej w Słońce.

Nad wejściem wyryto w kamieniu imiona wielkich myślicieli, od Konfucjusza po Demostenesa. Gmach był imponujący, usytuowany obok ogrodów botanicznych – godna siedziba dla Smoka.

Pod ulicą załomotało metro, niemal łaskocząc Dolarhyde’a w podeszwy stóp. Z otworów wentylacyjnych wydobywało się stęchłe powietrze, mieszając się z zapachem farby na jego wąsach.

Do zamknięcia muzeum pozostała już tylko godzina. Przeszedł przez ulicę i wszedł do środka. Szatniarka odebrała mu walizkę.

– Czy jutro szatnia będzie otwarta? – zapytał.

– Jutro muzeum jest nieczynne. – Szatniarka, zasuszona kobiecina w niebieskim chałacie, odwróciła się do niego plecami. – Czyli że ludzie, którzy tu jutro przyjdą, nie skorzystają z szatni?

– Nie. Muzeum będzie zamknięte, więc szatnia również.

Znakomicie.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Dolarhyde krążył pośród wielkich szklanych gablot w sali Oceanii i sali obu Ameryk na parterze – ceramika andyjska, prymitywna kamienna broń, rękodzieła i potężne maski Indian z północno-zachodniego wybrzeża.

Czterdzieści minut do zamknięcia. Nie miał już czasu na dalsze badanie terenu na parterze. Wiedział, gdzie są wyjścia i windy.

Wjechał na piąte piętro. Czuł, że jest teraz bliżej Smoka, ale to nic – nie wpadnie na Niego za rogiem.

Smoka nie wystawiano na widok publiczny; od powrotu obrazu z londyńskiej Tate Gallery przechowywano go w zaciemnionym pomieszczeniu.

Dolarhyde dowiedział się telefonicznie, że Wielki Czerwony Smok i Kobieta Odziana w Słońce jest bardzo rzadko wystawiany. Obraz liczył już blisko dwieście lat i – jako akwarela – szybko by spłótnął na świetle.

Dolarhyde zatrzymał się przed obrazem Alberta Bierstadta Burza w Górach Skalistych – Mt Rosalie 1866. Widział stąd zamknięte drzwi do działu studiów malarstwa i magazynu. Tam właśnie znajdował się Smok. Nie kopia, nie fotografia: Smok. To tam wejdzie jutro na umówione spotkanie.

Obszedł piąte piętro dookoła, korytarzem portretów, nie dostrzegając nawet tych płócien. Interesowały go tylko drzwi. Znalazł wyjście ewakuacyjne i główne schody, zapamiętał położenie wind.

Strażnicy, uprzejmi ludzie w średnim wieku, nosili buty na grubych podszwach, a ich postawa zdradzała, że całe lata spędzili na staniu. Żaden z nich nie miał broni, tylko wartownik w hallu był uzbrojony. Może był po prostu gliniarzem dorabiającym sobie po godzinach.

Przez głośniki zapowiedziano zamknięcie muzeum.

Dolarhyde stał na chodniku pod alegorią Brooklynu i obserwował tłum wychodzący w przyjemny letni wieczór.

Biegacze dreptali w miejscu, czekając, aż strumień ludzi przejdzie przez chodnik do metra.

Dolarhyde spędził kilka minut w ogrodzie botanicznym. Potem złapał taksówkę i podał kierowcy adres sklepu, który znalazł w książce telefonicznej.

W poniedziałek, o dziewiątej wieczorem, Graham postawił teczkę na podłodze przed drzwiami swego chicagowskiego mieszkania i zaczął przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

Cały dzień spędził w Detroit, przesłuchując personel, i sprawdzając kartoteki pracowników w szpitalu, gdzie pani Jacobi pracowała jako ochotniczka, zanim przenieśli się do Birmingham. Szukał kogoś bez stałej pracy, kogoś, kto mógłby pracować w Detroit i Atlancie albo Atlancie i Birmingham; kogoś, kto miałby dostęp do furgonetki i wózka inwalidzkiego i kto widział panią Jacobi i panią Leeds, zanim się do nich włamał.

Crawford uważał, że ta wyprawa to tylko strata czasu, ale ustąpił. A jednak to on miał rację. Cholerny Crawford! Zbyt często wychodziło na jego.

Graham usłyszał, że w mieszkaniu dzwoni telefon. Klucze zahaczyły o podszewkę kieszeni. W końcu wyszarpnął je, razem z długą nitką. Jakieś drobne wpadły mu do nogawki i rozsypały się po podłodze.

– Kurwa!

Był już w pół drogi do telefonu, gdy ten przestał dzwonić. Może to Molly próbowała się z nim skontaktować?

Zadzwoił do niej do Oregonu.

Odebrał dziadek Willy'ego. Mówił z pełnymi ustami. W Oregonie była właśnie pora kolacji.

– Proszę przekazać Molly, żeby do mnie zadzwoniła, jak skończy – powiedział Graham.

Gdy rozległ się dzwonek telefonu, stał właśnie pod prysznicem, z oczami zalanymi szamponem. Spłukał głowę i ociekając wodą skoczył do aparatu.

– Cześć, słodka buźko.

– Ty stary bajerancie, tu Byron Metcalf z Birmingham.

– Przepraszam.

– Mam wiadomości, dobre i złe. Miałeś rację z Nilesem Jacobim. Zabrał te rzeczy z domu. Pozbył się ich, ale przycisnąłem go trochę, jak znalazłem u niego w pokoju trochę haszu, i wszystko wyśpiewał. To ta zła wiadomość, bo liczyłeś przecież na to, że to Lala podwędził te rzeczy i opchnął paserom. A dobra wiadomość jest taka, że został jakiś film. Nie mam go jeszcze. Niles twierdzi, że są tego dwie rolki, schowane pod siedzeniem w jego samochodzie. Nadal chcesz to obejrzeć?

– Jasne; jasne, że chcę.

– Widzisz, z samochodu korzysta teraz jego serdeczny przyjaciel i jeszcze go nie dorwaliśmy, ale to kwestia czasu. Nadać ci ten film pierwszym samolotem do Chicago i zawiadomić, kiedy dotrze?

– Tak, proszę. Dzięki wielkie, Byron.

– Drobiazg.

Gdy zadzwoniła Molly, Graham już zasypiał. Zapewnili się nawzajem, że wszystko jest w najlepszym porządku, po czym okazało się, że niewiele więcej mają sobie do powiedzenia.

Willy świetnie się bawi, poinformowała Molly. Pozwoliła chłopcu powiedzieć Grahamowi dobranoc.

Willy miał jednak dużo więcej do powiedzenia: przekazał Grahamowi fascynującą wiadomość, że dziadek kupił mu kucyka.

Molly nawet o tym nie wspomniała.

We wtorki Muzeum Brooklyńskie jest zamknięte dla publiczności, a wstęp mają tylko studenci historii sztuki i pracownicy nauki.

Muzeum ma doskonałe warunki do prowadzenia badań. Wykształcony i życzliwy personel często zezwala pracownikom naukowym przychodzić na umówione spotkania we wtorki i oglądać eksponaty nie wystawiane na widok publiczny.

Francis Dolarhyde wyszedł ze stacji metra tuż po czternastej, niosąc pod pachą materiały naukowe; notatnik, katalog Tate Gallery i biografię Williama Blake'a.

Pod koszulą ukrył płaski pistolet kalibru 9 mm, skórzaną pałkę i ostry jak brzytwa nóż do filetowania. Elastyczny bandaż przytrzymał ten arsenał na jego płaskim brzuchu. Sportowa kurtka zapięła się bez trudu. W jej kieszeni miał szmatkę nasyoną chloroformem i zawiniętą w szczelny plastikowy woreczek.

W rękę trzymał nowy futerał na gitarę.

Przy wyjściu z metra na środku Eastern Parkway stoją trzy budki telefoniczne. W jednej aparat został wyrwany, w pozostałych oba działały.

Dolarhyde nawrzucał ćwierćdolarówek, aż w końcu usłyszał, jak Reba mówi „Halo?”

W tle słyszał odgłosy pracy w ciemni.

– Cześć, Reba – powiedział.

– Sie masz, D. Jak się czujesz?

Przejeżdżające samochody hałasowały tak, że ledwie ją słyszał.

– Zdaje się, że dzwonicz z budki. Myślałam, że leżysz chory w łóżku.

– Chciałbym z tobą później porozmawiać.

– W porządku. Więc zadzwoń do mnie później, dobrze?

– Muszę się z tobą... zobaczyć.

– Chciałabym się z tobą zobaczyć, ale dzisiaj nie mogę. Muszę pracować. Zadzwonisz do mnie?

– Tak. Jeśli nic...

– Słucham?

– Zadzwonię.

– Naprawdę chcę się z tobą szybko zobaczyć, D.

– Tak. Do widzenia... Reba.

W porządku. Strach spłynął mu z mostka na brzuch. Opanował go jakoś i przeszedł przez jezdnię.

We wtorki do Muzeum Brooklyńskiego wchodzi się przez pojedyncze drzwi na końcu prawego skrzydła. Dolarhyde wszedł za czwórką studentów historii sztuki. Studenci złożyli swoje worki i plecaki pod ścianą i wyjęli przepustki. Strażnik za biurkiem sprawdził je.

Podszedł do Dolarhyde'a.

– Czy pan jest umówiony?

Dolarhyde skinął głową.

– Studium malarstwa. Panna Harper.

– Proszę się wpisać do księgi. – Strażnik podał mu długopis.

Dolarhyde miał własny. Podpisał się jako Paul Crane.

Strażnik wykręcił numer wewnętrzny. Dolarhyde odwrócił się plecami do biurka i przyglądał się Świątu Winobrania Roberta Bluma, które wisiało nad wejściem, kiedy wartownik upewnił się co do jego spotkania. Kątem oka widział jeszcze jednego funkcjonariusza ochrony. Tak, to ten facet z bronią.

– Z tyłu korytarza, przy kiosku, tuż obok głównych wind jest ławka – powiedział strażnik zza biurka. – Proszę tam zaczekać. Panna Harper już po pana schodzi. – Podał Dolarhyde'owi biało-różowy znaczek.

– Mogę tu zostawić gitarę?

– Przypilnuję jej.

W przygaszonym świetle muzeum wyglądało zupełnie inaczej. Między wielkimi szklanymi gablotami panował półmrok.

Dolarhyde czekał trzy minuty, zanim panna Harper wysiadła z windy.

– Pan Crane? Jestem Paula Harper.

Przez telefon, kiedy zadzwonił do niej z St. Louis, wydawała mu się starsza; rozsądna kobieta i mimo pewnej surowości ładna. Nosiła bluzkę i spódnicę niczym mundur.

– Pan dzwonił w sprawie akwareli Blake'a – powiedziała – Chodźmy na górę, pokażę ją panu.

Pojedziemy windą dla personelu. Tędy proszę.

Poprowadziła go obok ciemnego kiosku i przez niewielką salkę obwieszoną prymitywną bronią. Rozejrzał się szybko, zapamiętując teren. Z rogu działu obu Ameryk wychodził korytarz prowadzący do małej windy.

Panna Harper nacisnęła guzik. Skrzyżowała ręce na piersi i czekała. Jej jasnoniebieskie oczy przesunęły się po biało-różowym znaczku przypiętym do klapy kurtki Dolarhyde'a.

– Dał panu przepustkę na szóste piętro – powiedziała. – Nie szkodzi, na piątym nie ma dziś żadnych strażników. Jakie badania pan prowadzi?

Do tej pory Dolarhyde'owi udawało się ograniczać do potakiwania i uśmiechów.

– Piszę esej o Buttsie – odparł.

– Williamie Buttsie?

Skinął głową.

– Niewiele o nim czytałam. Czasami tylko w przypisach podają go jako mecenasą Blake'a. Czy jest na tyle interesujący?

– Dopiero się za niego wziąłem. Muszę jeszcze pojechać do Anglii.

– Zdaje się, że Galeria Narodowa ma dwie akwarele, które Blake namalował dla Buttsa. Widział je pan?

– Jeszcze nie.

– Niech pan do nich lepiej zawczasu napisze. Przytaknął. Nadjechała winda.

Piąte piętro. Skóra go mrowiła, ale krew w rękach i nogach krążyła normalnie. Wkrótce wszystko się wyjaśni. A jeśli mu się nie powiedzie, nie pozwoli im się schwytać.

Poprowadziła go korytarzem portretów amerykańskich. Poprzednio szedł inną drogą. Nie szkodzi, i tak wiedział, gdzie się znajduje.

W korytarzu czekała jednak na niego niespodzianka. Kiedy ją ujrzał, stanął jak skamieniały.

Paula Harper zauważyła, że został w tyle, i odwróciła się.

Stał sztywno przed wnęką w ścianie z portretami.

– To portret George'a Washingtona pędzla Gilberta Stuarta – powiedziała.

Wcale nie.

– Podobny widnieje na banknotach jednodolarowych. Nazywają go portretem Lansdowne’a, bo Stuart namalował taki dla markiza Lansdowne, w podzięce za jego pomoc dla Rewolucji Amerykańskiej i... czy dobrze się pan czuje, panie Crane?

Dolarhyde był blady. To było o wiele gorsze niż wszystkie banknoty jednodolarowe. Z ramy spoglądał na niego Washington, z głęboko osadzonymi oczami i złą sztuczną szczęką Rany boskie, wyglądał zupełnie jak babka! Dolarhyde poczuł się nagle jak dziecko z gumowym nożem w rękę.

– panie Crane, czy wszystko w porządku?

Odpowiedz albo skończ z tym wszystkim. Przejdź dalej Boże jedyny, człowieku. Ależ to słodkie! JESTEŚ NAJBRUDNIEJSZYM... nie.

Powiedz coś.

– Biorę kobalt – wydusił.

– Może chce pan usiąść na chwilę? – Istotnie, bił od niego lekki zapach lekarstw.

– Nie. Proszę mnie zaprowadzić. Już idę.

Już mi go nie obetniesz, babciu. A niech cię, zabiłbym cię na miejscu, gdyby nie to, że już nie żyjesz. Już nie żyjesz. Nie żyjesz. Babka już nie żyje! Leży w grobie, na wieki wieków amen. Boże jedyny, człowieku. Ależ to słodkie!

Dolarhyde wiedział jednak, że tamten drugi wciąż żyje.

Szedł za panną Harper przez bujne chaszczki strachu.

Przez podwójne drzwi weszli do działu malarstwa i magazynu. Dolarhyde rozejrzał się szybko. Była to długa, cicha sala, dobrze oświetlona i pełna płócien na obrotowych stojakach. Wzdłuż ściany stał szereg boksów, jak w biurze. Przez szeroko otwarte drzwi ostatniego boksów dobiegał stukot maszyny do pisania.

Nie widział jednak nikogo oprócz Pauli Harper.

Zaprowadziła go do stołu z ruchomym blatem i przyniosła mu stółek.

– Proszę tu poczekać. Przyniosę panu obraz.

Zniknęła za stojakami.

Dolarhyde rozpiął guzik na brzuchu.

Panna Harper wracała. Niosła płaskie czarne pudło wielkości aktówki. I On tam był. Skąd wzięła tyle siły, żeby go udźwignąć? Nigdy nie sądził, że On jest tak płaski. Wymiary znał z katalogów – 43,5 na 34,3 cm – ale jakoś nie zwrócił na nie specjalnej uwagi. Spodziewał się, że

będzie ogromny. Ale był mały. Mały, a w dodatku tu, w tej cichej sali.

Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, ile siły Smok czerpie z tego starego domu w ogrodzie. Panna Harper coś mówiła.

– ...musimy go przechowywać w tym światłoszczelnym pudle, bo na świetle gotów by nam zblaknąć. Dlatego też rzadko go wystawiamy.

Położyła pudło na stole i odpięła zamki. Od podwójnych drzwi doleciał jakiś hałas.

– Przepraszam. Muszę otworzyć drzwi Juliowi. – Znowu zapięła pudło i podeszła z nim do szklanych drzwi. Na zewnątrz czekał jakiś mężczyzna ze stolikiem na kółkach. Przytrzymała mu drzwi, gdy wjeżdżał do środka.

– U ciebie w porządku?

– Tak, Julio, dziękuję. Mężczyzna wyszedł.

Panna Harper wróciła z pudłem.

– Przepraszam, panie Crane. Julio dzisiaj odkurza i poleruje ramy. – Otworzyła pudło i wyjęła biały tekturowy skoroszyt. – Wie pan, że nie wolno panu tego dotykać. Ja panu pokażę... takie są przepisy. Zgoda?

Skinął tylko głową. Nie mógł wydusić ani słowa.

Otworzyła skoroszyt i wyjęła plastikową osłonkę i podkładkę.

Jest! Wielki Czerwony Smok i Kobieta Odziana w Słońce. Mężczyzna-smok nad znieruchomiłą w błagalnej pozie kobietą, ujętą w pętlę jego ogona.

Istotnie, był mały, ale potężny. Oszołamiający. Nawet najlepsze reprodukcje nie oddawały godziwie szczegółów i barw.

Dolarhyde spostrzegł to natychmiast, w mgnieniu oka... pismo Blake'a na obrzeżach, dwie brązowe plamki na prawym skraju obrazu. Przeżył wstrząs. Trochę za silna dawka... o tyle mocniejsze barwy.

Spójrz na kobietę spowitą w ogon Smoka. No, spójrz.

Zobaczył, że jej włosy są dokładnie tego samego koloru, co włosy Reby McClane. Stwierdził, że od drzwi dzieli go zaledwie siedem metrów. Stłumił w sobie głosy.

Mam nadzieję, że cię nie przyprawiłam o szok? – powiedziała Reba McClane.

– Wygląda na to, że oprócz farb wodnych używał także kredy – mówiła Paula Harper. Stała tak, by móc widzieć każdy jego ruch. Nie spuszczała malowidła z oczu ani na sekundę.

Dolarhyde wsunął dłoń pod koszulę.

Gdzieś w oddali zadzwonił telefon. Stukot maszyny do pisania ustał. Z ostatniego boksu wychyliła się jakaś kobieta.

– Paulo, telefon do ciebie. Dzwoni twoja matka.

Panna Harper nie odwróciła się. Ani na chwilę nie spuściła oka z Dolarhyde’ a i obrazu.

– Możesz ją spytać, o co chodzi? – rzuciła. – Powiedz jej, że oddzwonię.

Druga kobieta zniknęła w głębi boksu. Po chwili znów rozległ się stukot maszyny.

Dolarhyde nie mógł już wytrzymać. Postaw wszystko na jedną kartę, teraz albo nigdy.

Ale to Smok wykonał pierwszy ruch.

– NIGDY NIE WIDZIAŁEM...

– że co? – Panna Harper wytrzeszczyła oczy.

– ...takiego wielkiego szczura! – dokończył Dolarhyde, wskazując palcem. – Wchodzi po tamtej ramie!

Panna Harper odwróciła się.

– Gdzie?

Pałka wysunęła się spod koszuli i kierowana bardziej ruchem nadgarstka niż całego ramienia, uderzyła ją z tyłu w głowę. Panna Harper zaczęła padać, gdy Dolarhyde chwycił ją za bluzkę i zatkał jej nos szmatą z chloroformem. Kobieta pisnęła cicho i osunęła się bezwładnie.

Ułożył ją na podłodze, między stołem a stojakami, ściągnął pudło z akwarelą i przykucnął nad nią. Szelest, chrapliwy oddech i dzwonek telefonu.

Ta druga znów wyszła z boksu.

– Paula? – Rozejrzała się po sali. – To znów twoja matka – zawołała. – Chce z tobą rozmawiać natychmiast.

Weszła za stół.

– Zajmę się twoim gościem, jeżeli...

Nagle ujrzała ich – Paulę Harper na podłodze, z twarzą zasłoniętą włosami, i przykucniętego nad nią Dolarhyde’ a, który wpychał do ust ostatni skrawek akwareli. Wstał i – żując cały czas – skoczył. Ku niej.

Wpadła do swego boksu, zatrzasnęła kruche drzwi, złapała telefon i zrzuciła go na podłogę. Na czworakach dopadła go w końcu i mimo zajętej linii próbowała wykręcić jakiś numer. Naraz drzwi boksu puściły. Zamiast podświetlanej tarczy ujrzała wszystkie barwy tęczy, gdy pałka trafiła ją za ucho. Słuchawka upadła ze stukiem na podłogę.

Zjeżdżając służbową windą Dolarhyde śledził światółko przeskakujące po numerach pięter. Pistolet trzymał przy brzuchu, zasłonięty książkami.

Pierwsze piętro.

Wysiadł. Szedł szybko przez puste galerie. W sportowych butach poruszał się niemal bezszelestnie. Zakręcił w złą stronę i oto mija maski, oto wielka maska Sisuit, traci sekundy, wybiega na wysokie totemy plemienia Haida i gubi się zupełnie.

Zawrócił, spojrzał w lewo, zobaczył kamienną broń i zorientował się, gdzie jest.

Zza rogu zerknął w głąb hallu.

Strażnik z recepcji stał przy tablicy ogłoszeń, jakieś dziesięć metrów od lady.

Ten uzbrojony trzymał się bliżej drzwi. Kabura jego pistoletu zaskrzypiała, gdy schylił się, by zetrzeć plamkę z czubka buta.

Gdyby doszło do walki, jego zastrzel najpierw. Dolarhyde wsunął pistolet za pasek i zapiął kurtkę. Przeszedł przez hali, odpinając przepustkę.

Słyszając kroki, strażnik z recepcji odwrócił się.

– Dziękuję – powiedział Dolarhyde. Uniósł znaczek, trzymając go za krawędzie, i upuścił na biurko.

Strażnik skinął głową.

– Gdyby pan był tak uprzejmy wrzucić przepustkę przez ten otwór...

Na biurku zadzwonił telefon.

Jak trudno podnieść taki znaczek ze szklanego blatu!

Telefon znów zadzwonił. Szybko!

Podniósł wreszcie przepustkę i wrzucił ją przez otwór. Wziął swoją gitarę ze stosu plecaków.

Strażnik podchodził do telefonu.

Dolarhyde wyszedł na dwór i spieszenie ruszył w kierunku ogrodu botanicznego, w każdej chwili gotów odwrócić się i strzelać, gdyby usłyszał pościg.

W ogrodzie skręcił w lewo i dał nura w ciasny przesmyk między szopą a żywopłotem. Otworzył futerał do gitary i wysypał z niego rakietę i piłkę tenisową, ręcznik, zwiniętą torbę na zakupy i duży pęczek selerów z bujną nacią.

Gubiąc guziki, jednym ruchem zdarł z siebie kurtkę i koszulę, po czym wyskoczył ze spodni. Pod spodem miał podkoszulek z napisem: „Brooklyn College” i szorty. Wepchnął do torby książki i ubranie, na to broń, na wierzchu zaś sterczały selery. Wytarł rączkę i zamki futerału i wepchnął go pod żywopłot.

Z ręcznikiem przerzuconym przez szyję ruszył na przełaj ku Prospect Park. Wyszedł na bulwar Empire. Przed sobą miał kilku truchtaczy. Gdy wchodził za nimi do parku, minęły go pierwsze radiowozy na sygnale. Truchtacze nie zwrócili na nie uwagi. Dolarhyde też się nie obejrzał.

To biegł, to szedł na zmianę, wymachując torbą z zakupami i podbijając piłeczkę tenisową – typowy mężczyzna odpoczywający po ciężkim treningu, który wracając do domu wstąpił na zakupy.

Zmusił się, by zwolnić kroku. Nie powinien tak pędzić z pełnym żołądkiem. Teraz już mógł wybrać sobie odpowiednie tempo.

Bo teraz już mógł wszystko.

Crawford siedział w tylnym rzędzie ławy przysięgłych i zjadał orzeszki ziemne, a Graham zaciągał żaluzje w oknach.

– Spodziewam się, że po południu dasz mi już tę charakterystykę – stwierdził Crawford. – Wspominałeś coś o wtorku, a dziś jest wtorek.

– Skończę ją, ale najpierw chciałbym rzucić na to okiem. Graham otworzył ekspresową przesyłkę od Byrona Metcalfa i wysypał z koperty jej zawartość – dwie zakurzone rolki amatorskiego filmu, zapakowane w plastikowe torebki na kanapki.

– Czy Metcalf wysuwa jakieś zarzuty pod adresem Nilesa Jacobiego?

– Nie w sprawie kradzieży. On i tak pewnie będzie dziedziczyć, razem z bratem Jacobiego. A jeśli chodzi o hasz, to nie wiem. Prokurator w Birmingham najchętniej wybiłby mu za to zęby.

– To dobrze – powiedział Crawford.

Z sufitu na wprost ławy przysięgłych zjechał ekran, ustawiony tak, by można było pokazywać sędziom sfilmowane dowody rzeczowe.

Graham założył film na projektor.

– A wracając do kiosków z gazetami, w których Lala mógłby tak szybko zdobyć „Tattlera”, to mam już raporty z Cincinnati, Detroit i kilka z Chicago – rzekł Crawford. – Jest już paru dziwaków do sprawdzenia.

Graham puścił film. Przedstawiał łowienie ryb.

Dzieci Jacobich kucały nad brzegiem stawu z wędkami i spławikami.

Graham usiłował nie myśleć o nich, spoczywających w swych małych trumienkach. Próbował sobie wyobrazić, że łowią ryby.

Spławik dziewczynki podskoczył i zniknął pod wodą. Ryba wzięła.

Crawford zmiął torebkę po orzeszkach.

– Indianapolis ociąga się jak cholera z przepytywaniem kioskarzy i sprawdzaniem stacji Servco Supreme – powiedział.

– Chcesz to obejrzeć, czy nie? – burknął Graham. Crawford milczał do końca dwuminutowego filmu.

– Wspaniale, złapała okonia – rzekł wreszcie. – No więc wracając do tej charakterystyki...

– Jack, byłeś w Birmingham tuż po tej historii. Ja dotarłem tam dopiero miesiąc później. Widziałeś ten dom, kiedy nadal był jeszcze ich domem. Ja nie. Gdy tam dojechałem, był już zupełnie ogołocony i przemeblowany. Więc teraz, na litość boską, pozwól mi popatrzeć na tych ludzi, a charakterystykę dokończę ci potem.

Puścił drugi film.

Na ekranie pojawiło się przyjęcie urodzinowe. Rodzina Jacobich siedziała wokół stołu. Śpiewali.

Z ruchu warg Graham odczytał: „Stooo lat”.

Jedenastoletni Donald Jacobi siedział twarzą do kamery, u szczytu stołu, z tortem urodzinowym przed sobą. W okularach odbijało mu się światło świec.

Jego brat i siostra siedzieli obok siebie za rogiem stołu, patrząc, jak solenizant zdmuchuje świece.

Graham poruszył się w fotelu.

Pani Jacobi nachyliła się, by złapać kota i zrzucić go ze stołu. Jej włosy zafalowały.

Teraz pani Jacobi wręcza synowi wielką kopertę z przyczepioną do niej długą wstążką. Donald Jacobi otwiera kopertę i wyciąga wielką kartkę z życzeniami. Spogląda w kamerę i odwraca kartkę z napisem: „Wszystkiego najlepszego! Idź za wstążką”.

Podskakujący obraz – to kamera rejestruje przemarsz do kuchni. Tam – drzwi zamknięte na haczyk. Potem na dół, po schodach do piwnicy. Przodem schodzi Donald, za nim reszta. Cały czas za wstążką, przywiązaną do kierownicy roweru z przerzutką o dziesięciu biegach.

Graham zastanawiał się, dlaczego nie wręczyli mu tego roweru na zewnątrz.

Cięcie. Kolejne ujęcie dało Grahamowi odpowiedź na jego pytanie. Na dworze padało. Podwórko pokrywały kałuże. Dom wyglądał inaczej. Geehan, handlarz nieruchomości, przemalował go na inny kolor po morderstwie. Otworzyły się drzwi do piwnicy i pan Jacobi wyszedł z rowerem pod pachą. To jego pierwsze ujęcie na tym filmie. Wiatr rozwiał mu włosy przykrywające lekką łysinę. Uroczyście postawił rower na ziemi.

Film kończył się pierwszą, ostrożną jazdą Donalda.

– Cholernie smutna sprawa – podsumował Crawford. – Ale o tym wiemy nie od dziś.

Graham jeszcze raz puścił film z urodzin.

Crawford potrząsnął głową, wyciągnął z teczki jakieś papiery i zaczął je czytać przy świetle małej latarki.

Na ekranie pan Jacobi wyniósł rower na dwór. Drzwi od piwnicy zatrzasnęły się za nim. Wisiała na nich kłódka.

Graham zatrzymał obraz.

– Patrz. Widzisz, do czego potrzebował szczypiec, Jack? Żeby odciąć kłódkę i wejść przez piwnicę. Dlaczego nie wszedł tamtędy?

Crawford zgasił latarkę i spojrzał na ekran ponad okularami.

– Co to?

– Wiem, że miał szczypce do cięcia metalu... usunął nimi tę gałąź, kiedy obserwował dom z lasku. Dlaczego więc ich nie użył i nie wszedł przez piwnicę?

– Bo nie mógł. – Crawford uśmiechnął się jak krokodyl i zamilkł. Uwielbiał łapać ludzi na przypuszczeniach.

– A czy w ogóle próbował? Zostawił jakieś ślady? Ja nawet nie widziałem tych drzwi... zanim tam dotarłem, Geehan założył stalowe, z mocnymi ryglami.

Crawford rozdziawił szczęki.

– Ha, ty po prostu zakładasz, że Geehan je wstawił. Ale to nie on. Te drzwi były tam już przed morderstwem. Musiał je wstawić sam Jacobi... pochodził z Detroit, więc pewnie wolał rygle.

– Wobec tego kiedy je wstawił?

– Nie wiem. Jak widać, już po urodzinach dziecka. Kiedy to było? Znajdziesz to w protokole sekcji zwłok, jeśli masz go pod ręką.

– Urodziny były w poniedziałek, czternastego kwietnia – rzekł Graham. Podparł się pod brodę i siedział z wzrokiem wbitym w ekran. – Chcę wiedzieć, kiedy Jacobi wymienił te drzwi.

Crawford zmarszczył czoło, lecz wygładził je szybko, gdy pojął, o co chodzi.

– Sądziłeś, że Szczerbata Lala rozpracował dom Jacobich wtedy, gdy jeszcze były tam te stare drzwi z kłódką? – zapytał.

– Wziął ze sobą przecież te szczypce, nie? A jak się można włamać do domu przy pomocy szczypiec? Przeciąć kłódki, kraty albo łańcuchy. Jacobi nie miał żadnych krat ani drzwi zamykanych na łańcuch, prawda?

– Nie, nie miał.

– Czyli że Lala spodziewał się kłódki. Takie szczypce to ciężki grat, w dodatku długi. Lala przyjechał za dnia i z miejsca, gdzie zaparkował, miał do domu ładny kawałek drogi pieszo. Zdawał

sobie sprawę, że być może będzie musiał brać nogi za pas, więc nie targalby szczypiec, gdyby nie wiedział, że będą mu potrzebne. Na pewno spodziewał się kłódki.

– Myślisz, że rozpracował ich dom, zanim jeszcze Jacobi wymienił drzwi. Potem przyszedł, żeby ich wymordować, zasadził się w lesie i...

– Z lasu nie widać tej strony domu.

Crawford przytaknął.

– Czekał w lesie. Kiedy poszli spać, ruszył do akcji ze szczypcami i ujrzał nowe drzwi i rygle.

– Powiedzmy, że zastał nowe drzwi. Wszystko miał dopracowane, a tu taka niespodzianka. – Graham uniósł ręce. – Jest wściekły, sfrustrowany, i pali się, żeby tam wejść. Więc odważa szybką robotę i wyłamuje z hałasem drzwi od strony patio. Bylejactwo – obudził Jacobiego i musiał załatwić go już na schodach. A to niepodobne do Smoka. On tak nie bałagani. Jest ostrożny i nie zostawia po sobie żadnych śladów. Wchodząc do Leedsów wykonał czystą robotę.

– No dobra, w porządku – rzekł Crawford. – Jeżeli dowiemy się, kiedy Jacobi wymienił te drzwi, to ustalimy, ile czasu minęło od chwili, gdy facet rozpracował dom, do momentu zabójstwa. W każdym razie poznamy minimum czasu, jaki musiał upłynąć. Dobrze wiedzieć takie rzeczy. Może wyłapiemy jakąś zbieżność z danymi z Birmingham. Możemy znów sprawdzić wypożyczalnie samochodów. Tym razem zajmiemy się także furgonetkami. Pogadam z biurem terenowym w Birmingham.

Słowa Crawforda zrobiły widocznie odpowiednie wrażenie, bo równe czterdzieści minut później agent FBI z Birmingham, wlokąc za sobą handlarza nieruchomościami Geehana, krzyczał do cieśli pracującego przy krokwiach nowego domu. Informacje uzyskane od cieśli natychmiast przekazano drogą radiową do Chicago.

– W ostatnim tygodniu kwietnia – obwieścił Crawford odkładając słuchawkę. – Wtedy wstawili te nowe drzwi. Rany boskie, to przecież dwa miesiące przed zabójstwem Jacobich. Po co miałby ich rozpracowywać z takim wyprzedzeniem?

– Nie wiem, ale powiadam ci, że Lala na pewno widział panią Jacobi albo i całą rodzinę, zanim sprawdził ich dom. Jeżeli nie dotarł tu za nimi z Detroit, to przyuważył panią Jacobi gdzieś między dziesiątym kwietnia, kiedy przenieśli się do Birmingham, a końcem kwietnia, kiedy zmieniono drzwi. Musiał wpaść do Birmingham w tym okresie. Czy Biuro już nad tym pracuje?

– I gliny też – odparł Crawford. – Powiedz mi, skąd on mógł wiedzieć, że z piwnicy na parter prowadzą wewnętrzne drzwi? Tu, na południu, nie mógł na to liczyć.

– Bez dwóch zdań widział wewnątrz domu.

– Czy ten twój koleżka Metcalf ma wyciągi bankowe Jacobiego?

– Na pewno.

– Sprawdźmy więc, za jakie naprawy płacili między dziesiątym kwietnia a końcem miesiąca. Wiem, że sprawdzaliśmy wezwania do napraw w okresie kilku tygodni przed zabójstwem, ale może nie sięgnęliśmy dostatecznie daleko. To samo tyczy się Leedsów.

– Od początku zakładaliśmy, że Lala znał wnętrze domu Leedsów – powiedział Graham. – Z zewnątrz nie mógłby dostrzec szyby w drzwiach kuchennych, przeszkadzałyby mu okratowane drzwi ganku. Tymczasem on miał ze sobą diament do cięcia szkła. A oni nie wzywali żadnych fachowców w okresie trzech miesięcy przed morderstwem.

– Jeżeli rozpracował ich odpowiednio wcześniej, to może nie sięgnęliśmy dostatecznie daleko wstecz. Za to teraz to zrobimy. Chociaż u Leedsów, gdy odczytywał liczniki w alejce za domem na dwa dni przed zabójstwem, mógł ich zobaczyć wchodzących do domu i zajrzeć do środka, kiedy drzwi na ganek były otwarte.

– Nie, te drzwi nie są ustawione w jednej linii, pamiętasz?

Popatrz.

Graham założył na projektor film z rodziną Leedsów.

Szary szkocki terier nastawił uszy i podbiegł do kuchennych drzwi. Valerie Leeds weszła z dziećmi, objuczona zakupami. Poprzez drzwi kuchenne widać było tylko okratowanie ganku.

– W porządku, chcesz, żeby Byron Metcalf zajął się wyciągami bankowymi za kwiecień? Wszelkie usługi i zakupy, które można załatwić z dostawą do domu? Nie, sam do niego zadzwonię, a ty dokończ charakterystykę. Masz numer Metcalfa?

Graham był bez reszty pochłonięty filmem. Z roztargnieniem podał Crawfordowi trzy numery Metcalfa.

Gdy Crawford telefonował z pokoju przysięgłych, obejrzał oba filmy po raz kolejny.

Najpierw ten o Leedsach.

Ich pies. Nie nosił obroży, w sąsiedztwie było pełno psów, a jednak Smok dobrze wiedział, który należy do nich.

Valerie Leeds. Jej widok poruszył Grahama. Stała na tle łatwych do uszkodzenia, przeszkłonych drzwi. Potem na ekranie bawiły się jej dzieci.

Graham nie czuł takiego pokrewieństwa duchowego z Jacobimi, jak z Leedsami. Ich film go zaniepokoił. Martwiło go, że myśli o Jacobich jako o wyrysowanych kredą sylwetkach na zakrwawionej podłodze.

Na ekranie dzieci Jacobich siedziały przy stole. Urodzinowe świece rzucały migotliwy blask na ich twarze.

W ułamku sekundy Graham ujrzał płamę wosku na stoliku nocnym Jacobich, plamy krwi w kącie sypialni u Leedsów. Coś...

Wrócił Crawford.

– Metcalf pyta, czy...

– Nie teraz!

Crawford obraził się. Stał jak wryty, a jego małe szare oczy zwęziły się i rozbliły.

Film szedł nadal; światła i cienie z ekranu pełgały po twarzy Grahama.

Kot Jacobich. Smok wiedział, że to ich zwierzę.

Wewnętrzne drzwi do piwnicy.

Zewnętrzne drzwi do piwnicy i kłódka. Smok przyniósł szczypce do metalu.

Film dobiegł końca. Koniec taśmy zsunął się z rolki i trzepotał dookoła.

Wszystko, co Smok powinien wiedzieć, znajdowało się na tych dwóch filmach.

Nie były wyświetlane publicznie, w żadnym klubie czy na festiwa...

Graham spojrzał na znajome zielone pudełko, w którym nadszedł film Leedsów. Było na nim ich nazwisko i adres. I nazwa: Laboratorium Filmowe Gateway, St. Louis, Missouri 63102.

Jego umysł wychwycił nazwę miasta, St. Louis, tak jak wychwyciłby każdy widziany wcześniej numer telefonu. A więc co z tym St. Louis? To jedno z tych miast, gdzie „Tattler” był w sprzedaży już w poniedziałek wieczorem, tego samego dnia, kiedy schodził z drukarni... w przeddzień wprowadzenia Loundsa.

– O rany! – jęknął Graham. – Jezusie!

Ścisnął głowę rękami, jakby w obawie, że ta myśl może mu uciec.

– Czy Metcalf czeka przy telefonie? Crawford podał mu słuchawkę.

– Byron, tu Graham. Słuchaj, czy te rolki z filmami Jacobich, które przysłałeś, były w jakichś pojemnikach?... Jasne, wiem, że też byś je przysłał. Potrzebuję pilnie pomocy w jednej sprawie. Masz tam te wyciągi bankowe Jacobich? Świetnie, muszę wiedzieć, gdzie wywoływali ten film. Prawdopodobnie zrobili to za pośrednictwem sklepu. Jeżeli znajdziesz jakieś czeki wystawione do drogerii albo sklepów fotograficznych, to sprawdzimy, z kim prowadzą interesy. To pilne, Byron. Opowiem ci o tym przy najbliższej okazji. FBI w Birmingham zacznie sprawdzanie sklepów natychmiast. Jeżeli coś znajdziesz, wal z tym od razu do nich, a potem do nas. Zgoda? Świetnie. Nie, nie przedstawię cię słodkiej buźce, wybij to sobie z głowy.

Agenci FBI w Birmingham obeszli cztery sklepy fotograficzne, zanim znaleźli ten, w którym zaopatrywali się Jacobi. Kierownik sklepu poinformował ich, że wszystkie filmy klientów wysyłają do jednego laboratorium.

Crawford obejrzał oba filmy dwanaście razy, zanim zadzwonili z Birmingham. Zapisał wiadomość na kartce.

Sztywno, uroczyście, wyciągnął rękę do Grahama.

– Gateway – powiedział.

Gdy na pokładzie Boeinga 727 rozległ się z głośników głos stewardesy, Crawford mieszał Alka Seltzer w plastikowym kubku.

– Pasażer Crawford?

Kiedy pomachał ręką ze swego miejsca przy przejściu, podeszła do niego od strony dzioba samolotu.

– Panie Crawford, czy mógłby pan zajrzeć do kabiny pilotów?

Wrócił po czterech minutach i wsunął się z powrotem na fotel obok Grahama.

– Szczerbata Lala był dzisiaj w Nowym Jorku. Graham skrzywił się i zazgrzytał zębami.

– Stuknął po głowie dwie kobiety w Muzeum Brooklyńskim i – posłuchaj tylko! – zeżarł obraz.

– Zeżarł?

– Zeżarł. W Nowym Jorku chłopaki z brygady do spraw dzieł sztuki od razu zaskoczyli, jak usłyszeli, co wtrynił. Z plastikowej przepustki, której używał, zdjęli dwa częściowe odciski i migiem przesłali je Price’owi. Kiedy Price złożył je na ekranie, coś mu zaświtało. Nie ma stuprocentowej pewności, ale to ten sam kciuk, którego odcisk zdjęto z oka dzieciaka Leedsów.

– Nowy Jork... – mruknął Graham.

– To, że był dziś w Nowym Jorku, o niczym nie świadczy. On wciąż może pracować w Gateway. Jeśli tak, to miał dziś wolne. Tym lepiej dla nas.

– Co on takiego zeżarł?

– Obraz zatytułowany Wielki Czerwony Smok i Kobieta Odziana w Słońce. Mówili, że namalował to William Blake.

– A co z kobietami?

– Pomacał je trochę pałką. Młodszą wzięli do szpitala na obserwację. Starszej założyli cztery szwy. Lekki wstrząs mózgu.

– Czy podały jakiś rysopis?

– Tylko młodsza. Spokojny, silny, ciemne włosy i wąsy. Pewnie peruka. Wartownik przy drzwiach potwierdził to. A starsza... widziała go tak krótko, że równie dobrze mógłby występować w przebraniu królika.

– Ale nikogo nie zabił?

– To dziwne – przyznał Crawford. – Lepiej by na tym wyszedł, gdyby je uciszył... miałby więcej czasu na ulotnienie się i uchroniłby się przed rysopisem. Wydział Behawioryzmu dzwonił w tej sprawie do Blooma. I wiesz, co on na to? Powiedział, że może Lala próbuje z tym skończyć.

Dolarhyde usłyszał jęk opuszczanych sterów. Światła St. Louis przesuwały się wolno pod czarnym skrzydłem. Pod jego stopami koła wysunęły się i zablokowały.

Pokręcił głową dookoła, bo zeszywniał mu potężny kark.

Powrót do domu.

Podjął wielkie ryzyko, ale w nagrodę przywoził możliwość wyboru. Mógł zdecydować, że Reba McClane będzie żyła. Mógł ją mieć do rozmowy, mógł mieć jej zaskakującą ruchliwość w swoim łóżku.

Nie musiał już się bać swego domu. W brzuchu miał teraz Smoka. Gdyby zechciał, mógłby podejść do kopii Smoka wiszącej u niego na ścianie i zwinąć ją w rulon.

Nie musiał się już przejmować miłością do Reby. Jeżeli ją kochał, mógł rzucić w ofierze Smokowi rodzinę Shermanów, a samemu wrócić do Reby jako mężczyzna łagodny, spokojny, i dobrze ją traktować.

Zatelefonował do niej z terminalu. Jeszcze nie wróciła. Spróbował do Baedera. Nocna linia była zajęta. Wyobraził sobie Rebę, jak samotnie idzie po pracy na przystanek autobusowy, stukając laską, z deszczowcem zarzuconym na ramiona.

Pod wieczór ruch na ulicach był niewielki, dzięki czemu dojechał do laboratorium w niecałe piętnaście minut.

Nie spotkał Reby na przystanku. Zaparkował na tyłach Baedera, obok wejścia położonego najbliżej ciemni. Zamelduje się u niej, zaczeka, aż Reba skończy pracę, i odwiezie ją do domu. Rozpierała go duma ze swej nowej siły – możliwości wyboru. Chciał z niej skorzystać.

Czekając mógłby popracować trochę w swoim biurze.

W całym gmachu Baedera paliło się ledwie kilka świateł.

Ciemnia Reby była zamknięta. Nad drzwiami nie paliło się ani zielone, ani czerwone światełko – sygnalizacja była wyłączona. Nacisnął dzwonek. Bez odpowiedzi.

Może zostawiła mu jakąś wiadomość w biurze.

Z korytarza dobiegły czyjeś kroki.

Szef Baedera, Dandridge, minął ciemnię nie podnosząc wzroku. Szedł szybko, z plikiem akt personalnych pod pachą.

Czoło Dolarhyde'a przecięła drobna zmarszczka.

Dandridge był już w połowie parkingu i kierował się w stronę budynku Gateway, gdy Dolarhyde wyszedł za nim na zewnątrz.

Na parkingu stały dwie furgonetki dostawcze i z pół tuzina samochodów osobowych. Ten buick należy do Fiska, dyrektora personalnego Gateway.

Co oni tu robią o tej porze?

W Gateway nie było nocnej zmiany. Większa część budynku tonęła w ciemności. Idąc do swego biura, Dolarhyde widział cokolwiek dzięki czerwonym lampkom nad drzwiami w korytarzu. Tylko za matową szybą w drzwiach działu kadr paliło się światło. Dolarhyde usłyszał głosy Dandridge'a i Fiska.

I kroki kobiety. Przed nim zza rogu korytarza wyszła sekretarka Fiska. Włosy miała przewiązane apaszką; niosła akta z księgowości. Spieszyła się. Wielkie naręczce ksiąg rachunkowych ważyło swoje. Czubkiem pantofla zastukała w drzwi gabinetu Fiska.

Otworzył jej Will Graham.

Dolarhyde zamarł w ciemnościach korytarza. Jego pistolet został w furgonetce.

Drzwi gabinetu zamknęły się z powrotem.

Dolarhyde zareagował błyskawicznie: bezszelestnie przemknął w sportowych butach po gładkiej posadzce, przysunął twarz do szklanych drzwi wyjściowych i rozejrzał się po parkingu. Ktoś się poruszył w świetle reflektorów. Mężczyzna. Z latarką w ręku krzątał się koło jednej z furgonetek. Otrzeptał coś z dłoni. Zbierał odciski palców z zewnętrznego lusterka.

Dolarhyde usłyszał za plecami zbliżającego się mężczyznę. Odejdź od drzwi! Skoczył za róg, zbiegł po schodach do piwnicy i do kotłowni, po drugiej stronie budynku.

Tam wspiał się na jakiś stół i dosięgnął wysokiego okienka, które wychodziło za krzakami na poziomie ziemi. Podciągnął się na parapet, przecisnął przez okno i opadł na czworaka, gotów uciekać lub walczyć.

Z tej strony gmachu było całkiem spokojnie. Wstał, włożył dłoń do kieszeni i przeszedł przez jezdnię. Biegąc w ciemności, zwalniając, gdy mijały go samochody, szerokim łukiem obszedł budynki Baedera i Gateway.

Jego furgonetka stała przy krawężniku na tyłach Baedera. Koło niej nie było się gdzie ukryć. Nie szkodzi. Przebiegł przez jezdnię, wskoczył do wozu i złapał swoją walizkę.

Magazynek pistoletu był pełny. Wprowadził nabój do komory i położył broń na desce rozdzielczej, zasłaniając ją podkoszulkiem.

Odjechał powoli – uważając na czerwone światła! – skręcił za róg i włączył się w niewielki ruch uliczny.

Musiał sobie wszystko przemyśleć, a to nie było łatwe.

To pewnie przez te filmy. Graham jakoś musiał się o nich dowiedzieć. Wiedział już gdzie, ale nie wiedział kto. Bo inaczej nie potrzebowałyby akt personalnych. A po co mu jeszcze te dane z księgowości? Dni nieobecności w pracy, ot co. Chce je porównać z datami uderzeń Smoka. Nie, jeśli nie liczyć Loundsa, wszystko odbywało się tylko w soboty. Będzie raczej szukał nieobecności w pracy w dni poprzedzające te soboty. I tu się natnie – kierownictwo nie otrzymywało bowiem danych o potrąceniach dniówek. Jechał powoli bulwarem Lindbergha, gestykulując wolną ręką.

Szukali odcisków palców. Ale nie dał im okazji do zdobycia swoich... no, może z wyjątkiem tej przepustki w muzeum. Podnosił ją wprawdzie w pośpiechu, ale starał się ją trzymać za brzegi.

Muszą mieć jakiś odcisk. Inaczej nie szukaliby dalszych, skoro nie mieliby ich z czym porównać.

Szukali ich na furgonetce. Nie zdążył sprawdzić, czy szukali także na samochodach osobowych.

Furgonetka. Przewiezienie Loundsa na inwalidzkim wózku – to pewnie podsunęło im tę myśl. A może ktoś w Chicago zauważył furgonetkę? W Gateway było wiele furgonetek, zarówno prywatnych, jak dostawczych.

Nie, Graham po prostu wiedział, że on ma furgonetkę. Graham wiedział. Wiedział. Ten skurwysyn to istny potwór.

Wezmą odciski palców wszystkich pracowników Gateway i Baedera. Wytropią go, jak nie dziś, to jutro. Zawsze będzie już musiał uciekać, a jego twarz znajdzie się na ścianie każdej poczty i komisariatu. Wszystko waliło się w gruzy. W obliczu prześladowców był dziwnie słaby i mały.

– Reba – powiedział na głos. Ona nie mogła go już uratować. Osaczali go, a on był ledwie słabym malcem z zajęczą wargą...

– CZY TERAZ JUŻ ŻAŁUJESZ, ŻE MNIE ZDRADZIŁEŚ?

Głos Smoka dobiegł z jego trzewi, w których miał strzępy przeżutego malowidła.

– Ja nie... ja tylko chciałem mieć swobodę wyboru. Nazwałeś mnie...

– DAJ MI, CZEGO PRAGNĘ, A WTEDY CIĘ OCALE.

– Nie. Ucieknę im.

– DAJ MI, CZEGO PRAGNĘ, A USŁYSZYSZ, JAK PEKA KRĘGOSŁUP GRAHAMA.

– Nie.

– PODZIWIAM TO, CO DZIŚ ZROBIŁEŚ. JESTEŚMY TERAZ BLISCY SOBIE. ZNOWU MOŻEMY POŁĄCZYĆ SIĘ W JEDNOŚĆ. CZUJESZ MNIE W SOBIE? CZUJESZ PRAWDA?

– Tak.

– I WIESZ, ŻE MOGĘ CIĘ OCALIĆ. WIESZ, ŻE TAM GDZIE CIĘ WYŚLĄ, JEST GORZEJ NAWET NIŻ U BRATA KUMPLA. DAJ MI, CZEGO CHCĘ, A BĘDZIESZ WOLNY.

– Nie.

– ZABIJĄ CIĘ. RUNIESZ NA ZIEMIĘ.

– Nie.

– A GDY JUŻ CIEBIE ZABRAKNIE, ONA BĘDZIE SIĘ RŻNAĆ Z INNYMI, BĘDZIE...

– Nie! Stul pysk!

– BĘDZIE SIĘ RŻNAĆ Z INNYMI, PRZYSTOJNYMI FACETAMI, BĘDZIE BRAĆ ICH...

– Przestań! Zamknij mordę!

– ZWOLNIJ, A NIE DOKOŃCZĘ CI O NIEJ.

Dolarhyde zdjął nogę z pedału gazu.

– BARDZO DOBRZE. DAJ MI, CZEGO CHCĘ, A NIE DOJDZIE DO TEGO. DAJ MI TO, A POTEM ZAWSZE JUŻ POZWOLĘ CI WYBIERAĆ, BĘDZIESZ MIAŁ WOLNY WYBÓR I BĘDZIESZ MÓWIŁ WYRAŹNIE, CHCĘ, ŻEBYŚ MÓWIŁ PRAWIDŁOWO, A TERAZ ZWOLNIJ, O TAK. WIDZISZ TĘ STACJĘ BENZYNOWĄ? ZATRZYMAJ SIĘ TAM, MAM CI COŚ DO POWIEDZENIA...

Graham wyszedł z gabinetu i przez chwilę dał odpocząć oczom w ciemnym korytarzu. Był niespokojny, podenerwowany. Ta zabawa trwała już za długo.

Crawford badał trzystu osiemdziesięciu pracowników Gateway i Baedera. Starał się to robić i szybko, i dobrze – w tej robocie był niezrównany – ale czas uciekał i coraz trudniej było utrzymać całą sprawę w tajemnicy.

Crawford zredukował grupę pracującą w Gateway do minimum.

– Chcemy go znaleźć, a nie spłoszyć – wyjaśnił. – Jeżeli nakryjemy go dziś w nocy, to zwiniemy go gdzieś poza firmą, w domu czy na parkingu.

Współpracowała z nimi policja z St. Louis. Porucznik Fogel z tamtejszego wydziału zabójstw przyjechał po cichu prywatnym samochodem, przywożąc telefaks.

Podłączony do telefonu w Gateway telefaks w ciągu paru minut przekazał listę zatrudnionych tam osób do działu identyfikacji FBI w Waszyngtonie i Wydziału Komunikacji stanu Missouri.

W Waszyngtonie porównywano te nazwiska z cywilną i kryminalną kartoteką odcisków palców. Nazwiska pracowników Baedera, objęte wymogami bezpieczeństwa, zostały skierowane do szybszego rozpracowania.

Wydział Komunikacji miał sprawdzić posiadaczy furgonetek.

Wezwano tylko czterech pracowników – kierownika działu kadr, Fiska; jego sekretarkę; Dandridge'a z Baedera oraz głównego księgowego Gateway.

Nie ściągano ich telefonicznie – agenci FBI udali się do nich do domów i wyjaśnili sprawę w cztery oczy. („Przyjrzyjcie im się dobrze, zanim powiecie, o co chodzi – przykazał Crawford. – I nie pozwólcie im potem nigdzie telefonować. Takie wiadomości szybko się rozchodzą”.)

Mieli nadzieję, że zidentyfikują Lalę bez trudu po zębach, ale nikt z czworga pracowników firmy ich nie rozpoznał.

Graham spojrział na długie korytarze, oświetlone tylko czerwonymi lampkami nad drzwiami. Niech to cholera!

Co jeszcze mogli zrobić tej nocy?

Crawford poprosił, żeby pracowniczka Muzeum Brooklyńskiego – panna Harper – przyleciała natychmiast, jak tylko będzie w stanie wsiąść do samolotu. Powinna zjawić się rano. Policja z St. Louis miała dobrą furgonetkę do inwigilacji, z której panna Harper będzie mogła bezpiecznie przyglądać się wchodzącym pracownikom.

Jeżeli nie nakryją Lali tej nocy, usuną wszystkie ślady swej obecności, zanim ludzie stawią się rano do pracy. Graham nie miał złudzeń – będą mogli mówić o wielkim szczęściu, jeżeli uda im się prowadzić śledztwo przez jeden dzień, zanim wiadomość rozejdzie się po Gateway. Smok z pewnością zwietry coś podejrzanego. I zwieje.

Późna kolacja z Ralphem Mandym była nawet udana. Reba McClane wiedziała, że prędzej czy później musi mu o wszystkim powiedzieć, a nie miała zwyczaju pozostawiać spraw w zawieszeniu.

Właściwie to sądziła, że Mandy wie, na co się zanosí, odkąd zaczęła nalegać, żeby każde z nich płaciło za siebie.

Kiedy odwoził ją do domu, powiedziała, że w końcu to nic strasznego, owszem, bawiła się z nim cudownie i chce, żeby zostali przyjaciółmi, ale obecnie jest już związana z kim innym.

Może i poczuł się dotknięty, ale wiedziała, że odczuł też coś na kształt ulgi. Pomyślała, że przyjął to z prawdziwą klasą.

Przy drzwiach nie nalegał, żeby go zaprosiła do środka. Chciał tylko pocałować ją na pożegnanie, na co chętnie przystała. Otworzył jej drzwi i zwrócił klucze. Poczekał, aż Reba wejdzie do mieszkania i zarygluje drzwi.

Gdy się odwrócił, Dolarhyde strzelił mu w gardło i dwukrotnie w klatkę piersiową. Trzy głuchoe odgłosy pistoletu z tłumikiem, cichsze od warkotu skutera.

Dolarhyde bez trudu podniósł zwłoki Mandy'ego, przeniósł je i rzucił między krzaki a ścianę domu.

Widok Reby całującej Mandy'ego zranił go głęboko, lecz po chwili ból go opuścił.

Nadal wyglądał i mówił jak Francis Dolarhyde – Smok był znakomitym aktorem i doskonale odgrywał swą rolę.

Reba myła twarz, gdy usłyszała dzwonek. Zanim dotarła do drzwi, zabrzmiał jeszcze cztery razy. Dotknęła łańcucha, ale go nie zdjęła.

– Kto tam?

– Francis Dolarhyde.

Uchyliła drzwi, nadal nie zdejmując łańcucha.

– Powtórz to.

– To ja, Dolarhyde.

Wiedziała, że to on. Zdjęła łańcuch. Reba nie lubiła niespodzianek.

– Zdaje się, że miałeś zadzwonić, D.

– Chciałem. Ale to naprawdę pilna sprawa – powiedział wchodząc do mieszkania i przytykając

jej do twarzy szmatkę nasączoną chloroformem.

Ulica była pusta. Większość domów tonęła w ciemnościach. Zaniósł dziewczynę do furgonetki. Z krzaków na podwórku sterczały nogi Ralpa Mandy'ego. Dolarhyde nie zwracał już sobie nim głowy.

Reba obudziła się podczas jazdy. Leżała na boku, z policzkiem wtulonym w zakurzoną wykładzinę podłogi wozu. W uszach miała szum pracującej przekładni.

Spróbowała unieść ręce do twarzy. Poczła tylko ucisk piersi – miała skrępowane ręce.

Dotknęła ich twarzą. Od nadgarstków po łokcie były spętane czymś w rodzaju skrawków miękkiego materiału. Nogi miała związane w ten sam sposób, od kostek do kolan. Coś zakrywało jej usta.

Co... Co... Dolarhyde stanął w drzwiach i... przypomniała sobie, jak odwracała twarz, i jego straszliwą siłę. Chryste Panie, co to było... D. stał w drzwiach, a potem zaczęła się dławić czymś zimnym i próbowała wrywać, ale coś z potworną siłą trzymało ją za głowę.

Teraz była w furgonetce D. Poznała ją po odgłosach. Jechali gdzieś. Narastał w niej strach. Instynkt podpowiadał jej, żeby leżała cicho, lecz w gardle czuła opary chloroformu i benzyny. Pomimo knebla wymiotowała.

– Już niedługo – usłyszała głos D.

Poczła, że skręcają; teraz jechali po żwirze, kamienie tłukły o błotniki i podwozie. On oszalał. Jak nic. Tak, to wariat. Wariat, przerażające słowo.

Ale dlaczego? Ralph Mandy. Pewnie zobaczył ich przed domem. I mu odbiło.

Jezu Chryste, przygotuj się na wszystko. Pewien mężczyzna chciał ją kiedyś uderzyć, jeszcze w instytucie Reikera. Siedziała bez ruchu i nie mógł jej znaleźć, bo sam też był niewidomy. Za to ten widzi znakomicie, niech go cholera. Przygotuj się. Zmusz się do mówienia. Chryste, przecież mógł mnie zadusić, wpychając mi ten knebel. Może mnie zadusić, nie rozumiejąc, co do niego mówię.

Bądź gotowa. Przygotuj się i nie mów przypadkiem „he?” Powiedz mu, że może się jeszcze wycofać, bez obawy. Ty go nie wsypiesz. Jak najdłużej bądź bierna. A gdy już nie wytrzymasz, poczekaj, aż wymacasz jego oczy.

Furgonetka zatrzymała się. Zakołysała się, kiedy wysiadał. Rozsunęły się boczne drzwi. Zapach trawy i rozgrzanych opon. Świerszcze. Znów wsiadł do furgonetki.

Kiedy ją dotknął, mimo woli zapiszczała poprzez knebel i odwróciła twarz.

Szamotała się dalej, gdy delikatnie poklepał ją po ramieniu. Znieruchomiła dopiero, kiedy przyłożył jej mocno w twarz.

Spróbowała wybełkotać coś poprzez knebel. Podniósł ją, taszczył gdzieś. Jego kroki zadudniły głucho o rampę. Teraz już wiedziała, gdzie jest. W jego domu. W domu, ale gdzie? Po prawej tyka zegar. Dywan, potem podłoga. Sypialnia, w której się kochali. Tonęła w jego ramionach. Poczwała pod sobą łóżko.

Spróbowała wybełkotać coś poprzez knebel. On wyszedł. Hałas na zewnątrz. Trzask drzwi furgonetki. Już wrócił. Kładzie coś na podłodze... metalowe puszki.

Poczwała zapach benzyny.

– Reba. – Głos D., bez dwóch zdań. Ale jaki spokojny. Upiornie spokojny i dziwny. – Reba, sam nie wiem, co ci... powiedziec. Było mi z tobą tak dobrze. Nawet się nie domyślasz, co dla ciebie zrobiłem. Ale pomyliłem się. Najpierw odebrałaś mi siłę, a potem mnie zraniłaś.

Spróbowała wybełkotać coś poprzez knebel.

– Czy będziesz grzeczna, jeżeli rozwiążę cię i pozwolę ci usiąść? Nie próbuj uciekać. Dogonię cię. Będziesz grzeczna?

Zwróciła twarz w kierunku głosu i potaknęła.

Dotyk zimnej stali, świst noża przecinającego materiał i jej ręce odzyskały wolność. Teraz nogi. Policzki były mokre w miejscu, gdzie przylegał knebel.

Ostrożnie, powoli usiadła na łóżku. Zagraj swoją najlepszą kartę.

– Nie sądziłam, że ci tak bardzo na mnie zależy, D. Cieszę się z tego, ale widzisz, trochę mnie przestraszyłeś.

Bez odpowiedzi. Wiedziała, że nie wyszedł z pokoju.

– Czy to ten stary dureń Ralph Mandy tak cię rozwścieczył? Widziałeś go pod moim domem? To o to chodzi, tak? Właśnie mówiłam mu, że nie chcę się z nim więcej spotykać. Bo chcę się widywać z tobą. Już nigdy się z nim nie zobaczę.

– Ralph umarł – odezwał się Dolarhyde. – Chyba nie był tym zachwycony.

Fantazjuje. Chryste Panie, mam nadzieję, że on to wszystko zmyśla.

– Nigdy cię nie zraniłam, D. Nie miałam takiego zamiaru. Bądźmy po prostu przyjaciółmi, pieprzmy się i zabawiajmy. Zapomnijmy o wszystkim.

– Zamknij się – powiedział spokojnie. – Coś ci powiem. Nigdy nie słyszałaś nic równie ważnego. To ważne jak kazanie na górze Synaj. Jak dziesięć przykazań. Rozumiesz?

– Tak, D. Ja...

– Zamknij się, Reba. W Birmingham i Atlancie miały miejsce niezwykle istotne wydarzenia. Wiesz, o czym mówię?

Pokręciła głową.

– W telewizji ciągle o tym trąbią. Dwie rodziny zostały przemienione, Leedsowie i Jacobi. Policja uważa, że ich zamordowano. Teraz już wiesz?

Już miała pokręcić głową, gdy nagle skojarzyła wszystko i przytaknęła.

– Czy wiesz, jak nazywają Istotę, która odwiedziła tych ludzi? Powiedz.

– Szczerbata...

Dłoń zamknięta jej usta, wytłumiła dźwięk.

– Zastanów się dobrze i odpowiedz prawidłowo.

– To jakiś smok. Smok... Czerwony Smok. Był teraz blisko. Czują na twarzy jego oddech.

– TO JA JESTEM SMOKIEM.

Szarpnęła się, odepchnięta siłą i potwornym brzmieniem jego głosu i uderzyła o wezglowie łóżka.

– Smok ciebie pragnie, Reba. Zawsze cię pragnął. Nie chciałem Mu cię oddawać. Zrobiłem dziś coś, żeby cię nie mógł dostać. I pomyliłem się.

To był D., znów mogła mówić z D.

– Proszę cię. Proszę, nie oddawaj mnie. Ty mnie nie oddasz, nie oddałbyś mnie za nic, bo jestem tylko twoja. Zatrzymaj mnie dla siebie. Lubisz mnie przecież, wiem o tym.

– Jeszcze się nie zdecydowałem. Może nie zdołam Mu się przeciwstawić i będę cię musiał oddać. Nie wiem. Zobaczą, czy zrobisz, co ci każę. Zrobisz to? Mogę na tobie polegać?

– Postaram się. Naprawdę się postaram. Ale nie strasz mnie tak, bo nie dam rady.

– Wstań, Reba. Stań koło łóżka. Wiesz, w której części pokoju się znajdujesz?

Skinęła głową.

– Wiesz, w której części domu, prawda? Obeszłaś cały dom, jak spałem.

– Spałeś?

– Nie udawaj głupiej. Spędziliśmy tu przecież noc. Chodziłaś po domu, prawda? Czy znalazłaś tu coś dziwnego? Zabrałaś to może i pokazywałaś komuś? Zrobiłaś to?

– Ja tylko wyszłam na dwór. Ty spałeś, a ja wyszłam na dwór. Przysięgam.

– Wobec tego wiesz, gdzie są drzwi wyjściowe, tak? Przytaknęła.

– Reba, dotknij mojej piersi. Podnieś ręce powoli. Spróbować wydrapać mu oczy?

Kciukiem i palcami delikatnie objął jej szyję na wysokości krtani.

– Nie próbuj tego, o czym myślisz, bo ścisnę. Po prostu dotknij mojej piersi. Pod samym gardłem. Czujesz ten klucz na łańcuchu? Zdejmij mi go przez głowę. Ostrożnie... o tak. A teraz przekonam się, czy mogę ci ufać. Idź zamknąć drzwi na klucz i przynieś mi go z powrotem. No, idź. Poczekam tutaj. Ale nie próbuj uciekać. Nie masz szans.

Trzymała klucz na dłoni, a łańcuch uderzał ją po udzie. W butach odszukanie drogi było o wiele trudniejsze, ale nie zdjęła ich. Pomagało jej tykanie zegara.

Dywan, podłoga i znowu dywan. Duża kanapa. Skręć w prawo.

Czego najlepiej spróbować? Czego? Wrócić i próbować go oszukać czy brać nogi za pas? Czy innym udało się go nabrać? Oddychała tak głęboko, że zakręciło jej się w głowie. Nie mdlej. Nie umieraj.

Wszystko zależy od tego, czy drzwi są otwarte. Sprawdź, gdzie on jest.

– Dobrze idę? – spytała, choć świetnie wiedziała, że tak.

– Jeszcze jakieś pięć kroków.

W porządku, głos dochodził z sypialni.

Poczuła powiew na twarzy. Drzwi były uchylone. Starła się trzymać dokładnie na linii drzwi i głosu w sypialni. Wsunęła klucz do dziurki pod klamką. Od zewnątrz.

Teraz! Przez drzwi, zatrzasnąć je i przekręcić klucz. Na dół, po rampie, bez laski, próbując sobie przypomnieć, gdzie stoi furgonetka, biegiem. Biegiem. Wpada w coś – krzaki – krzyczy. Krzyczy: „Ratunku! Na pomoc! Ratunku, ratunku!” Biegnie po żwirze. W oddali klakson ciężarówki. Więc tam jest autostrada. Szybki chód, coraz szybszy, i bieg; co sił w nogach, skręcając, gdy żwir przechodził w trawę; zygzakiem, ale po alejce.

Za plecami ciężki tupot nóg po żwirze. Schyliła się, podniosła garść kamieni, odczekała, aż będzie całkiem blisko, i rzuciła. Usłyszała, jak kamienie zabębniły po nim.

Odwróciła się, pchnięta w ramię. Wielka ręka pod brodą, na jej szyi, i ścisła, ścisła, a krew dudni jej w uszach.

Wierzgnęła nogą do tyłu i trafiła go w kostkę. A potem zapadła w coraz głębszą ciszę.

W ciągu dwóch godzin skompletowano listę białych pracowników płci męskiej, w wieku od dwudziestu do pięćdziesięciu lat, którzy mieli furgonetki. Zawierała dwadzieścia sześć nazwisk.

Wydział komunikacji stanu Missouri dostarczył danych o kolorze włosów tych ludzi, ale nie traktowano tego jako informacji podstawowej – Smok mógł przecież nosić perukę.

Sekretarka Fiska, panna Trillman, sporządziła kopie tej listy i rozesłała je, gdzie trzeba.

Porucznik Fogel przeglądał listę, gdy rozległ się dzwonek jego radiotelefonu.

Zamienił parę zdań z przełożonymi, po czym zakrył słuchawkę.

– Panie Crawford... to znaczy Jack... Kilka minut temu w miasteczku uniwersyteckim – to prawie w centrum miasta, koło Uniwersytetu Waszyngtona – zastrzelono niejakiego Ralpa Mandy'ego. Biały, trzydzieści osiem lat. Leżał na podwórku przed domem, w którym mieszka niejaka Reba McClane. Sąsiedzi twierdzą, że ona pracuje w Baederze. Drzwi frontowe są otwarte, a jej nie ma w domu.

– Dandridge! – zawołał Crawford. – Reba McClane, znasz taką?

– Pracuje w ciemni. Jest niewidoma. Pochodzi z Colorado.

– A znasz jakiegoś Ralpa Mandy'ego?

– Mandy? – rzekł Dandridge. – Randy Mandy?

– Ralph Mandy. Pracuje u was taki? Lista personelu wykazała, że nie.

– Może to jakiś zbieg okoliczności – powiedział Fogel.

– Może... – mruknął Crawford.

– Mam nadzieję, że Rebie nic się nie stało – wtrąciła się panna Trillman.

– Zna ją pani? – zapytał Graham.

– Rozmawialiśmy kilka razy.

– A jeśli chodzi o Mandy'ego?

– Nie znam go. Tylko raz widziałem ją w towarzystwie mężczyzny, kiedy wsiadała do furgonetki pana Dolarhyde'a.

– Do furgonetki pana Dolarhydea, panno Trillman? A jakiego koloru jest ta furgonetka?

– Niech się zastanowię... Ciemnobrązowa albo nawet czarna.

– Gdzie pracuje pan Dolarhyde? – zapytał Crawford.

– Jest kierownikiem produkcji – odparł Fisk.

– A gdzie jest jego biuro?

– Na końcu korytarza.

Crawford odwrócił się do Grahama, ale ten już wychodził.

Biuro pana Dolarhydea było zamknięte. Otworzyli je wytrychem dozorca.

Graham wyciągnął rękę i zapalił światło. Stał w progu i omiół wzrokiem wnętrze pokoju. Panował tam niezwykle porządek. Nigdzie nie było widać żadnych przedmiotów osobistych. Na półkach stały jedynie podręczniki techniczne.

Lampa na biurku stała po lewej stronie krzesła, a więc Dolarhyde był praworęczny. Należało czym prędzej znaleźć odcisk lewego kciuka praworęcznego mężczyzny.

– Poszukajmy na notatniku z zaciskiem – rzucił do Crawforda, stojącego za nim w korytarzu. – Powinien otwierać zacisk lewym kciukiem.

Zaczęli przeglądać szuflady, gdy naraz wzrok Grahama przyciągnął terminarz na biurku. Graham przerzucił zabazgrane strony po sobotę, dwudziestego ósmego czerwca, datę zabójstwa Jacobich.

Kartki terminarza na czwartek i piątek poprzedzające ten weekend były zupełnie czyste.

Spojrzał więc na ostatni tydzień lipca. Czwartek i piątek również były bez żadnych zapisków. Była za to notatka wpisana pod środą: „Am 552 3.45-6.15”. Graham natychmiast ją przepisał.

– Chcę wiedzieć, co to za lot.

– Daj, ja to sprawdzę, a ty poszperaj tutaj – powiedział Crawford i ruszył do telefonu po drugiej stronie korytarza.

Graham przyglądał się właśnie tubie kleju do sztucznych szczęk, leżącej w szufladzie biurka, kiedy Crawford zawołał od drzwi:

– To był lot do Atlanty, Will. Zwijamy go.

Zimna woda na twarzy, spływająca na włosy. Rebie kręciło się w głowie. Leżała na czymś twardym i pochyłym. Odwróciła się. To jakieś drewno. Zimny, mokry ręcznik ocierał jej twarz.

– Reba – Spokojny głos Dolarhyde’a. – Jak się czujesz?

Cofnęła się przed tym głosem.

– Uch...

– Oddychaj głęboko. Minęła minuta.

– Jak myślisz, dasz radę wstać? Spróbuj.

Objął ją w pól, pomagając jej utrzymać się na nogach. Żołądek poszedł jej do gardła. Poczekał, aż jej minie.

– W górę, po rampie. Pamiętaj, gdzie jesteś? Kiwnęła głową.

– Reba, wyjmij klucz z drzwi. Wejdz do środka. Teraz zamknij drzwi na klucz i zawieś mi go na szyi. Dobrze. Upewnijmy się jeszcze, czy na pewno są zamknięte.

Usłyszała szcęk klamki.

– Świetnie. A teraz idź do sypialni, znasz drogę. Potknęła się i upadła na kolana, zwieszając głowę. Podniósł ją za ramiona i pomógł jej dojść do sypialni.

– Usiądź na tym krześle. Usiadła.

– A TERAZ DAJ MI JĄ.

Chciała się zerwać, lecz przytrzymały ją olbrzymie dłonie.

– Siedź spokojnie, bo nie zdołam go utrzymać z dala od ciebie – ostrzegł Dolarhyde.

Świadomość wracała jej powoli, niechętnie.

– Proszę cię, spróbuj – powiedziała.

– Dla mnie już wszystko się skończyło, Reba.

Wstał i zaczął przy czymś majstrować. Smród benzyny przybrał na sile.

– Wyciągnij rękę. Dotknij tego. Nie chwytaj, dotknij. Poczula coś na kształt stalowego nosa, zupełnie gładkiego w środku. Wylot luf dubeltówki.

– To dubeltówka. Magnum, kaliber dwanaście. Czy wiesz, co ona potrafi?

Skinęła głową.

– Opuść rękę. – Zimne lufy dotknęły zagłębienia w jej szyi

– Szkoda, że nie mogłem ci zaufać. A tak chciałem. Odniosła wrażenie, że on płacze.

– Było mi z tobą tak dobrze. Rzeczywiście, płakał.

– Mnie też było z tobą dobrze, D. Uwielbiałam to. Proszę, nie rób mi krzywdy.

– Dla mnie już wszystko stracone. Nie mogę cię zostawić dla Niego. Wiesz, co On robi?

Teraz już krzyczał.

– Wiesz, co On robi? Zagryzie cię. Chodź lepiej ze mną. Usłyszała trzask zapalniczki, poczuła swąd siarki, a potem rozległ się jakiś szum. Ciepło w pokoju. Dym. Ogień. Coś, czego lękała się najbardziej. Ogień. Wszystko, tylko nie to. Miała nadzieję, że umrze od pierwszego strzału. Napięła mięśnie, gotowa do ucieczki. Szlochał.

– Reba, nie zniosę tego widoku. Nie mogę patrzeć, jak płoniesz.

Lufy odsunęły się od jej szyi.

Kiedy zerwała się na nogi, obie lufy wypaliły jednocześnie.

Ogłuszona, pomyślała, że zastrzelił ją, że już jest martwa, i raczej odczuła niż usłyszała łomot padającego na podłogę ciała.

Dym i trzaskanie ognia. Pożar. To on pomógł jej się pozbierać. Poczła ciepło na rękach i twarzy. Wyjść. Potknęła się o czyjeś nogi i dusząc się, runęła obok łóżka.

Kiedyś słyszała, że idąc przez dym należy się nisko schylić. Nie biegnij, wpadniesz na coś i zginiesz.

Była zamknięta na klucz. Na klucz. Nisko schylona, niemal sunąc palcami po podłodze, odszukała jego nogi. Z drugiej strony! Znalazła włosy, włochatą kępkę, i wsunęła rękę w coś miękkiego pod włosami. Sama miazga, ostre odłamki kości, a pośród nich gałka oczna.

Klucz z jego szyi, szybko. Chwyć łańcuch oburącz, zaprzyj się nogami, szarp! Łańcuch pękł. Upadła do tyłu, lecz zerwała się szybko. Odwróciła się, dezorientowana. Próbowwała coś namacać, usłyszeć coś poprzez trzask płomieni. Bok łóżka. Ale który? Potknęła się o leżące ciało. Próbowwała nasłuchiwać.

BIM-BOM, dzwonił zegar. BIM-BOM, do salonu. BIM-BOM, teraz w prawo.

Gardło szorstkie od dymu. BIM-BOM, nareszcie drzwi. Pod klamką. Nie upuść go. Szczęk zamka. Otwieraj. Powietrze. Na dół, po rampie. Powietrze. Pada na trawę. Podnosi się, pełźnie na czworakach.

Przyklęknęła, żeby zaklaskać. Dom odbił echo. Odczołgała się jak najdalej, oddychając głęboko. W końcu mogła już wstać, iść, biec; zderzyła się z czymś i znowu puściła się biegiem.

Zlokalizowanie domu Francisza Dolarhyde'a wcale nie przyszło łatwo. Adres, jaki podał w Gateway, okazał się skrzynką pocztową w St. Charles.

Nawet biuro szeryfa w St. Charles musiało najpierw sprawdzić mapę w lokalnej elektrowni.

Biuro szeryfa ściągnęło brygadę antyterrorystyczną z St. Louis i kolumna wozów ruszyła cicho autostradą stanową numer 94. Siedzący obok Grahama zastępca szeryfa wskazywał drogę. Crawford siedział z tyłu, pochylony, i dłubał czymś w zębach. Na północnym skraju St. Charles napotkali kilka pojazdów: półciężarówkę wiozącą dzieci, autobus linii Greyhound, ciężarówkę z przyczepą. Mijając północne granice miasta zobaczyli łunę.

– To tam! – oświadczył zastępca szeryfa. – To właśnie tam!

Graham dodał gazu. Łuna jaśniała i rosła, w miarę jak z rykiem silników zbliżali się ku niej autostradą.

Crawford pstryknął palcami, żeby podali mu mikrofon.

– Do wszystkich jednostek! To jego dom tam płonie. Miejcie oczy otwarte. Może będzie wychodził. Szeryfie, proszę ustawić tu blokadę drogową.

Gęsty słup iskier i dymu wzbijał się na południowy wschód, nad polami.

– To tu – rzekł zastępca szeryfa. – Niech pan skręci w tę szutrową drogę.

I wtedy ujrzeli jakąś kobietę, odcinającą się czernią na tle płomieni. Ona usłyszała ich w tej samej chwili i wyciągnęła ku nim ręce.

I wtedy olbrzymi słup ognia wystrzelił w górę, na boki, a płonące krokwie i okiennice zakreśliły powoli wysokie łuki na ciemnym niebie. Furgonetka, cała w płomieniach, przewróciła się, a pomarańczowe ornamenty płonących drzew nagle pociemniały i zgasły. Ziemia zatrzęsała się, gdy grzmot eksplozji zakołysał policyjnymi wozami.

Kobieta leżała na drodze, twarzą w dół. Crawford, Graham i ludzie szeryfa wyskoczyli z samochodu i rzucili się ku niej, w deszczu opadających na drogę iskier. Niektórzy minęli ją, pędząc z pistoletami w rękach.

Crawford odebrał Rebę od policjanta, który gasił iskry w jej włosach.

Przytrzymał ją za ramiona i przysunął jej twarz do swojej, czerwonej w blasku ognia.

– Francis Dolarhyde – powiedział i potrząsnął nią łagodnie. – Francis Dolarhyde... gdzie on jest?

– Tam – odparła, wyciągając umorusaną rękę w kierunku ciepła i opuszczając ją bezsilnie. – On nie żyje.

– Jest pani pewna? – Crawford wbił wzrok w jej niewidzące oczy.

– Byłam tam z nim.

– Proszę mi opowiedzieć, jak to się stało.

– Strzelił sobie w twarz. Namacałam ją potem ręką. Podpalił dom. Zastrzelił się. Dotykałam tej rany. Leżał na podłodze. Dotykałam jej. Czy mogę usiąść?

– Tak – rzekł Crawford. Wziął ją na tylne siedzenie radiowozu. Objął ją i przytulił, by mogła się wypłakać w jego policzek.

Graham stał na drodze, obserwując płomienie, dopóki czerwona twarz nie zaczęła go piec.

Nad nimi wiatr zasnuł dymem tarczę księżyca.

Poranny wiatr był ciepły i wilgotny. Przywiał strzępy chmur nad szerniałe szczątki domu Dolarhyde'a. Nad polami wisiał jeszcze coraz rzadszy dym.

Kilka kropli deszczu upadło na pogorzeliśko i wybuchło kłębkami pary i popiołu.

W pobliżu stał wóz strażacki z włączonymi światłami alarmowymi.

S. F. Aynesworth, szef sekcji materiałów wybuchowych FBI, stał koło Grahama. Odwrócił się tyłem do wiejącego od strony zgliszcz wiatru i nalał kawę z termosu.

Skrzywił się, gdy jeden z miejscowych strażaków zaczął grzebać w popiołach grabiami.

– Chwała Bogu, że wciąż jest tam dla niego za gorąco – mruknął kątem ust. Do miejscowych władz odnosił się z uprzedzającą grzecznością, ale Grahamowi powiedział otwarcie, co o tym wszystkim myśli. – Psiakrew, będę musiał tam wleźć. Bo jak ci wszyscy specjaliści zastępcy szeryfa i posterunkowi zaczną się w tym grzebać, to zostanie jedno wielkie pobojuwisko. A wtedy nic tu już po mnie.

Do czasu przyjazdu swej ukochanej „wybuchowej” furgonetki Aynesworth musiał się zadowolić tym, co przywiózł samolotem. Z bagażnika radiowozu wyciągnął splowiały worek marynarski, a z niego niepalną bieliznę, azbestowe buty i takież kombinezon.

– Jak to wyglądało w czasie wybuchu. Will?

– Intensywny słup ognia, który zaraz przygasł, a po chwili na dole wydawało się ciemniejsze. Mnóstwo rzeczy wyleciało w powietrze: ramy okienne, dachówki i jakieś odłamki fruwały na wszystkie strony, aż na pole. Potem była fala uderzeniowa, a po niej wiatr. Ostry chwilowy podmuch, który niemal ugasił pożar.

– A przed tym podmuchem bardzo się paliło?

– Tak, płomienie wychodziły przez dach i okna na parterze i na piętrze. Zapaliły się drzewa.

Aynesworth wezwał dwóch strażaków, by stanęli w pobliżu z sikawką, i trzeciego, w azbestowym kombinezonie, któremu kazał kontrolować swoją linę ratunkową, na wypadek, gdyby coś na niego spadło.

Oczyścił schody do piwnicy, teraz już znajdujące się pod gołym niebem, i zanurzył się w gąszcz zwęglonego drewna. Jednorazowo mógł tam przebywać najwyżej kilka minut, dlatego też wracał do zgliszcz osiem razy.

W rezultacie zdobył tylko płaski kawałek pogiętego metalu, a mimo to wydawał się uszczęśliwiony.

Zaczerwieniony i zlany potem, zrzucił kombinezon i przysiadł na masce wozu strażackiego. Na ramiona zarzucił sobie płaszcz jednego ze strażaków.

Położył płaski kawałek metalu na ziemi i zdmuchnął z niego warstwę popiołu.

– Dynamit – wyjaśnił Grahamowi. – Patrz, widzisz ten wzorek na metalu? Wygląda to na fragment jakiegoś kufra. I o to chodzi. Dynamit w kufrze. Ale tak czy owak nie wybuchł w piwnicy. Wygląda mi to raczej na parter. Widzisz to nacięcie na tym drzewie? Tu wyrznął marmurowy blat stolika. Siła wybuchu rozeszła się na boki. Dynamit znajdował się w czymś, co przez pewien czas chroniło go przed ogniem.

– A co ze szczątkami?

– Wiele ich pewnie nie będzie, ale coś tam się zawsze znajdzie. Trzeba będzie przesiać sporo popiołów. Ale znajdziemy go. Dostarczę ci go w jakimś małym woreczku.

Pod wpływem środków uspokajających Reba McClane zasnęła wczesnym rankiem. Umieszczono ją w szpitalu DePaul. Chciała, żeby policjantka czuwała przy jej łóżku. Kilkakrotnie budziła się i wyciągała do niej rękę.

Gdy poprosiła o śniadanie, przyniósł je Graham.

Jak do niej podejść? Czasami było im łatwiej, jeżeli traktowało się ich bezosobowo. Ale w przypadku Reby McClane ta taktyka nie wydawała mu się właściwa.

Powiedział jej, kim jest.

– Znasz go? – zapytała policjantkę.

Graham pokazał swoją legitymację, ale policjantka jej nie potrzebowała.

– Wiem, że jest funkcjonariuszem FBI, panno McClane. Ostatecznie Reba opowiedziała mu o wszystkim. O całym okresie znajomości z Francisem Dolarhyde'em. Wciąż bolało ją gardło i często przerywała, by possać tłuczony lód.

Zadał jej kilka niemiłych pytań, na które odpowiedziała, choć raz wyprosiła go ruchem ręki za drzwi, kiedy policjantka podsunęła jej basen, by mogła zwrócić śniadanie.

Gdy wrócił, była blada, a jej świeżo wymyta twarz błyszczała.

Zadał ostatnie pytanie i zamknął notes.

– Nie będę pani więcej tym zameczkał, ale chciałbym tu jeszcze kiedyś zajrzeć. Po prostu przywitać się i dowiedzieć, co u pani.

– Jasne, nie może się pan oprzeć, żeby nie odwiedzić takiej ślicznotki jak ja.

Po raz pierwszy zauważył łzy w jej oczach i zrozumiał, co ją tak gryzie.

– Czy mogłaby pani zostawić nas samych na chwilę? – zwrócił się do policjantki. Ujął Rebę za rękę.

– Posłuchaj. Dolarhyde miał niejedną wadę, ale ty jesteś w porządku. Mówiłaś, że był dla ciebie uprzejmy i troskliwy. Wierzę ci. To ty w nim to wzbudziłaś. W końcu nie był w stanie ani cię zabić, ani patrzeć, jak umierasz. Ludzie zajmujący się badaniem takich przypadków twierdzą, że chciał z tym skończyć. Dlaczego? Bo mu w tym pomogłaś. Prawdopodobnie ocalało to życie paru osobom. Ty nie jesteś nienormalna, ty tylko trafiłaś na opętanego. Z tobą jest wszystko w porządku, dziecko. Jeżeli mi nie uwierzysz, toś głupia. Wpadnę do ciebie w tych dniach. Przez cały czas nic tylko oglądam gliniarzy i potrzebna mi jakaś odmiana... spróbuj coś zrobić z włosami.

Pokręciła głową i ruchem ręki wskazała mu drzwi. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że się uśmiechnęła.

Z biura FBI w St. Louis zadzwonił do Molly. Odebrał dziadek Willy'ego.

– Mamuśku, to Will Graham – powiedział. – Dzień dobry, panie Graham.

Dziadkowie Willy'ego zawsze zwracali się do niego „panie Graham”.

– Mamuśka mówiła, że z nim już koniec. Akurat oglądała serial, kiedy przerwali, żeby podać ten komunikat. Cholernie szczęśliwy wypadek. Oszczędziło wam to masę kłopotu, że nie musicie go już łapać. No i nam, podatnikom, też ubędzie mniej forszy. Czy on naprawdę był biały?

– Tak, proszę pana. Blondyn. W nordyckim typie. Dziadkowie Willy'ego pochodzili ze Skandynawii.

– Czy mógłbym porozmawiać z Molly?

– Wracasz już na Florydę?

– Niedługo. Czy jest Molly?

– Mamuśka, on chce rozmawiać z Molly. Ona się kąpie, panie Graham. A mój wnuk po raz drugi pałaszuje śniadanie. Najeździł się po świeżym powietrzu. Szkoda, że pan nie może zobaczyć, jak ten mały gałgan wcina. Założę się, że przytył z pięć kilo. Oho, jest Molly.

– Hallo?

– Cześć, maleńka.

– Dobre wieści?

– Na to wygląda.

- Byłam w ogrodzie. Mamamma usłyszała to w telewizji i zaraz mi powiedziała, kiedy na to wpadłeś?
- Wczoraj w nocy.
- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłeś?
- Mamamma prawdopodobnie już spała.
- Nie, oglądała Johnny’ego Carsona. Nawet sobie nie wyobrażasz, Will, jak się cieszę, że nie musiałeś go łapać.
- Zostanę tu jeszcze trochę.
- Cztery dni, pięć?
- Nie jestem pewien. Może krócej. Chciałbym cię wreszcie zobaczyć, dzieciно.
- Ja też chcę się z tobą zobaczyć, jak już pozalatasz wszystkie swoje sprawy.
- Dziś jest środa. Do piątku powinienem...
- Will, mamamma ściąga na przyszły tydzień wszystkich wujków i ciotki Willy’ego z Seattle i...
- Chrząż mamammę. A w ogóle, to skąd ta „mamamma”?
- Willy, jak był całkiem mały, nie potrafił wymówić....
- Wracaj ze mną do domu.
- Will, ja na ciebie czekałam. Oni prawie wcale nie widują Willy’ego, więc te parę dni...
- Przyjedź sama. Zostaw chłopaka, w końcu twoja była teściowa może go wsadzić do samolotu w przyszłym tygodniu. Coś ci powiem... zatrzymajmy się w Nowym Orleanie. Jest tam takie jedno miejsce...
- Chyba nic z tego. Zaczęłam pracować, tak tylko na pół etatu, w takim sklepie dla kowbojów i muszę złożyć wypowiedzenie na kilka dni naprzód.
- Co się stało, Molly?
- Nic. Nic się nie stało... Smutno mi, Will. Wiesz, że przyjechałam tutaj po śmierci ojca Willy’ego. – Zawsze mówiła „ojciec Willy’ego”, jakby chodziło o jakąś instytucję. Nigdy nie używała jego imienia. – I wszyscy byliśmy razem... aż się pozbierałam, uspokoiłam. Teraz też wzięłam się w garść i...
- Z tą tylko małą różnicą, że ja nie umarłem.

– Nie bądź taki.

– Jaki? No słucham, jaki?

– Jesteś wściekły.

Graham na chwilę przymknął oczy.

– Halo.

– Nie jestem wściekły, Molly. Zrobisz jak zechcesz. Zadzwoń, jak już tu skończę.

– Mógłbyś przyjechać tutaj.

– Nie sędzę.

– Dlaczego nie? Miejsca jest pod dostatkiem. Mamamma by...

– Molly, oni mnie nie lubią i sama wiesz dlaczego. Ilekroć na mnie patrzą, przypomina im się...

– To cios poniżej pasa, a zresztą nieprawda. Graham był już mocno zmęczony.

– Więc dobrze. To zasrańcy i rzygać mi się chce na ich widok... teraz lepiej?

– Nie mów tak.

– Oni chcą tylko chłopca. Kto wie, ciebie też może lubią, choć nie sędzę, żeby kiedykolwiek się nad tym zastanawiali. A że chcą chłopca, więc przy okazji przyjmą i ciebie. Natomiast mnie nie chcą, ale mam to gdzieś. Bo ja chcę ciebie. Na Florydzie. I Willy'ego, jak już się znudzi kucykiem.

– Prześpij się, od razu poczujesz się lepiej.

– Wątpię. Słuchaj, zadzwonię do ciebie, jak tu się wszystko wyjaśni.

– Oczywiście. – Odłożyła słuchawkę.

– Do kurwy nędzy! – zaklął Graham. – Do kurwy nędzy!

Crawford wsunął głowę zza drzwi.

– Czy się przesłyszałem, czy powiedziałaś „do kurwy nędzy”?

– Nie przesłyszałaś się.

– No, uszy do góry. Dzwonił Aynesworth. Ma coś dla ciebie. Mówi, że powinniśmy się tam zjawić, ma trochę informacji od miejscowych.

Kiedy stawili się wśród czarnych ruin, gdzie niegdyś stał dom Dolarhydea, Aynesworth starannie napełniał nowe puszki próbkami popiołu.

Usmarowany sadzą, miał pod uchem świeży nabrzmiewający pęcherz. W piwnicy pracował tymczasem agent Janowitz z sekcji materiałów wybuchowych.

Na podjeździe jakiś tyczkowaty facet kręcił się koło zakurzonego oldsmobila. Zaczepił Crawforda i Grahama, kiedy przechodzili przez podwórko.

– Czy pan Crawford?

– Tak.

– Nazywam się Robert L. Dulaney. Jestem koronerem w tym okręgu. – Podał im swoją wizytówkę, z nadrukiem: „Głosujcie na Roberta L. Dulaneya”.

Crawford czekał.

– Pański człowiek ma jakieś dowody, które powinien mi przekazać. A tymczasem każe mi czekać już ponad godzinę.

– Przepraszam za kłopot, panie Dulaney. Działał zgodnie z moimi instrukcjami. Zechce pan poczekać w swoim wozie, a ja wszystko załatwię.

Dulaney ruszył za nimi. Crawford odwrócił się.

– Wybacz pan, panie Dulaney. Proszę zaczekać w samochodzie.

Aynesworth uśmiechnął się szeroko, pokazując białe zęby na tle czarnej twarzy. Od świtu przesiewał popioły.

– Jako szefowi sekcji sprawiło mi to niezwykłą przyjemność...

– że facet tańczył, jak mu zagrałeś, wiadomo.

– Cicho tam w szeregach, Indianinie Janowitz! Przynieś no tu interesujące nas przedmioty. – Rzucił mu kluczyki do samochodu.

Z bagażnika wozu FBI Janowitz wyciągnął długie tekturowe pudło. Do jego dna była przymocowana drutem dubeltówka z wypaloną kolbą i poskręcany przez żar lufami. W drugim, mniejszym pudle znajdował się szerniały pistolet.

– Pistolet wyszedł z tego lepiej – rzekł Aynesworth. – Ci z balistyki może go do czegoś dopasują. No, Janowitz, dawaj, co tam masz.

Aynesworth odebrał od kolegi trzy plastikowe torebki.

– To przód i środek, Graham. – Aynesworth spoważniał na chwilę. To był rytuał myśliwych, niczym natarcie czoła Grahama krwią. – Ja cię kręcę, musiało tu być nieliczne przedstawienie. – Wsunął Grahamowi torebki do ręki.

Jedna zawierała dwunastocentymetrowy fragment zwęglonej kości udowej i kawałek stawu biodrowego. Druga – naręczny zegarek. W trzecim była szczeka.

Czarna i spękana, zawierała ledwie połowę zębów, ale wśród nich znajdował się ten wyszczerbiony, nie do podrobienia boczny siekacz.

Graham uznał, że powinien wreszcie coś powiedzieć.

– Dzięki. Wielkie dzięki.

Zakręciło mu się w głowie. Potrzebował odpoczynku.

– ...to muzealny okaz – mówił Aynesworth. – Ale musimy to oddać temu bubkowi, prawda, Jack?

– Niestety. Ale u koronera w St. Louis pracuje paru zawodowców. Przyjadą tu i zrobią porządne odlewy. Dla nas.

Crawford i pozostali otoczyli koronera przy samochodzie.

Graham wolał zostać sam na sam z domem. Słuchał zawrozenia wiatru w kominach. Miał nadzieję, że Bloom przyjedzie tu, jak wyzdrowieje. Pewnie tak.

Graham chciał się dowiedzieć czegoś na temat Dolarhyde'a. Chciał wiedzieć, co tu właściwie zaszło, co spowodowało narodziny smoka. Ale na razie miał wszystkiego dosyć.

Drozd przysiadł na czubku komina i zagwizdał.

Graham odgwizdał do niego.

Wracał do domu.

Graham uśmiechnął się, czując, jak potężny odrzutowiec unosi go wysoko, z dala od St. Louis. Samolot skręcił pod słońce, na południe, a wreszcie na wschód, w kierunku domu.

Molly i Willy będą na niego czekali.

– Nie licytujmy się, kto czego żałuje. Spotkam się z tobą w Marathon, dzieciaku – powiedziała mu przez telefon.

Miał nadzieję, że z biegiem czasu zachowa w pamięci tylko kilka przyjemnych wspomnień... satysfakcję z oglądania prawdziwych zawodowców oddanych swej pracy. Przypuszczał, że coś takiego można znaleźć wszędzie, jeżeli ma się odpowiednią wiedzę na temat tego, co się obserwuje.

Zrozumiałstwem byłoby dziękować Lloydowi Bowmanowi i Beverly Katz, więc powiedział im tylko przez telefon, że cieszy się, że znów mógł z nimi współpracować.

Niepokoili go trochę jedna rzecz: uczucie, jakiego doznał, gdy Crawford wrócił w Chicago od telefonu i powiedział „Gateway”.

Prawdopodobnie nigdy dotąd nie ogarnęła go tak ogromna, najdziksza radość. Ale nie była to miła świadomość, że najszczeńliwszy dzień swego życia przeżył w tej dusznej sali przysięgłych w Chicago. Kiedy wiedział już wszystko, zanim się jeszcze dowiedział.

Nie powiedział Lloydowi Bowmanowi, co wtedy czuł. Nie musiał.

– Wiesz, kiedy Pitagoras sformułował wreszcie swe twierdzenie, złożył w ofierze Muzie sto wołów – rzekł Bowman. – Trudno o coś bardziej rozkosznego, prawda? Nie odpowiadaj... przyjemność zostaje na dłużej, jeśli jej nie trwonisz na gadaniu.

Im bardziej Graham zbliżał się do domu i Molly, tym bardziej rosła jego niecierpliwość. W Miami musiał wyjść na płytę lotniska, by przesiąść się do „Cioci Luli” – wysłużonego DC-3, który latał do Marathon.

Lubił samoloty DC-3. Dziś lubił wszystko.

Ciocie Lilię skonstruowano, kiedy Graham miał zaledwie pięć lat, i jej skrzydła pokrywała zawsze warstwa oleju, którym pryskały silniki. Miał do niej wielkie zaufanie. Podbiegł do niej niczym do samolotu, który wylądował na polanie w środku dżungli, żeby go uratować.

Światła Islamorady zbliżały się do niego pod skrzydłem. Graham dostrzegł białe grzywacze od strony Atlantyku. Kilka minut później wylądował w Marathon.

Czuł się podobnie jak wtedy, gdy przybył tu po raz pierwszy. Wówczas także przyleciał na pokładzie Cioci Luli, a i później często zaglądał na lotnisko o zmierzchu, by przyglądać się jej, jak ląduje powoli i statecznie, wysuwając podwozie, błyskając ogniem z dysz wylotowych i bezpiecznie

wioząc pasażerów siedzących za oświetlonymi oknami.

Lubił też obserwować starty, ale gdy leciwy samolot zataczał wielki łuk na północ, czuł się dziwnie samotny i pusty, a w powietrzu wyczuwał gorzki smak pożegnań. Nauczył się więc, że należy oglądać jedynie przyloty i powitania.

To było jeszcze przed Molly.

Samolot jęknął po raz ostatni i osiadł na płycie lotniska. Graham zobaczył Molly i Willy'ego; stali za płotem, w blasku reflektorów.

Willy stał twardo przed matką. Będzie tak stał, dopóki Graham do nich nie dołączy. Dopiero wtedy pokręci się tu i tam, oglądając wszystko, co go interesuje. Graham lubił go za to.

Molly była tego samego wzrostu, co Graham – metr siedemdziesiąt pięć. Publiczny pocałunek na tym samym poziomie dostarcza przyjemnej podniety, prawdopodobnie dlatego, że pocałunki na tym samym poziomie wymienia się zazwyczaj w łóżku.

Willy zaproponował, że poniesie walizkę. Zamiast tego Graham wręczył mu torbę na garnitury.

W drodze do domu, do Sugarloaf Key, Molly prowadziła, a Graham przypominał sobie wszystko to, co światła reflektorów wydobywały z mroku. Resztę podpowiadała mu wyobraźnia.

Gdy na podwórku otworzył drzwiczki samochodu, usłyszał szum morza.

Willy wszedł do domu trzymając górną część torby na głowie, a dolna obijała mu się o łydki.

Graham stał na podwórku i machinalnie odganiał od twarzy komary.

Molly położyła mu dłoń na policzku.

– Wejdz do środka, zanim cię zjedzą na dobre. Pokiwał głową. Miał wilgotne oczy.

Odczekała jeszcze chwilę, wtuliła głowę w ramiona, spojrzała na niego od dołu i zatrzepotała powiekami.

– Martini, steki, pieszczoty i tak dalej. Dokładnie tak... I rachunek za światło, za wodę, i nie kończące się rozmowy z moim dzieckiem – dodała półgębkiem.

Graham i Molly pragnęli z całej duszy, żeby wszystko między nimi ułożyło się tak, jak przedtem.

A kiedy przekonali się, że nic z tego, ta nie wypowiedziana świadomość żyła z nimi jak niepożądany współlokator. Wzajemne zapewnienia, które wymieniali tak po ciemku, jak i za dnia, dziwnie jakoś zbaczały z kursu i nie sięgały celu.

Jego zdaniem Molly nigdy nie wyglądała tak dobrze jak teraz. Podziwiał jej nieświadomy wdzięk z bolesnej odległości.

Starła się być dla niego dobra, ale wróciła przecież z Oregonu, gdzie wskrzesiła zmarłego.

Willy wyczuwał to. Odnosił się do Grahama chłodno i z uprzejmością, która doprowadzała do szału.

Nadszedł list od Crawforda. Molly przyniosła go z resztą poczty, ale nie wspomniała o nim ani słowem.

Zawierał odbite z filmu zdjęcie rodziny Shermanów. Crawford wyjaśniał, że jednak nie wszystko spłonęło. Poszukiwania na okolicznych polach przyniosły w rezultacie ten film oraz kilka innych rzeczy, które wybuch odrzucił poza zasięg płomieni.

„Ci ludzie prawdopodobnie byli następni w kolejce – pisał Crawford. – Teraz już są bezpieczni. Pomyślałem, że pewnie chciałbyś o tym wiedzieć”.

Graham pokazał list i zdjęcie Molly.

– Widzisz? Właśnie dlatego było warto – powiedział.

– Wiem – odparła. – Rozumiem to, naprawdę.

W blasku księżyca rybki ścigały się w wodzie. Molly pakowała kolację i chodzili na ryby albo palili ogniska, ale niewiele to dało.

Dziadek i mamamma przysłali Willy’emu zdjęcie jego kucyka. Powiesił je na ścianie w swoim pokoju.

Piąty dzień od przyjazdu był zarazem ostatnim przed powrotem Grahama i Molly do pracy w Marathon. Łowili ryby nad brzegiem morza, pół kilometra za zakrętem plaży, gdzie kiedyś dopisało im szczęście.

Graham postanowił rozmówić się z nimi jednocześnie.

Wyprawa zaczęła się nie najlepiej. Willy znacząco odłożył wędkę, którą wystrugał mu Graham, i zabrał nową, którą dostał przed powrotem od dziadka.

Przez trzy godziny łowili w milczeniu. Graham kilkakrotnie otwierał usta, by się odezwać, ale za każdym razem rezygnował.

Poczucie, że jest nielubiany, zaczynało go już męczyć.

Używając małych krabów jako przynęty, złowił cztery solidne sztuki. Willy nic nie złapał. Zarzucał wielką wędkę z trzema potrójnymi kotwiczkami, którą dostał od dziadka, ale łowił niecierpliwie. Raz po raz ściągał żyłkę i znowu zarzucał, tak że w końcu poczerwieniał na twarzy, a koszulka zaczęła mu się kleić do ciała.

Graham wszedł do wody, nabrał piasku wyniesionego przez fale i wrócił z dwoma krabami, wystawiającymi nóżki spod skorupki.

– A może byś tak spróbował na kraba, kolego? – Podał chłopcu przynętę.

– Będę używał tylko tej wędki. Należała do mojego ojca. Nie wiedziałeś o tym?

– Nie – odparł Graham. Zerknął na Molly. Siedziała obejmując kolana i spoglądała w dal, na szybującą wysoko fregatę.

Wstała i otrzepała się z piasku.

– Pójdę przygotować jakieś kanapki – powiedziała. Gdy odeszła, Grahama naszła ochota, żeby porozmawiać z chłopcem na osobności, ale nie, Willy zawsze czuje to samo, co matka. Zaczeka na nią i rozmówi się z nimi jednocześnie. Tym razem na pewno to zrobi.

Nie zostawiła ich na długo. Wróciła bez kanapek, maszerując spieszenie po ubitym piasku na granicy przypiąwu.

– Dzwoni Jack Crawford. Mówiłam mu, że zadzwonisz później, ale upiera się, że to pilne – stwierdziła, oglądając sobie paznokcie. – Lepiej się pospiesz.

Graham zarumienił się. Wetknął koniec wędki w piasek i pobiegł w stronę wydmy. Na skrót było szybciej niż plażą pod warunkiem, że nie niosło się nic, co przeszkadzałoby w zaroślach.

Wiatr przyniósł niski dźwięk, jakby furkot. Obawiając się grzechotnika, Graham uważnie spoglądał pod nogi, wchodząc w gęszcz krzaków.

Nagle zobaczył buty, błysk soczewek lornetki; mignęła podrywająca się z ziemi koszula.

Spojrzał w żółtawe oczy Francisa Dolarhyde'a i serce załomotało mu ze strachu.

Szczęk odbezpieczanego pistoletu, unosząca się lufa... But Grahama trafił ją w momencie, kiedy u jej wylotu rozkwitł w słońcu bladożółty obłok. Pistolet poszybował w zarośla. Graham runął na plecy, czując rozdzierający ból z lewej strony klatki piersiowej, i głową w dół zsunął się z wydmy na plażę.

Dolarhyde podskoczył wysoko i obunóż wylądował na brzuchu Grahama; w garści ścisnął nóż. Nie zwracał uwagi na przeraźliwe krzyki dolatujące od strony morza. Przygwoździł Grahama kolanami, uniósł wysoko nóż, chrząknął i opuścił sztylet. Ostrze chybiło oka Grahama i z chrzęstem zatopiło się w jego policzku.

Dolarhyde nachylił się i całym ciężarem naparł na rękojeść, by przebić Grahamowi głowę na wylot.

Świsnęła wędka; to Molly zamachnęła się, celując w twarz Dolarhyde'a. Wielkie kotwiczki utkwiły mu w policzku, a kołowrotek zaterkotał gwałtownie, popuszczając żyłkę, kiedy Molly szarpnęła wędką, szykując się do następnego ciosu.

Dolarhyde zawył, złapał się za twarz i tym sposobem potrójne kotwiczki wbiły mu się także w dłoń, gdy Molly powtórzyła uderzenie. Mając jedną rękę przyszpiloną do twarzy, drugą wyrwał nóż i puścił się w pościg za kobietą.

Graham przetoczył się na drugi bok, zerwał się na kolana i wstał. Z obłędem w oczach, zachłystując się krwią, rzucił się do ucieczki, uciekał byle dalej od Dolarhyde'a, uciekał, dopóki nie padł na ziemię.

Molly gnała przez wydmy; Willy pędził przed nią. Dolarhyde doganiał ich, wlokąc za sobą wędkę. Nagle wędka zahaczyła o krzaki. Dolarhyde zatrzymał się, wyjąc, aż wreszcie wpadł na pomysł, żeby przeciąć żyłkę.

– Biegnij, dziecko, biegnij! Nie oglądaj się! – dyszała Molly. Miała długie nogi i teraz już popychała chłopca przed sobą. Za plecami słyszała coraz bliższe trzaski łamanych gałęzi.

Zbiegając z wydm, mieli nad nim sto metrów przewagi; siedemdziesiąt, kiedy wpadli do domu. Wspinaczka po schodach. Gorączkowe grzebanie w szafce Willa.

– Zostań tu. – To do Willy'ego.

Z powrotem na dół, na spotkanie z tamtym. Do kuchni, jeszcze nie gotowa, jeszcze majstruje przy automatycznym podajniku naboju.

Zapomniała o prawidłowej pozycji, o ustawieniu się przodem, ale ścisnęła pistolet oburącz i kiedy wyważone drzwi poleciały do wewnątrz, strzeliła wrywając mu w udzie dziurę wielkości mysiej nory – Mahko! – i strzeliła mu w twarz, gdy osunął się na drzwi, i strzeliła mu w twarz, gdy siadł na podłodze, i podbiegła do niego i dwukrotnie strzeliła mu w twarz, gdy rzuciło go na ścianę, z czubkiem głowy na poziomie brody i włosami w płomieniach.

Willy podarł prześcieradła na pasy i poszedł szukać Willa. Nogi mu się trzęsły; na podwórku przewrócił się kilka razy.

Ludzie szeryfa i karetki pogotowia zjawili się, zanim jeszcze Molly pomyślała, że trzeba ich wezwać. Brała prysznic, kiedy pod osłoną pistoletów wkroczyli do domu. Zdrapywała sobie z twarzy rozbryzgi krwi i odłamki kości i nie była w stanie wykrztusić ani słowa, gdy jeden z

funkcjonariuszy próbował z nią rozmawiać przez zasłonę w łazience.

Jeden z ludzi szeryfa uniósł w końcu zwisającą na sznurze słuchawkę telefonu i porozmawiał z Crawfordem w Waszyngtonie, który usłyszał strzały i wezwał pomoc.

– Nie wiem, właśnie go niosą – powiedział funkcjonariusz. Wyrzął przez okno na nosze. – Nie wygląda to dobrze.

Zegar na ścianie w nogach łóżka miał dostatecznie duże cyfry, by dało się je odczytać poprzez mgłę narkotyków i bólu.

Gdy Will Graham nareszcie otworzył prawe oko i ujrzał zegar, od razu zorientował się, gdzie jest – na oddziale intensywnej terapii. Wiedział, że musi patrzeć na zegar. Ruch wskazówek upewniał go bowiem, że to mija, że minie.

Po to właśnie był tam ten zegar.

Wskazywał czwartą. Graham nie wiedział, czy czwartą nad ranem, czy po południu, ale miał to gdzieś, dopóki wskazówki się ruszały. Znow zapadł w niebyt.

Gdy znow otworzył oczy, zegar wskazywał ósmą.

Ktoś stał u jego boku. Ostrożnie przesunął oko. Molly. Wyglądała przez okno. Taka szczupła. Spróbował się odezwać, lecz zaledwie poruszył szczęką, straszliwy ból wypełnił lewą stronę jego głowy. Jego głowa i pierś nie pulsowały w tym samym rytmie. Przypominało to raczej muzykę synkopowaną. Kiedy wydał jakiś dźwięk, Molly nie było już w pokoju.

Za oknem było jasno, kiedy zaczęli go targać, szarpać i wyczyiniać z nim najróżniejsze rzeczy, od których nabrzmiały mu żyły na karku.

Żółte światło. I twarz Crawforda nad sobą.

Udało mu się zamrunąć. Gdy Crawford uśmiechnął się szeroko, dostrzegł między jego zębami kawałek szpinaku.

Dziwne. Crawford wystrzegał się większości jarzyn.

Graham poruszył dłonią na pościeli, jak gdyby chciał pisać.

Crawford wsunął mu pod rękę swój notatnik i wcisnął długopis między palce.

– Jak Willy? – napisał Graham.

– W porządku – powiedział Crawford. – Molly także. Była tu, jak spałeś. Dolarhyde nie żyje. Will. Przysięgam ci, że nie żyje. Sam wziąłem odciski palców i kazałem Price’owi je porównać. Nie ma najmniejszych wątpliwości. On nie żyje.

Graham skreślił w notesie znak zapytania.

– Dojdziemy i do tego. Będę tu zaglądał. Opowiem ci wszystko, jak już wydobrzejesz. Dali mi tylko pięć minut.

– Teraz – napisał Graham.

– Czy lekarz już z tobą rozmawiał? Nie? To najpierw o tobie. Wyzdrowiejesz. Oko masz tylko zasłonięte opuchlizną po głębokiej ranie klutej na twarzy. Załatali ją, ale trochę to potrwa, zanim się zagoi. Wycięli ci śledzionę. Ale na co komu śledziona? Price zostawił swoją w Birmie w czterdziestym pierwszym.

Pielęgniarka zastukała w szybę.

– Muszę już iść. Tu nie szanują żadnych uprawnień, niczego. Jak skończy się czas, po prostu cię wyrzucają. No, na razie.

Molly siedziała w poczekalni, obok wielu innych zmęczonych ludzi. Crawford podszedł do niej.

– Molly...

– Cześć, Jack – powiedziała. – Świetnie wyglądasz. Chcesz mu dać kawałek swojej twarzy na przeszczep?

– Molly, nie mów tak.

– Przyjrzałeś mu się?

– Tak.

– Myślałam, że nie będę w stanie na niego spojrzeć, a jednak spojrzałam.

– Lekarz powiedział, że postawią go na nogi. Oni potrafią to robić. Chcesz, żeby ktoś z tobą zamieszkał, Molly? Przywiozłem ze sobą Phylis, ona...

– Nie. Nic więcej już dla mnie nie rób.

Odwróciła się, szukając chusteczki. Gdy otworzyła torebkę, Crawford spostrzegł list – kosztowną fiołkową papeterię, którą już kiedyś widział.

Nie chciał tego robić. Ale musiał.

– Molly.

– O co chodzi?

– Will dostał list?

– Tak.

– Dostałaś go od pielęgniarki?

– Owszem, od pielęgniarki. Oni trzymają też kwiaty od jego prawdziwych przyjaciół w

Waszyngtonie.

- Mógłbym rzucić okiem na ten list.
- Sama mu go oddam, jeżeli zechce go przeczytać.
- Pokaż mi go, proszę.
- Dlaczego?
- Dlatego, że on nie powinien teraz dostawać wiadomości od... od tego człowieka.

Po wyrazie jego twarzy poznała, że coś jest nie tak; spojrzała na list i upuściła go, razem z torebką i całą resztą. Szminka potoczyła się po podłodze.

Schylając się, żeby pozbierać rzeczy Molly, Crawford usłyszał szybki stukot jej obcasów. Zostawiła go, porzucając torebkę.

Oddał torebkę pielęgniarce dyżurnej.

Wiedział, że Lecter nie miał możliwości zdobycia potrzebnych rzeczy, ale z nim wolał nie ryzykować.

Kazał więc internście prześwietlić list.

Potem rozciął kopertę ze wszystkich stron scyzorykiem, badając jej wewnętrzną powierzchnię i szukając jakiegokolwiek plamki lub pyłku. W szpitalu w Chesapeake używano ługu do szorowania podłogi; no i mają tam aptekę.

W końcu, zadowolony z wyników inspekcji, przeczytał:

Drogi Willu,

I tak oto obaj marniejemy w szpitalach. Ty zmagasz się z bólem, ja straciłem wszystkie swoje książki. Uczony doktor Chilton już się o to postarał.

Żyjemy w prymitywnych czasach, przyznasz? Nie są barbarzyńskie, ale i nie mądre. Ich przekleństwem są bowiem półśrodki. Każde rozsądne społeczeństwo już dawno albo by mnie uśmierciło, albo oddało mi moje książki.

Życzę Ci szybkiego powrotu do zdrowia. Mam nadzieję, że nie będziesz bardzo brzydki.

Często o Tobie myślę.

Hannibal Lecter

Internista spojrział na zegarek.

– Czy będę jeszcze panu potrzebny?

Nie – odparł Crawford. – Gdzie tu jest piec do spalania nieczystości?

Kiedy po czterech godzinach wrócił z kolejną wizytą, nie zastał Molly w poczekalni; nie było jej nigdzie na oddziale intensywnej terapii.

Graham nie spał. Od razu skreślił w notesie znak zapytania. Pod spodem napisał: „Jak zginął D.?”

Crawford powiedział mu, jak. Przez całą minutę Graham leżał bez ruchu. W końcu napisał: „Jak się wymknął?”

– No cóż – rzekł Crawford. – W St. Louis. Szukał Reby McClane, wszedł do laboratorium, kiedy tam urzędowaliśmy, no i nas zobaczył. Jego odciski znaleziono na otwartym okienku w kotłowni... donieśli nam o tym dopiero wczoraj.

Graham postukał w notes. „Zwłoki?”

– Uważamy, że ten facet to zaginiony Arnold Lang. W Memphis znaleziono jego samochód, wytarty do czysta. Zaraz mnie znów wyrzucą, więc po kolei.

Dolarhyde wiedział, że trafiliśmy do laboratorium. Zwiął nam z zakładów i pojechał na stację benzynową Servco Supreme przy bulwarze Lindbergha i autostradzie dwieście siedemdziesiąt. Pracował tam Arnold Lang.

Reba McClane powiedziała nam, że w zeszłą sobotę Dolarhyde wdał się w awanturę z jakimś pracownikiem stacji benzynowej. Uważamy, że właśnie z Langiem.

Kropnął go i zawiózł jego zwłoki do domu. Potem pojechał do Reby McClane i zobaczył, jak ścisnęła się z Ralphem Mandym przed drzwiami. Zastrzelił więc Mandy’ego, a ciało wciągnął w krzaki.

Weszła pielęgniarka.

– Na miłość boską, to sprawa służbowa – zaprotestował Crawford, gdy ciągnęła go za rękaw do drzwi. – Uśpił dziewczynę chloroformem i zabrał ją do siebie. Tam, gdzie były te zwłoki – dorzucił, już z korytarza.

Na dalszy ciąg Graham musiał poczekać cztery godziny.

– Bawił się z nią w kotka i myszkę, wiesz, czy ma ją zabić, czy nie – powiedział Crawford od progu. – Wiesz, jak to było z tym kluczem, który miał na szyi... chciał, żeby ona musiała dotknąć ciała. I żeby mogła nam potem powiedzieć, że dotykała zwłok. No i tak. Powiedział jej: „Nie zniósę tego widoku, nie mogę patrzeć, jak płoniesz”, i zaraz gruchnął Langowi w łeb z dubeltówki.

Lang pasował mu jak ulał. Bo nie miał żadnych zębów. Kto wie, może Dolarhyde wiedział, że

łuk szczękowy potrafi czasami przetrwać taki żar? W każdym razie gdy Dolarhyde z nim skończył, Lang nie miał już łuku szczękowego. Dolarhyde odstrzelił mu głowę i pewnie przewrócił krzesło czy coś w tym rodzaju, żeby uzyskać odgłos padającego ciała, a potem zawiesił mu klucz na szyi.

Teraz Reba po omacku szuka klucza. Dolarhyde obserwuje ją z rogu pokoju. Po wystrzale jeszcze jej dzwoni w uszach, więc nie słyszy nic podejrzanego.

A on zapalił ogień, ale nie dolał jeszcze benzyny. Miał ją tam pod ręką. Dziewczyna wydostała się z domu bez trudu. Gdyby wpadła w panikę, wyrzuciła w coś albo skamieniała, to pewnie by ją ogłuszył i wyciągnął na dwór. Potem nie pamiętałaby, jak stamtąd uciekła. A musiała się wydostać, żeby jego plan się powiódł. Cholera, znowu ta pielęgniarka.

Graham nabazgrał szybko: „Skąd samochód?”

– To było godne podziwu – stwierdził Crawford. – Wiedział, że będzie musiał zostawić furgonetkę przed domem. Nie mógł tam przyjechać dwoma samochodami, a potrzebował wozu do ucieczki.

Więc zrobił tak: kazał Langowi przyczepić swoją furgonetkę do wozu technicznego ze stacji obsługi, potem stuknął Langa, zamknął stację i zaholował furgonetkę do domu. Wóz techniczny zostawił na polnej drodze za domem, przesiadł się do furgonetki i pojechał po Rebę. Kiedy dziewczyna uciekła, wyciągnął dynamit, dolał benzyny do ognia i wymknął się od tyłu. Odwiózł wóz techniczny na stację, zostawił go i wziął samochód Langa. Robota pierwsza klasa.

Dopóki tego nie rozgryzłem, myślałem, że mnie szlag trafi. Wiem, że tak to było, bo na holu znaleźliśmy jego odciski palców.

– Jadąc do niego prawdopodobnie minęliśmy się z nim po drodze... tak, proszę pani. Już idę. Tak jest.

Graham chciał jeszcze o coś zapytać, ale było za późno.

Następne pięć minut zajęła Molly.

Graham napisał w notatniku Crawforda: „Kocham cię”.

Skinęła głową i ujęła go za rękę.

Po minucie napisał: „Willy w porządku?”

Potwierdziła skinieniem głowy.

„Tutaj?”

Zbyt szybko przeniosła wzrok z notatnika na jego twarz. Przesłała mu całusa i wskazała nadchodzącą pielęgniarkę.

Pociągnął ją za kciuk.

„Gdzie?” – Podkreślił to dwa razy.

– W Oregonie – odparła.

Crawford odwiedził go po raz ostatni.

Graham miał już przygotowane pytanie. Brzmiało ono: „Zęby?”

– Należały do jego babki – wyjaśnił Crawford. – Te, które znaleźliśmy u niego w domu, należały do jego babki. Policja z St. Louis znalazła niejakiego Neda Vogta... zięcia babki Dolarhyde’a. Powiedział, że poznał ją w dzieciństwie, ale nigdy nie zapomniał jej zębów.

Właśnie w tej sprawie do ciebie dzwoniłem, kiedy wpadłeś na Dolarhyde’a. Bo odezwali się z Instytutu Smithsonian. Odebrali w końcu te zęby od władz Missouri, żeby je sobie zbadać, tak dla własnej satysfakcji. Zauważyli, że górna część wykonana była z ebonitu, a nie z akrylu, który stosuje się teraz. Protez ebonitowych nie robi się już od trzydziestu pięciu lat.

Dolarhyde miał dopasowaną dla siebie akrylową kopię tych zębów. Te nowe znalezione przy zwłokach. W instytucie przyjrzeni im się uważniej i stwierdzili, że to wyrób chiński. A te stare były szwajcarskie.

Miał przy sobie również klucz do skrytki w Miami. Była w niej wielka księga. Coś w rodzaju dziennika... rzadkie świństwo. Jeśli chcesz, ściągnę ją dla ciebie.

No, stary, muszę wracać do Waszyngtonu. Jeśli mi się uda, wpadnę podczas weekendu. Wytzymasz?

Graham narysował znak zapytania, po czym przekreślił go i napisał: „Jasne”.

Po wyjściu Crawforda zjawiała się pielęgniarka. Wstrzyknęła mu dożylnie demerol i zegar na ścianie rozpląnął się nieco. Graham nie mógł nadążyć wzrokiem za długą wskazówką.

Zastanawiał się, czy demerol wpływa na uczucia. Mógłby zatrzymać Molly przy sobie przez pewien czas, nawet z taką twarzą. Przynajmniej dopóki mu jej nie załatają. Ale to kiepski pomysł. Zatrzymać ją? Po co? Zapadał w sen, z nadzieją, że nic mu się nie przyśni.

Dryfował jednak między wspomnieniami a snem, ale nie było to takie niemiłe. Nie śnił o tym, że Molly go opuszcza, nie widział twarzy Dolarhyde’a. We śnie, przerywanym tylko świecącymi w oczy lampami i sykiem aparatu do mierzenia ciśnienia, wspominał Shiloh – miejsce krwawej jatki z tysiąc osiemset sześćdziesiątego drugiego roku, kiedy to armia generała Granta rozgromiła wojska Południa.

Odwiedził Shiloh na wiosnę, krótko po tym, jak zastrzelił Garretta Jacoba Hobbsa.

Pewnego kwietniowego dnia wybrał się szosą nad Krwawy Staw. Nowa trawa, jeszcze

jasnozielona, porastała całe zbocze, a że poziom wód podniósł się niedawno, zdawało się, że trawa wrasta w staw, że przykrywa całe dno.

Graham wiedział, co takiego wydarzyło się tu w kwietniu 1862 roku.

Usiadł na trawie, czując przez spodnie wilgoć ziemi.

Minął go samochód jakiegoś turysty; Graham zobaczył na szosie jakiś ruch. Samochód przejechał jakiegoś węża, który wił się ósemkami na asfalcie, pokazując na przemian to czarny grzbiet, to blady brzuch.

Upiorna obecność Shiloha zalała go chłodem, choć przecież pocił się w ciepłym wiosennym słońcu.

Wstał z trawy. Spodnie z tyłu miał przemoczone. Kręciło mu się w głowie.

Wąż zaplątał się sam w siebie. Graham pochylił się nad nim, uniósł go za koniec gładkiego suchego ogona i wykonał długi płynny ruch, jak gdyby strzelał z bata.

Mózg węża ze świstem wpadł do stawu. Podpłynął do niego leszcz.

Graham pomyślał, że Shiloh jest nawiedzany przez duchy, a jego piękno ma w sobie złowrogość kamieni.

Teraz, dryfując pomiędzy wspomnieniami a narkotycznym snem, zrozumiał, że Shiloh wcale nie jest złowrogi; po prostu jest obojętny. Piękny Shiloh mógł być świadkiem wszystkiego. Jego niewybaczalne piękno podkreślało tylko obojętność natury, tej Zielonej Machiny. Uroda Shiloha wykpiwała nasz los.

Ocknął się i zapatrzył w tarczę bezmyślnego zegara, ale sam nie mógł przestać myśleć.

Zielona Machina nie zna litości, to my produkujemy litość, wytwarzamy ją w tych częściach mózgu, które przerosły dany nam przez naturę gadzi mózdzek.

Morderstwo nie istnieje. To nasz wymysł i tylko dla nas coś znaczy.

Graham aż za dobrze wiedział, że ma w sobie wszystkie elementy niezbędne do wytworzenia morderstwa. I pewnie także litości.

Niepokojąco dobrze pojmował jednak istotę morderstwa.

Zastanawiał się, czy w wielkim ciele ludzkości, w umysłach ludzi zapatrzonych w cywilizację wszelkie występne pokusy, które w sobie tłumimy, i magiczna, instynktowna wiedza nie funkcjonują przypadkiem jak unieszkodliwiony wirus, przed którym organizm broni się sam.

Zastanawiał się, czy odwieczne, najgorsze popędy nie są przypadkiem tym wirusem, który wytwarza szczepionkę.

Tak, mylił się co do Shiloha. Shiloh nie jest nawiedzany przez duchy. To ludzie są nawiedzani.

A Shiloh patrzy na to beznamiętnie.

„I przyłożyłem do tego serce moje, abym poznał mądrość, abym poznał szaleństwo i głupotę; ale doznałem, iż to też jest utrapienie ducha”.

Eklezjasta 1:17

Table of Contents

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[8](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)
[29](#)
[30](#)
[31](#)
[32](#)
[33](#)
[34](#)
[35](#)
[36](#)
[37](#)
[38](#)
[39](#)
[41](#)
[42](#)
[43](#)

[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)